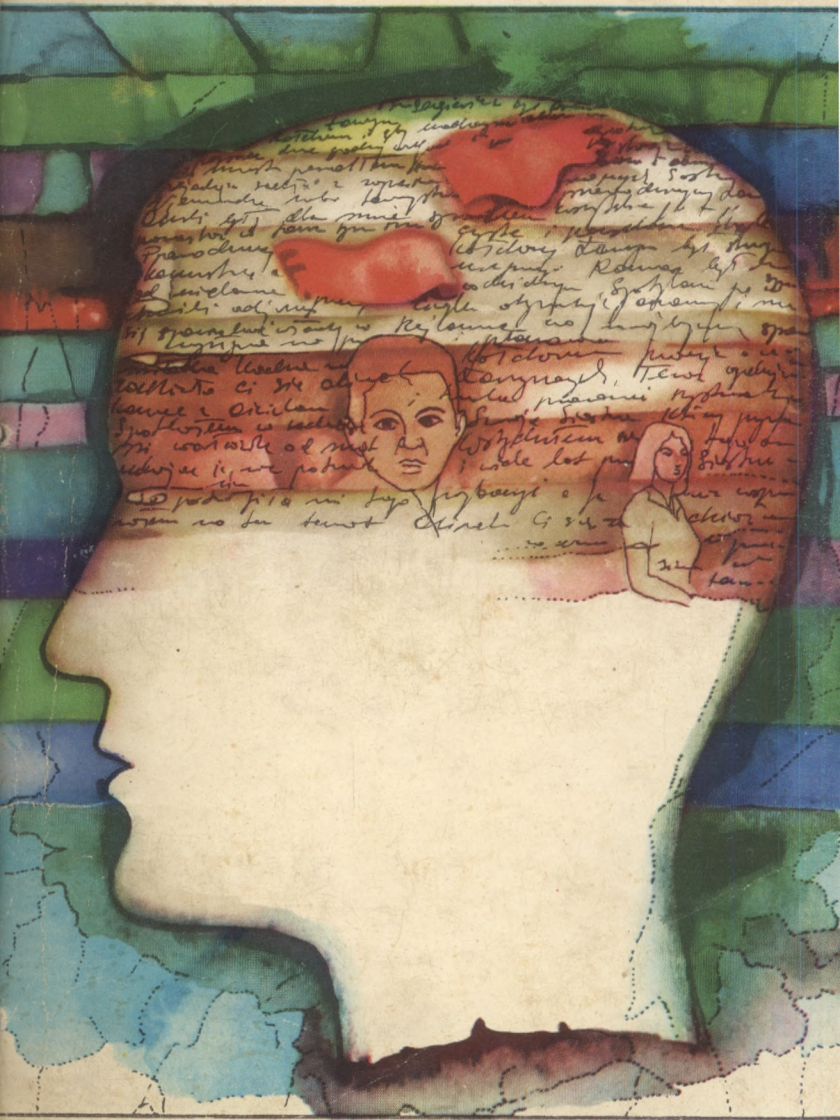


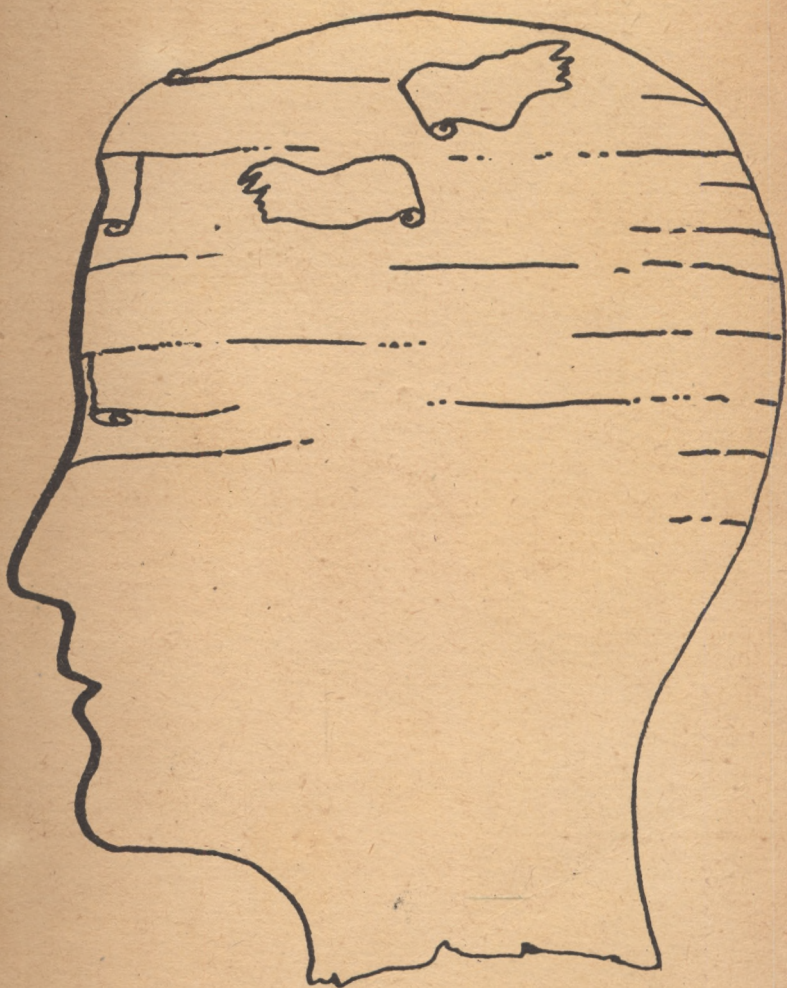
# OLIWKI



D 793

Wołodymyr Drozd

# OLIWKI





Wołodymyr Drozd urodził się w 1939 r. na Czernihowszczyźnie. Po ukończeniu szkoły średniej zaczął pracować w gazecie rejonowej, potem redagował pismo dla młodzieży, równocześnie studiując zaocznie dziennikarstwo na uniwersytecie kijowskim. Później wrócił jeszcze na krótko do pracy redakcyjnej, by od 1970 r. poświęcić się wyłącznie piśarstwu.

Debiutował w 1962 r. i do tej pory opublikował kilkanaście książek, przeważnie tłumaczonych od razu na rosyjski i języki innych narodów ZSRR; przekładanych także za granicą.



OLIWKI

**Tytuły oryginałów**

**YRIJ**

**SEMYROZUM**

**MASŁYNY**

Wołodymyr Drozd

# OLIWKI



Wybór i przekład  
TATIANA HOŁYŃSKA

WYDAWNICTWO LUBELSKIE

**Projekt obwoluty, okładki  
i karty tytułowej  
JERZY KOSTKA**

**ISBN 83-222-0123-0**

**© Copyright by Wydawnictwo Lubelskie**

**Lublin 1980**

# WYRAJ

---

*Opowieść wesoła, liryczno-żartobliwa*





## ZIELONA MAŃKA

Usłyszałem go, gdy tylko z mrocznej sieni wyszedłem na ganek skąpany w ukropie porannego słońca: cienki, przeciągły poświst jak daleki zew trąbki. To świstał rak, zielonkawym, o szorstkim grzbiecie i szczypcach, stary bywalec zarosłego osoką Żerela.

Czekałem na to już drugi rok. Akurat był u nas wujek Denys. Pamiętam, że pogłaskał się wtedy bo baryłkowatym brzuchu, w którym dopiero co zniknęły trzy patelnie jajecznicy podlanej wiadrem ciemnoczerwonego moszczu, i uroczyście obiecał, że ósmą, dziewiątą oraz dziesiątą klasę będę robił w mieście i że on na pewno wyprowadzi mnie na ludzi...

Mama, która wszystkim rąbała prawdę w oczy, odwróciła się od półki i machając ręką energicznie, jakby tępą motyką wycinała oset w ogrodzie, powiedziała:

— Ja tam całe życie przebiekowałam w Pakułach i o nic nie stoję, tylko żeby Mychałko nie musiał za krowami chodzić. Ale prędzej rak świśnie w Żerelu, niż Dora weźmie chłopca do siebie.

Dora to moja ciotka, żona wujka Denysa. Skąpstwo siostry zawsze było wdzięcznym tematem maminych opowiadań. Wróciwszy z targu matka szła na kominki i dokładnie wyliczała, jakie to gościńce zawiozła siostrze, a czym ona się odwdzięczyła; wzruszona własną szczodrobliwością waliła w oszołomione audytorium worami kartofli, kapusty, siczki, woreczkami maku, fasoli, suszonych owoców i krochmalu...

— A od siostry dostałam taaaką figę! — oznajmiała na koniec, z satysfakcją zwijając czarne jak welwet, pokryte bliznami palce w rogatą figę.

W matczynych opowieściach wujek Denys jawił się jako uosobienie dobroci. Zawsze miał wzgląd na jej wdowi los i nigdy nie odmawiał, kiedy trzeba było zesić trochę trawy, nakopać torfu, ogrodzić ogród czy przywieźć gałęzi z lasu.

Spotkawszy Dorę na targu, sąsiedzi skrupulatnie przekazywali siostrzyne narzekania, co doprowadziło ją do białej gorączki. Wymachując torebką zaczynała wyliczać owe prawie nie używane chustki, bluzki, a nawet Denysowe spodnie, które podarowała tej niewdzięcznej pakulskiej flądrze, słoje konfitur i kompotów, białe bułki, śledzie, cukier, drożdże, które z jej rąk hojnym strumieniem płynęły do Pakułów, prosto w niewdzięczną gębę tej rozrzutnicy, która nie ma pojęcia, ile człowiek musi się namęczyć, zanim zarobi trochę grosza; takiej to się zdaje, że w mieście pieniądze same rosną jak u niej lebioda pod płotem.

Przez jakiś czas siostry pozostawały w stanie zimnej wojny; wioząc na targ kartofle czy jabłka, z dala omijałyśmy Kukurkówkę, gdzie mieszkali Słomiankowie. Wszystko to niezbyt mi się podobało, bo u ciotki Dory, odkąd zaczęła handlować, zawsze można było dostać coś słodkiego. Najczęściej było to kakao na mleku i chrupiące rogaliki z cukrem; miasto mojego dzieciństwa miało smak mleczno-kakaowy.

Ale mijał tydzień, najwyżej dwa, siostry niby przypadkiem spotykały się na targu albo w herbaciarni, którą teraz zarządzała ciotka Dora, i padały sobie w objęcia. Zасыpywały się pocałunkami i szlochały ze wzruszenia. Potoki łez płynęły ulicami. Nieszczęsne mieszcuchy mogły potem przez kilka dni poruszać się wyłącznie w łodziach i nieckach.

Drugi rok dobiegał końca. Przeszedłem do dziewiątej klasy, a rak ciągle milczał, jakby dawno wyprowadził się z jamy pod olchowym pnem. Ale wiedziałem, że to nieprawda, bo co tydzień, mącąc wodę drewnianym bełtem, łapałem go do cynkowanego wiadra, a potem wypuszczałem w trwożnej nadziei, że wreszcie usłyszę prorocze świśnięcie. Myślni już dawno byłem w mieście, które zaczynało się zaraz za Psią Górą, gdzie piaszczysta, polna droga przechodziła w ciemne pasmo asfaltu.

Nocne marzenia nad książkami. Na parapecie pełga czerwony kaganek w okopconym ziemniaczanym krążku. Wypływające z mroku rządki liter spowijają cię i wiedą w bajkowe antyświaty, anty-Pakuły, gdzie wszystko jest nie takie: i ziemia, i niebo, i ludzie, nawet ty sam... Inny świat zaczyna się po drugiej stronie Psiej Góry.

Nocne marzenia nad detektorem własnej roboty. W słuchawkach nikły brzęk operowej arii, za chwilę zdyszany urywek sprawozdania sportowego, to znów delikatne tony skrzy-

piec, brutalnie zagłuszane przez jakieś trzaski... Detektor z uporem nie chce trzymać się jednej fali, słyhać w nim cały świat, ten sam, który zaczyna się zaraz za progiem Pakułów.

Nocne marzenia po powrocie z dusznego klubu. Z otwartymi oczami prześniłeś jeszcze jeden sen. Zbity tłum wynosi cię na zewnątrz, stajesz pod rozgwieżdżonym niebem, licząc w duchu dni, które cię dzielą od upragnionej chwili, kiedy spod klubu znowu dobiegnie znajomy warkot zwiastujący przybycie objazdowego kina, ale cały jesteś jeszcze tam — w filmowym świecie cieni, w czarno-białej iluzji, która tak cię nęci, do której jesteś gotów lecieć choćby już, zaraz, jak żuraw odlatujący na wyraj. Bo przecież tu, w Pakułach, zatrzymałeś się tylko na chwilę, to przedsiónek prawdziwego życia, preludium, motto — nawet nie przedmowa — tej wymarzonej księgi, której rozdziały zapisane są w twoim gorącym sercu...

Wyobraźnia podaje ci skrzydła. Widzisz, jak wyrastają ci u ramion, wystają spod spłowiałej perkalowej koszulki. Bez wysiłku unosisz się nad ziemią tonącą w srebrzystej księżycowej poświacie: w dole widać jakieś zaułki, sady i białą nieruchomą rzekę — to wiejską ulicą, ujawszy się pod ręce, żegluj gromadka nieco już leciwych pakulskich dziewcząt, zadowolonych ochryple wesołe czastuszki...

Słyszysz, jak trzeszczą korzenie, którymi wrosłeś głęboko w pakulski czarnoziem. Duszę wypełnia przecucie jakiegoś niebywałego czynu, którego dokonasz dla dobra ludzkości — w takich chwilach myśli się wyłącznie na skalę ogólnoświatową — nad głową rozbrzmiewają chorały wdzięczności i sławy, zupełnie jak w ostatnich sekwencjach filmu.

— Gdzie cię nosi po nocy? — matka trzaska drzwiami od sionki i letnią księżycową ciszę maści prozaiczne: — A krowę rano kto wygoni?

Skrzydła u twoich ramion więdną, walisz się bezwładnie na kłody pod płótem, przecierasz powieki i raptem dostrzeżasz rzeczywistość: wyłupiaste oko glinianki, chude żebra wianu, nakryte czapą bocianiego gniazda, przysadzistą kołchozową stajnię, skąd dochodzi niezmordowany śpiew dziewcząt.

W owych latach moje życie było jednym oczekiwaniem nadchodzącego święta, przecuciem czegoś niewymownie pięknego i idealnie czystego.

I wreszcie rak w Zerelu świsnął. Wzdrygnąłem się jak filmowy koń kawaleryjski na dźwięk surmy bojowej, skoczyłem przez przełęcz na podwórze i spojrzałem w stronę miasta. Tam, gdzie kończyły się wiśniowe sady, jasne poranne niebo przekreślał szary słup, jakby na Pakuły nadlatywała trąba powietrzna. Niebawem do moich uszu dobiegło znajome dzwonienie, pisk łańcucha, klekot obluźowanych szprych, rozchwierutanych błotników, wykrzywionych pedałów. Cała ta maszyna pischczała, brzęczała, dzwoniła na różne tony, strasząc pakulskie psy, które wiały, gdzie oczy poniosą, a te, które były uwiązane przy budzie, wpełzały pod ganek, zakrywając uszy łapami.

— Mamo, rak w Zerelu świsnął, a wujków rower już sły-chać! Tylko patrzeć, jak się tu zjawi! — wrzasnąłem przejęty, wbiegając do sionki, gdzie mama łuszczyła fasolę.

— No to idź, synku, natrząś dla wujka gruszek z wierzby — rzekła matka. — Tym razem na pewno przyjechał po ciebie, sen dziś miałam taki. I Mańkę weźcie... Sama sobie z nią nie poradzę.

Złapałem kobiałkę i pomknąłem do sadu, gdzie srebrzyła się rozłożysta wierzba. W gęstym, falującym listowiu dostojnie kołysały się różowozłociste pękate gruchy. Wlazłem na drzewo i potrząsnąłem gałęzią. Na ścieżkę, między żółknące kartoflane badyle coś smakowicie pacnęło raz, drugi, trzeci... Zebrawszy czubatą kobiałkę, co sił w nogach popędziłem do domu.

Od strony pół już toczył się wujek Denys. Juchtowymi butami hamował po ziemi. Z tumanów kurzu, jak grzywa narowistego rumaka, wyłaniało się przednie koło roweru.

Zręcznie jak młodzieniaszek wujo zeskoczył ze stalowego rumaka, błysnął malinowymi lampasami bryczesów nabytych po wojnie na bazarze i przewiesił sobie rower przez rękę jak ciotka Dora torebkę. Koła, ściągnięte sznurkiem, żeby zleżałe opony nie spadły z obręczy, kręciły się jeszcze, a wujek już zerwał z głowy popielaty filcowy kapelusz. Potrząsnął nim, wzbijając chmurę kurzu, którą wiatr porwał do sadu, i z gracją otrzepał bluzę, spodnie i czubki butów. Dopiero wtedy zerknął na mnie i wznosząc w górę kapelusz zawołał:

— No, młodzieńcze, nowe życie nowego pragnie słowa!

Wujek Denys znał się na poezji — czytywał gazety. Serce piknęło mi radośnie: gość aluzyjnie napomykał o nadchodzących szczęśliwych zmianach. Z wdzięcznością wyciągnąłem ko-

białkę pełną płodów szczodrej pakulskiej ziemi i chcąc pokazać, że też nie od macochy, wydeklowałem:

— Oto na ziemi naszej dóbr wszelkich dostatek!

Wujek z powrotem nasadził kapelusz na głowę, wziął gruszkę i uroczyście podniósł do ust. Wargi miał różowe jak świeże kiełbaski. W tym momencie gruszka zatrzepotała skrzydłami, zapiała ochryple niczym młody kogut i zostawiając wujkowi w palcach ogonek, frunęła na wierzbę. Za nią z wrzaskiem i łopotem porwały się z kobiałki pozostałe i całe stadko, obsypując mnie żółtoróżowym pierzem, nisko nad ziemią poleciało do ogrodu. Zaskoczony upuściłem kobiałkę, która stanęła na ścieżce i drobiąc łozowymi nóżkami szybko pobiegła w stronę sadu kołysząc krągłymi, jak u pakulskiej felczerki, tłusciutkimi bokami.

Matka, która akurat wyszła z sionki, przecięła kobiałce drogę, złapała za kabłąk i powiesiła na płocie. Potem otarła fartuchem czarną jak spalony razowiec rękę i wyciągnęła ją do gościa:

— Witaj, Denysie.

— Przyjechałem po twojego urwipolcia, Parasko.

— Jakże to tak? — matka podniosła brzeg fartucha do oczu, które nagle zaczerwieniły się i nabiegły łzami.

— A tak, że na ludzi go wyprowadzę. Jak będzie miał na karku głowę, nie makutrę, za dziesięć lat pod te leszczynowe wrota podjedzie własną Pobiedą. No, bracie, leć po dokumenty, tylko na jednej nodze!

Spojrzałem na matkę. Opuściła fartuch i szeptem pobłogosławiła mnie:

— Idź, synku...

W pustym szkolnym korytarzu, jak zawsze pierwszego września, pachniało olejną farbą. Nauczyciele jeszcze nie zdążyli się zebrać. Zapukałem do drzwi i, nie doczekawszy się odpowiedzi, nieśmiało przestąpiłem próg gabinetu. Na stole między dziennikami klasowymi tkwił niebieskofioletowy kałamarz ozdobiony zajączkiem. Przyjrzałem mu się bacznie i powiedziałem głośno:

— Przepraszam, Semenie Semenyczu, ale ja do pana w bardzo pilnej sprawie.

Kałamarz zaczął pęcznieć jak fasola czy arbuz na przedwiośniu, kiedy je włożyć do wilgotnego woreczka, powiększał

się, rósł, i po chwili nad otwartymi dziennikami siedział już dyrektor. Miał zapuchłą, fioletową twarz, dobroduszne wejście, na pulchnym policzku widniał pieprzyk.

— Co nowego, Mychałku?

— Odchodzę, Semenie Semenyczu... — rzekłem smutno, przestępując z nogi na nogę. Obok mnie stał na podłodze olbrzymi kartonowy globus. — Tak jest, żegnam Pakuły.

— Dokądże drogi prowadzą?

— Świat szeroki, Semenie Semenyczu... — w zamyśleniu zacząłem obracać globus, na którym zamigotały niebieskie oceany i żółte pustynie. — Czy ptak, który dziś opuszcza rodzinne gniazdo, wie, gdzie przyjdzie mu śpiewać jutro? Na razie jestem potrzebny w Wyraju, nad brzegami Newkli i Żywca. A jutro... Jutro otworzą się przede mną nowe świetlane perspektywy. Ludzie z moim — aktorskim — zawodem nie mogą nigdzie zapuszczać korzeni. Naród jest spragniony żywego słowa, a nasza działalność to codzienna ofiara na ołtarzu sztuki. Śniadanie w Moskwie, obiad w Kijowie, z kolacją czekają cię w Odessie. I tak przez całe życie...

Z mojego oblicza biło nieco smętne, lecz pełne szczęścia wyrzeczenie. Niedawno przeczytałem książkę o wędrownym teatrze, każdej nocy śniło mi się, że jestem aktorem i przemawiam wyłącznie cytataми.

— A co z literaturą? — współczująco spytał dyrektor.

— Wybieram trudniejszy odcinek, Semenie Semenyczu. Nasza beletrystyka rozwija się prawidłowo, a teatr, jak dotychczas, nie nadąża za życiem. Naród domaga się, bym poszedł na scenę. Więc idę.

— Scena i w Pakułach jest, prawda, że nie taka...

— Historia światowego teatru mówi, że nie wszyscy wielcy artyści odznaczeni się głęboką wewnętrzną kulturą. Muszę jej wreszcie nabyć. Na pewno zaproszę pana, Semenie Semenyczu, na swój debiut...

Oczyrna wyobraźni widziałem migoczące światła wielkiego miasta, ogromne afisze zapowiadające występ Mychajły Wyraja (bo co to za nazwisko — Rzeszoto?), zatłoczony plac przed teatrem, tłumy wielbicieli, rozpacz tych, którym nie udało się dostać biletu. Gdzieś z tyłu, za plecami innych, stoi skromnie Semen Semenycz. Biorę go pod rękę i prowadzę przez tłum, ludzie rozstępują się z szacunkiem i ścielą nam, Uczniowi i Nauczycielowi, drogę kwiatami. Mój dawny dyrektor płacze z radości, rozczulony także ocieram powieki...

Dyrektor już chuchał na pieczętkę i starannie odciskał ją na zaświadczeniu, że wyżej wymieniony Mychajło Rzeszoto ukończył osiem klas pakulskiej dziesięciolatki. Podając mi dokumenty, zerknął w stronę okna i podniósł do góry poplamiony atramentem palec.

Nadstawiam ucha, ale nie słyszę nic, tylko żaby na Zamglonem kumkają leniwie.

— Tego nigdy nie zapomnij, Mychałku...

Powściągając ironiczny uśmiech, kiwam poważnie głową i opuszczam gabinet.

Matka doiła Mańkę na podwórzu. Wujek Denys, mlaszcząc smakowicie, pałaszował nieśmiertelną jajecnicę na słoninie, zakąszając pożółkłymi (dawno nie było deszczu) ogórkami. Przechylał baryłkę, napełniał moszczem miedziany kufel, wesoło wznosił toast za swoje zdrowie i pił łyskając białymi jak z cukru zębami. Kapelusz położył w głowach łóżka, na poduszce.

Wsadziłem dokumenty do koszyka z prowiantem, który mama przygotowała mi na drogę, sięgnąłem po kapelusz i zerknąłem w lustro. Z głębi popstrzonej przez muchy tafli wyzierał ku mnie jakiś cienkoszyi stwór, istny muchomor z szeroką czapą na rachitycznej nóżce. Mimo to uznałem, że w tym filcowym symbolu miejskiego życia jest mi bardzo do twarzy, tym bardziej — myślałem z satysfakcją — że nigdy nie będę musiał nosić czegoś podobnego. Będę chodził, jak dotąd, z gołą głową i w tanim bawełnianym ubraniu. Honoraria za olśniewające występy na światowych scenach przekażę na rozbudowę Pakułów. Biblioteka powinna stanąć pośrodku wsi, tam, gdzie teraz jest ogród Zatyriachów; potem jeszcze każę wyasfaltować drogę do Wyraju, na której wiosną i jesienią grzęzną w błotnistej mazi auta, wozy i ludzie. Nie ujawnię nazwiska anonimowego ofiarodawcy; nie zależy mi na ludzkiej wdzięczności, byle tylko ta droga była...

W tym miejscu matka władczy ruchem zdjęła mi z głowy kapelusz i ostrożnie złożyła go z powrotem na poduszce.

— Wcześniej między jenteligentów się pchasz! — wybuchnęła gniewnie. — Najpierw się wyucz, żebyś miał coś w tej głupiej głowie, nie tylko te groszowe powieścidla, dopiero potem cudze stroje przymierzaj... — Postawiła z trzaskiem dojnicę na półce, przysiadła na brzeżku ławy, jakby była w gościach

i skrzyżowawszy ręce na piersi, zaczęła z namaszczeniem: — Chcę tobie, Denysie, jako osobie światłej i uczonej wszystko dokumentnie wyłuszczyć. Strach powiedzieć, co się z tym chłopakiem wyprawia! Wieczorem przy kaganku pisze, rano, nim krowy wygna — pisze, w dzień, ledwie świnię na wygon wypuści — siada na przyzbie i znowu pisze. I tak od wiosny! Kiedyś tu prosię pod sam dom przylazło, cebulkę wydeptało, a on na przyzbie siedzi, nos w to swoje pisanie wlepił i światła nie widzi. Zaprowadziłam go do Ułyty, znachorki. Odczytała. Niby pomogło. Teraz już nie pisze. Myślę sobie, czy od tych ksiązek w głowie mu się nie popsulo?

— Co pisze? Wiersze? — wujek Denys łypnął okiem na matkę, traktując mnie jak powietrze.

— Jakie tam wiersze. Mówi, że poezje...

— Czy wiersze, czy poezje, Parasko, jednaka głupota. Takie coś każdy potrafi, choćby i ja na ten przykład, byle tylko czasu wolnego trochę. Wielkiego rozumu do tego nie trzeba, to nie roczne sprawozdanie finansowe kantoru wodnego, gdzie za każdą cyferką — wielka woda. Ale to nie robota dla chłopaka, który o własnych siłach chce wyjść na ludzi. Chociaż.. są tacy, co z wierszy niemałe zyski ciągną. Ale żeby w takie poety się przebić, ani moich, ani twoich chodów, Parasko, nie starczy.

Chcąc przeciąć te przyziemne rozważania, przyskrzyniłem drzwiami wujkowy dyskurs, który zaskowyczał niczym kopnięty szczeniak, i jak bezcielesny anioł poleciałem odwiedzić ostatni raz świadków mojego bosonogiego dzieciństwa, które oto kończyło się bezpowrotnie. Wyszedłem do sieni i machając skrzydłami jak gramoląca się z bagna Mańka, wzleciałem na dach. Duszę wypełniał mi smutek i słodka czułość. U ramion szeleściły pióra ze srebrnej folii. Poda mną ciemniała wielka jak ogród strzecha, upstrzona wysepkami zielonego mchu. Tu i ówdzie wały się jakieś stare tuleje, opony, kawałki siewników. Oglądany z dołu cały ten zardzewiały złom wyglądał zawsze ogromnie nęcąco i zagadkowo. Rozglądając się triumfalnie posiedziałem trochę na okopconym kominie niczym bocian na gnieździe, potem sfrunąłem w dół i zatoczyłem koło nad ogrodem. Przysiadłszy na wiotkiej łodydze lúbczyka, melancholijnie szepnąłem:

— Żegnaj, lubystku...

Potem poleciałem pożegnać się z krzakiem bzu: na wyższych gałązkach, które wiosną nie poszły na bukiety, stercza-



ły rude zeschnięte wiechcie. Potem pofrunąłem jeszcze na jabłoń, z jabłoni — na gruszę, z gruszy — na płot.

Pod płotem rosła gwiezdnicza. Z końcem lata w gęstej trawie zaczynały mrugać niebieskie oczka jakby przypominając, że już czas do szkoły; zielsko kwitło przez całą jesień aż do pierwszego śniegu. Zerwę sobie ze trzy gwiazdeczki i włożę do podręcznika — pomyślałem. Odpiąłem błyszczące skrzydła, które spadły w kapustę, i zeskoczyłem z płotu. — Będą mi przypominały wiosnę mojego życia. Bo nawet myślą już nigdy nie wrócę do Pakułów. Pakuły to przeszłość, która odeszła bezpowrotnie, to dzień wczorajszy. Matka może odwiedzać mnie w Wyraju, a kiedy już zostanę wielkim aktorem, wezmę ją na stałe do siebie.

Połykując zielonymi bokami, Mańka przemaszzerowała przez zalane słońcem podwórze i wyciągnawszy łeb przez płot, polizała mnie po twarzy.

Krowa lubiła mnie, a ja lubiłem krowę. Oboje, grzęznąc w pakulskim czarnoziemiu, marzyliśmy o Wyraju.

Ale dziś los uśmiechnął się do nas obojga.

Mańka urodziła się jako zwierzę miastowe. Matka nabyła ją od dziadka Jewrasia. „To mleczna krowa — mówił wujek Denys. — Pójdiesz na jarmark, to zawsze przywleczesz jakiego choróbsko, bo kto się pozbywa zdrowego bydłęcia?” W dodatku dziadek Jewraś nie żądał wszystkiego od razu, godził się na dwie raty, co przy naszym chronicznym braku pieniędzy nie było bez znaczenia. Matka wyciągnęła ze skrzyni postronek (leżał tam od czasu, kiedy sąsiad-policjant na własnym pasku uprowadził naszą dawną żywicielkę), zabrała Mańkę z eleganckiego, wyłożonego cegłą Jewrasiowego obejścia i przywlokła do nas. Na naszym podwórzu błocko sięgało krowie po brzuch. Uwiązaliśmy ją na przyzbie, a ja uparłem się, że osuszę podwórko. Przekopałem rów od płotu aż do ogródka. Latem podlane gnojówkę kartofle wybujały nad podziw, ale rzuciła się na nie bezlitosna stonka. We wsi gadano, że stonkę nasiąła Mańka, bo to przecież czarownica.

Na trzeci dzień wypuściliśmy miejskiego gościa na pastwisko razem z innymi krowami. Ale przywykłe do eleganckiego poidła i buraczanych łakoci bydło nie umiało szczypać trawy; zgłodniawszy związało z powrotem do Wyraju... Oboje z matką oplakaliśmy stratę, tylko czasem chodziliśmy jeszcze

do lasu szukać ogryzionych przez wilki resztek Mańki. Aż tu kiedyś listonosz przynosi paczkę od wujka Denysa. Rozrywamy sznurki, łamiemy lakowe pieczęcie. W środku — owinięta w gazetę Mańka, cała i zdrowa, tyle że wychudzona; wiadomo, jak poczta działa: z Wyraju do Pakułów wiorst ledwie osiemnaście, a przesyłka trzy doby szła. Matka krowę w podolek, i pędem na pastwisko. Mańka jak skoczy, jak zacznie trawę żreć, nigdy byś nie powiedział, że zwierzę miastowe.

Ale potem było przegnali aż na skraj błot i od razu pierwszego dnia był nowy kram: Mańka po brzuch ugrzęzła w bagnie. W środku lata trzeba było gotować garnek kompotu. Sąsiedzi, porzuciwszy kopanie torfu, przylecieli ratować naszą zielonoskórą krowę i trzeba się było jakoś zrewanżować.

Potem Mańka grzęzła już regularnie, najmniej dwa razy w tygodniu. Onegdaj omal nie oddała duszy swojemu krowiemu bogu. Zanim zaalarmowany przez pastucha zdążyłem dobiec na miejsce wypadku, spomiędzy kępek trawy sterczały już tylko rogi. Łeb Mańki leżał bezwładnie w torfiastym bagnie, triumfujące gzy obsiadły jej zażawione oczy. Obleciałem pobliskie torfowiska i zwołałem ludzi. Mężczyźni, melancholijnie émiąc skręty, radzili Mańkę dorżnąć.

W ponurym milczeniu puszczałem te rady mimo uszu. Wyszuszywszy butelkę kompotu, którą przezornie wziąłem ze sobą, chłopci splunęli w garść i chwycili za postronki. Było wczesne popołudnie. Słońce toczyło się już w dół po strzechach pakulskich chat, a Mańka ciągle jeszcze tkwiła w błocie, tylko jej grzbiet, szeroki i płaski zieleniał w grzęzawisku jak bryła malachitu — przypominało to obrazek z podręcznika astronomii: ziemia spoczywająca na trzech wielorybach. Utrudzeni chłopci odpoczywali, popatrując spod oka w stronę wsi, czy aby Rzeszotowa nie niesie nowej porcji kompotu. Ale matka pracowała daleko, przy burakach i nie wiedziała o Mańczynej tragedii.

— Nie ma rady, trzeba ją będzie dorżnąć — rozsądnie doradzali pakulanie. — Tylko patrzeć, jak się ściemni, a wtedy żaby cycki jej obeżrą.

Istotnie, żab było na Zamglonem do diabła i trochę, i już kumkały groźnie w topieli. Skacząc z kępy na kępę dobrnąłem do Mańki i umoczywszy rękę w czarnym błocku zamaszystym ruchem nakreśliłem na zielonym grzbiecie krowy

dwa wielkie skrzydła. Pojawszy mój zamysł chłopci chwycili za sznury i wyteżyli siły. Mańka rozpaczliwie zaczęła machać malowanymi skrzydłami. Przy akompaniamencie naszych zachęcających okrzyków powoli wygramoliła się z grzędawiska i w purpurowym blasku zachodzącego słońca poleciała nad torfowiskiem. Wylądowała na łące. Białe tabuny gęsi rozpierzchły się z przeraźliwym wrzaskiem. Gdy nadbiegłem, aby ją wziąć na postronek, chciwie szczypała mizerną trawkę. Grudki suchego błocka osypywały się z niej na ziemię.

Chociaż wszystko skończyło się szczęśliwie, matka straciła cierpliwość i bożyła się, że w najbliższą niedzielę zwróci krowę Jewrasiowi. A tutaj taka okazja! Zjawienie się wujka Denysa ostatecznie przesądziło o losie Mańki.

Pogrążony we wspomnieniach, przejęty marzeniami o szczęśliwej przyszłości, miałem dziś Mańce dużo do powiedzenia. W jej wylupiastych ślepiach, podobnie jak w moich oczach, odbijały się błękitne marzenia o dalekich podróżach. Ale są chwile, kiedy najcieplejsze zwroty brzmią sztywno i nic nie wyrażają. Bez słowa podszedłem do płotu, podrapałem Mańkę za zielonym uchem i ucałowałem mokrą zimną mordę. Krowa mrugnęła do mnie, a na ganku rozległ się matczyzny lament:

— Bożeczku ty mój, całkiem stuknięty się zrobił od tego czytania! Spójrzcie, Denysie, z krową się całuje...

Czasem rodzona matka potrafi zaprawić goryczą najbardziej wzruszające chwile naszego życia.

Wujo ryknął śmiechem, aż kury trwożnie zagdakały w malinach, zszedł z ganku i sięgnął po wiszący na płocie powróż. Rzuciłem się do domu po kobiałkę z prowiantem i dokumenty. Gdy z powrotem wybiegłem na podwórze, wuj z dziarską miną dosiadał krowy, okręciwszy jej rogi postronkiem. W nasadzonym na bakier kapeluszu, w ciemnej, nieco przykurzonej bluzie, w juchtowych butach i bryczesach z malinowym lampasem wyglądał jak rycerz z bajki, który przy wtórze bojowych surm za chwilę ruszy na wroga. Matka wyłamała z płotu giętką witkę i podała wujowi:

— Weź. To diabelskie bydlę, czasem, jak się uprze, święty Boże nie pomoże.

Potem zerknęła na mnie (właśnie usiłowałem przytroczyć kobiałkę do roweru), wąskie sznureczki warg drgnęły i roz-

plakała się. Oparłem nogę na pedale i wziąłem głębszy oddech. Niewątpliwie, jakaś stosowna oracja mogłaby ją pocieszyć, a zarazem okazać się godna tej niezwyklej chwili. Miała to być wzniosła przypowieść o ptaku, co wprawdzie wykluła się na wiązcie, który rósł pod płotem w ogrodzie, lecz z nadejściem jesieni odlatuje hen, na słoneczny wyraj. Ale Mańka, zobaczywszy drogę do miasta, wierzgnęła nagle racicami złobiąc ogromną jamę — obecnie kołchoz hoduje tam dorodne karaski — i co tchu pomknęła w stronę Wyraju.

— Doganiaj, Mychajło, doganiaj! — usłyszałem jeszcze z chmury kurzu. Nacisnąłem na pedały i złapałem się Mańczynego ogona.

— Mamo, przyjeżdżajcie co niedzielę! — zdążyłem tylko krzyknąć i jakaś dziwna siła porwała mnie i uniosła. Ledwie mogłem utrzymać kierownicę. Musiałem uważać, aby przednie koło nie ześliznęło się w koleinę, bo wtedy ani chybi zaryłbym nosem w ziemię. Ledwie widoczne w chmurze kurzu przydrożne wierzby migwały w zachodzącym słońcu niczym szprychy gigantycznego koła.

Tak dotarliśmy aż na Psią Górę, skąd już widać było Wyraj. Krowa nareszcie zmęczyła się, zwolniła biegu i w końcu znieruchomiała na środku drogi, szeroko rozstawiwszy tylne odnóża: matka szcudrze ją napoiła, aby Jewraś nie pomyślał, żeśmy ją zamorzyli. Wujek zgrabnie zeskoczył na pobocze i puścił się w prysiuły, chcąc rozruszać ścierpnięte nogi. Potem odwrócił się i zamarł bez ruchu, patrząc w rozmarzeniu na wczesnojesienne pola. Stałem tyłem do wujka i także zacząłem załatwiać swój interesik po drugiej stronie stepowej drogi, podziwiając bezkresną równinę, którą kroczył powoli niebieskawy sierpniowy zmierzch. Potoczek spomiędzy krowich racic dopełniał się dzięki moim i wujka staraniom: pluszcząca rzeczka spływała w dolinę, odgradzając nas od Wyraju. W oddali miasto wypuszczało drżące listeczki świateł.

— A jednak, Mychałku, przyjedziemy jeszcze do Pakułów własnym samochodem — rzekł nagle wujek Denys, przerywając mi kontemplowanie naszej cudownej przyrody. Podniósł leżący na poboczu rower i ostrożnie usadowił się na siodełku. Sprężyny jęknęły rozpaczliwie, a koła głęboko ugrzęzły w piachu. Krowę, której boki znacznie skłęsy, wujek nagłym ruchem ujął pod brzuch i jakby nigdy nic wsunął do kieszeni obszernych bryczesów. Wskoczyłem na ramię, wujek ode-

pchnął się nogą od ziemi, koła zachrzęściły po ścieżce, i zaczęliśmy zjeżdżać wzdłuż krętego potoczka w poszukiwaniu brodu...

## WIECZORNA PROMENADA

Wyraj to baśniowa kraina, gdzie w ogóle nie pada śnieg, a nad zielonymi pagórkami nigdy nie zachodzi słońce; pod koniec dnia karaski wyczapują na piaszczysty brzeg i życzliwie gwarzą ze szczupakami, wilczyce własną piersią karmią jagnięta, a lisy baczą, by kurczaki nie zabłąkały się w leśnych ostępach. To kraina, skąd w najsrozsze mrozy przylatuje ciepły wiatr; jeśli wieczorem, chuchając w dłonie, matka zatrzaśnie drzwi i z nadzieją w głosie oznajmi: „Wiatr się zmienił! Od miasta wieje” — ty, skulony za kominem, wiesz, że jutro lodowate podmuchy przestaną przewiewać twoją kufajczynę, na dużej pauzie będzie można lepić śnieżki, bawić się w wojnę, a po szkole do późna zjeżdżać z góry na wyslizganej do połysku blasze. Wyraj to kraina śmietankowych lodów w kruchych, chrupiących kubeczkach, które obgryza się dookoła jak gruszkę ze skórki, byle jak najdłużej zatrzymać na wargach słodki smak mleka. To kraina arbuzów, które ku twojej radości matka kupuje pozbywszy się wpierw przywiezionych na targ antonówek. To kraina czerwonych kogucików na patykach i pistoletów do złudzenia przypominających prawdziwe; ich połyskliwa czerń kusi ze sklepowych wystaw zupełnie niedostępnych dla twojej dziurawej kieszeni. To kraina moszczu, lemoniady i chałwy. Stamtąd co tydzień przyjeżdża objazdowe kino z nowymi filmami i bibliotekarz przywozi nowe książki, kraina, gdzie się te filmy kręci, a książki drukuje, co jest dziełem niepojęcie mądrych i wykształconych ludzi. To kraina, gdzie naprawdę istnieje idealne, wspaniałe życie, o którym już pierwszego dnia nauki opowiadają nauczyciele i o którym tak pięknie pisze w książkach, kraina mlekiem i miodem płynąca...

To kraina twojej przyszłości.

Pełen radości i szczęścia, jak przystoi prawdziwemu uczniowi, kroczyłem czekoladowym trotuarem do swojej nowej szkoły. Rozgrzane sierpniowym słońcem tabliczki miękko ugięły się pod stopami. Od najbliższego skrzyżowania płynęła

mi na spotkanie szkoła: napowietrzne zamczysko migotało jak naszyte cekinami, falowało jak upalne powietrze nad stepem, przytrzymywane tylko ceglastym pasem podmurówki. Złakłem się, że lada chwila szkoła oderwie się od czekoladowego trotuaru i popłynie w dal, ku białym strzępom chmur, a ja nie będę mógł jej dogonić. Ale na razie jeszcze trzymała się ziemi; przezroczyste, miejscami niebieskawomleczne jakby muśnięte atramentem szklane ściany pozwalały dostrzec rosnące z tyłu na dziedzińcu zielonogłowe topole. Wszedłem na ganek. Pod moim ciężarem cały budynek zakolysał się jak łódź; prawie nie zwróciłem na to uwagi pochłonięty układaniem przemówienia, które za chwilę miałem wygłosić, wręczając dyrektorowi podanie i dokumenty.

Szanowny towarzyszu dyrektorze — powiem — rozumiem, że macie przepelnienie i że zgodziliście się przyjąć mnie w ostatniej chwili wyłącznie dlatego, że wstawił się za mną wujek Denys, ten sam, z którym pchaliście po grząskich frontowych drogach armatę — czterdziestkę piątkę. Wiem o tym, ale bardzo proszę, nie sądzicie, że należą do tych, co to, jak mówi ciocia Dora, wszędzie się wkręcą po projekcji. Nie pożałujecie swojej decyzji. Jeszcze przysporzę sławy waszej — właściwie już — naszej szkole: zostanę wielkim aktorem i zaproszę was na swój debiut. A w ogóle, to ja was kocham, kocham także naszą szkołę, która kołysze się jak łódź na asfaltowej fali. Podejmuję się zebrać złom z całej Kukurykówki i nie ulega wątpliwości, że zajmiemy pierwsze miejsce we współzawodnictwie. Mam już upatrzone trzy polniemieckie czołgi. Na razie służą kukurykowskim psom jako budy; na armatnich lufach kobiety suszą pranie, w gąsienicach zaś sieją cebulę, która jak dojrzeje, robi się zupełnie niebieska. Dodatkowo mógłbym wziąć pod opiekę jakieś kołchozowe zwierzę: trzy lata temu wielokrotnie zwracałem się na piśmie do kierownictwa kołchozu, żeby mi pozwolono doglądać spółdzielczego cielaka, opisała to pięknie gazeta „Gwiazda”. Członkowie zarządu żartowali sobie z moich petycji — istotnie papier był krzywo poliniowany — bo przecież nie czytawali „Gwiazdy”, ale mój upór zwyciężył i w odpowiedzi na sto pierwsze podanie kazali mi udać się do kierownika farmy, który zapoznał mnie z byczkiem Fedorem. Codziennie rano i wieczorem zanosilem mu koszyk zielska, Fedor szorstkim językiem lizał mi dłonie, a matka oklinała mnie, że kury kapustę wydziobują. Potem Fedora odstawili

do rzeźni. Niestety w Wyraju nie ma ani jednej farmy. Ale mogę nosić mleko staruszkom na emeryturze, opiekować się chorymi, czytać książki niewidomym, bawić dzieci w przedszkolach, malować plakaty na szkolne uroczystości, dyżurować w bufecie, okopywać kartofle w szkolnym ogrodzie albo sadzić drzewka — to dobrze umiem. Mogę kosić trawę w sadzie koło szkoły, zrzucić do kotłowni węgiel z ciężarówek, mogę zapomnieć nawet o swoim wzniosłym powołaniu, byleście tylko, szanowny towarzyszu dyrektorze, nie myśleli, że wkręcam się po projekcji.

Wzruszony własną szlachetnością delikatnie nacisnąłem klamkę gabinetu. Ale drzwi były zamknięte.

Sprzątaczkę osiodłały szczotki, chwyciły wiadra i pogalopowały długim, odbijającym echo korytarzem. Po suficie, od lampy do lampy, pełzał elektryk, trzymając w zaciśniętych wargach przepalone żarówki niczym szewc gwoździe. Zerknął na mnie z góry jak gawron na muchę i półgębkiem wysepleśnił:

— Dylektoł na żeblaniu...

Skinąłem poważnie głową i przełknąwszy bolesne rozczarowanie, powędrowałem do sekretariatu. W małym pokoiku stało duże biurko, na nim maszyna do pisania i pączek róży.

— Dzień dobry... Przyniosłem papiery! — powiedziałem głośno, patrząc na kwiat.

Stulone płatki w oczach zaczęły się rozwijać: zielone liścieczki zmieniły się w ramiona okryte organdyową bluzką z koronkowymi falbankami, różowe płatki ułożyły się w ładną twarzyczkę sekretarki. Uśmiechnęła się do mnie — tak ludzie uśmiechają się do własnego odbicia w lustrze — i suchym jak czerstwy rogalik głosem oznajmiła:

— Już mamy komplet.

— Uzgodnione z towarzyszem dyrektorem... — powtórzyłem, co mi przykazał wujek Denys, i spojrzałem znacząco w przezroczyście niczym krople rosy oczy sekretarki.

— Wobec tego siadaj.

Ale ja nie chciałem sprzedać się za miskę soczewicy. Poza tym bałem się zakochać w pięknotce; nie ulegało wątpliwości, iż byłaby to miłość bez wzajemności (przez organdyową bluzkę widziałem jej serce, gdzie — jak eksponat w słoju ze spirytusem — tkwił młody porucznik ze szkoły oficerskiej). Oddałem dokumenty i szybko wybiegłem na ulicę.

Bałem się nowej miłości, bo wszystkie dotychczasowe sprawiły mi wyłącznie cierpienia.

Po raz pierwszy zakochałem się, kiedy jeszcze chodziłem do czwartej klasy. Była to nauczycielka z sąsiednich Szeptaków. Rano zostawiała u nas swój brezentowy płaszcz, po lekcjach wstępowała po okrycie, a ja odprowadzałem ją wysadzaną wierzbnami drogą aż do mostku na wyschniętej Łutawie. Pewnego dnia nie zjawiała się: powiedziano nam, że czwartą będzie się teraz opiekował miejscowy nauczyciel, a dla naszej byłej pani znalazła się praca w Szeptakach. Z żalu i zmartwienia zacząłem pisać wiersze. Chłopaki nie wiedzieli o mojej miłości i spierały się, gdzie wynajduję słowa: „Pewnie jedno bierze z jednej książki, drugie z drugiej, no i wiąże jak cebulkę w wianuszki”.

Ostatnia miłość też nie przyniosła mi szczęścia. Jej obiektem była dziewczyna z mojej klasy, córka przewodniczącego kolchozu, rozpieszczona kokietka, za którą latały gromady pakulskich chłopaków. Ponieważ nie miałem szewiotowych spodni ani roweru, ani harmonii, no i w ogóle byłem jeszcze smarkacz, a nie kawaler, mogłem tylko chodzić za nią i podglądać zza płotu, jak wracając z klubu całuje się z kolejnym podrywaczem. W takich chwilach serce pękało mi z rozpaczy, obiema rękami ledwie mogłem utrzymać je w piersi.

Jednak nawet przeprowadzka do Wyraju nie uchroniła mnie od tego, co mi było pisane: już w pierwszym dniu nauki zakochałem się.

Podstrzyżeni jak akacyjny żywopłot zdobiący wyrajski bulwar, staliśmy wystrojeni na szkolnym podwórku i schnęliśmy na słońcu. Potem z grona nauczycieli wystąpił dyrektor i wygłosił wzruszającą mowę z okazji rozpoczęcia roku szkolnego. Jego słowa były tak słoneczne, iż niemal zapomniałem o moim bawelnianym ubraniu, które matka dwa lata temu kupiła na wyrost, przykusych rękawach, wyświeconej marynarce odbijającej słoneczne zajaczki, o rogach dokumentnie spranego kołnierzyka, które sterczały zadzierzyście, idąc o lepsze z zadartymi noskami wysmarowanych proszkiem do zębów tenisówek, które pozwolono mi włożyć specjalnie na dzisiejszą uroczystość. Kiedy dyrektor skończył, pierwszy zacząłem bić brawo. Od oklasków zupełnie zdrętwiały mi ręce. Potem z szeregu wystąpiła dziewczyna. Poznałem ją od razu: była to ta sama piękność, która ozdabiała ścienny kalendarz pod datą pierwszego września i w której tak gorąco zakochałem



się już ze dwa lata temu! Dziewczyna wesoło potrząsnęła miedzianogłowym dzwonkiem.

Tak, to była ona: brązowy szkolny mundurak pod śnieżno-białym fartuszkim, czerwony komsomolski znaczek, dwa warokoczyki, dwie błękitne kokardy, wysokie czoło nad szklami okularów, przez które mądrze i z powagą spoglądały duże oczy, przypominające starannie wykaligrafowane piątki ze sprawowania. Zakochałem się w niej już dawno: jeszcze wtedy, gdy oglądałem kalendarz, który wisiał u ciotki w pokoju. Po kryjomu wyrwałem tę kartkę, choć była dopiero połowa lata. Długo strzegłem jej jak oka w głowie, używając jako zakładki do ulubionych lektur, no i w końcu oddałem ją chyba z jakąś książką do biblioteki. Potem nie mogłem już na nią trafić, chociaż przekartkowałem cały pakulski księgozbiór. Teraz miałem wrażenie, że już tam, na polnej drodze, kiedy usiłowałem dopędzić Mańkę, serce przepowiadało mi: spotkasz ją w Wyraju, swoją dziewczynę z kalendarza.

Serce mówiło prawdę!

Obiema rękami chwyciłem skraj nieba i przychyliłem jej do stóp obutych w czarne lakierki. Odgarnąłem lepkie, zwiastujące jesień chmury i słońce zajrzało dziewczynie w oczy, złocąc kokardy i błyskając w metalowej oprawce okularów. Nawet tego nie zauważyła. Skończyła potrząsać dzwonkiem, oddała go nauczycielce i wróciła do szeregu. Zaraz potem IX a, jako pierwsza, przy wtórze triumfalnych fanfar rześko ruszyła do szkolnego budynku.

Przez całą pierwszą lekcję miotała mną burza głębokich uczuć. Na przerwie poleciałem do IX a, niby to po kredę, i stanąłem jak wryty: było tu chyba ze dwadzieścia dziewcząt z kalendarza — w szkolnych mundurkach, z komsomolskimi znaczkami na białych, starannie wyprasowanych fartuszkach, w okularach, zza których spoglądały niebieskie (pod kolor kokard) poważne oczy etatowych prymusek. Przez dwie lekcje stałem jak kołek obok katedry, nauczyciele wieszali mi na uszach tablice poglądowe z odmianą czasowników i mapy. W końcu zdołałem się jakoś otrząsnąć i powlokłem się do swojej klasy, kołysany słodką nadzieją, że jeszcze dane mi będzie zobaczyć moją miłość.

W albumie ciotki Dory jest weselna fotografia. Zrobił ją wuj Jakub, zwany Parowoźnikiem: młoda para w gronie do-

brze już podochoconych krewniaków; na ziemi ze skrzyżowanymi nogami siedzi trójka dzieci: Andrij, syn Parowoźnika, Kolka Kapelutek i ja. Andrij — w marynarzkiej czapce na bakier, ja — w wujkowej pilotce, Kolka — z gołą głową, a że strzyżony maszynką, głowa przypominała kolano albo pocisk, zupełnie jak te, które znajdowaliśmy czasem w gliniankach nad Żywcem.

Wujka Jakuba pamiętam z późniejszych czasów. Chodziłem do piątej, może do szóstej klasy, kiedy pojechałem z matką z jabłkami na targ. Potem wstąpiliśmy do krewniaków. Wyprężony mierzyn został przy bramie — widać go na zdjęciu. Matka rozmawiała na podwórzu z ciotką Dorą, a my trzej siedzieliśmy na wozie i jeden przez drugiego, jak to chłopaki, przechwalaliśmy się szkolnymi sukcesami. I wtedy zza rogu Słomianej i Piaszczystej ukazał się wujek Jakub. Szedł po zalanym słońcem, wydeptanym niemal do połysku chodniku. Miał na sobie szary kolejarski mundur ze srebrnymi skrzydełkami na kołnierzu, rękawach i kaszkiecie, na ramiona narzucił brązową skórzaną kurtkę, w rękę trzymał drewniany, kiedyś niebieski, teraz wyblakły i umazany smarami kuferek. Zmęczony, szedł wolno, trochę rozkołysanym krokiem jak pakulscy chłopcy po całym dniu machania kosą; nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że Parowoźnik stoi w miejscu, a wszystkie te uliczki: Sosnowe, Piaszczyste, Rybackie, Zielone, Radulskie, Pakulskie — cała Kukurykówka — płyną mu naprzeciw, rozstępując się jak fala przed dziobem okrętu. Wujek zrównał się z nami i w subtelny aromat jabłek, którym zdawało się, przesiąkł cały wóz, w słonocierpką woń końskiego potu, w delikatny zapach aksamitek i astrów chlusnęło smrodem maszynowego oleju, dymu i żelaza.

— Andriju, do domu! — powiedział wujek Jakub w odpowiedzi na nasze skwapliwe dzień dobry.

Andrija jakby wiatr zdmuchnął z wozu. Ja i Kolka powoli ruszyliśmy za nim. Za chwilę przez szparę w płocie mogliśmy zobaczyć, jak kościsty wujek Parowoźnik, w zaobszernych spodenkach gimnastycznych, wiszących na nim jak szmata na kołku, prycha i pluszcze się w lodowatej wodzie, którą Andrij lał na niego z wiadra.

Potem znowu wszyscy trzej siedzimy na wozie, a ja pytam z powagą:

— A ty kim będziesz, Parowoźnik?

— Marynarzem. Będę pływał po oceanach.

— A ty, Kolka?

— Ja pójdę do handlu.

— Do handlu? Po co? Naftę sprzedawać?

— Ojciec mówi: w handlu nie zginiesz. Wszystko dostać można. Nawet blachę, a dom do tej pory pod strzechą. I pamięć mam taką więcej handlową. Nawet jak śpię, ceny pamiętam. O, te twoje płótniaki — trzydzieści siedem czterdzieści, kaszkiet — dwadzieścia jeden osiemdziesiąt...

— A ja na dziennikarkę...

— Dokąd? — dziwi się Kapelutek.

— Ciemniak z ciebie, Kolka — leniwie odzywa się Andrij.

— Gazety pisać — dokąd by.

W bramie ukazuje się matka. Zaprzęgamy mierzyna i ruszamy w drogę do Pakułów. Wóz czubato wyładowany ukłoniem i pozdrowieniami od Słomianków, od Parowoźników, od całej Kukurykówki. Choć to już drugie czy trzecie pokolenie, ale wszyscy — pakulanie...

W niedzielę dziadek Jewraś zwrócił zadatek za Mańkę; z radości matka kupiła mi strój narciarski i grube, skórzane buty ze lśniącymi metalowymi okuciami. Była to prawdziwa okazja: wszystko przyniósł na bazar jakiś chłopaczek; mama przywazyła go, jak kręcił się między wozami. Strój był niebieski, z włochatej bai, która łagodnie marszczyła się i mruzczała pod palcami jak senny kot. Buty, jak zwykle, matka kupiła na wyrost, odprowadzając ją za miasto, wyskubałem ze stogu i wepchnąłem w cholewki ze dwie fury żytniej słomy.

Wlokłem się za wozem zaprzężonym w starego, dobrego Szeptalę (mierzyn niezgrabnie potykał się na miejskim bruku, całkiem jak z początku ja na szkolnym parkiecie), wlokłem się niczym młody byczek, którego wiodą na jarmark, a on zapiera się racicami w zmarzniętą ziemię, wciąż jeszcze śniąc o łące i swobodzie. Oczywiście, w Wyraju tęskniłem za matką. Teraz też rozum podpowiadał mi, że lada chwila mama wtopi się w szary jesienny horyzont, a ja zostanę sam, oko w oko z obcym miastem. Mimo to, idąc posłusznie za furmanką, spełniałem tylko synowski obowiązek, naprawdę zaś cały byłem już tam, w Wyraju; podobnie jak w przeddzień święta człowiek myśli wyłącznie o tym, co będzie nazajutrz, tak i ja w wyobraźni spacerowałem już po mieście. Mój no-

wy strój przyciągał zachwycony wzrok dziewczyny z kalendarza. Obok, równie poważni i odświętni kroczyli ciotka i wujek; miałem przyobiecane, że wieczorem pójdziemy razem na tradycyjną niedzielną przechadzkę.

Bezlądnie, trochę ni w pięć, ni w dziewięć odpowiadałem na matczyne pytania, obiecywałem, że będę pilny i posłuszny, że będę się dobrze sprawował, nie będę czytał byle powieści, nie zbijał bąków ani włóczył się po ulicach. W końcu wóz wraz z matką znikł wśród żółknących pól, nad którymi powoli zapadał zmierzch, a ja w podskokach pobiegłem z powrotem.

Ciotka Dora w niedzielę z rozmysłem rezygnowała z tego, co mogłaby utargować. Za nic nie opuściłaby uroczystej rodzinnej przechadzki i okazji pokazania się przed ludźmi. Teraz zerknęła na mnie krytycznie:

— Popatrz, Denysie, jak nasz kawaler wyprzystojniał. Już i między ludzi z nim nie wstyd...

Ciotka miała na sobie nową krepdeszynową suknię, która jak kolorowy dzwon obejmowała obfite kształty, ciasno opinając rozłożyste biodra. Stojąc przed lustrem podziwiała właśnie swoje odbicie, usiłując przyszpilić na piersi złotą broszkę — rodzinną dumę i chlubę. Wujek, w długim srebrzystym płaszczu i równie lśniącym, wyczyszczonym lotniczą benzyną kapeluszu, wspaniałał jak Omyłko Zmyłkowicz, dyrektor kantoru wodnego (też zresztą rodowity pakulanin), stał w ogrodzie i przez otwarte okno poganiał ciotkę.

— Zajrzyj jeszcze raz do skrzynki, może jednak przynieśli gazetę — mówiła ciotka, malując usta i obsypując pudrem policzki, co żywo przypominało mi matkę obsiewającą makiem grządkę przy domu.

Z dziesięć razy już zaglądałem, od tego patrzenia szpara się większa zrobiła...

Słomiankowie nie mogli się doczekać tabeli z wynikami ciągnięcia trzyprocentowej pożyczki państwowej.

— Zeszłym razem u Huców dziesięć tysięcy o jedną cyferkę chybiło. Luba sama się przyznała. Patrę, mówi, i czuję, jak najpierw obejmuje mnie wielka jasność, a potem w oczach mi pociemniało. Już lepiej, żeby dzieci sprawdzały, one więcej szczęścia mają...

Ciotka była podniecona, jakby to jej własna obligacja o mały włos nie wygrała w poprzednim losowaniu; dziś, oczywiście, i seria, i numer bezwzględnie muszą być dobre. Pod-

śpiewując wesoło wdrapała się na stołek, ze stołka na parapet, a potem jej podkute pantofelki zastukały na chwiejnej desce prowadzącej do ogrodu. Z początkiem lata Słomiankowie rozdzielili się: młodym przypadł pokój z kuchnią, starym — drugi pokój i korytarz. Dziadek Jewraś zabił na amen drzwi na korytarz i do naszej rezydencji wchodziło się przez narożne okno.

Przechodząc przez furtkę, wujek jeszcze raz rzucił okiem na nasze stroje; ciotka delikatnie zdmuchnęła jakiś niewidoczny pyłek z jego kapelusza, po czym cała trójka poważnie pożeglowała Słomianą...

Wujostwo kroczyli środkiem ulicy, sztywno jak w pochodzie, i tylko zezowali w stronę Hucowego obejścia. Ale za płotem nie było nawet psa z kulawą nogą, zasłonki w oknach ani drgnęły. Czarna chmura rozczarowania zawisła nad naszymi głowami: ulica Słomiana wyglądała jak wymarła. Nawet baba Feśka znikła z ławeczki przed domem, gdzie przecież zawsze siadywała. Tylko na rogu Piaszczystej trzech utylanych w glinie pijaczków podpierało ściany sklepiku, ale nawet nie spojrzeli w naszą stronę.

— Głusza niczym w Pakułach — ciotka Dora wzruszyła obleczoneymi w lśniącą krepdeszynę ramionami i poprawiła broszkę.

— Kartofle kopią... — z filozoficznym spokojem stwierdził wujek. — A Hucycha nad dyktandami ślęczy...

Milczałem, grzejąc zgrabiałe ręce w przytulnych kieszeniach mojego nowego stroju.

Zakurzonym autobusem udaliśmy się do centrum. Na nierównym bruku trzęsło nami jak grochem na rzeszocie. Pierwsza wysiadła ciotka Dora. Za nią, obciągając rękawy płaszcza, zstąpił na bulwar wujek Denys. Na końcu, z rękami w kieszeniach, co miało podkreślać moją iluzoryczną niezależność, zeskoczyłem na wyrajski asfalt ja, Mychajło Rzeszoto. Nie odwracając głowy, ciotka spojrzała na nas zezem i prawie nie otwierając ust, wycedziła szeptem:

— Popraw krawat, między ludzi wszedłeś. A ty — ręce z kieszeni, tu nie Pakuły...

Wujek skwapliwie podciągnął krawat, a ja wyszarpnąłem ręce z kieszeni, jakby mi tam kto żaru nasypał. Poważnie i uroczyście pożeglowaliśmy przed siebie, wydani na pastwę ludzkich oczu.

I wtedy się zaczęło!

Nasze nowe kreacje, ciotki i moją, pierwsze dostrzegły rosnące na bulwarze młode topole. Wyginając wierzchołki jak gęsie szyje, z zachwyconym szelestem odprowadzały nas spojrzzeniami żółtozielonych oczu. Żuraw na rozgrzebanym placu budowy zwrócił ku nam długie ramię i w liliowym zmierzchu zamrugał światełkami. Kobiety, które, jak mawiał ironicznie wujek Denys, pod pretekstem spaceru urządzały rewiew torebek, przystawały i wytrzeszczonymi oczami żuły ciociną krepdeszynę niczym Mańka moje suszące się na płocie pantalon. Nawet mężczyźni nie potrafili udawać obojętnych: rozdziawiwszy gęby stali jak szare słupy, wodząc zazdrośnie wzrokiem za jasnoniebieskimi i srebrzystymi odbłyсками, które rozsiewał mój bajowy strój i wujkowy płaszcz. Budynki okalające szeroki bulwar przebrnęły asfaltowe ruczaje i uszykowały się wzdłuż żelaznego parkanu. Poprzez ich ciemnorude dachy z przydymionymi pieńkami kominów zerkwały w naszą stronę ceglane domki z przedmieść. Wyłamawszy się z ulicznych szeregów, przybiegły aż tutaj, aby podziwiać suknię ciotki. Maleństwa włożyły pięciopiętrowym wielkoludom na płaskie łby, poszturchiwały się, dzwoniły blaszanymi dachami i po cichu wyklócały się o lepsze miejsce.

W zapadającym zmierzchu ledwie poznałem pakulskiego pijaczka i wesołka Andrija, zwanego Gnida; w rękach trzymał dwie kobiałki, na głowie miał szarą zajęczą czapkę, na nogach walonki. Gnida odnosił się pogardliwie do hodowli bydła i trzody chlewnej; trzymał w słońce stadko kur, które niosły się siedem razy na dzień; co niedzielę taszczył jajka na targ, potem zwidywały mu się zielone diabełki i białe myszki. Pakulanie gadali, że od tego picia wróble mu się w głowie zaległy. Rzeczywiście, poprzez niecierpliwe ryki samochodów i autobusów, którym tłoczące się bezładnie domy zagroziły drogę, przebijał się dolatujący wyraźnie spod czapki wujka Gnidy radosny skwir, pogwizdywanie i szczebiot ptasiego drobiazgu.

Gnida ślizgał się właśnie po blaszanym dachu; jak zwykle ręce miał pełne roboty: baki zbijał. Nagle bulwar zapłonął ostrym blaskiem latarni. W tym momencie Andrij zobaczył nas, zeskoczył na chodnik i rozłożywszy szerokie ramiona pokuszył nam na spotkanie. Ciotka Dora stanęła jak wryta, a potem nagle wykonała zwrot o sto osiemdziesiąt stopni. Za późno.

— Taż to pakulska Fe-dora! Jak Bożę kocham, Fe-dora,

niech ja skonam, pakulska! Niech mnie pioruny! Ludzie kochane! Tfu, co z tobą, czyżbyś mnie nie poznała? Przecież my krewniaki: mój cioteczny dziadek twoją szwagierkę iskał! Witaj, Fedoro. Aleś się wysztyftowała! Nie pędź tak, zaczekaj, chcę ci coś powiedzieć!

Rzuciliśmy się wzdłuż bulwaru, śmignęli w boczną uliczkę i nie oglądając się za siebie, pobiegliśmy na przystanek. Dopiero w autobusie złapaliśmy oddech i ochłonęliśmy trochę.

Ciotka jeszcze długo siedziała blada i rozdygotana. Słabo jej się robiło, gdy tylko w jej obecności ktoś nieopatrnie wspomniał, że naprawdę ma na imię Fedora i w dodatku urodziła się w Pakułach.

Zamykając furtkę, wujek zaczął rękawem o drewnianą skrzynkę pocztową. Jak spłoszony ptak ze skrzynki wyfrunęła złożona we czworo gazeta i z furkotem poleciała na wiśnię.

— Tabela... — wyszeptała ciotka stając jak wryta, i nagle wrzasnęła: — Łapże ją! — Wujek na palcach podkradł się do wiśni, ale spłoszona przez ciotkę gazeta zerwała się i z lekkim brzękiem, jaki wydają przesytywane w kieszeni miedziaki, rozwinęła skrzydła. Usiadła na płocie. Emanująca z niej biała poświata snuła się nad ogrodem.

— Cip-cip-cip-cip — zaczęła wołać ciotka czułym, słodkim jak sacharyna głosem. — Cip-cip-cip...

Gazeta ufnie spłynęła z płotu. Nastroszona niczym kwoka, migotała na ścieżce wydając leciutki, metaliczny brzęk; dopiero wujkowy kapelusz, który zataczał koła coraz niżej, przysłonił w końcu te denerwujące błyski.

Nigdy jeszcze nie widziałem ciotki w tak odświętnym nastroju. Nakryła stół świeżym obrusem, przysunęła sobie krzesło, a nam kazała usiąść naprzeciwko. Poruszała się wolno i uroczyście, ale z oczu raz po raz strzelały złociste iskierki i gasły pod sufitem.

— Czytaj...

Wujek rozpostarł tabelę i zaczął wodzić po niej palcem.

— Numer 00 173: tysiąc rubli.

— Tysiąc... — z czułością powtórzyła jak echo ciotka.

— Numer 021 845: czterysta.

— Czterysta... Cztery setki też pieniądź, nowe wrota postawimy, żeby auto swobodnie mogło się zmieścić... — zerknęła

na wujka rozmarzonym wzrokiem i gniewnie przerwała sobie samej: — Czytaj dalej!

— Numer 045 285: sto tysięcy.

W tym momencie z ciotczynej piersi wyrwała się dusza i niczym szary, nastroszony wróbelek wzniosła się aż pod czerwony abażur; wujek z trudem złapał ją klasnąwszy w dłonie, jakby polował na mole. Zbielałymi wargami ciotka zdążyła jeszcze wyszeptać: „Nasza, nasza...” — a potem zemdląła z wielkiej radości i wzruszenia. Wujek zagnał nazad ciotczyną duszę jak krowę, która wlaża w szkodę. Odzyskawszy przytomność ciotka zaniosła się perlistym śmiechem.

— A ona, ta w okienku, jeszcze się mnie pyta: „Weźmiecie ostatnią?” Skąd miała wiedzieć, że ostatnią — szczęśliwa! Cyganka, co mi w zeszłym roku wróżyła, powiedziała: „Ostatnią — bierz, ostatnia — wygrana”. Więc ja na to: „Niech tam, wezmę...” Że niby nie bardzo mam ochotę. 045 285 — jeszcze ją odłożyła na bok. Tak było, wszystko szło do tego...

Z powagą wstała, przeszła przez pokój i wróciła, niosąc na sztywno wyciągniętej dłoni niebieską obligację, jakby to była hostia. Wujek tkwił przy stole jak gliniany bałwan, który już dawno wysechł i popękał: tylko dotknąć, a rozsypie się w proch.

— Weź ty, Mychałku, młodsze oko szczęśliwsze... Kiedyś i do nas los musiał się uśmiechnąć!

Oczy, w których lśniły łyzy radości, skierowała w stronę pokucia, gdzie było tylko białe puste miejsce („Nie ma ani Boga, ani diabła, ani Ducha Świętego, amen — mawiała ze złością do mojej matki, gdy ta zjawiała się w Wyraju objuczona kobiałkami. — Uczeni dawno o tym wiedzą. Tylko u nas, w Pakułach, durnemu Sawce do dziś trojaki noszą, tylko dlatego, że pop...” — i nagle przeżegnała się.

Świadom wagi powierzonego mi zadania, drżącymi palcami wziętem obligację i zacząłem porównywać z tabelą wygranych. Dojechawszy wreszcie do szczęśliwej ciotczynej serii — 045 285 — rzuciłem okiem na obligację. Końcówka była inna! Serce we mnie zadrżało i stoczyło się do samiotkich pęt, zupełnie jak wówczas, kiedy po raz pierwszy wykopciłem w szkolnej szatni grubaśnego skręta z pakulskiej samosiejki. Utkwiłem wzrok w gazetę i żałośnie, przeprasząc głosem wyjąkałem:

— Na pozostałe sto dwadzieścia cztery numery tej serii przypadają wygrane po czterysta rubli.



— Jak?

— Końcówka się nie zgadza, proszę cioci...

Nie ośmieliłem się podnieść wzroku; czułem się, jakbym to ja był wszystkiemu winien. Ciotka nagle zmieniła się w kotkę, z przeraźliwym miauknięciem wskoczyła na stół i wczepiła się pazurkami w płachtę gazety. Gdy odważyłem się unieść głowę, ciotka znów siedziała na krześle i wyglądała jak zawsze.

— Przynieś tamte, Denysie, te, co leżą w kredensie — powiedziała jakimś niezwykłym, bezbarwnym głosem.

— Tamte, Dorciu, już rano sprawdziłem. Kiedy szedłem na targ, koło poczty akurat gazetę wywiesili. Czterysta rubli tylko o jedną cyferkę się omsknęło, a poza tym — nic...

Po rozmięklej twarzy ciotki Dory zaczął toczyć się rześisty grad lśniących miedzianych kopiejek, które z brzękiem spadały na podłogę. Wujek Denys rzucił się pod stół — zbierać, a ja, chociaż głos łamał mi się niczym na egzaminie z matematyki, dałem nura w lodowate fale ciotczynej niełaski:

— Pieniądze szczęścia nie dają...

— A co daje? — przymilnym tonem spytała ciotka, odwracając się ku mnie razem z krzesłem.

Sunąłem z góry jak narciarz na szeroko rozstawionych nogach, już nic nie mogło mnie zatrzymać.

— A to, jak człowiek prawdą żyje — przez mój koguci fałset przebijał pełen rozsądku i goryczy matczynej ton: — Jak człowiek swoją robotę lubi i drugiemu dobroć okazuje, bo ludzie za dobro dobrem płacą, a za zło...

Wujek mrugał na mnie, aż przeciąg hulał po pokoju i szeleścił gazetą, ale nie zwracałem na to uwagi. Sądziłem, iż mam prawo powiedzieć, co myślę: ciotka nie powinna się martwić fatalnym losowaniem ani rozpaczać za pieniędzmi, które wkrótce — gdy tylko zapanuje komunizm — staną się w ogóle niepotrzebne.

— To wszystko przez tych nauczycieli... — wtrącił pojednawczo wujek, który za wszelką cenę starał zapobiec nadciągającej burzy. — Jeszcze im za te bajdy płacą.

Kiedy skończyłem, ciotka przez dobrą chwilę nie mogła złapać tchu. Jej twarz mieniła się niczym światła na skrzyżowaniu: w pokoju robiło się czerwono, potem żółto, to znów zielono. Wreszcie udało jej się zaczerpnąć powietrza (przy okazji został wessany marmurowy komplet z biurka — zeszłoroczny prezent urodzinowy, który wuj przytaszczył z kantoru

wodnego — oraz siedem porcelanowych słoń z etażerki), po czym nastąpiła eksplozja. I to jaka! Co najmniej trzy setki malutkich jak gumowe laleczki ciotek usadowiło się na parapetach, obsiadło kanapę, etażerkę i lustro, futrynę drzwi i abażur, który zakołysał się pod niespodzianym ciężarem, siejąc migotliwe, spłoszone cienie. Trzysta ciotek naraz zaczęło wrzeszczeć, krzyczeć, pomstować.

— A co będziesz żarł, jak ciotka jutro ani nie zarobi, ani nie ukradnie? Zmarzłe arbuzy będziesz żarł, co je matka dzisiaj przywiozła? Duch Święty cię nakarmi?

Ja jednak byłem uparty jak Mańka i twardo obstawałem przy swoim:

— Na razie jeszcze od czasu do czasu pieniądze okazują się potrzebne. Ale i teraz grosz nie najpierwsza rzecz w życiu. Najważniejsze — czyste sumienie mieć i swoją robotę lubić...

— Jakżeś taki mędrak, to zaraz rano bierz d... w troki i zasuway do Pakułów mamusię uczyć, jak prawdą żyć. Ona w gębie mocna, ale cała gospodarka taka, że nawet myszy dawno by z głodu zdechły...

W tym momencie wujek, który już dobrą chwilę szukał czegoś po kieszeniach płaszczu, sychnął na stół garść miedziaków i chwyciwszy za obrus, zaczął nim potrząsać. Słyszając kuszający brzęk, wszystkie ciotki sfrunęły niczym wróble na proso, skłębiły się jak rój pszczół; po chwili przy stole znów siedziała zwyczajna ciotka Dora. Uwolniwszy się z obrusa, ścisnęła głowę rękami i zaczęła krążyć lamentując szeptem, by starzy Słomiankowie za ścianą nie usłyszeli:

— Wszyscy tylko na piecu się wygrzewali, pakulskie płaty, słonecznikowe pestki w zębach melli, a ja w środku nocy wstawałam, samiuteńka, w deszcz i zawieruchę pięć kilometrów do szkoły rypałam. Że niby tak trzeba, mówili, patrzcie, mówili, jaka ta Fedora głupia: wyżej głowy nie przeskoczysz. Ale sam widzisz, jakoś przeskoczyłam. Teraz gęby rozdziawili. Pieniądze szczęścia nie dają... A za czyje to grzechy w bloku się taplałam od Szeptaków do Pakułów, za czyje grzechy przed wilczym wyciem na wierzby się chowałam, za czyje grzechy po nocach przy kaganku nad książkami ślęczałam? Teraz idę sobie z elegancką torebką w rękę, a te wszystkie baby, co sobie wtedy na mnie używały — jakie były, takie i zostały: niechlujne, w pakulskim bloku po kolana utyłane — stoją i szepczą: „Dora, patrzcie, Dora...” A kiedy własnym

samochodem do Pakułów zajadę, dopiero będą sobie palce ze złości ogryzać, zza płota zerkać. A ja siądę sobie wygodnie i w pysk im się roześmieję: „Macie waszą Fe-dorę!” Skąd wiesz, czy nie dla tej jednej chwili tyle się namordowałam. Może ja tylko po to żyję? A ten mi się mądrzy: pieniądze szczęścia nie dają!... A co daje? Może twoje durne gadanie? Ja się u-to-pię!

Mówiąc to, ciotka rzuciła się do kuchni i dała nura do wiadra z wodą. Pływała jak siekiera, więc od razu poszła na ocynkowane dno. Zanim żeśmy dobiegli i nachylili się nad wiadrem, ciotka, konwulsyjnie odbiwszy się od dna, zdążyła wypłynąć i teraz unosiła się na wodzie jak korek.

Zaczerpnąwszy powietrza, znów zaczęła lamentować, ale przemożna siła ciężenia ponownie pociągnęła ją na dno, tylko chybotliwe kręgi i wyskakujące na powierzchnię bulki świadczyły, że gdzieś tam, w głębinie, waży się na szali przypadku ciotczyne życie. Wujek porwał z półki chochlę, przejechał po dnie wiadra, złowił ciotkę jak rybę w podbierak i postawił na podłodze. Woda spływała z niej szumiącymi kaskadami, a tusz i szminka zjadliwymi brudnoczerwonymi potokami barwiły mokrą krepdeszynę.

Czułem się winny tej całej chryi jak kot, który narobił szkody. Co sił w nogach czmychnąłem za piec, gdzie teraz miałem swój kącik. Młodzi Słomiankowie gotowali na prymusie, a w piecu palili tylko od wielkiego dzwonu, na drewnianej pryczy było więc dobrze chłodno. Podścielałem sobie matczyną kufajkę i wujkowy szynel, owijałem się pakulską płachtą, a pod głowę, zamiast poduszki, kładłem co noc nową książkę. Cały komin, wychodzące na ogród malutkie okienko, polepa i wszystkie zakamarki były zawałone książkami, które znosiłem z wyrajskich bibliotek i połykałem szybciej niż Nero Bałałajka muchy. Czytałem wszędzie — przy obiedzie, w drodze do szkoły, na lekcjach pod ławką, nawet na gimnastyce, w czasie biegów długodystansowych i oczywiście za piecem, świecąc sobie kieszonkową latarką, którą szybko chowałem pod płachtę, gdy tylko usłyszałem, że ciotka idzie: oszczędzając na elektryczności Dora od razu gasiła za sobą światło, ze złością pstrykając wyłącznikami.

Ale dziś byłem jakoś nie w sosie: dusza skowyczała z żalu niczym mały psiak. Wsunąłem się między stosy książek i zmęczony przymknąłem oczy.

„Przynies kartofli z piwnicy!” zawoła rano ciotka. Po ośli-

złych stopniach schodzę do murowanego lochu; spoza obitych blachą drzwi wieje wilgocią i zapachem wina, które wujek wyciska ze zgniłych jabłek; omijając pękate beczki i gąsiory, zaczynam się zagłębiać w kazamatę, końca której nie widać. Dziadek Jewraś zaklinał się, że podczas wojny, ścigając partyzantów, do piwnicy wkroczyła niemiecka dywizja z pięcioma czołgami i odtąd słuch po niej zaginął. Nabieram koszyk kartofli i już mam wracać, kierując się padającą przez szparę smugą światła, gdy przypadkiem tracony mur odsłania tajemnicze przejścia pamiętające jeszcze tatarskie najazdy. W półmroku oczom moim ukazują się skrzynie pełne złota i klejnotów, skarb pradawnych mieszkańców Wyraju. Koło skrzyń trzy czarne cienie w połowych hełmach: niedobitki niemieckiej dywizji, która zaginęła w piwnicy Słomianków. Żołdaci ruszają na mnie, krzesząc iskry butami — zupełnie jak na filmie — wtedy przypominam sobie, jak bił się gimnazjalista Pawka Korczagin: jeden zamachowy cios w podbródek, faszysta wypuszcza z rąk automat i pada na wznak, chwytam broń, a pozostali pokornie podnoszą ręce, ten pierwszy doszedłszy do przytomności też się poddaje. Rozkazuję im wziąć na plecy największą skrzynię i prowadzę ku wyjściu; w ogrodzie jeden z nich, ten, którego uderzyłem, zniemacka wyciąga rewolwer i strzela do mnie, ale natychmiast wyłapują ich zaalarmowani hukiem żołnierze; moją ranę opatruje dziewczyna z kalendarza. W szkole nikomu się nie przyznam, o wszystkim niech się dowiedzą dopiero z gazet. Klejnoty i złoto oddam państwu, dla siebie zostawię tyle, co na dnie skrzyni, a i to tylko dlatego, żeby móc pojechać do Pakułów i oznajmić: macie tu złoto, zbudujcie drogę z Wyraju do Pakułów.

Jeszcze nie wiedziałem, nie rozumiałem, nie zastanawiałem się, po co mi nagle ta droga — z Wyraju do Pakułów — ale ukołysany tą myślą zasnąłem spokojny, prawie szczęśliwy.

## SŁOMIANKOWIE

Zaden żywy człowiek nie przewędrował jeszcze Kukurykówki od krańca do krańca. O biegunie południowym, a nawet o przesłoniętej chmurami Wenus wiedziano więcej niż o przedmieściu. Kukurykówka nie miała ani końca, ani począt-

ku: szeregi niziutkich domków pod czerwonymi i zielonymi czapami dachów ciągnęły się wokół miasta i rozpełzały po okolicznych pagórkach, jarach, laskach, łąkach i wzdłuż rzecznych koryt. Od czasu do czasu Akademia Nauk i miejscowi entuzjaści organizowali ekspedycje naukowo-badawcze. Wtedy pod wierzbą, tam, gdzie Słomiana krzyżowała się z drogą prowadzącą do centrum, koło przystanku autobusowego wyrastały jak grzyby po deszczu brezentowe namioty, a w narożnym sklepieniu kłębił się tłum młodych ludzi w ciemnych okularach. Mimo to żadna z ówczesnych wypraw nie mogła pochwalić się specjalnymi osiągnięciami — Kukurykówka wycieńczała ludzkie organizmy szybciej niż arktyczne lodowce. Jedna z ekspedycji zaginęła w labiryncie uliczek i zaułków. Po latach, już w naszych czasach, projektanci nowego wyrajskiego mikroregionu wpadli na jej trop: eks-uczestnicy wyprawy zadomowili się na dobre u miejscowych dziewcząt i kobiet. Obecnie hodują truskawki i dawno przestali zawracać sobie głowę rozwojem nauk geograficznych.

Początek Kukurykówce dał, jak wiadomo, dziadek Jewraś. U schyłku lat trzydziestych okiełzał swoją biedniacko-średniacką maciorę i na oklep, posadziwszy z przodu żonę Odarę, domowe manele i syna Denysa, ruszył z Pakułów prosto do Wyraju. Sprzedawszy świnie, zbudował na piaskach pod lasem łepiankę ze słomianą strzechą. Po wojnie ojciec z synem wystawili murowany trzypokojowy dom, kryty blachą, mimo to już na zawsze zostali Słomiankami. Kukurykówka rozrosła się na podobieństwo olbrzymiego drzewa, poszczególne konary-ulice wzięły nazwę od wsi, z których wywodzili się obecni obywatele Wyraju — Pakulska, Terechowska, Czortoryjska, Zwenyczowska, Swinopuchowska, Peresażowska, Radulska, Szeptakowska, Newklańska, Orzycka, Płochowska, Rudnowska, Smjakowska, Siwołowska...

Swego czasu pakulskie kumy okropnie zawiściły Dorze, że wydała się bogato. Pamiętam ciotczyne wesele. Mimo że było to zaraz po wojnie, w przeddzień uroczystości w naszym ogrodzie i w okolicznych rowach dymiło na ogniu tysiąc sto czterdzieści siedem garów, w których bulgotał kompot z suszonych owoców; opary nad chutorem były tak gęste, że dzikie kaczkę i gęsi, które odlatywały z Zamgląja na wyraj, odurzone spadały głową na dół prosto we wrzątek. Wujek Denys

słomkowym kapeluszem przegrodził Żywiec, a kiedy woda spiętrzyła się tak, że nawet mucha mogłaby się utopić, przywiózł od kuma Huca sto siedem wozów ciemnoczerwonego stężonego moszczu na sacharynie i wpuścił do rzeki. Huczne weselisko trwało trzydzieści trzy dni; cały czas goście złopali cienkusz wprost ze sztucznego zalewu, przepychając się nad brzegiem. Wreszcie w wujkowym kapeluszu zrobiła się dziura i reszta napitku spłynęła do Żywca. Trzydzieścioro ośmioro i pół pakulan i wyrajców utonęło w moszczu, zmieniając się w czerwone rybki, które odtąd rozmnaża i sprzedaje hodowcom-amatorom miejscowe gospodarstwo rybne. Kulawy Chałymon, co go tylko połowa utonęła, już któryś rok z rządu w każdą niedzielę biega do miasta niby z nabiąłem na targ; a naprawdę to cały dzień łązi nad Żywcem i przywołuje swoją utopioną drugą połówkę, bo za coś, czego nie ma, księgowy w kołchozie nie chce wypłacać renty.

Ciotka, zanim wydała się za męża, mieszkała w mieście, gdzie była kierowniczką klubu zjednoczenia handlowego. Siostry nie miały co dzielić, bo z całej ojcowizny została tylko chałupa; moja matka sprzedawała więc maciore i wywianowała siostrę po miastowemu: fundnęła jej tremo. To tajemnicze dla mnie słowo długo kryło w sobie jakiś niezwykły urok, póki nie zobaczyłem stojącej w ciotczynym domu wysokiej drewnianej skrzyni z wprawionym w drzwiczki lustrem. Widziałem to cudo po raz pierwszy i ostatni, bo wkrótce trzeba było je sprzedać: żebyś nie wiem jak pucował, z lustra ciągle wycierały smutne, pełne wyrzutu oczy wielkouchej lochy, którą, mimo że była prośna, matka a conto siostrzynego wesela powiozła do rzeźni.

Uzyskane za tremo pieniądze wujek ulokował w interesach.

Jakraz poszły w cenę futrzane czapki. Wujko wykarczował pół sadu, wykopał basen i skądś z daleka sprowadził za zaliczeniem dziesięć małych wodnych szczurków — nutrii. Wpuszczone do basenu szybko się rozmnożyły, w wodzie aż się kołowało. Wujek własnoręcznie łupił nutrie, obłupione ponownie wpuszczał do basenu, aby obrastały nowym futrem. Tak traktowane szczurki w końcu się zbuntowały, cichcem zrobiły podkop aż do Żywca i pewnej nocy popłynęły w dół rzeki, zostawiając Słomiankom na pamiątkę stęchłe bajoro w środku ogrodu. Pieniądzy za skórki, które wujek zdążył zebrać, starczyło na tyle, aby z pancernych płyt zespawać garaż (płyty za parę groszy dostarczył pijaczek kierowca z przedsiębior-

stwa naprawy maszyn, wieczny dłużnik ciotki Dory). Odtąd rdzawoczarne metalowe pudło sterczało w kącie ogrodu, czekając na Oplą, którym na razie ciągle jeszcze jeździł kum Huc. Póki co Słomiankowie trzymali w garażu świniaka.

Tak oto fatalne pociągnięcia handlowe wujka sprawiły, że nieszczęsna nieboszczka, poczciwa wielkoucha paciuczka obróciła się w nicość.

W dziesięć lat po pamiętnym weselisku starzy Słomiankowie uchwalili odseparować się od młodych, chociaż dotychczas żyli w idealnej harmonii.

Kością niezgody stały się przesady na temat końca świata. Pogłoski o zbliżaniu się kosmicznej katastrofy albo nowej wojny nie były wówczas dla Kukurykówki niczym niezwykłym; co jakiś czas fala plotek przelatywała przedmieściami, jak wiatr buszujący w tataraku, pozostawiając za sobą trwożne naszeptowania i ogołocone z towaru sklepy. W kilka godzin mydło, sól, cukier i inne różności przeprowadzały się do spiżarni i schowków znajdujących życie i umięających przewidywać kukurykowan.

Pewnego razu oboje z matką wybraliśmy się do miasta. Dzień był duszny, upalny, na polepie nieba jaskrawo płonęło słońce. Tylko od zachodu słychać było ponure warknięcia, jakby czał się tam jakiś wielki zwierz o czarnej mordzie. Dziadek jak zwykle leżał pod gruszą, odziany w świeżą płócienną koszulę i spodnie, i skrzyżowawszy na piersi żylaste ręce czekał na koniec świata. Babka, także odświętnie wystrojona, chodziła krok w krok za kurą, w nadziei, że ta zniesie jajko jeszcze przed katastrofą, która pochłonie świat. Ciotka była w pracy. Jej stosunek do planu finansowego był nacechowany głębokim szacunkiem. Wujek melancholijnie stukął liczydłem, sumując debety i kredyty kantoru wodnego: rychłego końca świata oczekiwał jak wizytacji rewidentów bankowych.

Tymczasem niebo naciągało czarną kudłatą opończę, przypominającą kozuch wywrócony włosem na wierzch. Zaczynało grzmieć. Dziadek łagodnie i wyrozumiale kreślił w kierunku chmury znaki krzyża, babka z uśmiechem oglądała trzymane na dłoni jeszcze ciepłe jajko. W tym momencie lunęło i wszyscy pojęli, że dziś końca świata nie będzie, nadchodzi natomiast długo oczekiwany deszcz. Przez chwilę dziadek tkwił jeszcze pod gruszą, ale widząc, co się święci, poderwał się i jak

białe widmo pomknął przez kapuściany zagon do domu, gołymi piętami krzesząc z ciemnorudego nieba wstążki błyskawic.

Poczuwszy głód, kazał piorunem podać wczorajszą zupę (w oczekiwaniu na bliski koniec świata starzy przez oszczędność nie gotowali). W chwili gdy babka stawiała przed nim miskę, sufit zatrzeszczał i przemoknięta sól, którą wujek zmagazynował na strychu, chlupnęła w zupę. Mimo to dziadek spałaszczył wszystko — szkoda, żeby się zmarnowało, a przesolonego ani kurom, ani prosiakowi przecież nie dasz. Po takim menu dziadka zaczęło okropnie suszyć, wlał więc w siebie beczkę deszczówki, a ciotka, która chowała ją do mycia głowy, nie zdzierzyła i coś świekrowi przygadała. Dziadek nie został dłużny, taki już był; wtrącił się wujek Denys i babka Odarka: słomiana zgoda rodziny Słomianków rozleciała się jak źle wiązany snopek.

Tego samego dnia Jewraś zabił deskami drzwi do sionki, a wujek z ciotką zaczęli wchodzić przez okno. Następnego dnia odbył się oficjalny podział reszty dóbr: starym przypadła Mańka, a młodemu garaż ze świniakiem. Kurę w obecności przedstawiciela władzy rozcięto na pół: jedna połowa poszła w babcine grządki, druga — w ciotczyne truskawki; umawiające się strony zawarły porozumienie, że w ciągu dnia obie połówki będą mogły się łączyć, by cała kura mogła znosić całe jajka.

Wtedy właśnie w Żerelu świsnął nareszcie „mój” rak.

Nie byłem darmożjadem; w rodzinie młodych Słomianków miałem i ja swoje obowiązki.

Skoro świt ciotka budziła mnie, po czym tanecznym ruchem unosząc sukienkę zniknęła w ciemnoniebieskim otworze okna. Trochę jeszcze dosypiałem na swoim wyrku za piecem, ale w sąsiednim pokoju wujek zaczynał chrapać: najpierw delikatnie, z wysokim przyświstem, jakby grał na flecie, potem coraz głośniejsze i w coraz niższej tonacji. Piec zaczynał dygotać niczym kundel na mrozie, z sufitu leciał biały pył, wkrótce ściany trzęsły się już jak w febrze, a podłoga była usiana kawałkami tynku. Pośpiesznie wbiegałem do pokoju i tłuczką, który zawsze stał na podorędziu, rąbałem wujka w głowę, inaczej nie sposób było go uciszyć.

Wujek flegmatycznie odwracał się na prawy bok i przez pięć minut był spokój, a potem wszystko zaczynało się od no-



wa. Nie opłacało się już wracać na piec, ubierałem się i siadałem do lekcji, uciekając się do pomocy tłuczka, kiedy dom zaczynał chodzić w posadach. Zdawałem sobie sprawę z wagi swoich obowiązków: gdybym tylko osłabił czujność, Kukurykówka dawno zapadłaby się do Tartaru od wujkowego chrapania. Kilka lat temu, gdy starzy Słomiankowie wybrali się do Pakułów, a ciotka jak zawsze o świcie zeszła do piwnicy, wujek tak chrapnął, że w promieniu kilometra z okien wyleciały szyby, a pobliskie domy przekrzywiły się, słupy telegraficzne trzaskały jak zapałki, drzewa roniły liście, a sosnowy młodniak rosnący nad glinianką osunął się do Żywca (właśnie ten nieszczęsny młodniak sprawił, że z końcem lata Kukurykówki omal nie zalało). Tylko szczęśliwy przypadek uratował przedmieście: wiszący pod sufitem żyrandol urwał się i wpadł wujkowi w prawą dziurkę nosa. Wujo kichnął i obudził się. Żyrandol zaś przebił ścianę, wyjąc przenikliwie pomknął nad przedmieściem i znikł w przestworzach.

Ani Luńki ani Żuka nie ma na fotografii z ciotycznego wesela.

Luńka mieszkała przy Słomianej, trzy posesje od ciotki; narożne okna jej domu wychodziły na sad Kapelutków. Od piątej, a może szóstej klasy Luńka i Kolka „chodzili ze sobą” i okoliczne niedorostki wrzeszczały za nimi: „Narieczona, narieczony — łapią koty za ogony”.

Jak tylko Żuk wrócił z poprawczaka, zaczął przystawiać się do Luńki. Wieczorami czatował pod szkołą, w niedzielę od rana do wieczora wałęsał się po Słomianej w towarzystwie kilku kumpli, takich samych jak on, czerwonych na gębie i o złym spojrzeniu — smutnym dziedzictwie wojny. Czasem szerokimi barami podpierał parkan Huców, bawiąc się nieodłącznym stalowym prętem, obciążonym gumą. W miłosnych zapędach Żuka Kolka był niczym drzazga uwierająca pod paznokciem. W końcu zwątpiwszy w swoje uroki, Żuk postanowił uciec się do przemocy.

Był łagodny jesienny wieczór. Staliśmy na urwistym, kuddiatym brzegu, patrząc na leżące w dole miasto. Pocętkowana przez stawy równina łagodnie opadała ku rzece. W mieście działo się coś niedobrego: na stacji trwożnie krzyczały parowozy — tak wrzeszczą mewy, kiedy łodzią podpływasz do ich gniazd — główną drogą mknęła straż pożarna; przeciągłe wy-

cie syren odbijało się echem od sosnowego boru. Nagle chmurne niebo nad stacją podparło się słupem dymu, w którym tu i ówdzie błyskały buraczkowe języki ognia.

Wtedy zauważyliśmy Żuka z kumplami. Podchodzili na górę z dwóch stron, odcinając nam odwrót.

Kolka zbladł. Zawsze słaby i wymizerowany, teraz po prostu wiadł w oczach, robił się jakby jeszcze słabszy i mniej-szy. Trzech zaprawionych w bójkach wyrostków odsunęło mnie i Andrija na skraj urwiska, a Żuk podszedł wprost do Kolki.

— Będiesz latał za Luńką? — zasyczał, chwytając Kolkę za kłapy bawełnianej marynarki i potrząsając nim jak kotem. Kapelutek milczał nie mogąc złapać tchu. Żuk bez rozmachu, wprawnie i rzeczowo uderzył go pięścią w twarz. — Zęby porachuję...

— Nie będę... — wykrztusił Kolka.

— Przysięgnij.

— Przysięgam.

— Trawę jedz!

Chlpiąc jak dziecko, rozmazując łzy po twarzy, Kapelutek wyrwał z zeschniętej ziemi garść perzu i zaczął żuć. W końcu Żuk zlitował się nad nim i puścił wolno. Kolka cofnął się znad urwiska i kłapiąc płóciennymi trepami znikł w sosnowym lasku.

Żuk zwrócił ku nam prostokątną ceglastą głebę i uśmiechnął się:

— A może któryś z was, gnidy, kocha się w Luńce?

Ale z wyjątkiem Kapelutka żaden z nas nie zalecał się do Luńki.

I wtedy nieoczekiwanie usłyszeliśmy głos Andrija:

— Ja...

Z podziwu zrobiło mi się słabo, jakby mi kto przyłożył w sam dołek. Żuk już podchodził do Parowoźnika, wyciągając z rękawa stalowy, okręcony gumą pręt; nawet największe lanie nie zostawiało żadnych śladów.

— Aha, ty — wycedził przez zaciśnięte zęby. Parowoźnik stał z zaciętą miną, a dwóch osiłków wykręcało mu ręce do tyłu. Pręt z krótkim świstem spadł na barki Andrija.

— Kocham, kocham... — nie ustępował Andrij jakby powtarzając jakąś przysięgę. Pręt skakał po jego chudych plecach jak cep po klepisku. Zapomniawszy o strachu, wrzasnąłem z nienawiścią i rozpaczą.

— Bandziory!...

W tej chwili na skraju lasu ukazał się Kolka Kapelutek. Biegł prosto na nas, jakby nie widział, co się dzieje, ale przebiegłszy może dziesięć metrów padł na suche igliwie, łapiąc sinymi wargami zalatujące spalenizną powietrze.

— Andriju! Ojciec!...

Kiedy na skróty przez las dolecieliśmy na Słomianą, wszyscy już wiedzieli, że Parowoźnik jest bardzo poparzony i zabrali go do szpitala. Wujkowi Jakubowi brakowało tylko rok do emerytury, już nie jeździł na dalekie trasy, ale na manewrowym snuł się po stacji, przetaczając na bocznicę wagony, lory i cysterny.

Jedna z takich cystern zapaliła się. Wujek Jakub chciał odciągnąć ją jak najdalej od stacyjnych magazynów: włókł ją, póki nie nastąpił wybuch. Benzyna chlusnęła na parowóz i wujek ledwie wy dostał się z płonącej lokomotywy...

Dokładnie o ósmej (już dawno wmontował sobie do środka budzik, co wieczór nakręcał go i nastawiał na ósmą) wujek zrywał się na równe nogi, ochlapując jak wróbel w łyżce wody i wybiegał z domu. Często w ślad za nim toczył się szary filcowy kapelusz i doganiał go dopiero koło przystanku autobusowego.

Zamykałem furtkę na sto dwadzieścia siedem haków, aby nie mógł jej sforsować żaden kontroler bądź naprawiacz czegoś tam, których sporo włóczyło się po Kukurykówce, po czym z książką w ręku siadałem na słońcu pod drutem dzielącym na pół ogród Słomianków. Na wążutkiej miedzy dziadek z uporem hodował zlocistopekate dynie, które kolebały się na drucie, podzwanając jak nowe piątaki. Jabłka z miękkim pacińciem spadały z drzew i wytresowane przez wujka Denysa same toczyły się do piwnicy. W kartoflach gdakała pieszczotliwie połówka kury, od strony wiśniowego sadu odpowiadała jej druga połowa. Z mrocznej sieni wylaniała się babka z zydelkiem pod pachą i sadowiła naprzeciw mnie. Dziadkowie byli chudzi jak kołchozowe szkapy na przednówku; kiedy jedno czy drugie kuśtykało do narożnego sklepiku po chleb dla Mańki, grzechot kości sły chać było w całej Kukurykówce. Starzy tak przywykli oszczędzać każdy szeląg, że już od dawna żyli wyłącznie duchem świętym, tylko od wielkiego dzwonu kraszac go serwatką albo lekko ocukrzoną wodą. Pewnego ra-

zu ktoś potrafił stojącą w ogonku babkę Odarkę. Odarka zebrała swoje rozsypane kosteczki w węzełek i poczłapała do szpitala, gdzie ją na nowo poskładali.

Całymi dniami wspominała Pakuły, swoje dzieciństwo i młodość. W melancholijne jesienne poranki, wodząc oczami za kura, aby nie przegapić momentu, kiedy obie połowy się połączą i zacznie się znoszenie jajek (ciotka i babka nie dowierzały sobie wzajemnie, a kura nosła się różnie, co dzień inaczej: raz zdarzała się i setka, kiedy indziej ledwie sześć nie większych od orzecha jajeczek), babka dziergała nie kończącę się koronki wspomnień. Byłem wdzięcznym słuchaczem, siedziałem cicho, wsadziwszy nos w książkę. Babka cała była tam, w Pakułach. Tak właśnie kopała, a tak sadziła, tego roku obrodziło to, tamtego owo, a potem dziadek wynajął się do wołów, pół dnia orał, a w obiad przynieśli mu tylko cebuli i chleba, dziadek zajrzał do torby, położył się na miedzy i mówi: „Nie ma sadła — nie ma radła, bez okrasy — bruzdy w pasy”, a potem u nich w chacie pojawił się skrzat i po nocach łaskotał Jewrasia, a kiedy oni zabrali prośną maciorę i wyjechali ze wsi, w ich domu zamieszkał Chałymon (ale nie ten Chałymon, którego pół utopiło się w czasie Denysowego wesela, tylko ten, co teraz mieszka na Piaskowej), to ten skrzat jemu też żyć nie dawał: co noc przychodził i za gardło dusił, musiał i Chałymon przeprowadzić się do Wyraju; a z ich chaty zrobili kawałek kołchozowego klubu, właśnie z tej narożnej ściany, którą tamtej zimy zwałił pljany Zacieracha, wjechawszy samochodem aż na scenę, gdzie właśnie tyjater odgrywali; pakulce mówiły, że ściana w pył się rozsypała — chatę jeszcze pradziad Jewrasia stawiał; już po wojnie ten skrzat przybłąkał się kiedyś tu, na Kukurykówkę, całą noc gadali z Jewrasiem o swoich sprawach; skrzatowi miasto nie odpowiadało, chociaż Jewraś przechwalał się, jaki to u niego ciepły, czysty strych, no i ten skrzat powędrował, dokąd oczy poniosą, kto wie, gdzie się teraz obraca.

Tymczasem obie połowy kury odnalazły się, połączyły i zaczęło się rozsiewanie jajek. Tropiliśmy przebrzydłego ptaka po całym ogrodzie: w kapuście i pomidorach, w szerniałych badyłach kartofli, schylając się pod drzewami, przykucając pod parkanem; nasze kobiałki pęczniały w oczach. Szczęśliwie odrobiwszy to, co do niej należało, kura zawiadamała o tym całą Kukurykówkę zarozumiałym gdakaniem. Od strony

stacji ochryple odpowiadał jej parowóz wujka Jakuba. Lokomotywa była równie stara jak maszynista i także wystukiwała ostatnie kilometry kończącej się służby.

I oto przychodził czas karmienia świniaka: z ogrodu dochodziło niecierpliwie walenie w żelazne drzwiczki, aż echo odpowiadało w lesie. Na palcach podkradałem się pod garaż, ostrożnie unosiłem hak i szybko uskakiwałem na bok; ze zgrzytem i łoskotem drzwiczki rozwierały się na oścież i czarną czeluść wypełniał różowawy, pękający od sadła stwór o maleńkich oczkach i ruchliwym, chełpliwie zadartym ryjku. Prosiak już od dawna nie opuszczał żelaznej budy; hodowano go tak, jak napełnia się puszkę konserw, która na pewno przyda się na zimę.

Chleb przywoził o świcie kierowca z ciotczynej herbaciarni: pijaczkom wystarczał jako zakąska rękaw fufajki, marynarki czy płaszcz. Chleb składano w drewnitni pod parkanem, miotałem krągłe bochenki niczym dysk na wuefie prosto w rozdziawiony pysk świniaka, który łykał je wprawnie jak Nero Bałałajka muchy. Po pierwszej setce odwracał się i ruszał do koryta. Wydudliwszy z dziesięć wiader wody znów zadzierał ryj i chciwie niuchał dokoła; ponieważ więcej nie dawali, zabierał się do ogryzania żelaznych drzwi garażu.

Podbiegałem wtedy do kupy złomu (który za psi grosz wujek skupował od śmieciarzy) i zaczynałem ciskać świniakowi, co popadło: makulaturę, zardzewiałe koła taczek, zdarte, nafaszerowane gwoździami gumowe opony, kawałki desek, lśniące cylindry dieslowskiego silnika, brzozone i dębowe kołki, wały korbowe. Z piekielnym zgrzytem wszystko przemieniało się w żarłocznej paszczy jak w żarnach i znikało w przepastnym kałdunie, jakby się pod ziemię zapadło.

Zbliżała się olimpiada artystyczna. Nareszcie komisja kwalifikacyjna i cała reszta świata będzie mogła poznać genialnego aktora Mychajła Rzesotę. Podobnie jak stary wiarus spობiający się na przegląd pułku, przygotowywałem się starannie, ale bez nerwów i z wiarą we własne siły. Wybrałem sobie dramatyczny fragment „Fausta” i każdą wolną chwilę wykorzystywałem na powtórki. Jak zwykle tropiłem kure, zbierałem jajka, karmiłem świniaka, ale zawsze potem drapowałem się w wymiętą pałatkę, w której przywożono chleb i usiadł-

szy na żelaznej beczce pod domem, łamiącym się młodzień-  
czym basem zaczynałem deklamować:

*Przestudiowałem wszystkie fakultety,  
Ach, filozofię, medycynę, prawo  
I teologię też, niestety,  
Do dna samego wgrzył się pracą krwawą.*

Z każdym słowem głos mój nabierał siły, giętkości, głębi; dropiata kura znów podzielona — jak nakazywało prawo — na dwie połowy, trwożnie pierzchała w porzeczkę, świniak, podchwytyjąc uroczysty rytm, płaskał liszajowatymi uszami, Nero Bałałajka podzwaniał łańcuchem i stając na tylnych łapach zastęgał w nabożnym skupieniu, wróble milkły ogłuszone, a oniemiała ze wzruszenia babka Odarka kreśliła na pierś znak krzyża.

*Biada! czyż jeszcze wciąż tkwię w tym więzieniu?  
W przeklętym stęchłych murów zacieśnieniu,  
Gdzie słońca promień, zanim ściany draśnie,  
W barwionych szybach łamie się i gaśnie.  
Gdzie od posadzki do samej powały  
Piętrzą się w ścisku całe góry książek,  
Gdzie zakopconych pergaminów zwały  
Kurz warstwą kryje, mól i robak drąży?  
Beżużytecznych szkieł i retort skład  
Zapchany mnóstwem dziwnych instrumentów,  
Pełen domowych po pradziadach sprzętów,  
Oto twój świat!... A więc to ma być świat!*

— ryczałem okropnym pakulskim akcentem na całą Kuku-  
rykówkę, skąd niosło się spłoszone psie ujadanie.

*Czuję, żem ci oddany, żem twój całkowicie,  
Więc musisz! musisz! Choćbym przypłacić miał życiem!\**

— starałem się przekrzyczeć psy. Na ganku zjawiał się dziadek Jewraś w żołnierskiej bluzie pamiętającej jeszcze pierwszą światową, w synowskich spodniach i czerwonych gu-  
miakach i przez poźółkłe palce zerkał podejrzliwie w moją

\* Przekład Feliksa Konopki.

stronę. Składałem psu i świniakowi głęboki ukłon, zrzuciłem pałatkę i zmęczony schodziłem ze sceny. Odprowadzał mnie wdzięczny szelest grusz, wiśni i jabłoni, zachwycone pochrząkiwania świniaka i wilgotny wzrok Bałałajki, bębniącego ła-pami w pustą miskę.

Wewnętrznie byłem gotów do odegrania swojej wielkiej roli.

W przeddzień olimpiady odprasowałem narciarski strój i wypastowałem buty. Skarpetki zupełnie przetarły się na pię-tach i zwisały z łydek jak żabot. Wyciągnąłem z kąta ja-kieś stare ciotczyne pończochy i podwiązałem je sznurkiem nad kolanami. Teraz — myślałem — wyglądam nie gorzej niż nasz szkolny arbiter elegantiarum, synek dyrektora kantoru wodnego.

Niestety, aula świeciła pustkami. Tylko w pierwszych rzę-dach nad oparciami składanych krzeseł ciemniały głowy przy-szłych świadków mojego triumfu: nauczyciela śpiewu, kierow-nika administracyjnego szkoły i drużynowej pionierów. Nieco z boku siedział jakiś wysoki typ, jak się później okazało — aktor teatru obwodowego, członek stu tysięcy najrozmaitszych komisji i rad artystycznych, teatralny recenzent „Głosu Wy-rajczyka”, Kuźma Powrósło. (Oczywiście był to pseudonim, ale prawdziwe nazwisko powszechnie szanowanego mieszkańca Wyraju już od dawna zginęło w mroku niepamięci.)

Przez cały tydzień poprzedzający występ łykałem surowe jajką prosto od kury. Mój głos dźwięczał ze sceny mocno, do-nośnie jak dzwon na alarm. Stojąc na podium słyszałem wy-łącznie siebie, w przyływie natchnienia ryczałem tak, że ży-randol drżał jak w czasie trzęsienia ziemi. Cały budynek po-rwany wichrem moich słów zdawał się wyrwać z podmurów-ki i ani chybi uleciałby w przestworza, gdybym ryzykując zer-wanie strun głosowych, nie zakończył rozpaczliwym:

*Więc musisz! musisz! Choćbym przytłąć miał życiem!*

Ledwie wstrzymując łzy szczęścia, rzuciłem się za kulisy. Wcisnąwszy się w mroczny kąt, wstrząśnięty własnym arty-zmem rzeczywiście zacząłem szlochać. W głębi serca oczeki-wałem, że lada chwila usłyszę kroki słynnego siwowłosego ak-tora, który osobiście przyleci mnie uściskać i przepowiedzieć światowe sukcesy na teatralnej niwie...

Ale jakoś nikt mnie nie szukał. Nawet braw nie było. Na-

tychmiast po moim wzniosłym, pełnym dramatycznego uczucia monologu, na scenie zaczął coś bluźnierczo wyplatać nasz etatowy szkolny kawalarz. I właśnie on został wytypowany do drugiego etapu olimpiady. Taki błazen!

Dotknięty do żywego tą jawną niesprawiedliwością, powlokłem się szukać przewodniczącego komisji kwalifikacyjnej. Szanowny gość był w izbie pionierów. Ujrawszy mnie, uniósł aż pod sufit kosmate brwi, uczeplił się ich oburącz, podciągnął jak na drążku i z wysoka przesłał mi łagodny uśmiech.

— Tak myślałem, że przyjdziecie...

— Można wiedzieć dlaczego? — obraziłem się.

Powrół miękko zeskoczył na podłogę, jakby zamiast nóg miał dwa amortyzatory, i zatarł ręce.

— Nerwy... nerwy... Wiem to po sobie. Ale, proszę, nie łapcie mnie za słówka, drogi towarzyszu: tym, czym ja jestem, nie będziecie nigdy. Może z was być Napoleon, Balzak, Platon, Czałow, Mikłucho-Makłaj, Aleksander Macedoński, ktokolwiek — tylko nie aktor. I to wam mówi Kuźma Powrół. Bo wy gracie wyłącznie siebie i na scenie nie słyszycie nikogo poza sobą. Sami sobie jesteście aktorem, widzem, krytykiem — wszystkim. A wielkie aktorstwo, mój kochany, to sztuka wiecznego przeobrażania się i negocjowania swojej osobowości. Trzeba unicestwić siebie, aby mógł powstać ktoś inny — oto alfa i omega wielkiej sztuki udawania, a wy nie jesteście do tego zdolni, bo zbyt jesteście w sobie zakochani. Dlatego nigdy nie zadziwicie świata, przynajmniej nie ze sceny. Proszę spojrzeć, chłopaczku, zaraz ci zademonstruję, na czym polega sztuka przeobrażania się!

Powiedziawszy to znikł: nie zdążyłem okiem mrugnąć, jak po podłodze obok krzesła przemknęła srebrzystoszara mysz; co tchu czmychnęła pod szafę, by za chwilę rozplynać się i zniknąć. Teraz precyzyjnym, szybkim susem mignął między stolkami wąsaty, zezowaty kocur. I znów jakby pod ziemię się zapadł, a na żyrandol, przenikliwie świerkając, pofrunął wróbelek. Ledwie żyrandol zdążył się zakołysać, a już po zakurzonym plafonie przeleciała wiewiórka, wygięła w obwarzanek wyleniałą kitę i skoczyła na wieszak, gdzie wisiał płaszcz Kuźmy Powróła...

Kiedy się ocknąłem, aktor wkładał już palto i naciągał przetarte na palcach skórkowe rękawiczki. Jego zniszczona przez pokłady pudru i szminek twarz wyglądała jak ścięta przez mole wełniana szmata. Sięgając po wyleniałą króliczą



czapę nagle odwrócił się do mnie i wygłosił jeszcze jeden monolog:

— A zresztą, grajcie samego siebie, wasza wola. Człowiek to świat, teatr, tragedia, komedia, dramat, ale wszystko — i świat, i teatr, i dramat — musi istnieć naprawdę, nie może być tylko dekoracją z dykty, nie może szeleścić cynfolią. Kim jesteście? Gdzie wasze miejsce? Skąd przychodzicie? Nie czuję tego, nie widzę, zresztą wy sami także nie wiecie! Ateizmu was w szkole uczyli? A więc nauczyciel miał rację: duszy nie ma! Ze strony natury byłaby to rozrzutność, wręcz marnotrawstwo, by każdy za frajer, ledwie przyjdzie na świat, dostawał duszę. Duszy nie ma, mówi wam to Kuźma Powrósło. Duszę trzeba sobie wyhodować samemu, na własny rachunek, to też wam mówi Kuźma Powrósło. Bo człowiek bez duszy — to tylko dekoracja, futerał, w którym nigdy nie mieszkał żaden instrument.

Pogrzebał w kieszeniach pałta i wyciągając sztywny prostokątny kartonik powiedział:

— W najbliższą sobotę i w każdą następną serdecznie proszę!

Drzwi miękko zamknęły się za nim. Stałem nieruchomo ściskając w drżących palcach niewielki karteluszek, na którym stało wydrukowane:

#### KUŹMA POWRÓSŁO

Wyraj, Dom pod Lirą, mieszkanie nr 12.

Miałem za sobą niejedno gorzkie rozczarowanie.

Zeszłego roku, jakoś na wiosnę, miałem zamiar wyznać miłość koleżance z tej samej klasy. W przeddzień 1 Maja chłopak, z którym siedziałem w ławce, nasypał karbidu do kalendarza. Żółty gryzący dym wypełnił salę; trzeba było przerwać lekcję. Karząca ręka wychowawcy wskazała na mnie. Przyznałem się, nie mogłem przecież wsypać kumpla. Posłano po matkę, której twarde kuksańce ciągle jeszcze napełniały mnie lękiem, moje pierwszomajowe święto nie należało do najweselszych.

Tym razem również trapiły mnie złe przecucia, ale postanowiłem nie ulegać nastrojom. W piątek wieczorem doprowadziłem wujkowe tenisówki do tak niepokalanej bieli, że można je było lizać (nie była to już pora na takie obuwie, ale w jego kredowej białości było coś odświętnego), ostrzy-

głem się i na noc podścieliłem sobie narciarskie spodnie, żeby się ładnie zaprasowały.

Jednak los zakpił sobie ze mnie: nazajutrz zamiast do Domu pod Lirą trafiłem do ekipy śmieciarzy. Wujek dorabiał, bo ciulał na samochód, a że w ekipie zawsze były wolne furmanki, chcąc mieć większy zysk zagonił mnie także do roboty.

W zapadającym zmierzchu ciągnął melancholijny szereg wozów. Kopyta klaskały po bruku, turkotały żelazne obręcze kół. Otwierający kawalkadę woźnica pykał faję: snopy iskier buchały jak z parowozu, kłęby dymu wypełniały wąski kanyon ulicy i leniwie wpełzały na blaszane bądź kryte karpówką dachy.

Leżąc na stygnącej ziemi pod wygwieżdżonym niebem, miasto wzdychało przez sen, zupełnie jak Mańka na podwórzu Słomianków, ogromniało, stawało się nieobjęte i pełne tajemnic. Chyba po raz pierwszy mogłem mu się przyjrzeć z bliska; bez używanych we dnie błyskotek i makijażu Wyraj zdawał się jeszcze bardziej pociągający; obiecywał początkującemu Kolumbowi nie zbadane kontynenty i galaktyki, gdzie także było życie. Siedząc na trzęsącym wozie w myślach wspinałem się na podniebne szczyty, których nawet surowa rzeczywistość nie potrafiła przygniść do ziemi. Przesuwałem beztrudnie swój Wyraj po mapie czasu i przestrzeni, bo już nie wystarczało mi jedno życie i jedna okołoziemiska galaktyka. Przyszłość zawsze była dla mnie czymś równie, a może jeszcze bardziej realnym niż dzień dzisiejszy.

Kiedyś, pamiętam, jechaliśmy do Wyraju. Siedziałem na workach kartofli, za wozem szła matka szurając kirzowymi butami. Czerwone niczym arbuz, który miałem przyobiecany, jeśli uda się wszystko sprzedać, wschodziło słońce, zlizując różowym językiem szron z przydrożnych skarp. Na wyblakłym niebie wisiał jeszcze księżyc, cienki, przezroczysty, jak ostatni płatek słoniny na okrasę, który matka chowa na najwyższej półce. Opowiadałem matce o przyszłych lotach kosmicznych. Orientowałem się, jakie silniki proponują marzycciele, fantaści, a jakie uczeni, wiedziałem, jaką prędkość trzeba osiągnąć, aby pokonać przyciąganie Ziemi, Księżyca, Marsa, Wenus, Jowisza i innych planet, słyszałem o kanałach na Marsie, kraterach na Księżycu i atmosferze Wenus. Popisywałem się: matka słuchała cierpliwie, w milczeniu kiwając głową w takt mojego gadania i kłapiących głucho szczerbatych końskich kopyt.

Tak właśnie, na workach kartofli, na furach zaprzężonych w zabiedzone chabety, rodziła się kosmiczna era ludzkości...

... i wtedy Jaro, Weda, perski król Kir z lekcji historii (ludzie ery kosmicznej będą nosili dźwięczne imiona, nie jakieś tam pakulskie Jakuby, Denysy, Horpyny, Paraski, Domachy czy Jewrasie), a więc Kir złożył na pulpicie wąskie dłonie pokryte ciemnoniebieskimi żyłami jak u wujka Jakuba, i rzekł: teraz ty, Rzeszoto, poprowadzisz dalej nasz kosmiczny statek i sprowadzisz go na Ziemię. Moje chwile są policzone, odchodzę od was na tysiące lat, bowiem dopiero wtedy ludzkość nauczy się odtwarzać człowieka na podstawie jego kodu genetycznego... Dwie łzy ukazały się w łagodnych oczach Kira i powoli stoczyły się po bladym, przywiedłym obliczu aż na złociste, opadające na srebrzysty kombinezon wąsy, ale Kir stłumił szloch. Skłonił się nam, po czym zniknął w czeluściach statku. Wtedy, z trudem opanowując wzruszenie, ponownie spojrzeliśmy na ekrany monitorów. Z głębokiej czerni kosmosu wyłaniały się podobne do kwitnących maków asteroidy i dalekie gwiazdy, przez chwilę lśnił ogon jakiejś zabłąkanej komety, na pobliskiej planecie pulsowała kosmiczna latarnia sygnalizacyjna... Dopiero ostrzegawcze sygnały i trwożne brzęczenie przyrządów sprawiły, że porzuciłem niewesołe rozmyślanie o tymczasowości i nieskończoności ludzkiej egzystencji. Przed nami rozpościerała się purpurowa luna. Jeszcze chwila i wpadliśmy w kłęb rozpalonej magmy kosmicznej, z której wysuwały się pożądliwe języki ognia. Usiadłem w fotelu dowódcy, za celownikiem atomowej armaty. Nie mieliśmy wyboru, istniała tylko jedna jedyna droga. Ode mnie zależał teraz los całej ekspedycji; na wyniki z niecierpliwością oczekiwała Ziemia, skąd bacznie obserwowano każdy mój ruch i gdzie zamarła przed telewizorem moja dziewczyna z kalendarza. Nacisnąłem spust. Ciemnopurpurowa światłość rozerwała się na strzępy, statek przeleciał przez rozprysniętą magmę jak rozpalona kula przez utkaną z ognistych kropeł zasłonę. Za chwilę przez rzadniejące chmury uśmiechnęła się do mnie Ziemia: miała radosną twarz dziewczyny z kalendarza. Opadłem na odchylane oparcie fotela, obserwując w milczeniu pulpity rozjarzony różnokolorowym, bezgłośnym gwarem automatów przygotowujących statek do lądowania.

Zrezygnowałem z uroczystych powitań: byłem po prostu

ogromnie zmęczony. Gdy tylko korpus rakiety ostygł, przypiąłem antygravitacyjne skrzydła i przez boczną komorę wymknąłem się na zewnątrz. Płynąłem po niebie, wysoko, nad białymi miastami, jakby wyrzeźbionymi z cukru, który tak lubiłem w dzieciństwie. W dole rozpościerały się szerokie, zielone ulice. Dachy domów przypominały kopuły obserwatoriów: w promieniach zachodzącego słońca były całkiem przezroczyście; niebieskie niebo, po którym żeglowały białe chmury, zaglądało do pokoiów. Dzieci na barwnych skrzydłach wzbijały się ponad wierzchołki drzew, po czym znów znikwały w bujnym listowiu. W dali, za białymi, tonącymi w zieleni prostokątami zakładów i fabryk, złościła się rozświetlona dolina, pocięta niebieskimi sznureczkami rzek. Zatoczyłem koło nad bezkresną łąką i ujrzałem ją, dziewczynę z kalendarza: w jasnej, lekkiej niczym obłok sukience, mieniającej się w słońcu jak źródłana woda, brodziła w jedwabistej srebrnoczubej mietlicy, łowiąc czerwone płomyki polnych goździków. Zobaczywszy mnie, rozpostarła ramiona jak skrzydła i przez zielone, falujące morze traw zaczęła biec mi naprzeciw...

O północy, uporawszy się z robotą, poszliśmy z wujkiem nad Żywiec umyć się. Zalatywało od nas śmietnikiem, aż myśli czmychały do nor, młode sosenki zwiewały na okoliczne pagórki, które stawały się podobne do gęstych, czarnych grzebieni; żaby niczym sparzone ukropem wyskakiwały z rzeki, szczupaki, jak lśniące stalowe obręcze chyżo toczyły się groblą w stronę stawu; za nimi kuśtykały karasie podpierając się ogonami, jakby maszerowały na szczudłach. Wujek długo patrzył za nimi i nagle bez zwykłej złości, jakoś dobrotliwie powiedział:

— Przed nami wieją...

Milczałem.

Powoli zanurzaliśmy się w miękkiej, chłodnej wodzie, niosącej woń rodzinnych łąk i Zamgląja (do Żywca wpadało pięć pakulskich rzek). Wujek nurkował, chlapał, bił rękami w wodę, bryzgał, płukał gardło, wypluwając istne fontanny, które ciepłym deszczem spadały na Wyraj.

— Ech, Mychałku, myślisz pewnie, że wuj własną duszę sprzedałby, byle tylko parę groszy podłapać. Myślisz, że ja nie tęsknię za innym życiem? Ileż razy człowiek wieczorem postanawia: od jutra zacznę nowe życie, czyste, jasne. A rano

ścisną cię w autobusie jak śledzia w beczce, potem wyprztykną przez drzwi, że niczym karabinowa kula przelecisz te dwie przecznice od przystanku do kantoru wodnego, w końcu padasz na krzesło i łapiesz oddech. I właśnie wtedy, gdy wdechasz to fioletowe, przesiąknięte atramentem powietrze, przed ganek zajeżdża służbowa Pobieda, odcień — sarni brąz, w środku — dyrektor Omyłko Zmyłkowicz, tak samo jak ty — były pakulanin... I dopiero to jest dla ciebie cios w samo serce, bo czymże ty jesteś gorszy od niego? Tyle tylko, że Omyłko tak długo rozmaitych klamek się wieszał, tak długo pukał, aż sobie nominację na dyrektora wystukał. Teraz do pracy służbową Pobiedą jeździ, a człeka w autobusie tłuką i szarpiają jak konopie na terlicy. I nędzna zazdrość zaczyna toczyć ci duszę. Niby wiesz, że to drobnomieszczaństwo, niby wszystko rozumiesz — a jednak... Do tego jeszcze ciotka swoje dokłada: „Omyłkowa po wiśnie Pobiedą jeździ, a my tylko kurz łykamy”. „Nie wypasaj zawistnym okiem cudzego stada — mówisz — wszystko przemija: wpadnie na czymś Omyłko, wywalą go i samochód odbiorą; mnie na jego miejsce postawią, a ty, Dorciu, Pobiedą będziesz jeździła ku swojemu zadowoleniu”. Ciotka uśmiecha się krzywo, jakbyś jej soli w żywą ranę sypał, a ty gapisz się przed siebie jak ciele na malowane wrota i myślisz: lecą latka, lecą, jak nie teraz, to kiedy?

— Będziecie jeszcze autem jeździć, wujku... Przecież oboje pracujecie... Ani nie wiadomo, co z taką forszą robić...

— Myślałem, że na tych cholernych szcurkach się wzbogacę — ze złością ciągnął wujek udając, że nie słyszy moich pocieszających słów — to dranie do rzeki pouciekały. Obligacje kupiliśmy, trzyprocentowe — no, myślę sobie, to jest to. Ale sam widzisz: błysnie ci nadzieja i zniknie, omami — i znów guzik. I tak od ciągnięcia do ciągnięcia. Teraz na świńniaka postawiłem...

Mówiąc to wujek wylazł na brzeg i truchcikiem pobiegł w stronę domu. Podreptałem za nim.

I właśnie wtedy zdarzyło się coś przedziwnego. Zaledwie przebiegliśmy kilkaset metrów, przed nami huknęło, trzasnęło i zadudniło, jakby z naprzeciwka toczyła się jakaś potworna lawina. Ziemia drżała i jęczała. O kilka kroków od nas uniosły się w górę, a potem spłynęły w dół wierzchołki ogromnych sosen. Ledwie zdążyliśmy uskoczyć i paść na mokre igliwie: tuż obok ze zgrzytem i tupotem, miażdżąc potężne drzewa jak

żdźbła trawy przemknął olbrzymi, czarny kształt i znikł w leśnych ostępach.

Mokre grzbiety i nocny chłód sprawiały, że biegliśmy coraz prędzej. Wydostawszy się z lasu, przeskoczyliśmy przez płot i już widzieliśmy się w ciepłym łóżku, kiedy naszym oczom ukazał się obraz niesłychanego spustoszenia. U Słomianków świeciło się, lampa na ganku też się paliła, rzucając żółte smugi światła na ogród, gdzie ziała szeroka wyrwa, jakby dopiero co przejechał po nim ogromny spychacz z opuszczoną łyżką. Zagradzające drogę jabłonie były wyrwane z korzeniami i wdeptane w piasek, którego białe plamy wylaniały się spod zdartej warstwy czarnoziemu. Wyrwa zaczynała się tam, gdzie jeszcze wieczorem stał garaż ze świniakiem. Teraz nie było już ani garażu, ani świniaka! Nie słychać też było delikatnego, nieco wstydliwego skomlenia, którym zazwyczaj witał nas Nero Bałałajka. Ciotka Dora siedziała na ganku rycząc wniebogłosy. Głęboki rów ciągnął się przez cały ogród i dalej w kierunku lasu. Tam, gdzie stała obórka starych Słomianków, walały się tylko strzępy płotu, obórka razem z Zieloną Mańką znikła bez śladu.

— A gdzie ciebie nosiło, diable jeden! — zaczęła lamentować ciotka nie bacząc, że trzęsiemy się z zimna. — Gdzieś się włóczył?

— Niby nie wiesz — zgryźliwie odparł wujek. — A bo co?

— Coś ty, ślepy? Nie widzisz, że świniak porwał garaż i uciekł?

Nasze zachwycone ochy i achy, i niezliczone pytania wujek Jakub zbywał machnięciem ręki: „Ja przecież, chłopcy, wszystko według instrukcji...” Ale, jeśli akurat był w dobrym humorze, zaczynał opowiadać:

— Za całą służbę dwa razy ja instrukcję naruszył. Raz, jak warszaty fabryczne na wschód ewakuowałem. Wtedy się podróżowało! Człowiek wjeżdżał na stację, ale nigdy nie wiedział, czy z niej żywy wyjedzie. Niemcy ostro bombardowali. Na pociechę powtarzałem sobie: do samej wojny w kawalerskim stanie się uchowałeś, nikt po tobie płakał nie będzie, jeno matka. Przejechalśmy Don, a tu jak nas, dranie, dorwał! Stacja — jedno morze ognia. Ledwie podciągnąłem pod semafor — poprzedniego dnia osobowy z uciekinierami tam zbombardowali, wagony jeszcze obok nasypu dymiły —

a przy torze młodzianka kobieta, na rękę niemowlę w powijkach z wojskowej pałatki. Serce mi się ścisnęło. „Zabierzemy na parowóz — mówię do pomocnika — dowieziemy do stacji, a tam już jakoś sobie poradzi...” Wzięliśmy. A ona prawie od samej granicy, z dzieciakiem, była nauczycielką na Zachodniej Ukrainie, w pierwszy dzień wojny męża pochowała, pod Niemcem nie chciała zostać. Lecimy pełną parą, w górze samoloty z czarnymi krzyżami wyją, a za plecami, pod tą osłoną, co tender z parowozem łączy — ono — tu Parowoźnik wskazywał Andrija — kwili. Dojeżdżamy do stacji, a tam także wszystko już płonie — jak tu ich wysadzić? Ksenia zostawiła Andrijka i poleciała po wrzątek. A tu mi sygnał dają. „Ruszaj! — woła pomocnik. — Tego wrzaskuna na następnej stacji oddamy”. Zaciśnięciem dłoni na lewarku, oczy wlepiłem w semafor, ale nic przed sobą nie widzę. I czuję, jak serce mi mówi: zdąży przybiec — skończy się moja samotność, odejdzie w przeszłość na wieki wieków. Licz sto podkładów, Jakubie, mówię sobie. Zaczynam liczyć... Zawiadowca biegnie wzdłuż pociągu, od takich maci wymyśla, krzyczy, żeby przędziej, a ja — dziewięćdziesiąt trzy, dziewięćdziesiąt cztery, dziewięćdziesiąt pięć... Przy dziewięćdziesiątym dziewiątym — Ksenia na parowóz wskakuje...

Tej jesieni Luńka zaczęła chodzić z Andrijem Parowoźnikiem...

Kolka skończył jeszcze ósmą klasę, ale zaraz potem rzucił szkołę; mówili, że w jakimś magazynie się zaczepił...

Prawdziwym winowajcą nocnej tragedii Słomianków było wyleniałe pakulskie lisiątko. Przybłąkało się przypadkiem do naszego ogrodu, wlaźło w proso, natknęło się na stracha, którego matka sfabrykowała ze swojej starej bluzki i moich portek, i wściekło się ze strachu.

Wściekły lisek pogryzł koguta. Kogut narobił wrzasku, co wywabiło z domu matkę. Lisek dał nura w beczkę z deszczówką i ślad po nim zagaśniał. Wujek kilka razy sondował beczkę za pomocą saka na ryby, ale nic nie wyciągnął. Poturbowany kogut niebawem przyszedł do siebie i znów doglądał kur, tyle że usiadłszy na płocie zamiast piać, naszczekiwał jak lis, cienko i żałośnie. Od niego nauczyły się szczekać

kury, i lisi jazgot niósł się przez całe Pakuły. W dodatku zwa-riowany drób przestał się nieść, za to całymi dniami rył nory w pobliskich pagórkach. Wtedy matka połapała się, że kury są wściekłe. Chcąc uniknąć kłopotliwych pytań wiejskiego weterynarza, cichaczem pozarzyła kury i zakopała je pod wiśniami. Ale kogut nie dał się złapać. Matka postanowiła poczekać do wieczora, aż sam wróci do kurnika.

Właśnie wtedy zjechała do Pakułów ciotka Dora. Pazerna na każdą darmochę zarżnęła koguta, wypatroszyła i po powrocie do domu usmażyła na dużym ogniu. Mówiono, że wytopiło się z niego przeszło trzy garnce żółtego smalcu, którym Słomiankowie jeszcze długo glansowali buty, oszczędzając na paście. Pieczone kogucie zwłoki wystawiono w bufecie, gdzie przeleżały trzy lata, siedem miesięcy i dziewięć dni, przyciągając pijaczków jak przynęta na ryby. Kilka razy dziennie uroczyście ważono ptaka, potem układano go na talerzu ze złotym szlaczkiem, obwąchiwano i wstawiano z powrotem do oszklonej gabloty — ptaszysko było tak spieczone, że nie miał się go ani nóż, ani topór, a cóż dopiero ludzkie zęby.

Po trzech latach, siedmiu miesiącach i dziewięciu dniach dowiedziawszy się, że ma przyjechać kontrola, ciotka zabrała koguta do domu i rzuciła uwiązanemu przy budzie Nerowi. Pies momentalnie się wściekł, wyśliznął z obroży i dał susa... prosto w rozwartą paszczę świniaka, którego ciotka akurat karmiła.

Świniak przełknął Nera jak muchę, po czym wściekł się również. Wyrwał garaż z fundamentów i na oślep runął przed siebie, łamiąc i tratując wszystko, co na drodze. Pancerna blacha znakomicie chroniła go ze wszystkich stron. Następną po Bałałajce ofiarą wściekłego wieprza była Zielona Mańka, którą potwór połknął razem z drewnianą obórką.

Tylko połówce kury, która w wyniku podziału przypadła starym Słomiankom, w ostatniej chwili udało się umknąć z kłapiącej kłami nienasyconej paszczy i pofrunąć na dach.

Nieszczęsna już nigdy nie odzyskała pstrego upierzenia. Osiwiała ze szczeniem.

Noc przesiedzieliśmy jak na szpilkach, które za młodu w swoim warsztacie dziadek Jewraś z wprawą wbijał w niezliczone zelówki i obcasy. Ledwie szary jesienny świt rozrzedził trochę ciemności, puściliśmy się w pogoń za uciekinierem.



Drogę wskazywała piaszczysta, żółta smuga, której koniec ginął w lesie. Byliśmy chyba w połowie drogi, gdy za nami dało się słyszeć jakieś żalosne pobrzękiwanie. W szarej porannej mgłę nad szeroką wyrwą unosiła się obroza Nera Bałałajki, za którą włóki się łańcuch. Ale sterczącej zwykle nad obrozą psiej głowy o mądrych i łagodnych oczach (za życia Nero nigdy nawet nie warknął na człowieka) nie było. Obroza była pusta... Poczułem, że serce ściska mi ogromny żal.

— Niech leci. To jego dusza — rzekł wujek tonem, jakim pop Sawka zwykł był wygłaszać formułkę „wiecznego odpoczywania”. Po wszystkich klęskach, które na niego spadły, wujek znacznie złagodniał.

Tymczasem obroza wysforowała się naprzód i wskazywała nam drogę, chociaż jako żywo nie było to konieczne: szlak znaczyły wyrwane z korzeniami, połamane jak zapałki i pogryzione sosny.

W ten sposób dotarliśmy pod Psią Górę i naszym smutnym oczom ukazał się wezbrany po brzegi Żywiec. Świński ślad przeorawszy piaszczystą wydnię, ginął w wodzie. Spragnione wrony chwytaly w rozwarłe dzioby kłębki porannej mgły, szybowały ociężale nad ołowianymi falami i obsiadały wierzchołki drzew. Złożyliśmy dłonie w trąbki i przez te zaimprovizowane lornetki zaczęliśmy przepatrywać przeciwległy brzeg, obramowany zwartą ścianą sosen.

— Głowę dam, że siedzi w tej dziurze... — głucho powiedział wujek klękając na brzegu. Patrz tylko uważnie...

Zanurzył usta w wodzie i zaczął wciągać w siebie rzekę. Po chwili jego policzki zrobiły się podobne do dwu balonów zaporowych, które lada chwila mają unieść się w powietrze, ale na razie leżą jeszcze nieruchomo w przeciętej pagórkami dolinie.

Wody Żywca opadały w oczach i niebawem spod mlecznej mgły zaczęło prześwitywać nierówne dno pokryte grubą warstwą mułu, tu i ówdzie znaczonego cętkami muszli. Poza tym nie widziałem nic, choć wytrzeszczałem oczy, aż zachodziły łzami. Zdawało mi się tylko, że muł oddycha, wznosząc się i opadając jak boki Mańki, kiedy obzarła się mokrej trawy i zaczynała wydawać przedziwne mlaski i bulgoty. Wtem obroza, dzwoniąc łańcuchem, stoczyła się ze stromego brzegu i dała nura w zielonkawy muł. Koniec łańcucha błysnął i bezgłośnie pogrążył się w błotnistej mazi.

— Bałałajka żyje! — wrzasnąłem, puszczając się w dzikie płąsy. — Żyje! Dusza do niego wróciła!

Na mój głos spod dna rzeki ozwało się żalosne, przygłuszone szczekanie: pies dawał znać o sobie.

Wujek wolno wypuszczał wodę z ust, Żywiec znów wypełnił się szarym ruchliwym filcem. Po chwili rzeka płynęła już swoim zwykłym korytem, a wujek popluwając rakami, odezwał się ponuro:

— Nie ma z czego się cieszyć. Lepiej by Bogu dusze oddali niż Żywcowi. Ale wściekłem nawet morze po kolana, co dopiero taki Żywiec. Wściekłego, a jeszcze w takim pancerzu — dodał proroczco — żadna siła nie powstrzyma.

Lękliwie obejrzał się i ze spuszczoną głową powlókł się świńskim śladem z powrotem do Wyraju. Sporą chwilę stałem jeszcze na brzegu w nadziei, że usłyszę skowyt Nera, ale wokół panowała cisza, tylko w sosnowym lesie złowieszczo krakały wrony. Pobiegłem za wujkiem czując, jak lęk dogania mnie, a jego zimne łapska oplatają mi się wokół ramion.

Dobrze po południu, zmordowani i głodni, dowlekliśmy się wreszcie do domu. Widząc, że wracamy z pustymi rękami, ciotka zaczęła tłuc głową w ścianę. Nie chcąc na to wszystko patrzeć, uciekłem na ulicę. Niedziela wlokła się zwykłym jesiennym trybem: znudzony czas leniwie przeżuwał drobno posiekane, okraszone postną mżawką, wymieszane ze sobą dzień i noc, ziemię i niebo.

Spowici kłębami tytoniowego dymu, podpierali ściany Żuk i jego przyboczna gwardia. Po drugiej stronie ulicy widać było na ganku Huców dwie wystraszone dziewczyny: Luńkę i jakąś drugą w białym, puchatym berecie. Co chwilę wyglądały przez parkan.

— Ty, artysto z a s m a r k a n y, przypatrz się, jak zaraz ukreć łeb tej w białym beretku — powiedział Żuk przez nos, puszczając mi w twarz kłęb śmierdzącego dymu. Jego przepalony i przepity głos przypominał zgrzytanie cegły, którą dzieci ścierają na owalne „fanty” służące do zabawy. Nigdy nie cieszyłem się sympatią Żuka, nie „żukowałem”, jak nazywano na Kukurykówce jego chuligańskie wyczyny. — Wczoraj przed kinem powiedziałem, że chcę ją odprowadzić. Ale dała dyla. Dzisiaj już się nie wymknie...

— A może ona też nie chce z tobą chodzić? — zaryzyko-

wałem, wspinając się na palce i zaglądając w szkliste, podobne do przepalonych żarówek oczy Żuka. — Tak jak Luńka...

— Czy mi się zdaje, czy gdzieś komar bzyka... — zaśmiał się Żuk i dmuchnął mi samosiejką w nos. Jak szmaciana piłka potoczyłem się po mokrej trawie, wzbudzając niepohamowaną wesołość żuczków. Dokatulałem się aż pod las i rąbnąłem w sosnę. Z trudem pozbierałem się i chwiejnie, bo jeszcze kręciło mi się w głowie, ruszyłem wprost na prowodyra.

— Uratuję tę dziewczynę — pisałem. Czułem, że jeszcze chwila, a rozplączę się ze strachu i żalu nad sobą. Nasunąłem kaszkiet na oczy. Żuk z niewzruszonym spokojem ostrzył o ścianę naszego domu długie jak dłuta pazury. Żuczki znów zarechotały całkiem jak ich przywódca:

— Żuk wam głowy pozamienia, tobie i tej cizi. Nawet milicja nie dojdzie, która czyja. I zadołują cię w białym bereciku. Diabli pękną z uciechy, jak cię zobaczą.

Dusili się ze śmiechu. Żuk podszedł do dębowej kłody, która od dawna leżała koło naszego obejścia, podważył ją i od niechcenia cisnął w stronę lasu. Kłoda z gwizdem poszybowała nad wierzchołkami sosen i znikła we mgle.

W milczeniu odprowadziłem ją wzrokiem, a potem skierowałem się w stronę Hucowego ganku, na którym wzruszająco i bezradnie tkwił biały berecik.

Mój strach został za furtką, na rozkisiej od mżawki ulicy. Wszedłem na pierwszy stopień i sztucznym, drewnianym głosem powiedziałem:

— Proszę sobie nie wyobrażać, że jestem w pani zakochany. Moje serce jest gdzie indziej. Ale uważam za swój obowiązek uratować panią. Oczywiście, jeśli mi pani zaufa...

— Ufam panu — spod puszystego beretu wionął uśmiech. Dziewczyna była ładna, ale nawet w myśli nie chciałem zdradzić mojego bóstwa z kalendarza.

— Proszę więc słuchać uważnie — legiony stanęły w bojowym ordynku, ściskając włócznie i nastawiając wykute z brązu tarcze, a cesarz kontynuował: — Luńka rozpoczyna pertraktacje z Żukiem i usypia jego czujność. My wchodzimy do domu, wyskakujemy przez okno do ogrodu. Ogrodami dostajemy się do Radulskiego Zaułka, stamtąd podwórzami — do Czartoryjskiego, z Czartoryjskiego — na Piaskową, z Piaskowej — do Swinopuchowskiego Zaułka, ze Swinopuchowskiego znów ogrodami — na Polną i na plac targowy. Stamtąd może już pani iść, dokąd oczy poniosą.

— Ja na Rybną.

— Dostarczę panią na Rybną — obiecałem twardo. — Oczywiście, jeśli nam się uda. Ale lepsza bohaterska śmierć niż przyjaźń z Żukiem. Prawda?

Znów zobaczyłem błysk szarych oczu, ale dziewczyna nie odezwała się ani słowem. Z nieba na wilgotnych spadochronach chmur opadał na Wyraj listopadowy wieczór.

Ogród stał ciemny i cichy. Na tle jaśniejszego nieba rysowały się ogołoczone z liści gałęzie. Gdy zeskakiwaliśmy z parapetu w przywiedle krzaki morwy, nad naszymi głowami rozległo się trzykrotne krakanie.

— Przekupili wrone! — krzyknąłem, wiedząc, co za chwilę nastąpi. Podając rękę dziewczynie, zakomenderowałem: — Biegiem!

Z drugiej strony parkanu dolatywał groźny tupot Żukowej obstawy. Żuk, wsparty o szczyt Hucowej chaty, mściwie uśmiechał się do nas we mgle. Ogród był zasłany mokrymi liśćmi, po których biegło się ciężko jak po płytkiej wodzie. Tylko mrok mógł nas uratować. Złapałem się za uszy, podciągnąłem się na nich do nieba i szarpnąłem kurtynę, która oddzielała dzień od nocy. Zasłona opadła, gęsta ciemność chlusnęła na ziemię, kryjąc nas przed oczyma prześladowców. Tupot żuczków oddalił się i ścichł. Zostaliśmy sami jak w piwnicy, nad którą nagle zatrzaśnięto kłapę.

— Proszę się nie bać! Jestem tutaj! — krzyknąłem w nadziei, że zabrzmiał odpowiednio mężnie. Po omacku odnalazłem ciepłą dłoń dziewczyny i zagłębiliśmy się w noc. Szczęśliwie przebrnęliśmy trzy zaułki i już byliśmy na Piaskowej, gdy nagle za nami rozległo się złowieszcze, potężniejące z każdą minutą wycie. Żuk i jego banda zamienili się w sforę zziąpanych wilków lecących naszym tropem. Ledwie zdążyliśmy wspiąć się na najniższą gałąź czarnej topoli na rogu Piaskowej i Siwołożskiego Zaułka, a już zacisnęła się wokół nas pomarańczowa pętla płonących pożądliwie ślepi. Wspiąwszy się na tylne łapy przywódca stada usiłował dosięgnąć nas pazurami; niewiele brakowało, a zębata paszcza zwarłaby się na naszych nogach jak żelazne szczęki pułapki. Ani chybi był to Żuk.

Wspięliśmy się na czubek topoli. Wilki otoczyły drzewo ciasnym pierścieniem i zaczęły podgryzać pień tuż przy ziemi. Zaraz po wojnie tak właśnie pożarły babkę Tełenychę, która wracała z miasta do Pakułów: baba schroniła się na wierzbę,

a wygłodzone wilki przegryzły pień tuż nad ziemią. Byliśmy niemal na wierzchołku, gdy topola zachwiała się niebezpiecznie. Teraz tylko cud mógł nas uratować. I właśnie coś takiego się stało: oboje byliśmy jeszcze w tym wieku, kiedy się wierzy w cuda. Gęsta, gryząca mgła spadła nagle na ogrody i dachy domów (tylko anteny sterczały tajemniczo nad mlecznoniebieskawym oceanem). Niebo pojaśniało, nabierając owej przedziwnej głębi, jaką mają stawy późną jesienią, gdy ciemna toń nie pozwala dojrzeć dna; zza strażackiej wieży wychynął księżyc i pozęglował w kierunku pasącego się na niebie stada gwiazd. Od niebieskiego pastwiska aż do naszej topoli słała się błękitnawa ścieżka. Pierwszy odważnie wstąpiłem na wąską kładkę: nogi rozjeżdżały mi się jak na parkiecie w teatralnym foyer.

— Nie patrz w dół, bo ci się zakręci w głowie. Patrz w niebo — powiedziałem. Bojaźliwie stawiając drobne kroczki, dziewczyna zaczęła posuwać się za mną.

Wilcze stado zawyło z bezsilnej wściekłości; czarne cienie zaczęły pełznąć dołem. Doczołgawszy się do Polnej, którą chodziły autobusy, zaległy po ciemnej stronie, z dala od lamp ulicznych — bały się światła. A myśmy szli górą nad Wyrajem. Miasto oplątywała jasna pajęczyna ulic, po których biegały pajęczki samochodów o świecących oczach, place wyglądały strojnie i odświeżenie jak jeziora, w których przegląda się słońce. Buciki dziewczyny wesoło stukwały po księżycowej ścieżce. Zdawało mi się, że jestem w siódmym niebie szczęśliwości, a nie dopiero w tym pierwszym, ziemskim. Troszkę już ją kochałem, tę dziewczynę w białym berecie. Tak doszliśmy do bazaru i wzięwszy się za ręce ześlizgnęliśmy się po ukośnej kładce światła jak po lodowym soplu na Rybną.

Byliśmy już pod jej domem, gdy nagle spostrzegliśmy Żuka. Rozeźlony porażką kroczył, rozłożywszy ramiona jak linoskoczek, po wpadającym przez wrota księżycowym promieniu. Wlałem na płot i wyciągając scyzoryk, szepnąłem ze złośliwym triumfem:

— Zaraz zobaczysz, jak sobie rozkwasi mordę!

Nieoczekiwanie dziewczyna chwyciła mnie za rękę:

— Ani się waż! Nie chcę.

— Żal ci go? — zapytałem obrażony.

Dziewczyna milczała.

— To bandzior i chuligan. Cała Kukurykówka go przeklina. Własnej matce kury kraść.

— Nieprawda! On jest silny i odważny! Nikogo się nie boi. A wy boicie się go wszyscy, ja wiem. I ty także!

Spod beretu strzeliło spojrzenie dużych jasnych oczu.

— Wiesz, za co go wyrzucili ze szkoły? — krzyknąłem ciężko urażony. — Wziął słomkę i ze wszystkich kałamarzy w klasie spił atrament!

— Przestań!... Ja wiem, że on nie jest taki — powiedziała cicho dziewczyna. — Wy nie wiecie, ale ja wiem... — Zaczęła płakać. Łzy toczyły się po dziecinnie zaokrąglonych policzkach jak krople księżycowej poświaty. — Bo może ja go kocham... I wcale cię nie prosiłam o żaden ratunek.

Puściła się pędem przez podwórze. Trzasnęły drzwi werandy. Niepewny i zmieszany posiedziałem jeszcze chwilę na płocie, a potem zeskoczyłem na chodnik. Pod ścianą sąsiedniego domu tkwiły czarne cienie żuczków. Wciągnąłem głowę w ramiona i przez chlupoczące kałuże zacząłem brnąć w stronę przystanku autobusowego. Za mną wlokły się żuczki...

Usadowiłem się na tylnym siedzeniu. Autobus podskakiwał na bruku i trząsł niemiłosiernie. Raz po raz waliłem głową w blaszane pudło i naprawdę nie miałem czasu zachwycać się gwiaździstym niebem, które z wolna zaczęło się chmurzyć. Zresztą kontemplowanie czaru przyrody było ostatnią rzeczą, na jaką mogłem sobie teraz pozwolić. Nasunawszy kaszkiety na oczy, żuczki obstawiły drzwi wyjściowe. Nie ulegało wątpliwości, że na przystanku pod wierzbą czeka mnie niechybna śmierć, która tym razem będzie miała ceglastą mordę Żuka. Nie żał mi było, że ocalałem dziewczynę w białym berecie, znakomicie obeszlaby się bez mojej pomocy. Gdyby wszystko miało zacząć się od nowa, postąpiłbym tak samo. Było mi tylko ogromnie szkoda, że zginę tak młodo! Jutro znów będzie dzień, potem jeszcze jeden, przyjdzie zima, i wiosna, i lato, nastanie świetlana przyszłość, tylko mnie już nie będzie. Przyszłość rysowała mi się jako coś niewymownie pięknego i nawet w najczarniejszych chwilach życia nie przestawałem jej oczekiwać. O przyszłości marzyli wszyscy bohaterowie moich lektur. Przepowiadano ją w gazetach, które czytywałem matce, gdy przedła przy kaganku z żółtoczerwonej gilzy. Obiecywali ją nauczyciele. Przeciwnie niż matka, dla której liczyło się tylko to, co zobaczyła we śnie, wierzyłem bez zastrzeżeń we wszystko, o czym mówili nauczyciele, co stało w książ-

kach i gazetach. A przede wszystkim wierzyłem w swoje marzenia.

Ludzie paradują w pięknych, jasnych strojach, ruchy ich są rozważne, a mowa — melodyjna. Kochają się i mówią tylko prawdę. Mieszkają w białych domach o sferycznych, przezroczystych sufitach, przez które zagląдают gwiazdy, księżyc i słońce. Ściany domów to regały uginające się od książek: po pracy wszyscy zasiadają w mieszkaniach-bibliotekach słuchając muzyki poważnej, z której tak szydzi wujek Denys (jak tylko usłyszy delikatny, pełen zadumy dźwięk fortepianu lub skrzypiec, od razu wyłącza odbiornik). Ludzie czytają oprawne w skórę księgi i poznają tajemnice życia. W tym czasie ich kosmiczne pojazdy pokonują ogromne międzygalaktyczne przestrzenie. I jak matka znajduje w koszyku ze splątaną włóczką kwit za zeszłoroczne ubezpieczenie, tak samo owi ludzie rozsypawszy splątane nitki minionego życia odnajdą istotę, która w kwiecie wieku zginęła z ręki bandziora. Staną oniemiałi widząc taką niesprawiedliwość, a potem przywrócą mnie do życia. Oczarowany i szczęśliwy wyjdę sobie na przechadzkę. Nowy Wyraj będzie tonął w kwiatach. Z jedwabistej mietlicy, lubczyku i aksamitek (w poprzednim wcieleniu wszystko to kwitło koło mojego domu) wychylać się będą białe, kuliste domy. W miejskim parku oczom moim ukaże się klatka: za żelaznymi prętami — Żuk, wypisz-wymaluj goryl z podręcznika zoologii. Wtedy powiem: „Zawsze byłem pewny, że przyszłość obejdzie się bez takich jak ty...”

Zamknąłem oczy i z miną skazańca wysiadłem z autobusu. W tej samej chwili kanciasta pięść Żuka policzyła mi zęby. Wyszło tego trzydzieści dwa i pół, i wszystkie zmieniły się w jeden ból. Niebo z trzaskiem spadło na bruk, czerwone okruszki rozprysły się dookoła.

Otworzyłem oczy i powiedziałem:

— Bandzior...

Pod słupem z blaszaną latarnią stał Żuk machając czarnymi jak noc skrzydłami.

Wolno ruszyłem przed siebie. Ulica przypominała ślepy tunel. Ani jednego życzliwego światełka, tylko mlaskanie blocka pod nogami umykających chyłkiem kukurykowan. Żuk i jego obstawa sunęli za mną wachlarzem jak głodne wilki.

Oparłem się plecami o mokry parkan — tam, skąd pełzły

żuczki, niebo nad miastem jarzyło się bladą poświatą — i potwórzyłem łykając łzy:

— Bandzior...

Rozkołysanym krokiem, z cyklistówką głęboko nasuniętą na oczy i rękami w kieszeniach, Żuk człapał powoli w moją stronę. Po chwili jego nadęta, pryszczata morda znalazła się tuż przy mojej twarzy; wziąłem zamach i drobną jak kartofelek z piaszczystego poletka piastką rąbnąłem w białe ślepie. Głowa Żuka pękła z hukiem niczym nadepnięta purchawka. Kiedy opadł rdzawy cuchnący obłok, ogromny nietoperz szybował nad moją głową. Zaraz potem zobaczyłem wujka Denysa, który żwawo kroczył Słomianą, zgięty pod ciężarem dieslowskiego silnika...

— Jeszcze kiedyś łeb ci ukręcę! — syknął Żuk wzlatając w zasnuite chmurami niebo.

— Uważaj, żebym z ciebie bebecarów nie wypruł. Przez resztę życia ich się nie doliczysz! — krzyknął wujek.

Krętym lotem Żuk znikł w ciemnościach, a przestraszone żuczki rozsypały się po sąsiednich ogrodach.

Wujek przełożył ciężar z jednego ramienia na drugie i zaczęła chępliwie:

— Tego Diesla od dawna miałem na oku. Leżał sobie koło naszego kantoru i rdzewiał. Najpierw mówili, że będą remontować, a teraz zdecydowali się oddać na złom. No to go sobie pożyczyłem. Będę, Mychałku, jabców produkować dla całej Kukurykówki, owocu latoś w bród, antonówek — choć za psami rzucaj. Zobaczysz, jak się ludziska zleca. A od każdego kilograma dziesięć procent „młynowego” — dla nas. Przyjdzie fantazja — będzie się pobierać w naturze. Rozumiesz? Jak Bóg makówki rozdzielał, zagapił się na schnącą w słońcu Ewę i mnie, zwykłemu księgowemu, dyrektorski łeb przyczepił. Zanim się połapał, już było po herbacie. A z takim kiepele człowiek nie zginie! Jeszcze się wybierzemy do Pakułów czarnym Oplem...

Rano obudziłem się z ciężkim sercem, jakbym poprzedniego dnia narozrabiał w szkole i miał zawiadomić o tym matkę. Przypomniałem sobie wujkowego Diesla, Żuka i żuczków, swój lęk i skryte pragnienie, żeby w oczach dziewczyny w białym berecie wyjść na nieustraszonego rycerza. Potem jeszcze raz na czarnym ekranie wspomnień przesunął się Żuk,



bandzior i chuligan, utopiony świniak, wścieknięty kogut — i poczułem, że życie mi zbrzydło. Po chwili jednak pomyślałem rozsądnie: „No tak, świat to nie pastelowy obrazek. Nawet na Słońcu, jak udowodniła nauka, są plamy. O cóż więc pretensje, skoro sam jeszcze jesteś ni taki, ni siaki, trochę czarny, trochę biały...”

Twardo zdecydowałem, że od dziś będę dobry.

Kamień spadł mi z serca i potoczył się po podwórku. Wujek Denys złapał go i zaczął na nim wecować swoje kupieckie talenty, które ostatnio jakby się trochę stępiły, przez co i z mamoną zrobiło się krucho. Dusza mi pojaśniała, wypełniona po brzegi szczęściem i dobrocią.

Pamiętam, jak w czasie wojny, kiedy brakowało zapalek, matka baczyła, żeby w piecu zawsze była odrobina żaru. Postanowiłem, że tak samo będę pilnował swojej nowej, wewnętrznej światłości. Udało mi się donieść ją aż do szkoły.

— Coś ty dziś taki lśniący jak nowa membrana? — spytał Sławko ścierając tablicę. Mieliśmy dyżur i obaj przyszliśmy przed rozpoczęciem lekcji.

Pasiecznik cieszył się ogólnym uznaniem jako wybitny teoretyk nauk fizycznych i matematycznych.

Na algebrze, kiedy cała klasa beznadziejnie brnęła przez grzęzawisko skomplikowanych logarytmów, on studiował wyższą matematykę i tylko na prośbę nauczyciela od czasu do czasu zniżał się, aby podrzucić nam jakieś koło ratunkowe; na biologii z anatomią poszukiwał formuły matematycznej, zdolnej odwzorować konkretną indywidualność, na astronomii pracował nad teorią radiokomunikacji i lotów kosmicznych. Był twórcą genialnego rozwiązania problemu wypraw międzygwiazdnych: zarówno statek kosmiczny, jak i jego załogę należy zakodować w odpowiednich formułach matematycznych, a potem za pomocą potężnych przekaźników fal elektromagnetycznych wysłać na sąsiednie galaktyki. Być może na którejś znajdzie się na tyle rozwinięta cywilizacja, że według tych samych formuł potrafi odwzorować i statek, i ludzi. Jedynie w ten sposób, twierdził, można pokonać czas i przestrzeń dzielące poszczególne galaktyki.

Zaprzyjaźniliśmy się, bo zwierzałem mu się ze swoich „kosmicznych” pomysłów, które leży mi się w głowie jak grzyby po deszczu. Oczywiście, było to fantazjowanie urodzonego humanisty, nieporadne technicznie, ale Sławko wielkodusznie

twierdził, że pomaga mu ono torować ścieżki ku nowym prawom fizyki.

— Słuchaj — powiedziałem — dziś przyjrzałem się sobie krytycznie i postanowiłem, że będę lepszy niż dotychczas...

Sławko jako jedyny w całej klasie nosił krawat. Profesorskim ruchem poprawił go i podniósł na mnie jasne, rozumne oczy:

— Z punktu widzenia matematyki podobny zbieg okoliczności jest co najmniej dziwny, ale wyobraź sobie, że ostatnio ja także o tym myślę. Okazuje się, że dla emocji negatywnych bardzo trudno znaleźć równoważniki liczbowe. Otrzymalibyśmy zbiory nieprawdopodobnie wielkie. Wniosek: człowiek przyszłości, chcąc swobodnie przenosić się na sąsiednie galaktyki, musi pozbyć się emocji negatywnych. Przejrzałem ostatnie rozprawy psychologów: okazuje się, że jest to proces długotrwały i skomplikowany. Tym prędzej trzeba się zorganizować i rozpocząć wielką, choćby na razie eksperymentalną, ofensywę przeciw emocjom negatywnym. W perspektywie rysuje się moralna odnowa ludzkości...

Wyciągnął do mnie rękę, którą z radością uścisnąłem. W drzwiach stanął Andrij Parowoźnik, syn wujka Jakuba.

Przerzuciliśmy się ze Sławkiem spojrzeniami niczym dwaj spiskowcy, kiwnęliśmy głowami i zapytaliśmy unisono:

— Chcesz być lepszy niż jesteś?

Faktycznie, nie musieliśmy niczego uzgadniać. Co prawda Andrij z jednakową obojętnością odnosił się do Sławkowych teorii podróżowania w czasie i moich nieokiełznanых fantazji, ale była to prawdziwa „złota rączka” (nosił nawet specjalne czarne rękawiczki, aby nie zwracać uwagi błyskami szlachetnego kruszcu). Słyszał jako konstruktor kieszonkowego telewizora oraz rakiety „Kosmowyray”, która wystartowawszy ze szkolnego podwórka, znikła w międzygwiazdnej przestrzeni, a przede wszystkim genialnej radiostacji do podpowiadania, która działała bez pudła przez cały rok z przerwą tylko na wakacje. Po raz pierwszy na świecie jako antena odbiorcza zostało zastosowane uczniowskie ucho. Audycje nadawano z „Kamczatki”, to znaczy ostatniej ławki, gdzie podczas lekcji Parowoźnik oddawał się majsterkowaniu, a ja, ukryty za plecami kolegów łączywie łykałem groszowe powieścida.

— Oczywiście, że chcę! — odparł wesoło Andrij. — Ale w jaki sposób?

— Zbadam problem i sformułuję założenia — oświadczył z powagą Sławko, wskakując z powrotem w skórę teoretyka.  
— Spotkamy się po szkole...

Wszystkie pauzy Sławko spędził w bibliotece. Na ostatniej lekcji otrzymaliśmy radiogram: „Spotykamy się w parku — stop — ostatnia ławka — stop — strzeżcie się Olbrzymów — stop — Liliput, czyli najwyższe stadium rozwoju materii”. Przypomniałem sobie Swiftowską opowieść o szlachetnych Liliputach i serce uderzyło mi żywiej: świeża nadzieja moralnego odrodzenia.

Był jasny listopadowy wieczór. Na niebie tajemniczo mrugały gwiazdy. Za czarną siatką bezlistnych krzewów sunęły z warkotem autobusy i taksówki. Koło ciotczynej herbaciarni rozrabiały pijaczki. Obaj z Parowoźnikiem siedzieliśmy w uroczystym milczeniu. Sławko trzymał mowę, potrząsając od czasu do czasu czupryną, z której sypały się okruchy gwiazd, wirujących mu nad głową jak ćmy wokół lampy.

— A więc od dziś występujemy jako kandydaci na szlachetnych Liliputów. Kandydaci, bo na razie w każdym z nas jest coś ze złego Olbrzyma. Dajemy sobie trzy miesiące na moralną przemianę: przez ten czas musimy pozbyć się emocji negatywnych i stać się prawdziwymi Liliputami. Oczywiście, dla człowieka w pełni uświadamiającego sobie konieczność moralnej odnowy, która musi poprzedzić skok w kosmos, wystarczyłby nawet jeden dzień. Dziewięćdziesięciodniowy okres próbny wprowadzamy ze względu na pewne jednostki — tu zerknął na Andrija — dla których ten skomplikowany i pełen sprzeczności świat jest tylko zbiorem śrubek, muter i podkładek. Jestem przekonany, że trzy miesiące to dość, aby nawet wilka zmienić w jagnię, wyłuskawszy z niego emocje negatywne, jak wyłuskuje się orzech ze skorupki. Oczywiście pod warunkiem, że wilk świadomie uzna celowość takiego działania...

Przez kilka następnych dni unosiliśmy się niemal nad ziemią, czuści, uskrzydleni wewnętrznym światłem. A potem zjawił się Kolka Kapelutek.

Ponieważ schedę Słomianków rozwiały przeciwności losu, a nie chciałem darmo jeść ciotczyngo chleba, w pocie czoła zbijałem bąki w ogrodzie, posługując się tęgim brzoźowym kijem. Echo uderzeń niosło się po całej ulicy. W to mi graj — myślałem — niech ciotka, która po historii ze świniakiem nie mogła przyjść do siebie, słyszy, że nie siedzę z założony-

mi rękami. Kolka był teraz jednym z żuczków, zrobiłem więc „złego” i czekałem, co będzie dalej. Kapelutek zauważył moją naburmuszoną minę i wtulił głowę w ramiona, po czym nieśmiało, jakby wiedząc, że nie jest w porządku, pociągnął mnie za rękaw i oglądając się za siebie, powiedział:

— Odejdźmy trochę, pogadać trza, a ściany mają uszy.

Poszedłem za jego wzrokiem i rzeczywiście w szczelinach omszałych cegieł ujrzałem miseczkowate, podobne do opieńków małżowiny. Poszliśmy pod jabłonie i Kolka konspiracyjnym szeptem zaczął:

— Żuk trąbi, że dziś ci mordę skuje. Kazał, żeby wszyscy się stawili. Nie przyszedłbyś, jakby ci sam Żuk dał rozkaz? — spojrzał na mnie z urazą i głośno dodał: — No, jak też nie macie, to leć do sklepu. Matka mówi: ojciec poszedł po chleb i pewnie znów gdzieś zapił; pożycz bochenek od Słomianków, wieczorem oddamy.

Powiedziawszy to poczłapał do furtki i znikł.

Poczułem, jak po plecach od czubka głowy aż do pięt pełzną mi lodowate mrówki.

— Nie boję się ciebie, Żuczysko! — krzyknąłem raptem w stronę uszatej ściany, uprzytomniwszy sobie, że lęk jest teraz także jednym z zabronionych uczuć.

Ściana zaczęła się mienić w oczach: najpierw z zielonej zrobiła się żółta, a potem jeszcze bardziej zzieleniała.

Odprowadzany przez Sławka Pasiecznika i Andrija Parowoźnika, do których także dotarło, że Żuk coś knuje, wracałem ze szkoły. Świecił księżyc. Skuta przymrozkiem ulica Słomiana słała się przede mną jak linia życia na dłoni.

Całą drogę od przystanku autobusowego milczeliśmy jak zakłęci, rozglądając się niepewnie dokoła. Dopiero niedaleko domu zaciągnięte na supły języki troszkę się nam rozwiązały. Pierwszy odezwał się Sławko:

— Z punktu widzenia wieczności wszystko to jest co najmniej bezsensowne i śmieszne... — zaczął jak zwykle rozsądnie.

Przerwał mu przesywający gwizd. Czuby okolicznych drzew skłoniły się, ziemia przed nami rozstąpiła się, wyrzucając na powierzchnię Żuka i jego bandę. Wilczy półksiężyc z Żukiem na czele ruszył w naszym kierunku.

Spojrzałem na Sławka i Andrija. Byli bladzi jak ściana. Droga odwrotu była jeszcze wolna, więc głosem skazańca szepnąłem:

— Zwiewajcie!... Powiedzcie, że ja...

Nie wiedziałem, co i komu chciałbym przekazać, a czasu do namysłu nie było. Nagle zobaczyłem, jak nogi Pasiecznika zaczynają poruszać się w miejscu jak u nakręcanej lalki, obracają nim o sto osiemdziesiąt stopni i jak spłoszone konie zaczynają unosić go wysrebrzoną przez księżyc ulicą. Połowa Sławkowego tułowia odwróciła się jeszcze do nas, zobaczyliśmy wyciągniętą rękę, której właściciel coś wołał, ale słowa zginęły w oddaleniu. Po chwili już tylko wirujący kurz znaaczył miejsce, gdzie perspektywa ulicy wchłonęła naszego uczonego kolegę.

Czarne cienie otaczały nas coraz ciasniej. Pod podeszwami żuczków skrzypiał piasek.

Oczy Parowoźnika tliły się jak dwa lonty. Instynktownie wyczułem, że za chwilę może nastąpić wybuch i padłem na ziemię. W tej samej chwili Andrij puścił straszliwego młynca dziesięciopudową torbą na skórzanym pasku. Przenikliwy świst niczym gradowa chmura zawirował nad Kukurykówką, nabrzmiewał, zdawało się, że zaraz zaczną lecieć na ziemię olbrzymie czarne bryły. Wichura zmiotła z ulicy Żuka i żuczków, i wraz z piaskiem i suchymi liśćmi uniosła ich na dachy domów. Odtąd oko ludzkie nie widziało Żuka na Kukurykówce. Mówiono, że do tej pory nosi go gdzieś po świecie.

Raptem pasek pękł, torba Andrija gwizdnęła nad domami i spadła z trzaskiem po drugiej stronie Psiej Góry, ogoliwszy z drzew zalesiony wierzchołek.

Wtedy oczom naszym ukazał się Pasiecznik, który okrążywszy Kukurykówkę mknął ku nam od strony rzeki.

— Pomóżcie mi się zatrzymać!... — usłyszeliśmy rozpaczliwe wołanie, ale byliśmy bezradni: Sławek leciał szybciej niż meteor, prawdopodobnie była to owa słynna druga prędkość kosmiczna, o której zawsze marzył. Nawet nie wiadomo, czy to na pewno był on: świetlisty krąg, taki, jaki zatacza śmigło startującego samolotu, przemknął obok nas i znikł.

Sławko zjawił się w szkole dopiero na drugi tydzień. Gnany przerażeniem obleciał wtedy kulę ziemską wzdłuż pięćdziesiątego pierwszego równoleżnika tysiąc sto dwadzieścia dziewięć razy. Rozwlekłe i mozolnie usiłował nam wyjaśnić, jak w pewnej chwili włączył się mechanizm jego podświadomości, przytłaczając neurony kory mózgowej.

I tak zostaliśmy z Andrijem tylko we dwójkę...

## WINIARNIA WUJKA DENYSA

W obejściu Słomianków zapanował spokój: umilkło porykiwanie Zielonej Mańki, przestał pobrzękiwać łańcuch Nera Bałałajki; połowa kury, która szczęśliwym trafem uniknęła paszczy świniaka, przesiadywała niemo pod obórką: przerażenie odebrało jej głos. Nieszczęście przytępiło namiętności. Starzy Słomiankowie pogodzili się z młodymi, dziadek Jewraś oderwał deski, którymi swego czasu zabił drzwi prowadzące do drugiej połowy domu i osobiście zaszpachlował okno, przez które wydostawaliśmy się do ogrodu.

Ciotka Dora wieczorami przeglądała rodzinne albumy i z rozmarzeniem wspominała swoją działalność na niwie kultury:

— Przed świętem, bywało, koncert trzeba zorganizować. Nabiega się człowiek za tymi chórzystami, że nóg nie czuje. A potem kurtyna się podnosi, sala pełniutka, a w pierwszym rzędzie naczałstwo... Całe zmęczenie gdzieś znika: ludzie patrzą na ciebie z uznaniem. Kiedy indziej znów przez dwa dni kino, trzeciego dnia w klubie, bezpłatnie. Ale nawet filmu nie ma kiedy obejrzeć, wieki już nie byłam, za kulturą nie nadążam, całutki dzień człowiek gapi się na tych ochlapusów, nawet po nocach pijaczki się zwidują. Czasem śni mi się tak: idę niby drogą, a tu wór jakiś leży, patrzę, same czerwonce, nowiuteńkie, jak spod prasy, szeleszczące. Kiedy już tak się przyśni — ani chybi kontrola zjedzie... Rano człowiek się budzi, leży i myśli: jak komu nie pisane autem się rozbijać, ten całe życie pieszo musi człapać, choćbyś, człowieku, głową w mur walił, choćbyś się dał w kawałki posiekać i na sztuki się sprzedawał..

Wujek zbywał milczeniem to markotne filozofowanie. Sapiąc ponuro siedział w kącie i pedantycznie przemywał benzyną „wypożyczonego” Diesla.

Coś mi mówiło, że wujek Denys cichcem opracowuje ostatni skok na wymarzony samochód...

Zeszłej soboty odnalazłem wizytówkę Kuźmy Powróśla i udałem się na poszukiwanie Domu pod Lirą. Z widzenia pamiętałem, gdzie to jest: przy głównej ulicy prowadzącej do rynku. Był to jeden z niewielu domów, które oszczędził bezlitosny czas i wojenna zawierucha. Fronton zdobila niebieska,

wypalona w cegle lira, na której w jesienne wieczory borealne wiatry z upodobaniem wygrywały sobie tylko znane smętne melodie. Mieszkanie numer dwanaście znajdowało się na czwartym piętrze, pod strychem. Wchodziło się tam wąskimi, kręconymi schodami z modernistyczną żeliwną poręczą. Obok obitych szarą skórą drzwi lśnił miedziany łańcuszek. Pociągnąłem delikatnie. W środku dźwięknął krótko dzwonek, ale nikt nie kwapił się otwierać. Odczekałem chwilę, po czym nacisnąłem klamkę — drzwi ustąpiły.

— Można?

Znalazłem się w dużym pokoju. Przed wielkim lustrem, tyłem do mnie, stał Powróśło w czarnym garniturze i śnieżnobiałej koszuli, z ciemną muchą na szyi, ale jeszcze bez twarzy. Tam, gdzie zwykle jest twarz, szarzało podobne do polnego wymoczyśka puste miejsce, okolone gęstymi, choć już przyprószonymi siwizną włosami. Z matowej pustki wyzierały tylko oczy, głębokie, zamyślane, z iskierkami tłumionej ironii.

— Wybacz, chłopcze, jestem jeszcze nie całkiem ubrany — miękko i życzliwie rzekł Powróśło. — Ale rad jestem, że mogę cię wreszcie powitać na moim Olimpie. Wejdz i siadaj.

Nie odwracając się sunął z wolna wzdłuż ściany, na której wisiały rzędem jego, Powróśłowe, twarze, jak teatralne maski z szerokimi otworami na oczy. Fizjonomie były najróżniejsze, na wszelkie okoliczności i nastroje: dobre, okraszane serdecznym uśmiechem, pobłażliwie wyniosłe lub o chytrze skrzywionych wargach i ironicznie uniesionych brwiach i takie, które zdobił wyraz bezbrzęznego, zabójczego sceptycyzmu; obok — twarze lizusów, lokajów, naiwniaków bądź nieprzystępnych, uwięzłych w przeciętności facetów...

Wybrawszy twarz łagodną, zgodliwą, rzec by można, na oścież otwartą wobec świata, aktor zerknął w lustro, szybkim ruchem nałożył ją, zręcznymi palcami charakteryzatora musnął skronie, przejechał po policzkach i dopiero wtedy spojrział na mnie:

— Jak zawsze, spieszę się, przyszła chlubo ludzkości. Takie małe towarzyskie spotkanie dawnych znajomych połączone z dyskusją o nowej sztuce młodego autora. Ale także pod moją nieobecność może pan tropić tutaj swoje przeznaczenie, zaglądać do własnej duszy, bo wszystko, co miałbym panu do powiedzenia, jest tutaj...

Skinął w stronę małego pokoiku. Stało tam poplamione atramentem biurko, wiekowa kanapa i trzy wyściełane

krzesła, z których wyłaziły sprężyny. Szybkim ruchem Powró-  
sło rozsunął ścianę (jej połówki otwierały się jak drzwi prze-  
działu kolejowego) i moim zdumionym oczom ukazała się prze-  
stronna sala, która zdawała się nie mieć końca, zastawiona  
aż pod sufit równymi jak plastry miodu drewnianymi regała-  
mi. Łagodne, jakby dzienne światło spowijało delikatnym,  
rzekłbyś, falującym welonem złożone grzbiety książek, skór-  
kowe i kartonowe okładki, lakierowane półki i stojące we  
wnękach oszklone szafy.

— Jak się zmęczysz, zgaś tylko światło i zatrzaśnij za so-  
bą drzwi: zamek jest automatyczny. Przychodź sobie i czytaj.  
Nawet codziennie, jeśli masz ochotę. Niedługo wrócę... — głos  
Kuźmy oddalał się coraz bardziej. Trzasnęły drzwi, ale ledwie  
dotarło to do mnie, w głowie brzęczały radośnie roje trzmie-  
li, nogi uginały się podę mną, czułem, jak opuszki palców  
dretwiewą z zachwytu dotykając książek, które otwierały się  
i zamykały z suchym szelestem. Kroczyłem przez szeregi to-  
mów jak przez amfiladę sal; każda była inna, inaczej zdobio-  
na. Z niespokojnym wzruszeniem czekałem, co nowego za  
chwilę ukaże się moim oczom...

Oto znajoma dolina, gdzie na przedwiośniu zawsze długo  
stała woda: pod przezroczystą taflą widać było czerwonawe,  
sterczące łądźki szczawiu. A tam dąbrowa, po której buszo-  
waliśmy latem. Las był naturalną granicą między Pakułami  
i Czortoryjką, czortoryjskie chłopaki lubiły urządzać zasadzki  
na samotnych pakulaków, ale przed gromadą zawsze mieli  
pietra. Daleko, na horyzoncie, srebrzysty wiatrak poruszający  
pakulski wodociąg; podłużne śmigła podpierały niebo, na któ-  
rym wisiały grona białych chmur.

Dopiero niecierpliwym, trochę przerażonym okrzykiem Kuźmy Po-  
wróciła przywołał mnie do przytomności:

— Przyjacielu! Jak długo można się tak wałęsać? Na dwo-  
rze świt. Com się ciebie naszukał po tych papierowych cha-  
szczach! Dosłownie padam na nos...

Szarpnął brzeg pokrytego obłokami nieba. Niebieska kur-  
tyna rozsunęła się z suchym szelestem: za szerokim, zajmują-  
cym połowę ściany oknem ukazał się wyrajski rynek, po któ-  
rym przelewało się ludzkie mrowie. W głębi wyrastały czer-  
wone mury przyszłego teatru i błękitne, pokryte szronem ru-  
sztowania nowych domów...

Gdy pod znajomą wierzbą wysiadłem z autobusu, aż się za-



toczyłem: wędrowka po książkowych światach poważnie nadwątlila moje siły.

— Wyście ostatni? — usłyszałem niespodziewane pytanie.

Rozejrzawszy się stwierdziłem, że faktycznie stoję w długiej kolejce, która powoli posuwa się w głąb ulicy Słomianej.

— Co tu dają? — spytałem.

— Po łbie! — odwarknął stojący przede mną człowieczek, który trzema parami giętkich rąk gmerał w wysokich koszach, przebierając jabłka.

— Chłopczyzna nieświadomiony, a ty żarty sobie stroisz — wtrąciła się jakaś biedna starowina. — To do Denysa Słomianka kolejka stoi, moje dziecko. Objawienie jakieś na niego przyszło, żeby jabcok produkować.

Melancholijnie powlokłem się wzdłuż kolejki, nad którą unosił się zapach antonówek, koszteli, papierówek, renet, malinówek, koksów i tak doszedłem do wujkowego obejścia. W ogrodzie warczał głośno motor, pykając w zachmurzone niebo kólkami niebieskawych spalin, i przenikliwie wyla centryfuga. W parkanie czerniały okienka, na które kukurykowiarnie wysypywali zawartość worków, wiader, koszy i kobiałek. Nieco dalej sterczał koniec metalowej rury, z której do podstawianych kanistrów, butli, słoików, karafek i manierek ciurkał złocisty płyn. Kolejka posuwała się rażno; emanowała z niej radość życia.

Z ganku trochę już podchmielony wujek Denys strzelał z pałca do wróbli. Po każdym strzale w wiśniowym sadzie rozlegało się miękkie pacnięcie, ale pozostałe wróble bynajmniej nie kwapiły się do ucieczki: strugały bohaterów, bo były po prostu w sztok urznięte, podobnie zresztą jak ledwie trzymające się na nogach pochyłe drzewa i przekrzywione płoty. Nad obejściem wisiał gęsty opar fermentującej pulpy: w żelaznych beczkach i cysternie pienił się moszcz. Przez uchylone drzwi kurnika widać było lśniąca pudło. Była to maszyna cyfrowa, która kierowała procesem produkcyjnym: przyjmowała jabłka i wydawała sok. Wujek wypożyczył ją na cały sezon od jakiegoś znajomka, kierownika magazynu w instytucie naukowym.

— Wujku, niech wujek słucha, co wyczytałem! My, pakowanie, możemy się pochwalić wielowiekową przeszłością — uśmiechnąłem się radośnie, zamykając furtkę, za którą został gwar kolejki.

— Płacą coś za to? Może rentę specjalną? — wujek łypnął na mnie mętным okiem.

— Oczywiście, że nie... Ale zawsze myślałem, że Pakuły to tylko krótkotrwały, ulotny sen. A tymczasem...

— Co ty mi tu pakulisz za uszami! — wybełkotał wujek, zrywając się na równe nogi. — Pluję na twoje Pakuły, na te, co były, i na te, co są, pluję z samego czubka Psiej Góry! Po trzykroć! Nie wierzysz? No to się przekonasz! Możemy iść od razu, tylko wytrzeszczaj dobrze swoje gały...

Wujek podciągnął spodnie i zdecydowanym krokiem ruszył wyżłobionym przez świniaka szlakiem w stronę Żywca. Padałem ze zmęczenia, ale powlokłem się za nim. Gnębiły mnie złe przecucia.

Kończył się krótki, jesienny dzień. Nadchodził wieczór.

Zanim dobrnęliśmy do Psiej Góry, zapadła noc. Niebo wisiało nad nami jak pocięta przez mole chustka, którą ktoś z braku abażura zarzucił na lampę. Szybko, jak na filmowej taśmie, sunęły strzępiaste obłoki. Za nami migotały światła Wyraju. Gdzieś w dali, w tajemniczym bezkresie nagich pól, przycupnęły Pakuły. U stóp góry, w wypłukanych przez wodę zakolach szeleściła kra — noce były już mroźne, powietrze pachniało śniegiem.

— Wytrzeszczaj gały, zaraz plunę! — złościł się nie wiedzieć na kogo wujek. Było mi niedobrze, czułem, że w tej chwili nienawidzę go jak mało kogo na świecie.

A on stał rozkraczony na łysem wierzchołku góry, istny słup telefoniczny z podpórka... i nie pluł.

— Patrzysz? Uważaj: teraz!

Zgnębiomy nasłuchiwałem lodowatego szelestu kry. Wujek wciąż stał bez ruchu.

— Patrzysz?

Pomyślałem: teraz on wreszcie splunie i moje życie zmieni się bezpowrotnie, popłynie nowym korytem. Nie wiedziałem jeszcze jakim.

— W gardle mi zaschło... — zachrypiał wujek. — Napiłbym się.

Milczałem.

Gdzieś z dołu doleciało znajome skrzywienie kół: obrzeżem sosnowego lasu sunął szereg szarych cieni — łabor śmieciarzy.

— Zejdę do chłopaków, gardło zwilżę — rzucił śpiesznie wujek. — Poczekaj tu, zaraz wrócę...

Szeleszcząc szerokimi pantalonami ześliznął się po stromym stoku i znikł wśród drzew.

Nie zapomnę tej nocy do końca życia. Gwiazdy w oślepiąco białych koszulach zeszły z nieba i szerokim kręgiem obsiadły łysy szczyt Psiej Góry, splatając na gołych kolanach świetliste warkoczki ramion. Brzemienne śniegiem chmury łaskotały i chłodziły mi czoło. Nie bacząc na lodową krę, u stóp góry kapał się chlapiąc i prychając księżyc.

I nagle otoczyły mnie nieprzebrane rzesze pakulan. Było ich jak gwiazd na niebie — Filipy, Andrije, Wekły, Radywo-ny, Wawyły, Hapy, Klimy, Józefy, Hanny, Motrie, Mychie, Oleszki, Paraski, Romany, Chałymony, Tarasy... Czas i przestrzeń przestały się liczyć. Maleńkie Pakuły zaczęły się wydłużać jak ogon lecącego przez pole wiatru, nałożyły się na tysiąclecia człowieczej historii jak siatka południków i równoleżników na mapę świata, pokrywały morza i lądy, wyspy i oceany. Wobec tych zabitych deskami, utopionych w bagnach, zagubionych w lasach Pukał czułem się nieskończenie mały — ot, pyłek wirujący w smudze światła — a jednocześnie znacznie je przerastałem, bo one całe już były we mnie, jak ziarnko w ziemi, tkwiły w mojej świadomości i dzięki niej istniały. Zdałem sobie sprawę, jak daleko sięgamy w przeszłość i przyszłość: ja — i Pakuły we mnie, Pakuły — i ja w nich. I ten wydobyty z mroków historii Wasyl Rzeszoto, i dziad Rozumny, co u progu naszego wieku zmajstrował drewniany aeroplan, na którym chciał polecieć na księżyc, i wujek Ostap z Czerwonej Konarmii, co poległ pod Żmerynką i wujek Kuźma, spoczywający we wspólnej partyzanckiej mogile koło pukulskiego klubu, i mój ojciec, o którym w czterdziestym czwartym napisali z frontu, że zginął śmiercią żołnierza, i ja, Mychajło Rzeszoto, przyszły gwiazdor sceny, budowniczy, kosmonauta, poeta, radiokonstruktor, geolog, dziennikarz — to tylko maleńkie oczka, z których wyrastają wciąż nowe konary niepojęcie bujnego drzewa życia...

Nazajutrz po komersie na zawsze opuściłem Wyraj. Ciotka pisywała skąpo: Andrij wyuczył się na maszynistę, jeździ na parowozie, ożenił się z Luńką — teraz takie młodziaki się żenią, że hej! — Kolka Kapelutek pije, rozbił szybę wystawo-

wą i przez dwa tygodnie musiał zamiatać rynek, stary Parowożnik trzy dni chorował na serce i umarł, młodym jak raz urodził się syn, synowa z porodówki wraca, a teść na ławie — bez ducha. Zamartwiał się, że nie zdąży wnuka zobaczyć, ale śmierć miał lekką: tylko westchnął i koniec.

Długo musiałem czekać na okazję, ale wreszcie odwiedziłem dom przy Słomianej. Znow była jesień. Jak dawniej, w cienistych sadach, za bielonymi płotami czerwieniały wiśnie, na bezlistnych jabłoniach świeciły żółte latarenki renet, po wyblakłym, jakby spłowiałym niebie toczyło się słońce niczym zimowe jabłko.

Usiadłem na ławeczce przed domem, mrużąc oczy do tego niebieskiego jabłuszka, które z minuty na minutę robiło się coraz bardziej różowe i coraz szybciej staczało się za horyzont, jakby lada chwila miało się urwać i bęknąć głucho na wysuszoną przymrozkami ziemię. Obok trzasnęła furtka i na chodniku ukazał się Kolka Kapelutek, skierował się w stronę przystanku autobusowego. Najwyraźniej nie miał ochoty odnawiać dawnej znajomości. Wymachiwał niedbale magnetem na tranzystorach, ryczącym na cały regulator jakiś modny szlagier.

Obserwując z daleka Kolkę, nie mogłem wyjść z podziwu — jak on urósł, a równocześnie jak zmalowały biało-żółto-zielone domeczki przedmieścia. Kapelutek szedł tanecznym krokiem, z dumną i wyzywającą miną, niczym operetkowy kogucik.

I wtedy poczułem, że dzieje się ze mną coś dziwnego. Na rogu Piaskowej i Słomianej, skroś lekko przydymioną złota-wość jesiennego przedwieczera ujrzałem... wujka Parowożnika! Ten sam krok, rozważny i nieco przyciężki, jakby przemierzał zorane pole za broną czy siewnikiem, ta sama lekko przygarbiona sylwetka maszynisty, który całymi dniami z dłońią na lewarku śledzi wskazania zegarów i manometrów, ta sama skórzana kurtka z miedzianymi błyskawicami na kołnierzu, tyle że bardziej wymięta niż tamta sprzed dziesięciu lat. Gdybym nie wiedział, że wujek Jakub dawno spoczywa na miejskim cmentarzu pod zwieńczonym gwiazdą czerwonym nagrobkiem, ani przez chwilę nie miałbym wątpliwości, że to idzie stary Parowożnik.

Tymczasem odległość między Andrijem i Kolką malała, lada chwila mieli się zrównać. Nagle Kapelutkiem zakołysało. Zachwiało się jak łódka na fali, którą wznosi przepływający

statek, i drobiąc zabawnie cienkimi nóżkami w zamszowych sztybletach, chyżo powalcował na drugą stronę ulicy.

Za chwilę obaj z Andrijem padliśmy sobie w objęcia, odnajdując zapamiętane rysy, ale i rejestrując zmiany, nowe gesty, nowy, nie znany wyraz oczu. Nie mogłem wyjść z podziwu, jak bardzo Parowoźnik przypomina swojego ojczyma, nawet zewnątrz. Może była to także kwestia takiego samego munduru z kolejarскими naszymi.

Andrij był na ostatnich nogach. Skończył właśnie daleki kurs, twarz miał szarą ze zmęczenia. Odprowadziłem go do furtki i wróciłem na ławeczkę. Umówiliśmy się, że jutro po-  
spawszy sobie spotkamy się i nagadamy do syta. Od przystanku wracał Kolka Kapelutek; magnetofon wydierał się bez przerwy, budząc echo w lesie i rozwścieczając okoliczne psy.

Rano przyszła Luńka, wystrojona jak na święto i zaprosiła mnie na śniadanie. Andrij w białej koszuli siedział za stołem, obok ojca siedziały oba małe Parowoźniki. Chłopcy byli wiernymi fotografiami taty, tylko chabrowe oczy mieli po Luńce. Dobroduszny i spokojny Andrij wyglądał jak dojrzwały słonecznik między dwiema dopiero rozwijającymi się ku słońcu odroślami. Właśnie napełniliśmy kieliszki, gdy przed domem zawarczał samochód. Na progu stanął goniec. Maszynista, który miał prowadzić pociąg, zachorował, Andrija pilnie wzywano na stację.

Po chwili zjawił się Parowoźnik z powrotem przebrany w mundur, złapał podróżną torbę i wskoczył do gazika. Nie zdążyliśmy zamienić nawet dwóch słów...

Kiedy wracałem z Psiej Góry, w głośniku na targowisku biła dwunasta: wujka Denysa ciągle jeszcze nie było.

Rankiem obudziło mnie dolatujące z ulicy skrzywienie nie nasmarowanych kół. Przez żywy parkan — ogon do wujkowej „winiarni” ustawiał się już od świtu — zobaczyłem białą od pierwszego krupczatego śniegu jezdnię. Przy krawężniku stała podłużna, zbryzgana wapnem śmieciarka. Siedzenie woźnicy wysłane było kawałkiem zrudziałego dywanika, niegdyś pokrytego aksamitnym włosem, przez który teraz przeświecała osnowa; gdyby nie to, że zaprzężona do wozu kobyła zdradzała jeszcze nikłe oznaki życia, można by sądzić, że i ona, i dywanik są z tego samego materiału. W kuchni podłoga drżała pod ciężkimi krokami wujka. Był w tych samych co wczoraj bry-

czesach i płóciennych butach; promieniał zadowoleniem i mruzczał pod nosem jakiegoś wesołego marsza...

— Widziałeś sroki na gruszy? Wyjrzyj przez okno. I zapytaj, o czym skrzeczą? Twojego wujka dyrektorem mianowali. Po Omyłce Zmyłkowiczu kantor wodny obejmuje. Na szanownego pana dyrektora już czeka służbowy wóz. Jasne? Uprzejmie prosimy wsiadać i jechać, a Omyłko niech się gniecie w autobusie. — Wujek pośpiesznie przebierał się w odświętne lakierki, garnitur z bostonu, stalowopopielaty płaszcz i szary filcowy kapelusz. Wziął teczkę z błyszczącymi zamkami, przemazzerował przed lustrem wypinając pierś i wciągając brzuch. — Dyrektor, że mucha nie siada, prawda? Proszę, żeby zechciał pan przekazać Dorze Wasyliwnie poufną wiadomość, iż po pracy mój służbowy ekwipaż zajędzie po nią... Do zobaczyska!...

Wujek był blady jak śnieg, ale bił od niego gorąc; od potężnego chuchu żółkły i zwijały się liście pokojowej palmy. Zrozumiałem, że wujek dostał białej gorączki. Odwracając się od okna, powiedziałem łagodnie, choć głos trochę mi drżał:

— Proszę odpocząć, towarzyszu dyrektorze. A ja pobiegnę zanieść ciotce dobrą wiadomość.

— Sceptyk, pesymista, inteligent! — wrzasnął wujek, aż z kuchennego okna z brzękiem posypały się szyby. Gruby paluch wparł się w moją pierś. — Do odpoczynku nawołujesz, a tu chwila przełomowa, wyrajski kantor wodny stoi u progu globalnej reorganizacji. Chcesz uspić moją czujność, chcesz, żeby kukurykowskie fabrykanty anonimów — a będzie ich uwierać moja wysoka nominacja, oj, będzie! — zdążyli donieść do wyższych instancji, że nowy dyrektor bimbrownię w swoim obejściu zorganizował.

Wujek wydał wargi i chciał mi strzelić z palca prosto w serce. Woląłem nie czekać na nagłą śmierć. Wspomniawszy nauki Powróśli, przemieniłem się we wróbla i wyleciałem przez okno na ulicę. Wujek z godnością wyszedł na podwórze i stając w otwartych wrotach poważnie i surowo przemówił do oczekującej za płótem kolejki:

— Towarzysze i obywatele! Kukurykowanie! Oficjalnie i prywatnie zawiadamiam, że moja winiarnia ulega dobrowolnej likwidacji, a w ogóle, to alkohol jest szkodliwy dla zdrowia. Pijcie wody mineralne i jedzcie lody, produkt smaczny i pożywny. A was, towarzyszeko maszyno cyfrowa, uprzejmie proszę wstrzymać produkcję i spokojnie, bez niepotrzebnych

ekscesów, udać się z powrotem do instytutu, gdzie czeka was owocna działalność w dziedzinie nauki, techniki i gospodarki narodowej...

W tym momencie motor w ogrodzie umilkł, centryfuga zamarła. Sok przestał ciurkać z rury. Drzwi kurnika otwały się i maszyna cyfrowa połyskując niklowaną obudową dumnie przeszła przez tłum i znikła za rogiem Piaskowej. Kukurykowanie, którzy zdążyli już wysypać swoje jabłka i inni, co jeszcze nie zdążyli opróżnić koszyków, tłoczyli się wokół beczek, zanurzając kaszkiety i garście. Wujek powiódł dokoła niewidzącym spojrzeniem, wdrapał się na śmieciarkę, położył teczkę na kolanach i ujął lejce.

— Do kantoru! — rzucił krótko władcym tonem, zwracając się do kobyły.

Kobyła posłusznie ruszyła, koła zaskrzypiały żałośnie i zaczęły się obracać. Wujek siedział z poważną miną, rozparty wygodnie, jakby całe życie spędził na wyściełanych poduszkach służbowej Pobjedy. Białe palce błądziły melancholijnie po aktówce z brązowej dermy. Banda chłopaków wrzeszcząc biegła za wozem.

Wujek zdawał się nie słyszeć tych krzyków i tylko, gdy jakiś łobuz zabiegł koniowi drogę, przykładał do ust złożoną dłoń i trąbił: Tu-tu-tu! Tu-tu-tu!

Pomknąłem co tchu do ciotczynej herbaciarni.

— Tyle razy mu powtarzałam: nie chlej wina z żelaznych beczek, przecież to żywa trucizna... Stary osioł — lamentowała ciotka, jakby wujek już nie żył. — Ale czy to taki usłucha? — żaliła się, wypychając za drzwi pijaczków. — I nie uspokoił się, aż białej gorączki dostał! Kto mu teraz, głuptakowi, zasiłek chorobowy będzie płacił?

Dopadliśmy wujka w pobliżu kantoru. Kobyła stała pod światłami na centralnym skrzyżowaniu i z głodu żuła wyłuskany z bruku kamień. Siedemnastu sanitariuszy w śnieżnobiałych fartuchach wlokło spętanego wujka do karetki, której czerwony krzyż górował nad ulicznym zatorem. Po chwili karetka ruszyła, kierując się w stronę miejskiego szpitala, zwanego popularnie „żółtym domem”. Ciotka powlokła się za nią, chcąc zabrać garnitur, żeby go nie zniszczyli w dezynfekcji, a ja poleciałem do domu po teczkę: najwyższy czas było iść do szkoły.

Ulicą Słomianą dziarsko kroczyła kolejowa orkiestra dęta grając tango. Na czele, w odprasowanym mundurze, z nieodłącznym, tłustym od smarów drewnianym kuferkiem, kroczył wujek Jakub Parowoźnik: odchodził na emeryturę. Mieszkańcy Słomianej, kto tylko akurat był w domu, wychylali się przez płoty, wystawiali głowy przez lufciki, wylegali na chodniki, pozdrawiając starego życzliwym uśmiechem. Wujek Jakub był ogólnie lubiany. Przed domem Parowoźnika orkiestra zagrała tusz, zrobiła w tył zwrot i przy wtórze pogodnego marsza wyrajskich kolejarzy ruszyła z powrotem ku stacji...

Wujek Jakub usiadł na ławce pod oknem i wyciągnął z kuferka czarny, okopcony parowóz, na którym jeździł przez ostatnie dziesięć lat swojej kolejarskiej służby: naczelnik kazał skreślić lokomotywę z ewidencji i ofiarował ją zasłużonemu emerytowi. Wujek Jakub rozpałił kocioł (chmury siniego dymu zakryły anemiczne grudniowe słońce) i postawił maszynę na poranej bliznami i odciskami dłoni. Fukając i gwiżdżąc parowóz ruszył w drogę.

Stałem jak zaczarowany i patrzyłem na spracowaną, czarną od smarów i węglowego miazgu dłoń wujka Jakuba, po której krążył fukający ogniem miniaturowy smok.

## POTWÓR Z PSIEJ GÓRY

Płotkom nie było końca. Co dzień ktoś dorzucał coś nowego, potwierdzając bądź dementując poprzednią wersję. Gadało w autobusach, w ogonkach i na targu, nawoływano się z chodników, naszeptywano po domach, przed telewizorami i w kinach. Nikt nic dokładnie nie wiedział, nikt nic na własne oczy nie widział, ale złe przeczucia zaczynały gnębić zarówno sceptyków, jak i umiarkowanych.

Czym na przykład wyjaśnić ulotnienie się całego gazu z cystern na zamkniętym, ogrodzonym placu? Sprzedawca wynosił kolejno puste butle i na oczach tłumu wyzymał je niczym mokre majtki.

Wujka ciągle jeszcze trzymano w „żółtym domu”; leżał na białej sali i kukurykał jak kogut. Ciotka twierdziła jednak, że wujek pieje już tylko z przyzwyczajenia, bo rekonwalescencja przebiega pomyślnie.



Plotkom nie było końca. A to do babki Odarki przylatuje sąsiadka i szeptem, niespokojnie zezując za siebie przysięga się, że wczoraj w nocy o n o połknęło Radulski Zaułek: żywa dusza nie ocalała, a pijacek Kapota, który całą noc przekimał na przystanku, zamiast swojego domu zastał tylko przyprószoną śniegiem kałużę. A to, że o n o tylko raz stąpnęło, a po zaułku jakby walec przeszedł: ni domu, ni drzewka; zaułek milicją otoczony, nikogo nie puszczają.

Zerwałem się i wybiegłem zobaczyć, co się dzieje. Za podwójnymi oknami utkanymi wata, przybraną w błyszczące dżety, dobrodusznie myły się tłuste koty. Na ławeczce przed swoim domkiem o zielonym dachu siedział Kapota i bez przekonania wymyślał żonie, która uchodząc przed pijackimi rżami, przemieniła się w skrzeczącą srokę. Zawróciłem na pięcie, chcąc uspokoić dziadków, że Radulski Zaułek stoi nieknięty. W domu zastałem już nową pogłoskę: pod lasem, na Piaskowej o n o zrównało z ziemią dziesięć domów... Odarka gorliwie żegnała się przed ikonami, a dziadek rozsądnie pomrukiwał z kąta:

— Coś w tym musi być...

Nad ranem obudził mnie głośny huk, który przetoczył się nad Kukurykówką, jakby gdzieś w pobliżu rąbnął armatni pocisk. Zanim zdążyłem ponownie dać nura w sen, pod oknami rozległ się zmieszany gwar i tupot kroków.

— A o n o, ludzie kochane, tak na mnie sunie, tak sunie jak czołg we wojnę. Cała zdrętwiałam, padłam jak nieżywa i już nic nie pamiętam, tylko trzask niesamowity, a to o n o kumową chałupę przed sobą pchało...

— Jaki czołg, kudy tam czołgowi do o n e g o! Słyszeliście, jak hukło? U Hurki jeszcze od wojny rusznica przeciwpancerna stała. Chciałem, mówi, lufę odpiłować i przewód do destylatora zrobić. Aż tu, mówi, larum straszne słyszę. Wyskakuję ja z domu, a o n o już przez ogród sunie. Ja za rusznicę i łubudu. Trafiłem — i co myślicie? Pocisk ześliznął się jak po panczerzu, rykoszetem poszedł i w niebie dziurę wywalił...

Rzeczywiście, w niebieskiej kopule nad Kukurykówką ziała szeroka wyrwa o postrzępionych brzegach, przez którą przeświecały wyższe piętra niebios.

Zanim narzuciłem ubranie, na dworze rozwidniło się. Koło naszego domu przebiegali ludzie. Poleciałem za nimi. Siwołóżski Zaułek za sosnowym laskiem wyglądał jak pobojuwisko.

Trzy stojące z brzegu domy zostały dosłownie starte z powierzchni ziemi, jakby ktoś wytarł gumką rysunek z albumu. Przed oczyma przerażonych ludzi białało czyste jak kartka papieru pole, z lekka tylko przyprószone solą, którą przechowywano na strychach unicestwionych domów. Ono wgniotło drzewa w ziemię, chaty pogryzło na miążgę i wypluło. Tam, gdzie były piwnice, czerniały głębokie jamy, jakby przeszedł tamtędy gigantyczny sychacz. Ono przyleciało od strony Psiej Góry i tam wróciło: dwa potężne ślady, jak dwie przesiaki, rozcinały las. Ofiar w ludziach nie było.

Nazajutrz listonosz przyniósł zaadresowaną kulfonami kopertę. Matka pisała, że i w Pakułach mówią, jakoby na targu pokazał się potwór o psim ciele, z trzema ludzkimi głowami. Przykazywała mi więc surowo, żebym nie wałęsał się. Bóg wie gdzie, wracał ze szkoły prosto do domu i pisał przynajmniej trzy razy na tydzień, bo serce jej niespokojne i już wcale nie jest zadowolona, że wysłała mnie do Wyraju.

Uśmiełem się w duchu z matczynych lęków, złapałem teczkę z książkami i podskakując wesoło wybiegłem z domu. W rynku natknąłem się na zwarty tłum, który huczał niczym rojące się pszczoły. Przecisnąwszy się przez ciekawskich, ujrzałem ze zdumieniem, że kilkupiętrowy budynek, w którym między innymi mieściła się redakcja „Głosu Wyrajczyka”, gdzie czasem zamieszczałem swoje elukubracje, został wyrwany z podmurówki i przesunięty o dobre dziesięć metrów w stronę parkanu, ogradzającego budowę nowego teatru. Sklep warzywny, który mieścił się w suterenie, został pożarty wraz ze skrzynkami, ladami i metalową kasą. Ostały się jedynie beczki z zielonymi, kwaśnymi jak ocet pomidorami, zalegające w sklepiku jak rok długi; coś pożuło je tylko i wypluło z obrzydzeniem. Milicjanci dęli ostrzegawczo w gwizdki, z czerwonych samochodów poważnie i władczo popatrywali strażacy, po spustoszonej terenie chodziła komisja w ortalionach.

Zuchwałego czynu dokonano nad ranem.

Przez cały dzień i następną noc przeżywałem moralne katusze. Było to coś w rodzaju bólu zęba, przed czym nawet sen człowieka nie ratuje: przez cały czas podświadomie odczuwamy uporczywe ćmienie obolałego nerwu. Byłem posiadaczem sekretu, którego nie miałem prawa taić przed społeczeństwem. Jednocześnie zdawałem sobie sprawę, że moja pryncypialność

sprawi przykrość wujostwu, których łaskawy chleb jem już czwarty miesiąc. Dzięki mnie ludzie dowiedzą się, kto wyhodował potwora i skąd się wzięła owa zbroja, której nie potrafi przebić nawet pocisk przeciwpancernej rusznicy.

Nie ułatwi to Słomiankom życia, a przecież wujek jeszcze nie całkiem przyszedł do siebie po szpitalu.

Z wolna jednak budziło się we mnie ważniejsze niż wszelkie rodzinne sentymenty poczucie obowiązku. Nad ranem, nie zmrużywszy oka przez całą noc, wiedziałem już, że jestem powołany, aby wyjawić ludziom prawdę. Ubrałem się i pobiegłem do fryzjera. Potem dojechałem autobusem do rynku i na ciężkich, drewnianych nogach powlokłem się do redakcji. Serce waliło mi tak, że milicjanci regulujący ruch na skrzyżowaniach oglądali się trwożnie, a w okolicznych domach dzwoniły szyby. (Następnego dnia miasto obiegła plotka, że ono w biały dzień usiłowało podkopać się pod rynek...) Chcąc ukołić stargane nerwy, przystanąłem przed oszkloną gablotą, w której przypinano najświeższą prasę. Z zadrukowanych kolumn powiało na mnie świeże, otrzeźwiająca tchnienie. W artykule redakcyjnym „Potwory, czyli cuda według stugębnej famy łatwowiernych panikarzy” „Głos Wyrajczyka” pisał:

„Ostatnio wśród niewielkiej części wyrajskich obywateli szerzą się plotki, że w okolicach naszego miasta miało się rzekomo pojawić jakieś bajkowe, nie znane nauce dziwo. Co więcej, nieświadomieni panikarze rozpowszechniają wysane z palca wieści, jakoby wspomniany mityczny potwór dokonał niedawno próby napadu na budynek naszej redakcji. Po konsultacji z godnymi zaufania i odpowiedzialnymi towarzyszami z miejscowego sanepidu, informujemy naszych szanownych czytelników, że żadnego nie znanego, nie sklasyfikowanego przez naukę dziwoląga w pobliżu Wyraju nie ma i być nie może”.

Zrobiło mi się wstyd moich lęków i moralnej rozterki. Krocząc pogodnie bulwarem, wśród oszronionych topoli, zaśmiewałem się z własnej głupoty, aż mnie w piersiach kłuło.

Nie ma na świecie nic straszniejszego i bardziej podstępnego niż ludzkie zabobony.

Płynęły lata, a wraz z nimi potoki słów — pisanych, dyktowanych i drukowanych — a zdawałoby się, że minął zaledwie tydzień.

Jakoś na przedwiośniu zdarzyło mi się odwiedzić jedno z naszych miast na południu, znane z przemysłu stoczniowego. Do odejścia kijowskiego pociągu miałem jeszcze kilka godzin, więc poprosiłem kolegów z prasy, żeby mi załatwili zwiedzenie stoczni. Towarzyszyła mi małomówna kobieta, przedstawicielka miejscowych związków zawodowych. Przeszedłszy przez hałaśliwe, buchające żarem hale, wynurzyliśmy się u stóp ostrodziobych stalowych olbrzymów, które z oblepionej zgniłą mżawką, ołowianoszarej wody zdawały się wypełzać na betonowe nabrzeże. W oparach spowijającej stocznę mgły iskrzyły niebieskawo spawarki, tu i ówdzie z szarej waty wylądaniał się niewyraźny kontur gotowego do wodowania kolosa, przypominającego białą górę lodową.

Po chybotliwym, oblodzonym trapie weszliśmy na niewielki, zgrabny trawler, na którym właśnie rozpoczęto remont. Wszędzie unosił się przenikliwy zapach farby, karbidu, gumy, szumiały pistolety do lakierowania, palniki i sprężarki, wzdłuż trapów wily się węzowe skręty różnokolorowych drutów i przewodów. Wdrapałem się na górny pokład. Na kapitańskim pomoście oparty o reling stał młodo wyglądający mężczyzna w kolejańskim mundurze i patrzył na wodę. Ostry, nisko lecący wiatr spiętrzał fale, rzeka stawała się podobna morzu, choć w rzeczywistości do morza było ze sto kilometrów. Od razu, jakbyśmy się wczoraj rozstali, poznałem Parowoźnika — dawno już zatraciłem poczucie upływającego czasu, dzień był podobny do dnia, jak równo przycięte arkusze maszynowego papieru.

— Ciągnie cię do morza, Andriju?

— Ja tak sobie... — zmieszał się Parowoźnik. Zeszedł na pokład i uściśnaliśmy sobie ręce. Andrij trochę przytył, ale prawie się nie zmienił, może twarz miał nieco surowszą, o wyraźniejszej, już nie tak chłopięco zaokrąglonej linii ust i podbródka.

— Żałujesz, żeś nie poszedł do szkoły morskiej? — zapytałem, gdy minąwszy portiernię pożegnaliśmy moją przewodniczkę. Wyglądało, że Parowoźnik nie po raz pierwszy odwiedzał stoczniovców — portierka dobrze go pamiętała.

— Ja mam swój okręt — krótko odparł Andrij.

— Wpadłeś przejazdem?

— Za dwie godziny wracam do domu. Czasem przywożę im to i owo — skinął w stronę stoczni.

Przy bramie czekał już redakcyjny wóz, żeby mnie odwieźć

na dworzec. Kierowca wręczył mi kopertę z zarezerwowanym slipingiem pierwszej klasy.

— Wracasz przez Kijów, Andriju? Wzięłbys mnie na swój okręt... — powiedziałem niepewnie.

— Czemu nie? Kto wie, kiedy się znów zobaczymy, tobie teraz na Słomianą nie po drodze: i za daleko, i za nisko... — w głosie Parowoźnika zadźwięczała kpina.

Z „żółtego domu” wujek Denys wrócił jakiś cichy i zamyślony. Początkowo siadywał przy oknie i gapił się na ulicę. Potem zaczął wychodzić. Wkładał walonki, kozuch, zajęczką czapkę dziadka Jewrasia i od rana do nocy sterczał nieruchomo przy bramie patrząc w niebo — szukał wczorajszego dnia. Wkrótce ludzie tak się do niego przyzwyczaili, że przestali mówić mu dzień dobry. Stada wron i wróbli obsiadły mu głowę i ramiona — wieczorem, gdy wreszcie decydował się wrócić do domu, podrywały się z wrzaskiem, trzepocząc zmarzniętymi skrzydłami. Ekipa, która naprawiała zerwaną linię, wzięła go za słup telegraficzny i obwiesiła płataniną drutów, elektrycy zaś umocowali mu na nosie uliczną latarnię, dzięki czemu przez dłuższy czas mieliśmy światło za darmo.

Dopiero straszne wydarzenia przywróciły wujka do życia. Nieoczekiwanie potwór znów dał znać o swoim istnieniu. I to w biały dzień, kiedy mieszkańcy Kukurykówki ustawiali się przed sklepem spożywczym po świeży chleb. Kudłata ośnieżona chmura wystrzeliła zza ostatnich domków przedmieścia i jak ogromny pocisk przemknęła tuż obok sklepu...

Pod wieczór ciotka przybiegła z nową historią. Kołchozowy agronom, którego działka leżała nie opodal Psiej Góry, natknął się na szeroki ślad wiodący od Żywca do kopców z ziemniakami: kopce były puste!

Wujek bacznie słuchał, co mówiono o potworze, ale trzymał usta zamknięte na siedemdziesiąt siedem spustów. W owych dniach jego oblicze przywodziło na myśl ognisko, w którego spopieliały żar ktoś wsadził tulejkę z prochem. Wiaterek rozsiewa szary, pozornie martwy popiół, ale ty, przykucnięty za wzgórkciem, wiesz, że lada chwila nastąpi wybuch. Wreszcie wujek nie zdzierzył.

Stało się to w ów pamiętny zimowy poranek. W okno od ulicy ktoś załomotał niecierpliwie, nagłaco. Ciotka była już ubrana i pobiegła otworzyć. Ledwie powłócząc nogami weszła

do kuchni moja matka i tak jak stała — w przepasanym wełnianą chustką kożuszką — osunęła się na próg i uderzyła w płacz. Dopiero po długiej chwili, co wystawiło nasze nerwy na ciężką próbę, przerywanym głosem zaczęła mówić.

Smutna to była opowieść. Z niewielkich, posiadanych przez nią zapasów, w paszczy potwora znikły bezpowrotnie trzy worki kartofli, wianek cebuli, woreczek maku i z pięć funtów dojrzałego żółtego sadła.

Wujek stał w milczeniu, podtrzymując oburącz kalesony, które odkąd wrócił z „żółtego domu”, zrobiły się o wiele za luźne. Nagle jego oblicze pojaśniało jak niebo, po którym przeleci sucha, zimowa błyskawica.

— Ja się za niego wezmę! — oznajmił.

— Za kogo? — pod ciotką aż się nogi ugięły.

— Za onego...

— Mało ci jeszcze? Nie słyszałeś, co innych spotkało?

Wujek bez słowa odwrócił się i znikł w drugim pokoju. Matka odprowadziła go przerażonym wzrokiem i znów zaczęła lamentować.

— Denysku, przecież obiecałeś, że jak się zrobi ciepło, dach mi na nowo poszyjesz...

Wujek Denys stanął w drzwiach. Przez ramię miał przewieszoną połową torbę. Na jego twarzy malowało się skupienie i męstwo. Pojęliśmy, że żarty się skończyły.

Wszędobylskie sroki błyskawicznie rozpaplały nowinę i niebawem pod naszym dömem zebrał się tłum. Przez szarą mreżkę jabłoni przeświecało wschodzące słońce, intensywnie czerwone, jak na bitwę.

Babka na klęczkach biła pokłony przed ikonami, dziadek odprawiał modły nad Biblią, ciotka tonąc we łzach odgrzewała na prymusię pieczeń i krzyczała na siostrę, obwiniając ją o całe zamieszanie.

Matka krzątała się po kuchni, ładując wujkowi do torby wszystko jak leci: wianki suszonych grzybów, kiszzone pomidory i arbuzy, srebrne noże i widelce z serwantki, pierożki z mięsem, kapustą i grochem... Tymczasem wujek skończył się golić i surowym, władczym tonem kazał sobie podać nowe palto z karakułowym kołnierzem i jeszcze nie używaną futrzaną czapkę. Przez oblicze ciotki przemknął cień wrodzonego skąpstwa, ale w takim dniu nie ośmieliła się zaprotestować i posłusznie podeszła do szafy. W ostatniej chwili wujek zrezygnował z torby z jedzeniem, złapał zaś teczkę, z którą normal-

nie chodził do pracy, wkładając między księgi kasowe i kwity tylko butelkę winogronowego soku.

Po czym, przestąpiwszy próg sieni, zastygł na ganku jakby na cokole, z wysuniętą naprzód prawą nogą w świecącym jak lustro chromowym bucie. Zamyślonym, nieobecnym wzrokiem wodził ponad tłumem, który zebrał się wokół domu, spoglądając gdzieś w dal, na lodowatozielone sosny uginające się pod białymi śniegowymi czapami i jeszcze wyżej, gdzie na horyzoncie majaczył łysy wierzchołek Psiej Góry, spowity w sine poranne mgły.

Ciotka Dora chciała podejść do męża, lecz jakby odepchnięta zimnym, obojętnym na nietrwały, doczesny świat, wyrazem jego twarzy, przytuliła tylko do futryny mokry od łez policzek. Babka Odarka dreptała zafrasowana wokół syna, a potem z dolnych stopni ganku zaczęła błogosławić go na drogę, splótnięty sine powrosła ręk na rodzinnej, pozostałej jeszcze po prababci ikonie.

Gestem wytrawnego oratora, władczo powstrzymującego burzę oklasków, wujek podniósł rękę:

— Szanowni obywatele Kukurykówki, sąsiedzi i wszyscy, którym przyszło żyć równocześnie ze mną! Jeśli żyw i cały nie wrócę z dzisiejszej bitwy, a tylko mój bezcielesny duch przybłąka się na Słomianą (bo nawet po śmierci dusza moja was nie opuści), nie traktujcie mnie, proszę, jak bohatera. Bo i jaki tam ze mnie bohater! Po prostu wasz dłużnik, kukurykowiec jak i my wszyscy, dlatego chciałbym, żeby moja śmierć w boju z potworem stała się świetlanym ukoronowaniem mojego niekoniecznie chwalebego, przydługiego żywota. Gdyby jednak mimo wszystko moje imię upamiętniło się dla przyszłych pokoleń wyrajczyków jako owiane mglistą, ale zaszczytną legendą, to chciałbym, żeby tam, gdzie teraz wznosi się „żółty dom”, został założony sad. W sadzie niech będzie granitowa płyta, na której proszę wyryć tylko dwa skromne, lecz wiele dla mnie znaczące słowa: „Wyrajskiemu pakulaninowi”, bo właśnie teraz, jak nigdy jeszcze dotąd, czuję, że nim jestem. Ta nowa idea na temat podwójnego pakulskiego i kukurykowskiego obywatelstwa człowieka przez duże C, jaki się we mnie narodził, przyszła mi do głowy w czasie mojego pobytu w „żółtym domu”. Na tym kończę. Żegnajcie, dobrzy ludzie, obywatele Wyraju...

Co powiedziałwszy, wujek zszedł z ganku i przez otwartą na oścież furtkę wymaszerował na ulicę. Zebrani utworzyli

szpaler, a potem ruszyli za wujkiem. Amatorska orkiestra dęta, pod dyktando niezwykle trzeźwego Kapelutka, zaświstała i zaklaskała językami w takt uroczystego marsza. Barabanierz, na co dzień kuchmistrz restauracji „Błękitna Dal”, walił rytmicznie pięściami w swój wielki bandzioch; głuche bębnienie stokrotnym echem odbijało się od lasu, dokąd bez wahania zmierzał wujek Denys. Procesję zamykał wujek Jakub. Wychylając się z czarnej maszyny, spowitej kłębamii pary, akompaniował orkiestrze parowozowym gwizdkiem. Trzymałem się nieco z tyłu. Przy ostatnich domkach przedmieścia ludzie zatrzymali się: dziesiątki rąk uniosło się w pożegnalnym geście. Długim krokiem wujek szedł przesieką, zagłębiając się w las.

Nie miałem wyboru. Nie miałem prawa zostawić wujka sam na sam z potworem, choć z drugiej strony wcale nie byłem pewien, czy moja pomoc przyda się na cokolwiek. W obecności matki nie mogłem nawet wspomnieć, że chciałbym także wyruszyć na Psią Górę. Nonsens. I tak nikt by mi nie pozwolił. Musiałem działać według własnego planu.

Radulskim Zaułkiem przemknąłem na Piaskową i zanurzyłem się w sosnowy las, aby gdzieś w połowie drogi na Psią Górę dogonić wujka i nie włączając mu w oczy jednak mu towarzyszyć. Niestety, zabił się. Kiedy kierując się donośnym krakaniem wron wyszedłem wreszcie na znajomą przesiekę, wujek, który przy grubych i wysokich sosnach wyglądał jak mizerny badył, był już daleko w dolinie, z której niczym ogromny grzyb wystrzelała Psia Góra. Jej podnóże porastał gęsty las. Wronie stado wietrząc krew kołowało wujkowi nad głową i ze złowróżbnym krakaniem spływało z różowoniebieskawej stromizny nieba w dolinę, którą płynął Żywiec.

Namacalem pod kufajką składany nóż i ruszyłem przesieką. W tym momencie czułem, że kocham wujka Denysa. Wujek stał już u stóp góry. Wypłukane przez wiosenne przybory gliniaste jamy ziały nad jego głową jak ogromne paszczki. Wyszywana dżetami młodziutkiej kry niebieska szarfa Żywca opasywała podnóże góry. Wujek wyjął z teczki butelkę soku, odkorkował i zaczął pić duszkiem, przytrzymując ręką czapkę, żeby mu się nie zsunęła na ziemię.

Potem wszedł pod nawisłe sklepienie i schylił się jakby biorąc górę na plecy. Zamarłem bez ruchu. Miałem wrażenie, że to ja sam dźwigam na barkach cały ciężar Psiej Góry.



— Paciu, paciu, paciu... — przerwało ciszę łagodne, pieszczotliwe nawoływanie. — Paciu, paciu, paciu...

Rzeka milczała, szczerząc śniegowe zęby, które błyskawicznie wyrastały na ocierających się o siebie talerzach kry.

Nagle rzeka pękła na całej szerokości jak stalowa kosa. Spienione fontanny wyrzuciły na krę srebrzyste okruchy — lustrzenie. Nie bacząc na mróz, królewskie karpie zatoczyły taneczny krąg na wyprężonych ogonach. Lodowe pola u stóp góry uniosły się, stanęły sztorcem, a następnie rozsypały się w drobne dźwięczące kawałeczki. Z szerokiej, sięgającej połowy nurtu przerębli, w której wirowała kipiela, wynurzył się najpierw czarny, zamulony narożnik pancernego chlewika, a po chwili cały krótszy bok.

— Pać, pać, paciu... — wabił czule wujek Denys.

Pchnięte od wewnątrz drzwi garażu otworzyły się i w szarym zimowym zmierzchu zamajaczył różowy świński ryj, a przez bulgotanie wody i szelest kry dobiegło dobroduszone:

— Roch-ch-ch, roch-roch...

W pojednawcze pochrząkiwanie wpadł jak bojowy zew basowy, dziwnie młodzieńczy, zdecydowany głos wujka Denysa:

— Giń, potworze, którego wykarmiłem na własnym łonie!

Wujek sapnął, purpurową z wysiłku twarz pokrył kroplisty pot, stopy po kostki zaryły się w wilgotnym piachu. Psia Góra drgnęła jak okręcony łańcuchami pniak ściętego drzewa, które ciągnik przemocą wydziera z ziemi. Ziejąca wyrwa ukazała sprasowane warstwy czerwonej gliny, tu i ówdzie przepikowane czarnymi korzeniami sosen. Ze stromych zboczy z trzaskiem staczały się olbrzymie głazy.

Wujek chwiejnie prostował się, unosząc na plecach górę, której łysy wierzchołek dziurawił chmury. Powoli, mierząc w czarną, opancerzoną bryłę, zwałił ciężar do rzeki niczym taragarz zrzucający z pleców wór zboża. Góra padła wprost w wybitą przez potwora przeręblę. Spienione gejzery rozprysły się na wszystkie strony, lodowata kaskada nakryła wujka z głową. Jęknąłem z przerażenia, ale fala szybko cofnęła się, osadzając w gliniastej jamie, gdzie przed chwilą wznosiła się Psia Góra, brudne szumowiny. Wujek nawet się nie zachwiał. Ale po chwili na jego twarzy pojawił się grymas bólu, objął brzuch rękami i z wolna zaczął chylić się w stronę rzeki, jak potężne drzewo podmyte przez bystry nurt. Naderwał się! — przemknęła mi szybka jak błyskawica myśl. Żywiec wirował groźnie, kawały kry ze zgrzytem omijały nową prze-

szkodę. Zdążyłem złapać wujka pod ramiona i odciągnąć na wzgórze, w las. Rzeka wypełniwszy gliniastą rozpadlinę runęła w dół, zmiatając wszystko z drogi, a Psia Góra stała się po wieki wieków Denysową Wyspą.

Wujek ciągle jeszcze był nieprzytomny, bezwładnie leciał mi przez ręce jak bela mokrej waty. Niebo nastroszyło się i pociemniało, doliną sunęły wirujące słupy drobnego, kłującego śniegu. Szła zamieć. Rozwścieczona nową przeszkodą rzeka ryczała groźnie i ponuro. Ubranie wujka błyskawicznie sztywniało na mrozie, twarz siniała i zaczynała robić się lodowata.

I wtedy za moimi plecami rozległ się radosny, zwycięski gwizd lokomotywy. Obejrzałem się. Przesieką, stukając po ośnieżonych pniach, wyrzucając w pochmurne niebo olśniewająco białe pióropusze dymu, mknął w naszą stronę parowóz wujka Jakuba. Przez oszronione okienko wychylało się ku nam smagłe, usmarowane sadzą, uśmiechnięte oblicze maszynisty.

## **MIŁOSNA DRAMA MYCHAJŁA RZESZOTY**

Siedziałem w czytelni nad zszywką młodzieżowego czasopisma, w którym szła w odcinkach liryczno-fantastyczna powieść przygodowa. Niedzielny dzień niecierpliwie pukał w złocistoniebieskie okna. Zatykałem uszy, aby nie ulec pokusom tonącej w bieli ulicy, po której co chwila przebiegali narciarze na długich niebiesko-czerwono-zielonych nartach.

Nagle drzwi wejściowe otwarły się. W gęste, przesycone wonią papieru, farby, kleju i kredy powietrze wdarł się upojny śniegowy dech. Uniosłem zmęczony wzrok i na tle gabloty z książkami zobaczyłem ją, dziewczynę z kalendarza... Od razu poznałem chłodne, myślące oczy, ukryte za szklami okularów, bladą pociągłą twarz, niebieskie wstążki, które niczym gladiole kwitnące na mięsistych łodygach warkoczy wymykały się spod wełnianej czapeczki, i smukłe gałązki palców na brązowym blacie stołu, za którym rezydowała dyżurna bibliotekarka. Serce we mnie zamarło i przez długą, bolesną chwilę nie mogło ruszyć, a potem zaczęło nagle galopować, jakby chciało wyrwać się z piersi.

Dziewczyna poprosiła o „Słownik filozoficzny”, dopiero potem powiesiła paletko na wieszaku i została w przepisowej szkolnej sukience i śnieżnobiałym fartuszk. Usiadła daleko, aż pod oknem, i pochyliła się nad słownikiem. Ze swojego miejsca widziałem tylko jej wyrazisty profil i wysokie, gładkie czoło, przywodzące na myśl spadzisty pagórek, po którym z deskami u nóg człowiek sunie w jakąś nieokreśloną, rozkoszną, a jednocześnie napawającą lękiem przepaść.

Wpadłem. Zakochałem się jak chłopaczek, ostatecznie, niepoprawnie. Spazmatycznie łowiłem powietrze niczym ryba na piaszczystym dnie Żywca, kiedy wujek Denys na chwilę wessał w siebie całą rzekę. Pamięć o przysiedze, jaką złożyłem na bulwarze, onieśmiała mnie. Wsadziłem nos w gazetę i udawałem zajętego lekturą, ale nic z tego, co czytałem, nie docierało do mnie. Nagle dziewczyna podniosła się, zwróciła książkę, włożyła płaszcz i nawet nie rzuciwszy okiem w moją stronę wyszła. Siedź! — przykazywałem sobie. — Waruj, przyszła chlubno ludzkości! Nie ruszaj się, synu ziemi pakulskiej! — Posłuszne tym nakazom moje prawe oko ponownie zaczęło brnąć przez jałową fantastyczno-przygodową papkę, natomiast lewe swawolnie wgapiało się w śnieżnobiały ekran okna, jakby za chwilę miał się tam ukazać ósmy odcinek „Tarzana”. Ale gdy za szybą prześliznęła się cień granatowego palta i zielonej czapeczki, spod której wymykały się dwie kokardy, zerwałem się na równe nogi i pogałem, zapominając o pismach i bibliotekarce. Już w biegu usiłowałem wepchnąć drżące patyki rąk w rękawy kufajki.

Dziewczyna była już po drugiej stronie uliczy; oddzielał ją ode mnie kolorowy tłum narciarzy. Puściłem się biegiem. Zupełnie nie czułem nóg; do moich uszu docierał tylko stuk obcasów na zlodowaciałym śniegu, jakby jakieś młoteczki szybko uderzały w kowadło. Zzajany, szczęśliwy, już miałem się z nią zrównać, gdy dziewczyna obejrzała się, obrzucając mnie chłodnym, kpiąco-zdziwionym spojrzeniem. Wszystko we mnie zamarło i zeszywniało, tylko palące żądło wstydu przewiercało mózg na wylot...

Wyobrażałem sobie, jak muszę wyglądać w jej trzeźwych oczach: zdyszane, spocone chłopaczysko o pucułowatych policzkach, z perkatym nosem, w szarej kacabajce, bawełnianych spodniach i zrudziałych buciorach, których zdarte noski usiłują zajrzeć w rozpaloną twarz właściciela. Miałem

wrażenie, że ulica rozstępuje się pode mną; uczucie wstydu i zmieszania, świadomość pożałowania godnego wyglądu sprawiły, że powoli zapadałem się pod ziemię, ciesząc się w duchu, że przynajmniej ona jest tego świadkiem. Dziewczyna bez słowa odwróciła się na pięcie i poszła w stronę przystanku. Zanim zdążyłem wygrzebać się spod ziemi, zanim stwierdziłem, że jej wzrok nie unicestwił mnie całkowicie, autobus połknął ją, warknął żelazną paszczą i potoczył się wysypaną piaskiem ulicą..

Słońce kipiało z dachów i czerwonymi sopłami skapywało na śnieg. Po oblodzonych kocich łbach skakały nastroszone wróble. Chwytał mróz. Szła noc, wzmagając poczucie samotności. Znałem je od dawna, jeszcze z czasów, gdy pierwszy raz w życiu zakochałem się w mojej szkolnej nauczycielce — trwożne, bolesne, a równocześnie słodkie uczucie osamotnienia w niezmiernym świecie. W Pakulach zaszywałem się wtedy w krzak berberysu i płakałem, wsłuchując się w smętny szelest poźółkłych liści. Tu, w Wyraju, także poczułem się samotnie i nieprzytulnie. Krakanie zziębniętych wron w gaju nad Newklą, nawoływania narciarzy, warkot autobusów, nawet szuranie moich wspaniałych butów z metalowymi okuciami, działało na mnie przygnębiająco. Nagle załęczniłem do swojego kącika za piecem u Słomianków, gdzie można było wziąć matczyną płachtę, nakryć się z głową i cierpieć, cierpieć... Bo nawet moje niewielkie doświadczenie życiowe nauczyło mnie, że miłość to cierpienie.

Pobiegłem na Kukurykówkę. Z komina Słomianków walił gęsty, smolisty dym. O tej porze ciotka powinna być w herbaciarni. Wujek naderwał się, dźwigając Psią Górę i leżał w szpitalu. Któż więc mógł hajcować pod blachą? Przez kuchenne okno bił burakowy poblask, wewnątrz, na tle rozpalonego pieca, rysowała się chuda, tykowata sylwetka dziadka Jewrasia w szarej, wypuszczonej na spodnie koszuli.

Ostatnio dziadek od rana do wieczora wałęsał się po obejściu, węszył po kątach, grzebał w śniegu pod płotem i zbierał puste butelki, słoiki, nawet kawałki szyb. Tłukł to wszystko w stępie pod szopą i przesiewał przez sito.

Babka miesiła glinę, jakby miała zamiar w środku zimy lepić chałupę.

Usłyszawszy skrzyknięcie drzwi, dziadek rzucił za siebie spłoszone spojrzenie, jakby przyłapany znieacka w cudzym sąsiedku. Upewniwszy się, że to tylko ja, ukrył strach w

zmarszczkach czerwonej od żaru twarzy i szybko zasłonił sobą palenisko. W piecu trzeszczał ogień, liżąc czarną gardziel komina.

— Cóż to, dziadku, kompot gotujecie? — spytałem życzliwie, zerkając dziadkowi przez ramię: w piecu obłożony żarem widniał jakiś obły gliniany kształt, ni to duży tłuczek do kartofli, ni to miniaturowa stępa. Widząc, że nie przełamie nieprzyjaznego milczenia, szybko zzułem buty, zrzuciłem kufajkę i zamknąłem się u siebie.

W pokoju było cicho. Nie zapalałem światła. Za oknami dogasał zimowy dzień, liliową pieszczotą muskając tiulowe firanki. Z podwiniętymi nogami usadowiłem się na kanapie i oddałem się melancholijnym, słodkim rozmyśleniom. Sprawa była jasna: już nigdy jej nie zobaczę, zniknęła na wieki, zgubiła się w wielkim ludzkim mrowisku, ale i tak nigdy nie pokocham innej, przez resztę życia zostanę sam, pielęgnując w sercu przelotny, jakby uchwycony w blasku flesza obraz wiotkiej sylwetki... Po wielu, wielu latach, kiedy już oboje będziemy podobni do dziadka Jewrasia i babki Odarki, przypadkiem spotkamy się w tej samej bibliotece, odnajdziemy w pamięci swój dawny obraz i roniąc rześiste ślony przyznamy, że całe życie strawiliśmy na wzajemnym poszukiwaniu się i... czekaniu.

Ale, jak wszystko na świecie, tak i ta wzruszająca chwila szybko minie i nasze drogi znów się rozejdą, bo już nie czas będzie zaczynać życie od początku: rozstaniemy się, aby znowu, tym razem już na zawsze, spotkać się tam, w górze... Nagle rozpaczliwie zapragnąłem, żeby wszystko, co w długie zimowe wieczory opowiadała moja omotana zabobonami, żyjąca przeszłością matka, okazało się prawdą: że tam istnieje życie, że ona będzie czekać na mnie (albo ja na nią) na śnieżnobiałym obłoku, w siódmym niebie, że potem, wzięwszy się za rękę, lekko jak bezcielesne cienie polecimy prosto w srebrzyste lśnienia gwiazd... Przechucie takiego bezkresnego, nieskończonego lotu, który mógłbym odbyć z nią, dziewczyną z kalendarza, przejmowało mnie takim szczęściem, że chwilami traciłem niemal przytomność.

Tymczasem okna nabiegły granatem, niczym wieczne pióro, do którego ktoś nabrał atramentu. Przy drzwiach szczerką wyłączył wyłącznik, zdziwiony i podejrzliwy głos ciotki jak smagnięcie nahałki przywrócił mnie bezlitosnej rzeczywistości.

— Co ty tak po ciemku?

— Powtarzam lekcje na jutro — odparłem przytomnie-  
jąc i szybko przymknąłem oczy, które ciągle jeszcze nie mo-  
gły wrócić stamtąd. — Fizyk kazał wszystkie prawa na  
blachę wykuć. Formalista taki, że...

— A może byś tak „Ojciec nasz” na blachę wykuć? —  
przerwał dobrodusznie dziadek Jewraś, zaglądając do pokoju.

Kontent ze swojego pomysłu, długo mamrotał słowa mo-  
dlitwy, a my z ciotką zasiedliśmy do jajecznicy. Trzeba by-  
ło wyciągnąć prymus, bo piec był zaszpunktowany na amen,  
a szpary grubo oblepione gliną, która schła w oczach, paro-  
wała i pękała.

Dziadek nie usiadł z nami, ale usadowił się przy piecu, po-  
łożył ręce na kolanach i zaczął wspominać:

— Jakem spod Niemca wrócił, jeden carski szynel na  
grzbiecie miałem, poza tym nic, tyle co ziemi kawał nadzie-  
lili. Posłałem swaty do Odarki; u popa służyła. Batuszka  
mówi: bierz ją, Jewrasiu, bierz, jak zaczniesz padać, szynelem  
okryjesz i już będzie miała dom. Co prawda, to prawda. Za-  
cząłem medytować, jak by tu się dorobić. W niewoli nauczyłem  
się łyżki z ołowiu odlewać. W Pakułach wtedy za łyżkę trzy  
pudy zboża dawali. Zaczyłem po rówach i jarach pociski zbie-  
rać, ołowiu natopiłem, z gliny żem formę wylepił i dalejże  
po Odarkę swaty ślać. No, Jewrasiu, mówi batuszka, teraz  
chleb masz w ręku, bierz sobie Odarkę. I sprawdziło się.  
Chałupę kupiliśmy, potem świnie, aż tu nagle — kolektyw-  
wizacja.

Polazłem do siebie na zapiecek. Zwykle nie zasuwałem za-  
słony i w różowym świetle upstrzonej przez muchy dwu-  
dziesiątki piątki ślepiłem nad książkami. Ale dzisiaj chciałem  
dalej przeżyć cudowny lot pod błękitnym niebem, tak rap-  
townie przerwany przez ciotkę, udałem więc, że kładę się  
 spać. Od pieca buchał taki żar, że musiałem zrobić sobie za-  
słonę ze szmat.

Zamknąłem oczy, starając się nie słyszeć dziadkowego mam-  
rotania. Usiłowałem znów zmusić wyobraźnię do niedawnych  
igraszek. Jednak ni stąd, ni zowąd z zakamarków pamięci  
wypłynął stary, już niemal niewiarygodny obraz: jest słoń-  
eczny, wiosenny dzień, matka bieli zszarzałą w marcowych  
szarugach chatę. Siedzę na progu, wystawiając twarz do  
słońca. Nagle zrywam się, jakby mnie giez ukąsił. W rado-  
snym szale zrzucam z kolan kota, gubię rozdeptane matczy-  
ne walonki. Bose pięty kłapią po wilgotnej, chłodnej ścieżce.

W przelocie miga biała ściana chaty, brązowozielone kitki kwitnącego lubczyka, czerwone kielki piwonii, które rozpychają się w zeszłorocznej trawie, jabłoń obsypana delikatnym różowym kwieciami jak przybrana kolorową wata świąteczna choinka. Pędzę na złamanie karku, byle dalej od zimowej martwoty, od gniewnego matczynego krzyku...

Zainkasowawszy niezłe lanie, znów siedzę na progu, z kotem na kolanach. Kotu można policzyć wszystkie żebra, ale sierść ma jak aksamit. Słońce zlizuje mi z policzków krokodylowe łyzy i ująwszy w ciepłe, niemal palące dłonie, łagodnie kołysze. Oparłszy głowę o futrynę powoli zanurzam się coraz głębiej w fale snu...

Nagle próg wraz ze mną zaczyna podskakiwać jak wóz na jesiennej grudzie... Otwieram oczy, przed sobą widzę piec, uprzytamniłam sobie, że jestem u wujostwa, a dziecinne przygody i matczyna chata to tylko sen. Gwałtowny wstrząs rzuca mnie o ścianę. W tej samej chwili w czeluściach pieca rodzi się głuche dudnienie, gliniana skorupa wybrzusza się i nagle pęka z hukiem, strzelając chmurą dymu i popiołu. Jak w koszmarnym śnie staczam się z legowiska i padam na podłogę, obok łąduje z trzaskiem drewniana pokrywa pieca. Zapala się światło. W drzwiach staje drżąca i blada jak śmierć ciotka Dora w długiej nocnej koszuli. Z sionki drecze pośpiesznie dziadek Jewraś.

— Dokąd ci tak pilno, pieska twoja niebieska, waryjoku głupi — mamrocze udając niezadowolenie, ale bez złości, jakby karcił rozbrykane dziecko. — No, no, nie szalej; zaraz cię uwolnię...

Ale już nie było trzeba nic „uwalniać”. Poszturchawszy pogrzebaczem w czarnych czeluściach, dziadek wyciągnął blachę, na której babka prażyła zwykle pestki z dyni. Na blasze wśród kawałków przepalanej gliny, popękanych drucianych obręczy i resztek węgla rozkwitał czysty jak iza, zielonkawy kufel do piwa, kropka w kropkę — fabryczny. Dziadek rzucił ciotce triumfujące spojrzenie.

— Zagrałem atutem. I to jakim! Żyła złota! Szykuj pończochę na pieniądze — w ten kufel, jak byś nie dolewała, wejdzie zawsze trzy napastrki mniej niż w oryginalny. Szkło grubsze. Ale znak fabryczny jak byk, o, proszę, żadna kontrola się nie przyczepi. Napiekę ci tych kufli, ile chcesz. A tak i mój syn, żeby żabami biło, do Pakułów własnym autem pojedzie!

Rozjaśniony wzrok ciotki pobiegł w stronę pustej ściany na pokuciu...

Dzwonek na dużą przerwę wystrzelił mnie z klasy. Przez dwa długachne korytarze pobiegnę na parter, skąd niosła się miodno-tłusta woń pierożków z powidłami. Nie da się ukryć: czułem do tych pierożków nieprzewycięzoną słabość. Ludzka rzecz, choć nieraz z tego powodu pogardzałem sobą głęboko. Ogonek sięgał zaledwie progu jadalni, więc ustawiłem się na końcu, szczęśliwy, bo smakołyki były tanie i zawsze sporo łakomców odchodziło z kwitkiem. Wspinając się na palce zerkałem tęsknie w kierunku bufetu, gdzie w wiklinowym koszyku piętrzyła się hałda rumianoliczych pierożków. Każdy matczyzny przyjazd pomnażał mój pierogowy fundusz; w kieszeni rozkosznie szeleścił calutki rubel. Rozterka, acz bolesna, była krótka, a odwoływanie się do wrodzonego pakulskiego centusiostwa — daremne: rubel zamienił się na dwa pierożki. W przepelnionej jadalni nie było warunków, żeby swobodnie pogapić się na ulicę, po której płynął barwny ludzki potok, i spokojnie napełnić duszę słodkością. Wszedłem na korytarz.

Jeszcze nie zdążyłem zamknąć drzwi za sobą, kiedy zobaczyłem ją, dziewczynę z kalendarza. Szła skupiona, z zaabsorbowaną miną, trzymając pod pachą rolkę kalki kreślarskiej — widocznie wracała ze szkolnego magazynu. Spotkanie było tak niespodziewane, że chociaż wielokrotnie je sobie wyobrażałem, stanąłem jak wryty na środku korytarza, wlepiając w nią nieprzytomne oczy. Na nic innego nie było mnie stać w tej chwili. Dziewczyna przeszła koło mnie jak koło słupa albo kamienia, który nie wiadomo dlaczego znalazł się nagle na szkolnym korytarzu. Nagle kąci-ki jej cienkich, wyraźnie zarysowanych ust drgnęły, w oczach zamigotał kpiący błysk, ale spojrzenie pozostało czujne, uważne.

— Dzień dobry!

Czułem się jak rak, którego znienacka wrzucono we wrzątek, a on, na wpół oślepy, usiłuje wspiąć się na śliską ścianę garnka.

— To pani do nas? Byłem przekonany, że chodzi pani do jakiejś innej szkoły. Dlaczego dotychczas nigdzie pani nie widziałem? Z moimi oczami coś niedobrze, dawno powinie-



nem nosić okulary, ale jakoś nie mogę się wybrać do okulisty. A pani gdzie dawała robić swoje? W rynku czy koło stacji? Do rynku mam bliżej, ale nie wiem, czy przyjmują zamówienia...

Nie panowałem nad sobą, bełkotałem coś bez ładu i składu, jakobym odbębnił jakieś idiotyczne ćwiczenie z rozmówek niemieckich, a ona przyglądała mi się poważnie i badawczo — jak kolonii mikrobów pod mikroskopem. W tej chwili przypomniałem sobie o pierożkach, które ciągle jeszcze ściskałem w spoczonej dłoni. Moje oblicze i bez tego czerwone niczym malinówka z ogrodu Słomianków, spłonęło szkarłatnym wstydem, aż dziewczyna cofnęła się o krok, instynktownie zasłaniając się kalką. O losie, przypadku, siło grawitacji czy jak cię tam jeszcze zowią — szeptałem w duchu — jeśli istniejesz, spraw, żeby te pierożki, co żywym ogniem palą mi dłoń, ulotniły się gdzieś i znikły mi z oczu... Pierożki drgnęły i trzepocząc skrzydełkami wyfrunęły przez otwarty łufcik. Kątem oka zobaczyłem, jak siadają na pobliskiej topoli, strząsając z gałązek białą sadź.

— Co panu jest? — ozwała się nagle dziewczyna, która także z zainteresowaniem śledziła lot pierożków. — Zakochał się pan we mnie? — zapytała surowym, chłodnym tonem.

— Właśnie... — westchnąłem z bezradną pokorą.

Dwie błękitne kokardy kiwnęły ze zrozumieniem głową, podłuższa fałdka między brwiami zmarszczyła się z powagą i całość wolno pozegłowała korytarzem, rozsuwając tłum ośmioklasistów jak rzęsę na stawie. Sunąłem za nią, nie odrywając oczu od ziemi. Tak dotarliśmy do schodów, które prowadziły na piętro. Dziewczyna zatrzymała się i szeleszcząc kalką rzekła rozsądnie:

— Według moich obserwacji zakochanie to nic innego, jak arytmia systemu nerwowego. Niewątpliwie mamy tu do czynienia z momentami rezonansu, swoistej detonacji — jest to proces chorobliwy, stosunkowo mało zbadany. Mam zamiar zająć się nim na trzecim roku medycyny; myślę, że będzie to również temat mojej pracy doktorskiej. Już wkrótce ten patologiczny skurcz ośrodków nerwowych można będzie równie łatwo neutralizować za pomocą najzwyklejszej tabletki, jak już dziś na przykład analgin łagodzi bóle newralgiczne. Przepraszam, a pan kim chce zostać?

Milczałem, zdruzgotany, ukrzyżowany przez własną niepozorność. Po dramatycznym krachu rojeń o karierze teatral-

nej nie zamierzałem nikim zostać; może od biedy kierowcą taksówki — widziałem kiedyś na postoju taksówkarza zagłębionego w jakiejś lekturze.

— Proszę się nie przejmować, z czasem i pan nabierze pewności siebie, ale na to trzeba trochę poczekać. Podstawowy problem to retardacja rozwoju osobowości. — Wchodziliśmy po schodach; szkołę wypełnił przenikliwy głos dzwonka, mimo to głos dziewczyny był nadal równy i opanowany: — Przyznam, że u wielu moich rówieśników obserwuję pewną dozę infantylizmu. Można zaryzykować tezę, że jest to charakterystyczne dla naszego pokolenia. Przez infantylizm rozumiem zresztą nie tyle retardację rozwoju, ile raczej dominację sfery emocjonalnej nad konstrukcjami racjonalnymi w psychicznej aktywności organizmu. Zgadza się pan ze mną?

Zdoylem się zaledwie na nieme kiwnięcie głową. Jakaż ona mądra! Tymczasem korytarze pustoszały, nauczyciele z dziennikami klasowymi przebiegali koło nas. Od strony pracowni chemicznej, taszcząc komplet kolorowych probówek człapała chemiczka, z którą akurat mieliśmy lekcję. Odprawiany jej oskarżycielskim wzrokiem, z pokorą, jak zahipnotyzowany, wlokłem się za dziewczyną z kalendarza. W ten sposób doszliśmy pod drzwi IXa (jednak to ona dzwoniła na uroczystym apelu przed rozpoczęciem roku szkolnego!). Dziewczyna zatrzymała się i obrzuciła mnie badawczym, pełnym współczucia spojrzeniem lekarza:

— Proszę traktować swoje uczucia jak przypadek wymagający leczenia. Odpowiedzieć na pańskie uczucia nie będę mogła nigdy — Kocham innego. Rozumiem, że sprawia panu ból, ale moim obowiązkiem jest powiedzieć prawdę. Tak. Kocham innego, ale jest to miłość równie beznadziejna jak pańska do mnie. Jego dych buja na takich wyżynach i tak bez reszty pochłaniają go odległe galaktyki, że nigdy nie zniży się do ludzkich słabości. Zresztą ja sama, właśnie z racji swoich uczuć, nie mogłabym się na to zgodzić. Ponieważ jednak oboje jesteśmy nieuleczalnie chorzy, może się pan ze mną umówić — infekcja będzie miała lżejszy przebieg i prędzej wróci pan do zdrowia. Jutro mam odczyt w instytucie, pojutrze — konferencję teoretyczną klas dziewczętych, sobotni wieczór — wolny. Po szkole idę na ślizgawkę. Proszę czekać na mnie o szóstej na bulwarze pod zegarem, ale jeden warunek: potem opowie pan, co pan czuł czekając na mnie.

Taka malutka ofiara na ołtarzu nauki; mam nadzieję, że nie będzie to zbyt ciężki obowiązek. Już teraz zbieram materiały do przyszłej rozprawy doktorskiej...

Mówiąc to znikła w drzwiach klasy. W podskokach puściłem się korytarzem. Odrzuciwszy plewy, z całego przemówienia zapamiętałem tylko jedno: umówiła się ze mną w sobotę, o szóstej, na bulwarze pod zegarem... Z promienną miną wkroczyłem do klasy. Chemiczka spojrzała na mnie łagodnym wzrokiem inkwizytora i powiedziała:

— Klawa Łytwyn z IXa. Ładna dziewczyna i prymuska, ale czy to jest powód, żeby się zjawiać po dzwonku?

W klasie rozległ się najpierw chichot, potem wesoły śmiech, a wreszcie radosny rechot. Śmiertelnie zraniony, zniechęciłem chemię do końca życia.

Sobotnie lekcje przesiedziałem jak na szpilkach, a w końcu urwałem się z godziny wychowawczej. Bałem się, że gadatliwa wychowawczyni nie usłyszy dzwonka i spóźnię się pod zegar.

Bulwarem leciały kłęby śniegu; kłujący wiatr wiązał je tęgimi powróżkami i rzucał w zasy jak snopy na stertę. Było piętnaście po piątej. Zdawało się, że duża wskazówka przymarzała na amen do ośnieżonego szkła, a kiedy wreszcie drgnęła, jej ruch przypominał skoki przytalonego w trawie pasikonika. Wtedy moje serce także podrywało się i spadało gdzieś w przepaść. Pomny nakazu, z uwagą wsłuchiwałem się w swoje uczucia, analizując je i karbując w pamięci — podobnie lekkoatleta na treningu mierzy sobie tętno, by po biegu zdać sprawę trenerowi i lekarzowi. Ale na dobrą sprawę odczuwałem wyłącznie strach, że ona nie przyjdzie, tylko gdzieś na dnie duszy kołatała się wąta nadzieja. Nie były to jednak konkretne obrazy przyszłego wspólnego szczęścia, raczej daleki odblask, złudny i obiecujący, niczym luna nad miastem wabiąca samotnego, znużonego wędrowca. Wszystko zaś razem — lęk, marzenia o przyszłości, zazdrość o cały świat, nawet o nauczycielkę, która teraz przemawia do mojej dziewczyny z kalendarza — stapiało się w tępy ból, którego źródła trudno było zidentyfikować. Miałem wrażenie, że cały jestem dziwnie obolały. Może tak właśnie wygląda cierpienie duszy? O cierpieniu często wspominała matka, ale dopiero dziś po raz pierwszy je odczułem. Wiedziałem już, co będę miał do

powiedzenia dziewczynie o mądrych, chłodnych oczach. Powiem po prostu: „Miłość — to kiedy dusza boli...”

Duża wskazówka przystanęła na dwunastce, zarejestrowała godzinę szóstą, a potem ześliznęła się w dół i zaczęła skakać po cyfrach jak po schodkach, teraz na odmianę nieprawdopodobnie szybko. Dziewczyny ciągle nie było; dzień niknął w oczach, jakby światło kroplami skapywało w gęstniejącą ciemność. Wieczór rzeczowo pozapalał latarnie na bulwarze, prószący śnieżek siał się przez świetliste smugi jak popiół z wolna dogasającego ogniska. Znienacka usłyszałem władczy głos:

— Prosimy do nas!

Świat poweselał, zapłonął, jakby nad miastem wystrzeliły fontanny tęczowych rac. Po przeciwnej stronie bulwaru jak na bajecznie kolorowym, ruchomym ekranie ujrzałem Kławę w jasnoczerwonym narciarskim kostiumie, ze sportową torbą na ramieniu.

Na łeb na szyję rzuciłem się przez jezdnię, nie bacząc na hamujące z piskiem autobusy i tknięte nagłym paraliżem taksówki, głuchy na przekleństwa kierowców i przenikliwe gwizdki milicjanta. Na drugim brzegu asfaltowej rzeki Kława wzięła mnie za rękę i razem pobiegliśmy bulwarem, uciekając od tego całego zamieszania i śmiejąc się bez powodu. Dopiero w wąskiej uliczce prowadzącej na stadion spostrzegłem, że nie jesteśmy sami: Kławie towarzyszyło jeszcze czterech chłopców. Jednym z nich okazał się genialny teoretyk Sławko Pasiecznik.

— Ludzie przyszłości będą mieli prawo przekraczać jezdnię w niedozwolonych miejscach, dopiero gdy oddadzą swój intelekt do ogólnej puli — zaczął tokować Sławek, z trudem łapiąc oddech po ostrej stumetrówce. — Intelekt, czyli ładunek emocyjno-informacyjny można będzie oddawać tak, jak na przykład teraz krew. Intelekty będą potrzebne dla cyborgów, czyli ludzi-robotów, następnego stadium ewolucji człowieka, na ogół zresztą nie za dobrze skonstruowanego. A w ogóle, ciągoty do samobójstwa w szczytowych momentach emocjonalnych, wywołanych chorobliwym rezonansem jednego zamkniętego obwodu na impulsy przesyłane przez drugi, równie hermetyczny system, są cechą indywiduów niezupełnie doskona...

— A dlaczego pan nie ma łyżew? — przerwała te zazdrośne wywody dziewczyna z kalendarza, zwracając się do mnie.

— Biegać w kółko jak wiewiórka w klatce albo koń w kieracie... — zaśmiałem się z odrobiną wyższości, z góry przygotowany na to pytanie. — W dodatku lód tu macie posiekany jak stara stolnica. U nas, pod Pakułami, jezioro — okiem brzegu nie sięgniesz. Człowiek mknie jak na skrzydłach, nie czuje, że ma nogi, tylko wiatr w uszach gwizdże...

— Zmarznie pan, stojąc bez ruchu... — w głosie Kławy niespodziewanie zadźwięczały ciepłe nutki.

— Odprowadzę was tylko i polecę, jestem umówiony z Kuźmą Powrósem, mamy dziś próbę, przygotowujemy monolog z „Fausta” na olimpiadę okręgową, organizujemy nowy teatr, w którym będziemy występować, właśnie szukamy oryginalnego rozwiązania przestrzeni scenicznej i coś nam już świta, ale to jeszcze masa roboty...

Aż do bramy stadionu twarz mi się nie zamykała. Nawet Sławek umilkł przytłoczony potokiem mojej wymowy; potem oni poszli się przebrać, a ja utknąłem w śniegowej zaspie na skraju oblodzonej dróżki.

Kława zatrzymała się przy mnie na chwilę wracając z szatni. Suchy, skrzący śnieżek haftował na biało czerwoną czapczkę i wymykające się spod niej pasemko włosów, osiadał na wysokim czole, nienaturalnie bladym w drgającym świetle neonówek i na szklach okularów. Potem podjeżdżała jeszcze raz i drugi, podniecona, szczęśliwa, ale nie było kiedy nawet słowa zamienić; kolorowa, zmieniająca się jak w kalejdoskopie karuzela wciągała ją z powrotem, zresztą całą swoją duszą dziewczyna była tam, zauroczona nieustannym ruchem. Za każdym razem zadawałem sobie gwałt, wypuszczając ze swoich zgrabiących rąk jej ciepłą dłoń, potem znów zostawałem sam, niechętnie ustępując drogi porządkowemu, który szeroką szuflą rolował lodowisko jak zwój płótna. Coraz głębiej usuwałem się w cień szatni. Śnieg padał i padał, zaspą robiła się coraz wyższa.

„Czas iść, czas iść...” — słyszałem szept swoich warg, które z wolna pokrywały się cienką warstewką lodu, ale oczy nie mogły się oderwać od purpurowej, lekkoskrzydłej jaskółki, unoszącej się tuż nad lodową taflą, w której odbijały się refleksy światła. Od czasu do czasu purpurowy ptak pozwalał się złović przez kolorowy arkan pohukujących i gwizdzących chłopców, którzy ujawszy się pod ręce przepłaszali mniej sprawnych łyżwiarzy i szeroką ławą sunęli przez całe lodowisko. Czerwony kostium migał na końcu ogromnego węża,

za chwilę był już na czele, ciągnąc za sobą wijące się cielsko. Tylko przez okamgnienie mogłem w świetle latarni ułović zarys jej twarzy, rozgorączkowanej i szczęśliwej, dalekiej i obecnej, a jednocześnie rozpaczliwie kochanej. Bezwolnie stałem w rosnącej zaspie. Buty na gumowej podeszwie powoli sztywniały, stając się podobne do drewnianych wiejskich łyżew, wzmacnianych drutem, które sznurkiem przywiązywało się do walonków. Były to jedyne łyżwy, z jakimi się dotychczas zetknąłem; na takich łyżwach zjeżdżałem ścieżką spod studni do leszczynowych wrót naszego obejścia.

Niebawem zupełnie straciłem czucie w stopach. Miałem wrażenie, że zamiast nóg mam dwie długie żerdzie, na których my, chłopaki, forsowaliśmy jak na szczudłach wiosenno-jesienne roztopy pakulskich ulic. Śnieg padał ciągle, obfity i puszysty, zaciągając nad lodowiskiem niby tiulową, coraz gęściejszą zasłonę. Czulem, że moja świadomość coraz wolniej reaguje na impulsy z zewnątrz; po jej gasnącym, matowiejącym ekranie przesuwał się jeszcze tylko świecący jak grudka żaru ognisty punkcik — to była ona, Kława, w swoim czerwonym kostiumie. Zresztą całe moje ciało sztywniało, stawało się jakieś obce, jakby uśpione. Tak właśnie usypia w śnieżnej zaspie pod lasem odarta z ostatnich liści żółto-czerwona kalina...

Zbudził mnie do życia donośny, kolorowy świergot sikorek na topolach i szczebiotliwy gwar wróblej zgrai na płycie stadionu, gdzie wśród niebieskich lodowych brył ciemniały już przetykane żdźbłami trawy kałuże tającego śniegu. Wszędzie słychać było szuranie łopat. Brudnoszary śnieg, mechaty jak oszołomiona słońcem ćma, smętnie nikał w oczach, uwalniając moje ciało z lodowatych objęć.

Już tylko do pasa tkwiłem w zaspie, mrużąc zaspane oczy w łagodnej pieszczocie słońca. Spod szatni podejrzliwie zerkali na mnie zamiatacze, zbrojni w łopaty i miotły. Wygrzebałem się z zasy i nonszalancko wymachując teczką poczłapałem wzdłuż zamienionej w bajoro ślizgawki.

W mieście królowała wiosna. Asfaltowe chodniki parowały, wzdłuż krawężników ciurkała woda, ludzie chodzili w lekich, porozpinanych płaszczach, na bulwarze pod zegarem sprzedawano przyłasczki. Powoli przychodziłem do siebie. Wypełniało mnie uczucie radości, zupełnie zdawałoby się nie-

uzasadnionej, z początku nieśmiałej, potem coraz gorętszej, niemal dotykanej, upojnej. Kiedy z daleka ujrzałem szkołę wznoszącą się jak biały, wyłoczony wiosennym słońcem statek, źródło radości stało się oczywiste: cieszyłem się, że znów wracam do szkoły...

Zegar wskazywał piętnaście po pierwszej — za kwadrans powinien być dzwonek. Pędem rzuciłem się w stronę bramy. Po słonecznym ukropie ulicy miałem wrażenie, że w szatni panuje półmrok; powiesiwszy wilgotną kufajczykę, długo stałem przed lustrem, rozczesując palcami nastroszone kudły. Biegłem po schodach jakby to był tor wyścigowy, gnany nadzieją, że jeszcze zdążę złapać ją na korytarzu. Na samą myśl o tym serce wyskoczyło mi z piersi i popędziło naprzód, skacząc po stopniach jak purpurowa piłeczka...

Rozległ się dzwonek. Zdażyłem tylko rzucić teczkę na ławkę i już wychowawczyni poprowadziła nas na apel starszych klas. Tłum uczniów zagarnął mnie, wtłoczył w opłatki surowych spojrzeń nauczycieli i wciągnął do auli.

W auli stały już wszystkie dziewięte klasy od a do e. Dziesiąte, uszeregowane wzdłuż podium, popatrywały na nas z góry, jakby z wyżyn zbliżających się egzaminów końcowych, które jak miecz Damoklesa zawisły im nad głową. Osme tłoczyły się przy wejściu, bojaźliwie, niepewnie jak stado owiec w zagrodzie. Nas poprowadzono wzdłuż podium, usłyszeliśmy komendę „w prawo zwrot” i nareszcie ujrzałem ją, dziewczynę z kalendarza: stała w pierwszym rzędzie, trzecia od brzegu, wśród takich samych poważnych okularnic-prymusek, klasa a była wszak klasą wzorową.

Ale teraz to, że były do siebie tak podobne, jakby zeszyły z jednej taśmy produkcyjnej, było im całkowicie obojętne: widziałem tylko Kławę, uśmiechała się do mnie na powitanie, choć śmiały się tylko kąciki ust, oczy, jak przystało na ogólnoszkolnym apelu, patrzyły uroczyście i surowo. Następnie padła komenda: „dwa kroki w tył” i klasa cofnęła się sprawnie jak maszyna — z wyjątkiem mnie. Zapomniawszy o bożym świecie, stałem jak słup, wlepiając oczarowany wzrok w dziewczynę z kalendarza. W uszach mi dzwoniło, krew waliła w skroniach, serce zamierało, jakby za chwilę miało stanąć na zawsze. Z tyłu już zaczynały się chichoty. Kława splonęła rumieńcem i gniewnie zagryzła wargi — na salę wkraczał właśnie dyrektor wraz ze świtą zastępców —

poczułem, że ktoś ciągnie mnie za przykusą marynarczynę i jak kukłę ustawia w szeregu.

Ale i z nowego miejsca widziałem tylko Kławę. Stała po drugiej stronie parkietu, na który jak na lśniące wody rzeki już wpływał dyrektor, prawiąc coś niewątpliwie ważnego na temat wiosny, dyscypliny i zewnętrznego wyglądu uczniów starszych klas. Dopiero gdy zatrzymał się przy mnie, zauważyłem jego czarny garnitur z bostonu, wspaniałe krawaty, surowe spojrzenie — jeszcze chwila, a poprosiłbym go, żeby zechciał przesunąć się kawałek, by nie zasłaniał mi dziewczyny z kalendarza. Do mojej świadomości dotarły ostre, nabrzmiałe złością słowa:

— Rzeszoto! Kazałem ci wystąpić z szeregu!

Posłusznie jak automat zrobiłem dwa kroki w przód: dyrektor z wolną obszedł mnie wokoło i wróciwszy na poprzednie miejsce zagrzmiął:

— Kiedy ostatni raz się strzygłeś, Rzeszoto?

Stałem bez słowa wracając do rzeczywistości; czułem, jak sztywnieję ze wstydu, który żelazną obręczą ścisnął mi rozpaloną głowę; przez szeregi dziewięcioklasistów przelatywały śmiechy, zza lodowych tafli okularów Kława patrzyła na mnie potępiająco. Metalicznym, zjadliwym głosem dyrektor rozbierał mnie przed stu pięćdziesięcioma parami oczu, uradowanych nieoczekiwanym przedstawieniem.

— Pokaż no rękę, Rzeszoto...

Wstrzymując oddech, pokornie uniosłem dłonie z drżącymi łodygami palców, zakończonych wypukłymi jak napastrki długaczynymi paznokciami o szerokich czarnych obwódkach — dowód zimowania w zaspie koło lodowiska. Dyrektora wprost zatkało.

— Zabraniam ci, Rzeszoto, w takim stanie pokazywać się w szkole! Nie, spójrzcie tylko! Odwróć się, odwróć, niech ci się przyjrzą... I to ma być uczeń dziewiątej klasy wyrajskiego gimnazjum? Toż to, przepraszam za wyrażenie, istny strach na wróble! Mógłbyś przynajmniej dziewcząt się wstydzić, chłopu prawie węs się sypie... Wyjdz, Rzeszoto! Niech to będzie nauczka dla każdego, kto niechlujnym wyglądem zhańbi dobre imię naszego kolektywu.

Na drewnianych nogach, potykając się na lustrzanym parkiecie, powlokłem się do drzwi i znalazłem się na skąpanej w wiosennym słońcu ulicy. Co za upadek! Co za wstyd! i to



na jej oczach! Teraz pozostał mi już tylko ostatni akt ziemskiej tragedii: skończyć z sobą.

Miałem wrażenie, że oczy przesłania mi gęsty czarny welon, obrzeżony — niczym słoneczna tarcza w godzinie zaćmienia — płomienną koroną. Obok mnie przesuwały się jakieś cienie, majaczył obcy, daleki świat, niepojęty w swojej cielej radości i bezsensownej krzątaninie; szedłem skroś niego jak przez dym (opary śmiesznych złudzeń, ziemskich ponęt, dzieciennych nadziei i marzeń o przyszłości). Kroczyłem ciężko, ale uparcie, z wyrazem zaciętej rezygnacji na pełnych chłopięcych wargach, z twarzą zamkniętą przed światem i ludźmi na wszystkie spusty. Warkot autobusów i samochodów, szuranie butów po asfalcie, powszedni gwar tłumu i wrzask oszalałej wiosną dzieciarni przepływały obok mnie jak szare kłęby mgły. Zmienacka zapachniało rozgrzaną ziemią, tającym śniegiem, jakimś cudownym, wiosennym koktajlem brzoźowych, topolowych i klonowych pąków, a zaraz potem zapachniała rzeka.

Z wysokiego, obrzeżającego Newklę wału — <sup>★</sup>starego jak świat, jak ja sam, jak moja miłość do dziewczyny z kalendara, jak mój ból i mój wstyd, a może jeszcze starszego — patrzyłem na wolną od lodu, wezbraną, zajmującą chyba połowę świata rzekę. Na horyzoncie szarzały łąki. Wyzwolone z zimowych okowów fale niosły na grzbiecie niebiesko-białą krę, rozbłyskującą w słońcu jak odłamki kryształu. Lodowe pola sunęły z cichym, monotonnym szelestem, znikając na krótko pod stromym urwiskiem wału — tak w przygodowym filmie przesuwiają się widoki oglądane z okien mknącego ku nieuchronnej katastrofie samochodu.

Czarne, w oddali niebieskawe, wygięte ramię wału było puściuteńkie, tylko wśród klonów majaczył jak senne widziało gipsowy odlew wyciągniętego w wysokoku do piłki koszykarza. W owej chwili nie myślałem o tym, że śmierć to fizyczne cierpienie; śmierć — zdawało mi się — to krótki jak błysk flesza lot w urwistą przepaść rzeki, to zapomnienie. Oni wszyscy tam, w szkole zdębieją, jak się dowiedzą, a ona, pędząc przed sobą zdyszane dni, wciąż będzie robiła sobie wyrzuty za tamten potępiający błysk oczu...

Nie spiesząc się szedłem wzdłuż betonowej balustrady. Z owalnego placyku roztaczał się wspaniały widok. Głęboko w dole wiała się ciemnoniebieska wstęga wezbranej rzeki. Jesz-

cze jedna runda wokół placyku — runda pożegnania, runda przebaczenia. Przed zrezygnowane oczy powracała natrętnie panorama Wyraju, jak niepożądana ilustracja w książce, którą na parę godzin udało ci się wyprosić w bibliotece, a teraz musisz oddać nie przeczytaną. Stojąc przy stoliku bibliotekarki, pospiesznie przebiegasz jeszcze oczyma stronę, na jakiej przypadkiem otworzyła się książka. Na nowo zainteresowany, z przejściem odwracasz następną stronę, potem jeszcze jedną, w końcu nie możesz już się oderwać. Z kolejki słychać niecierpliwe psykania, bibliotekarka wyciąga rękę po książkę, na zegarze w korytarzu bije ósma, pora zamykać czytelnię...

Wyraj leżał przede mną jak zbyt duża klisza, kiedy ją odbić na za małej kolumnie. Rycina nie mieści się wtedy na stronie, wchodzi w marginesy, łamiąc podstawowe normy zadruku — tutaj obraz przelewał się przez horyzont i ginął w migotliwej dali południa. U podnóża obwałowań tłoczyło się śródmieście: widać było mrowisko kolejowej stacji, białe szescianiki biur, teatrów i szkół, budynki fabryk i zakładów. Niepostrzeżenie, niczym regularny ogród rozlewający się w nie uporządkowaną łąkę, wyraźnie zarysowane kwadraciki przechodziły w chaotyczne, tajemnicze labirynty Kukurykówki, znaczone tylko niewyraźną linią parkanów, zaułków i obejść. Nagle zakręcił mi w nosie słodki, chciałoby się rzec aż gęsty zapach truskawek, przyprawiony gorzką, leśną wonią żywicy. W oknach, między kwitnącym geranium i delikatnymi listkami nasturcji uśmiechały się wylizane do połysku, wąsate koty; za omszałymi parkanami miękko tłukły o ziemię jabłka. I właśnie tam, pod jakimś płotem, w zacisznym, osłoniętym od wiatru zakątku, wieczność zniecka potrafiła objawić ci swoją nabrzmiałą słońcem tajemnicę. Nocami na kukurykowskich antenach przysiadają zmęczone gwiazdy i ucinały sobie krótką drzemkę...

Czułem, jak ogarnia mnie przemożne pragnienie, aby odkryć światu Kukurykówkę, przewędrować ją z krańca w krąnec, odnaleźć się w plątaninie uliczek, ślepych zaułków, zakamarków, przesmyków, wśród starych dworków, ogrodów, pagórków, cmentarzy, sadów, glinianek, pustkowi, łąk i wąwozów, którymi ongiś płynęły rzeki. Mrok spowijający moją duszę jakby trochę pojaśniał; czułem, że mogę głębiej odetchnąć, poruszyć się. Pewność, że tylko ja potrafię opisać Kukurykówkę, sprawiła, że w mojej świadomości, sparaliżowanej

zajściem w auli, zaczęło kielkować podejrzenie, że mimo wszystko jestem coś wart i świat może mnie jeszcze potrzebować, co z kolei przekreślało sam zamiar i odbierało jakikolwiek sens mojej śmierci. Ogromne wzruszenie, przecucie czegoś ważnego, co jeszcze na tym padole miało się stać udziałem Mychajła Rzeszoty, gorącą falą podeszło mi pod serce, uniosło na oszałamiającą wyżynę. W głowie huczały mi dzwony, miałem wrażenie, że łuska spadła mi z oczu: świat jawił się bliski i wyrazisty jak album czarno-białych zdjęć, które kadrował jakiś bardzo nowoczesny artysta fotografik...

Osunąłem się na kolana i klęcząc na rozmiękłej ziemi zacząłem szeptać, jakbym powtarzał matczyne zaklęcia:

— Przysięgam wam, moje Pakuły, rzeki moje — Żerelu, Żywcu, Newkło — przysięgam ci, Wyraju, i tobie — ziemio ojczysta, i tobie — przyszłości moja, że póki będę mógł coś sensownego zdziałać na tym świecie, nigdy nie targnę się na swoje życie, owszem, będę pracował, ile sił.

Miałem chyba łzy w oczach, byłem wzruszony i bardzo szczęśliwy. W takich chwilach żadne słowo nie brzmi zbyt patetycznie i zasługuje na coś więcej niż na ironiczny uśmiech.

## PRZELOTNE PTAKI

Pędziliśmy na wyścigi jak niedowarzeni piątoklasiści przez szary szkolny korytarz; za nami patrzył z wyrzutem kulawy nauczyciel rysunków — dobry, cichy człowieczek. Na łeb, na szyję wyskoczyliśmy ze szkolnego ganku wprost w migocącą rzekę słońca; ocierając z twarzy słoneczne krople, poszliśmy w kierunku bulwaru, który jasnozieloną wstęgą topolił się pod wysokim niebem. Klomby wyciągały do nas fioletowe od kwitnącego bzu łapy, pod którymi jak czerwone latarenki płonęły młodziutki tulipany. Nagrzana miastowa ziemia pachniała odurzająco, jak potrafi czasem pachnieć haftowana młodą trawą wiejska przyzba, kiedy woń świeżo bielonych ścian miesza się z natrętnym, przenikliwym, wszechobejmującym tchnieniem zieloności.

Na samą myśl o klasie, o grafionach, linijkach, ekierkach, o rzuconym na arkusz brystolu spiralnym przekroju nakrętki,

robiło się nam mdło; korciło nas, aby dokąds iść, jechać, lecieć, płynąć, aby coś robić, czegoś szukać. — Gorące pragnienie ruchu, zmiany, niepokojąca bliskość własnej dorosłości przedziwnie łaskotały i trwożyły.

— Ech, na ugory by... — odezwał się półgłosem Andrij Parowożnik. — Wsiąść do pociągu i... tu-u-tu. Traktory remontować. Można by cybernetycznego traktorzystę wykombinować. Gdzie spojrzysz — równina, pola — że okiem nie sięgniesz. Wystarczy zakodować minimum informacji i jeden cyborg dziesięć maszyn może prowadzić. Mam pomysł...

— Wiosna, wzmożone oddziaływanie ziemskiego pola magnetycznego, prawo wzajemnych wpływów i nie kontrolowane napięcia w obwodzie naszego pola elektrycznego... — rozsądnie zauważył Sławek Pasiecznik. — Ale nawet mnie, którego uważacie za bezdusznego teoretyka, także ni stąd, ni zowąd zachciało się popływać w jakimś marsjańskim kanale, jeśli taki oczywiście istnieje, i to bez skafandra, rozchlapując bosymi nogami ciepłą marsjańską wodę. Zresztą...

Z wiosną coraz bardziej ciągnęło mnie do Pakułów. Zdarzało się, że w ulicznym tłumie albo na skrzyżowaniu, pod czerwonym światłem dla pieszych, stawałem nagle bez ruchu, węsząc chciwie słodko-kwaśną woń świeżo odtającej ogrodowej ziemi. Kiedy indziej znów wśród szarych wyrajskich kamienic zwidywała mi się matczyna chata: właśnie zachodzi słońce; ze strzechy wyszywanej ciemnozielonym mchem ścieka czerwonymi strumyczkami gasnący dzień. Nocami potrafiłem budzić się z byle powodu, miałem wrażenie, że skacząc przez kałuże i chwytając się płotów, biegnę grząską ulicą w kierunku naszego obejścia; przed koślawymi wrotami stoi moja święta matka w szarej wytartej kufajce i zwraca ku mnie swoją jasną twarz...

— To co, idziesz z nami? — klepnął mnie po ramieniu Andrij Parowożnik. Posłusznie podniosłem się z ziemi. Przodem kroczył energicznie Sławko; jego wydłużony cień niczym stalowa klinga rozkrawał wyrajski rynek ujęty w kaganiec bruku. Szliśmy nad Newklę. Miasto deptało nam po piętach, wygrażało kamiennymi pięściami, opłatywało siecią drutów, zastawiało drogę rzędami samochodów o zimnych, szklanych oczach; domy bieżyły na wypródki, wyrastając przed nami jak grzyby po deszczu; łodziarze natrętnie łapali nas za poły; dokoła rozlegały się potępiające gwizdki milicjantów...

Siedzieliśmy w szerokiej, płaskodennej łodzi. Był to najprawdziwszy barkas, który pod zastaw szkolnych teczek pożyczaliśmy od stróża na przystani. Zielonymi słómkami wiosł zgodnie spychaliśmy za siebie obrzydły brzeg. Wezbrana Newkla wzięła łódź na falujące plecy i spokojnie, lecz władczo uniosła z prądem. Z wiosł spływały złociste krople; bezszelestnie, jak we śnie, wymykaliśmy się z pagórkowatych objęć miasta, które mogło już tylko bezsilnie śledzić nas tyśiącem okiennych oczu. Mijaliśmy małe przystanie wysuwające w rzekę błękitnozielone łapki spiętych łańcuchem sportowych łódek, pozostawiliśmy za sobą dużą miejską przystań, seledynowy brzeg, na którym piętrzyły się góry wyładowanej z barek białej kredy i brązowy topolowy zagajnik czarno cętkowany gawronimi gniazdami. Przed naszymi oczyma otwarł się srebrzystoniebieski bezkres stojących pod wodą łąk. Niebo przekreślał koronkowy łuk mostu kolejowego. Milczeliśmy wzruszeni i oczarowani widokiem wysrebrzonej słońcem wodnej przestrzeni, równie promiennej i nieograniczonej jak nasza „dorosła” przyszłość i tak samo przyjaznej i pełnej wspaniałych obietnic szczęścia i radości. Odczuwaliśmy przemożną chęć, żeby już na zawsze wyrwać się ze szkolnych murów i utonąć w objęciach łagodnego wietrzyka, który unosił cię, unosił, a ty płynąłeś wyciągnawszy w przyjazne niebo wiosła-ręce...

Słodki, dziecinny, krótkotrwały sen, który skończył się tak, jak wszystkie ziemskie sny.

Pierwszy oprzytomniał Pasiecznik i donośnym, szorstkim głosem zakomenderował: „Do wiosł!” Obaj z Parowoźnikiem wzięliśmy się ostro do roboty. Barkas przypominał machającą skrzydłami tłustą domową gęś, spod piór tryskały lśniące fontanny, ale prąd znosił nas nieubłaganie. Początkowo odległa koronka mostu znalazła się tuż nad naszymi głowami. Widząc to, Sławek skomenderował: „Do brzegu!”, ale mimo to z wolna wsysała nas wisząca nad mostem chmura dymu wypływająca przez sapiący parowóz, za którym włókł się ogon czarnych pudełek. Wagony rytmicznie stukały na spojeniach szyn. Błyskawicznie uchwyciliśmy się rozczesywanej falą rdzawej wikliny i tak zakotwiczeni zaczęliśmy dumać nad dialektyczną złożonością świata. W końcu, po głębokim namyśle, moi towarzysze zdjęli szewiotowe spodnie, ja wyskoczyłem ze swoich bawełnianych, po czym zgodnie zaczęliśmy targać barkas pod

prąd, brnąc od mielizny do mielizny, skacząc z jednej kępy na drugą, drobiąc przez zimne płycizny i wpadając w przybrzeżne wyrwy. Łódź była wyraźnie ukontentowana: jej drewniane oblicze pociągnięte spękaną zieloną farbą zdawało się uśmiechać wyrozumiale, dno z szelestem szorowało o łoży i lilie wodne. Była to niezwykle długa podróż. Często odpoczywaliśmy na wyrzuconych przez powódź, białych od słońca pniach, patrząc z obawą w stronę Wyraju, który — jak nam się zdawało — nie tylko nie zbliżał się, ale przeciwnie, oddalał, łyskając złośliwie kopułami zabytkowych soborów i białą kredowych wzgórz koło przystani.

Ale z każdym krokiem, z każdą pokonaną przeszkodą rosło w nas męstwo, wytrwałość i powaga; wyzbywaliśmy się słodkiej i wzruszającej dziecinności, która w walce z żywiołem okazała się uciążliwym balastem. I mimo że Newkla wzbierała od potu, który spływał z nas obficie, nie mieliśmy żalu o niespodziewaną i bezlitosną nauzkę. Kiedy przystanęliśmy, aby zaczerpnąć tchū, lubiący filozoficzne uogólnienia Pasiecznik powiedział spierzchniętymi od wiatru wargami:

— Słuchajcie. Pozbyliście się na chwilę sztywnego pancerza cywilizacji, zaufaliście podstępnej naturze i teraz krwawym potem płacicie za swoje złudzenia! Od czasu, kiedy pod gwiazdzistym niebem Wyraju składaliśmy naszą przysięgę, minęło przeszło trzy miesiące. Mieliśmy się stać zaczynem nowej cywilizacji, ludźmi, którym obce są emocje negatywne! I oto nadszedł czas szczerego, bezkompromisowego obrachunku. Na początek udzielam głosu sobie! Ja, Sławko Pasiecznik, pragnący zasilić szeregi szlachetnych Liliputów, z goryczą i obrzydzeniem muszę przyznać, że nie wytrzymałem okresu próbnego, pozwalając podświadomym instynktom owładnąć swoją świadomością, i to w chwili, kiedy wszystkim nam groziło niebezpieczeństwo... Głos ma Mychajło Rzeszoto!

— W tym, co robiłem, kierował mną nie rozum, ale uczucie — zacząłem głosem, w którym drżał jeszcze nie wygasły ból. — Zakochałem się bez pamięci w dziewczynie z IXa...

— Ja zaś, przyjaciele, naruszyłem pierwsze przykazanie... — rzekł spuszczać głowę Andrij Parowoźnik. — Za namową wychowawczynie oświadczyłem na szkolnym wieczorku pod hasłem „Kim chciałbyś zostać?“, że moim marzeniem jest być marynarzem i pływać po morzach i oceanach. A naprawdę to będę, jak mój tata, maszynista; chcę prowadzić lokomotywy

spalinowe, elektryczne, a może i atomowe, jeździć po tych samych torach, po których jeździł ojciec na swoim okopconym parowoziku. To dopiero jest pełnia szczęścia... A o marynarzu powiedziałem dlatego, bo o kolejarzach już mówił jeden chłopaczek, a o marynarzach jeszcze nikt, więc nauczycielce zależało, a ja stchórzyłem i dałem się napuścić...

Andrij umilkł, ale widać było, że mu jest lyso.

— Dotychczas płynęliśmy z prądem — powiedziałem chcąc przerwać milczenie. — Proponuję, żeby przez wakacje nie walać się po Wyraju, nie smażyć się na plaży, nie chować się po jakichś Pakułach, ale zorganizować ekspedycję naukową do Kukurykówki. Pierwsi sporządzimy plan setek nie znanych uliczek, zaułków, przesmyków, placów i skrzyżowań, zbadamy dopływy Żywca, doły i glinianki, opiszemy zwyczaje i obyczaje kukurykowian, przynajmniej pi razy oko określimy granice Kukurykówki, odkryjemy nie znane nauce gatunki homo sapiens, słowem — przetrzemy drogę przyszłym ekspedycjom. Sprawa jest ciężka, o wiele trudniejsza niż taszczenie tego barkasa. Nieraz przyjdzie nam zdychać z pragnienia na kukurykowskich piaskach, błędne ogniki purpurowych truszkawek i dojrzałych wiśni będą nas podstępnie wabić do kukurykowskich sadów, ujadające psiska będą się starały capnąć nas za łydkę, a urocze kukurykowiarki... Ale jeśli nie podamy tyłów, udowodnimy, przede wszystkim sobie, że zasługujemy na miano ludzi...

Wieczorem, miast jak zwykle wybrać się na spacer, ciotka Dora oświadczyła stanowczo, że idzie doić forszę. Pończochy z oszczędnościami zwisały z belki jak cycki Zielonej Mańki. Grosiwo z brzękiem spływało do drewnianego naczynia, błyskała zielonkawoczerwona piana banknotów. Zmierzchało już, kiedy ciotka, niosąc dojnicę, skierowała się w stronę Hucowego obejścia.

Przez niewielkie, podobne do okrętowego iluminatora okienko przy piecu wpadały pierwsze promienie słońca. Zdawało mi się, że z dworu dobiega przeciągły, smutny ryk Mańki. Wyskoczyłem z wyrka. Na trotuarze płaśała w tanecznych podskokach para obutych w tenisówki stóp, należących niewątpliwie do miejscowego fotografa. Reszta artyści tonęła w obszernym czarnym rękawie pęczniącym od wiosennego zefirka. Wujek Denys, wsparty pod boki, stał koło Opla i prawą

ręką władczo naciskał klakson. Auto myczało głosem Zielonej Mańki!

Ubrałem się i wyszedłem przed dom. Oboje wujostwo (wujek w jasnym letnim garniturze i tradycyjnym filcowym kapeluszu, ciotka w krepdeszynowej sukni ze złotą broszką) stali przy aucie trzymając się za ręce; na stopniu pocili się z solenną powagą babka Odarka i dziadek Jewraś. Fotograf krzątał się wokół przedpotopowego aparatu na długim cienkim statywie, wzbogacając rodzinny album o historyczny dokument: wniebowzięcie Słomianków.

Opel lśnił świeżutkim lakierem, głęboka czerń miała odcień niebieskawy jak chitynowy pancerz żuka-gnojownika. Ogromne koła musiały niewątpliwie służyć kiedyś pięciotonowej wywrotce. Przód ozdabiały dwie naftowe lampy o płaskich szklach. Kum Huc, wysoki, chudy, istna tyka zakończona arbusowatą główką trzymał się na uboczu, wymachując korbą niczym spacerową laseczką.

Wreszcie wujek otworzył drzwiczki i z powagą opadł na wyściełane siedzenie. Auto zakołysało się gwałtownie jak lekka dębanka, na którą zwalił się nieoczekiwany ciężar. Ale w tej samej chwili ciotka postawiła nogę na stopniu z drugiej strony, Opel złapał równowagę i tylko bujał się na resorach jak na falach. Nagle zapachniało mi podróżą, wyobraziłem sobie zielen majowych pól, poczułem gorzkawą woń przydrożnych wierzb; ze wszystkich sił zapragnąłem znaleźć się w Pakulach. Ale wujek Denys nie miał teraz głowy do moich zachcianek. Jego pobladła twarz, na której pobyt w szpitalu wycisnął natchnione piętno, była nieruchoma jak bryła węgla wrzucona w palenisko, tylko ceglaste plamy na policzkach świadczyły o ogniu, który płonął gdzieś w głębi.

Kum Huc z godnością obszedł auto od przodu, skinął na starych Słomianków, aby odsunęli się na pobocze, pochylił się i zaciekle zaczął kręcić korbą, jakby podnosił służę, przez którą lada chwila runie strumień wody. Opel dygotał, dzwonił żelastwem, ale silnik milczał jak zaklęty, tylko z chłodnicy buchały kłęby pary, tworząc na jasnoniebieskim niebie siwy, przesłaniający słońce obłok. Nagle samochód fuknęła, korba zakręciła młyńca, wciągając w migotliwy krąg kuma Huca, który zaczął wirować jak chrząszcz na słomce. Zjadliwy czarny dym wypełnił ulicę spływając w stronę Żywca. W następnej chwili kumem rzuciło pod niebo: leciał jak kamień wystrzelony z procy, wciąż wyżej i wyżej, aż usadowił się na chmu-



rze samochodowych spalin i zwiesiwszy nogi w lśniących juchtowych butach (z cholewami z dermy), ironicznie zerknął w dół na swój dawny wehikuł i jego nowych właścicieli.

Nagle Opel zgrzytnął skrzynią biegów i na najwyższych obrotach pomknął Słomianą w stronę skrzyżowania, za którym zaczynała się droga do Pakułów. Ale na wysokości Radulskiego Zaułka gwałtowny podmuch wiatru zerwał z auta karoserię, która pofrunęła ulicą jak suchy liść. Złapałem ją dopiero pod lasem i odtaszczyłem na miejsce. Wujek z ciotką, zmieszani i niepewni, siedzieli w obnażonym Oplu, który przypominał teraz staroświecki kabriolet z opuszczanym dachem.

— Mychajło! Przejedziesz się z nami do Pakułów? Z wiatrem w zawody! I karoserię byś przytrzymał, żeby jej nie zdmuchnęło...

Chciałem odejść dumnie i samotnie, ale głowa sama skinęła potakująco, a nogi poniosły mnie do samochodu: z nadejściem wiosny coraz częściej marzyłem o Pakułach...

Pakuły to kraina, do której co roku ze słonecznego, bajecznie kolorowego wyraju wracają wędrowne ptaki, w której na zalanych przez powódź łąkach kwitną dziewicze nenufary. To kraj matek, okutanych w czarne kufajki i wełniane chustki, kobiet o dłoniach jak kęsa czarnoziemiu. To kraina, gdzie rzeki biorą swój początek, kędy wiodą drogi i dróżki inkrustowane zieloną mozaiką sporyszu, gdzie złocą się ścierniska, a w dolinach włóczą się siwe mgły. To raj dla gęsi, które mogą się taplać, gdzie chcą, podczas gdy ty, umościwszy się wygodnie pod stertą, czym prędzej przenosisz się w książkowy świat. To kraj pasiastych jak zebry płotów, słonecznikowych dzungli, na których wspomnienie jeszcze teraz zamiera ci serce. To kraina twoich pierwszych słów, pierwszej miłości i pierwszej nienawiści, miejsce, gdzie zrodził się pierwszy „dorosły” smutek, który odtąd już zawsze będzie mieszkał w twoich oczach. To wyraj, do którego nieustannie będziesz wracał, by ledwie wróciwszy, znów wyrwać się w szeroki świat. Pakuły to ty sam...

Koła ledwie muskały drogę, przelatywały nad podeschłymi, lecz wciąż jeszcze podejrzenie ciemnymi kałużami, nizały na taśmę pędu jasnozielone pola i przydrożne wierzby, jak sunący przed frontem burzy wiatr miecie zerwane z drzew liście. Na skrzydłach odwiecznych ciotko-wujkowych marzeń mknę-

liśmy do Pakułów. Owe skrzydła o brzegach poszarpanych przez zgryzoty, kłęski i gorzkie rozczarowania, teraz rozpostarte szeroko ryczały, jęczały, wyły jak eskadra naddźwiękowych odrzutowców: ogłuszeni, nie mogliśmy nawet słowa zamienić. Zresztą fakty mówiły same za siebie: im bliżej Pakułów, tym więcej ludzi na polach, tym więcej świadków triumfalnego rajdu Słomianków.

Traktory nieruchomiały w brzdach, umorusani mechanicy z zazdrością obracali się za nami; baby przebierające kartofle w przydrożnych kopcach włożyły na sterty słomy, nie chcąc uronić żadnego szczegółu naszego uroczystego wjazdu do Pakułów; zdumione konie wyskakiwały z uprzęży i galopowały przez pola z Oplem w zawody, miotając spod kopyt grudy tłustego czarnoziemu, który bębnił jak grad o karoserię; znajomy wiatrak radośnie wymachiwał skrzydłami; koguty wskakiwały na płoty i piejąc rozgłośnie oznajmiały wszem i wobec o naszym przyjeździe, ich przenikliwym wrzaskom próbowały wtórować pakulskie psy, szybko jednak podwijają ogony i wybiegają przed wrota składając wiernopoddańczy hołd napuszonej ciotce Dorze i nadętemu wujkowi Denysowi. Kłaniały się nam wierzby, topole, wiązy, klony, nawet fioletowe krzaki bzu pod bielonymi domami; w wąskiej uliczce spóźnione stado kołchozowego bydła jak na komendę rozstało się przed autem; unosząc głowy i zadzierając ogony, młode jałówki intonowały na naszą cześć sentymentalną kantałę... Ale najbardziej uroczysta chwila dopiero nas oczekiwała. Mijaliśmy pierwsze zabudowania Pakułów. Przed nami wznosiło się cmentarne wzgórze z baniastą cerkwią otoczoną wianuszkami starych lip. Przy ulicy, którą jechaliśmy, mieściły się sklep i biuro kołchozu; wjazdu na rynek strzegła wieża straży pożarnej. W centralnym punkcie ryneczku sterczał samotny słup, na którym wisiał głośnik. Zwabieni hałasem uczniowie wylegli na szkolne podwórko, na ganku przed sklepem było czarno od mężczyzn w szerokich wełnianych bryczesach, z okien kołchozowego biura wystawały głowy księgowych, drewniana wieża chwiała się pod ciężarem strażaków — każdy chciał na własne oczy zobaczyć auto Słomianków! Głośnik na placu oniemiał i zwrócił ku nam aluminiową paszczę.

Wszystko przebiegało dokładnie tak, jak wujostwo wymarzyli sobie w ciągu długich lat oczekiwania.

Teraz powinien nastąpić efektowny podjazd pod górę, który miał zademonstrować pakulanom moc i zrywność silnika.

U podnóża wujek Denys włączył ze zgrzytem jedynekę, bo przegrzany na wyboistej, polnej drodze motor już ledwie dyszał. Opel ryknął potężnie jak motorówka na Newkli i rozpaczliwie niczym bas, któremu wypadło śpiewać partię tenora, i zaczął pokonywać stromiznę. Byliśmy chyba w połowie stoku, gdy w silniku coś zgrzytnęło i spod wytwornych wujkowych butów wionęło czarnym tłustym śwędem. Na wpół uduszony, krztusząc się i kaszląc, puściłem karoserię, która wypełniona dymem wleciała jak balon ponad wierzchołki lip i z pluskiem wpadła do glinianki. Wiejący wprost w twarze wiatr ocucił nas trochę. Był już najwyższy czas: purpurowe języki ognia lizały nie osłonięte cylindry, podchodząc do gaźnika. Z wieży rozległ się dzwon na alarm. Ze szczytu wzgórze, dosiadłszy na oklep zardzewiałej strażackiej beczki, toczył się Andrij Gni-da, ten sam, przez którego ciotka najadła się takiego wstydu w czasie wieczornej przechadzki po Wyraju. Wujek siłą oderwał ciotkę, kurczowo czepiającą się szczątków auta, odtaszczył na pobocze i nieprzytomną, czarną od sadzy złożył na trawie.

— Fe-do-ro! Fe-do-recz-ko! Feś-ko! — wołał Andrij ostro biorąc zakręt, aż z beczki chlupnęła woda. Na głos Gnidy ciotka ocknęła się fukając gniewnie, ale spojrzawszy na płonącego Opla, ponownie straciła zmysły.

Na usmarowane oblicze wujka Denysa wypełzał pełen złośliwej satysfakcji uśmiech...

Zmierzchało już, kiedy poprzedzany przez Andrija przebrnąłem przez labirynt torów i zobaczyłem jego parowóz stojący na bocznicy. Długi sznur ponurych, nieprzytulnych wagonów towarowych ginął w kudłatym mroku, ale od dyszącej cicho maszyny biło niemal ludzkie ciepło.

— Zazdrośnica z mojej Luńki — uśmiechnął się Andrij. — Słyszysz, jak się wykłóca? „Gdzieżeś był? Gdzieżeś był? Gdzieżeś był?”

Zza lokomotywy, dzierząc w dłoni francuski klucz, wychynął chłopak w kolejarskim mundurze i zsuniętej na tył głowy czapce. Wszedłszy w światło latarni, zamarł w postawie zasadniczej i przykładając klucz do kaszkietu zaterkotał:

— Towarzyszu kierowniku, melduję, że w czasie mojego dyżuru, a pod waszą nieobecność...

— Nie błaznuj, Kolka — dobrodusznie przerwał Parowo-

źnik. Dopiero teraz uwierzyłem własnym oczom. Pomocnikiem, który tak uroczyście nas witał, był nie kto inny jak Kapelutek. Dopełniwszy obowiązku, Kolka nurknął w ciepłe wnętrze maszyny. Andrij usiadł za pulpitem, odchylił się na oparcie fotela i wskazał drzwiczki, za którymi zniknął pomocnik:

— Widziałeś? Wstydzi się...

— Udało ci się go oswoić?

— No...

— Ciężko było?

— Z człowiekiem, jak mówi moja babcia, zawsze ciężiej niż z maszyną, bo człowiek bardziej skomplikowany od najwymyślniejszego mechanizmu.

— Faktycznie — potwierdziłem w zamyśleniu.

Nad naszymi głowami przenikliwie brzęknął radiotelefon. Andrij podniósł słuchawkę i kabinę wypełnił przenikliwy kobiecy dyszkant: „Dwieście dwudziesty pierwszy! Dwieście dwudziesty pierwszy, zgłoś się!”

— Dwieście dwudziesty pierwszy gotów! — sucho odmeldował Andrij, kładąc rękę na pulpicie. — Gdzieś nad nami reflektor otworzył swoje elektryczne oko i snop światła wydarł nocy lukrowane srebrzystym szronem sznury torów, szare klocki stacyjnych budynków i karłowatą, poskręcaną topolę, w której trzepotały spłoszone wrony.

Mknęliśmy przez czarną noc, goniąc umykającą przed nami wysepkę światła. Na piąty następował nam ryk ciężko wylądowanego składu. Nie był to ów przenikliwy, ale jednocześnie intymny brzęk elektrycznej kolejki dojazdowej ani usypiający stukot „pasażera”, był to głęboki, żarłoczny huk, dochodzący jakby z wnętrza rozdartej wybuchem ziemi, odgłos, jaki wydaje zakuta w beton, ujarzmiona rzeka, a może fale powietrza rozcinane skrzydłami odrzutowca... Nie mogłem się nadziwić, że całą tę niesamowitą siłę trzyma w ryzach Andrij, na którego wołaliśmy Parowoźnik. Wtedy właśnie zdobyłem się wreszcie na pytanie, które nurtowało mnie przez te wszystkie lata:

— Andriju, a wtedy tam, na górze, powiedziałeś Żukowi prawdę? Rzeczywiście kochałeś się w Luńce?

Parowoźnik długo milczał. Możliwe, że akurat przelatywaliśmy przez stację. Ale gdy tylko wyrwaliśmy się w step, powiedział:

— Wtedy nie... Dopiero potem.

— A wtedy?

— Wtedy zrobiło mi się przykro. I wstyd. Za Kolkę. Za siebie. Za wszystkich... Człowiek, jak mówi moja babcia, zawsze musi być człowiekiem. Mówię jej czasem o jakiejś przykrej sprawie, że ktoś się okazał nie taki, a ona: a przecież to człowiek. Tak to jest...

Wujek grzebał w kościotrupie spalonego auta, ciotka leżała nieruchomo jak kłoda, z głową okreconą mokrym ręcznikiem, a my z matką poszliśmy na cmentarz, na grób ojca. Pamiętam, jak ten cmentarz powstawał: każde nadchodzące z frontu zawiadomienie sprawiało, że w polu, zaraz za rowem okalającym ciasny wirydarzyk, w ciągu jednej nocy wyrastała mogiłka z niezdarnym drewnianym krzyżem. I choć brygadzysta, do którego należała ziemia wokół cmentarza, awanturował się, puste mogiły kryjące w sobie tylko kamienistą pakulską glinę, ciągle wyrastały z ziemi. I tak było przez całą wojnę.

Szedłem przez cmentarz, jakbym w księgozbiornie Powróśli kartkował cały katalog: Honczarenki, Homony, Łukjanenki, Rzeszoty, Kaleniki, Szychuccy... Przypomniała mi się noc nad Żywcem i poczułem, że wzruszenie ściska mi gardło. Schylona nad ojcową mogiłą matka posypywała złocistym piaskiem miejsce pomiędzy krzaczkami lubczyku i piwonii, przesadzonymi z naszego ogrodu.

— Nie mogę się już doczekać, kiedy przyjedziesz na wakacje, synku...

— Przyjadę, mamó, ale nie na długo. Wybieramy się z ekspedycją. Na Kukurykówkę.

— Na co ci to, synku?

— Trzeba, mamó.

Matka otarła rękawem oczy, w których zaślniły nieśmiały łzy i patrząc na czarno-zieloną szachownicę pól powiedziała głuchym dalekim głosem:

— Jak już będziesz, synku, po świecie wędrować, poszukaj też prawdziwej ojcowskiej mogiły. Musi gdzieś tam być. Spod Budapesztu zawiadomienie przyszło...

Wyjechaliśmy z Pakułów po obiedzie. Ciotka za nic nie chciała opuścić auta, mimo iż karoseria śmierdziała dymem i spalenizną. Wujek, z leszczynową witką w rękę, usadowił się na chłodnicy i dobrodusznie poganiał parę zaprzężonych do Opla wołów. Ja szedłem boso, przewiesiwszy buty przez ra-

mię, zasłuchany w śpiew skowronków, który dolatywał gdzieś z błękitnozłotej głębinie nieba. Matka z koszykiem w ręku odprowadziła nas aż do łąki za wsią, a potem zawróciła na błonie sadzić kapustę.

Kiedy mijaliśmy pustkowie, na którym niegdyś wznosiła się Psia Góra, wujek wyciągnął rękę, pokazując coś w oddali. Na trawiastym zboczu Denysowej Wyspy Zielona Mańka zawzięcie strzygła zębami młodą trawę. Zdawało mi się, że przez zimę sierść Mańki nabrała srebrzystoniebieskawego odcienia, jakby krowie wyrosła nagle rybia łuska; czort jeden wie: może rzeczywiście już przestała być zielona — z daleka trudno się było przyrzeć dokładnie.

Obok skakała na jednej nodze połowa dropiatej kury, a pod sosną leżał Nero Bałałajka, w obroży z miedzianą sprzączką i melancholijnie wymachiwał ogonem.

Usłyszawszy wujkowe pokrzykiwania i brzęk Opla-inwalidy, Mańka, połowa kury i Nero błyskawicznie dali nura w chłodne, niebieskie fale Żywca i na zawsze zniknęli nam z oczu. Zdżiczeli...

## **NAUKOWEJ WYPRAWY NA KUKURYKÓWKĘ KRÓTKIE OPISANIE**

Już od świtu Kukurykówka rozbrzmiewała ujadaniem psów. Z lasów i jarów napływały czarne chmury wron. Płaty z dezaprobatą kiwały głowami kukurykowian, które jak makówki wyrastały na sztachetach. Wyprawiając nas w drogę — bo i wujek zdecydował się wziąć udział w wyprawie — ciotka wieszczyła rychły, ale słodki kres ekspedycji, która według jej ponurych przepowiedni miała się skończyć już w najbliższym obejściu. Była właśnie pora, kiedy dojrzewają truskawki, ciemnoczerwone jak krople porannego słońca; w pękających gąsiorach bulgocze białawy moszcz pierwszych opadówek, wzdłuż plotów, nisko nad ziemią zwisają obfite kiście porzeczek; spod drzew, gdzie stoją wystawione na lato kuchenki, smakowicie zalatuje jajecznicą na rozplywającej się w ustach różowej słonince; dziewczynskie kształty krągleją jak rozkwitające paki, a wilgotne oczy patrzą dziwnie wabiąco. To czyste szaleństwo — konkludowała ciotka — kompletny bezsens, głupota, obłąd i wariactwo poświęcić lato, urlop, wakacje, a mo-

ze nawet życie, zwłaszcza mając w pamięci los poprzednich ekspedycji.

Kiwaliśmy potakująco głowami — trzeźwe ciotczyne argumenty były nie do odparcia — a potem zarzuciliśmy na plecy tobołki pełne młodzieńczego entuzjazmu i różowej nadziei i wyszliśmy na ulicę, gdzie już stała lokomotywa pod parą. W okienku widniał surowy profil wujka Jakuba, odzianego w odświętny mundur.

Parowozem dowodził Andrij Parowoźnik, z twarzą ciemną od kurzu i węglowego miazgu. Zaproszona przez wujka Jakuba kolejowa orkiestra tkwiła pod drzewami, wygrywając optymistycznego marsza. Za każdym uderzeniem w miedziane talerze płochliwe kukurykowskie domeczki podskakiwały klekocząc dachówkami.

Zza pleców orkiestry Sławko Pasiecznik nieśmiało machał do nas bukiecikiem żółtych tulipanów. Genialny teoretyk odmówił udziału w ekspedycji, tłumacząc się pilną pracą naukową. Do ostatniej chwili miałem cichą nadzieję, że razem ze Sławkiem zjawi się moja dziewczyna z kalendarza. Ale nie przyszła.

Jeszcze ostatnie pożegnalne spojrzenie na Słomianą... Nagle z autobusowego przystanku poderwał się siworogi jeleń i bijąc kopytami o bruk, zaczął pędzić ku nam. Dobiegłszy do parowozu dał susa w górę, przepłynął nad nami srebrzystym cieniem i już na tendrze huczał przepraszająco wielki aktor Kuźma Powrósło: „Wybaczcie, chłopcy, próba się przedłużyła. Ja zawsze z wami...”

W tej samej chwili wujek dał znak. Na ganku rozległ się rozpaczliwy lament ciotki, która szlochala jakby wujka właśnie chowano, na niebie zakrakały wrony, sztachety zagadały głosami kukurykowan, psy zaczęły na nowo ujadać, szarpiąc się na łańcuchach, kolejarska orkiestra zgodnie zagrała tradycyjny tusz.

W grzmot orkiestry i złowróżbne psie wycie wpadł trzykrotny przenikliwy gwizd parowozu. Rosnące wzdłuż ulicy strzeliste topole skłoniły czuby, w sadach zaczęły lecieć na ziemię niedojrzałe jabłka, haftowane pasmami dymu niebo zmarszczyło się, w zmaconej toni Żywca zafalowało słońce. Lokomotywa, ciężko buksując kołami w zwałach sypkiego piasku, ruszyła w niezbadaną przestrzeń Kukurykówki, skąd niosły się ni to ostrzegawcze, ni to miodno-kojące fale truskawczanych woni...

Była to pamiętna noc. Prawie nie rozmawialiśmy, każdy dumał nad swoimi sprawami. Trudno było zebrać rozbiegane myśli, ale jedno nie ulegało wątpliwości: ten niemal ptasi lot przez uśpioną ziemię, ramię w ramię z Andrijem, poruszał we mnie jakieś nieznane uczucia i rodził nowe doznania. Siedziałem na miejscu pomocnika, tuż przy oknie, w którym jak w granatowym zwierciadle odbijał się oświetlony pulsującym światłem wskaźników surowy, pełen wewnętrznego napięcia profil Parowoźnika.

Za oknem przelatowały niewyraźne zarysy jakichś krajobrazów. Czasem czarny aksamit lasów stroił się w mrugający światełkami naszyjnik osiedli, miasteczek i miast, które stąd wyglądały niezmiernie tajemniczo i pociągająco. Czasem na horyzoncie wykwiłała drgająca łuna hutniczego pieca lub płonącego gdzieś w stepie słupa gazu. Wysrebrzone wiosennym przymrozkiem gwiazdy kołysały się na liniach wysokiego napięcia. Ażurowe balustrady mostów, po których przelatywaliśmy z hukiem, wyłaniały się z mgły niczym wymyślne abstrakcje. Ale surowy, uparty profil, jak wyrzeźbiony na szkle, jaśniał niezmienny i niewzruszony...



# ROZUMNY



*To, co za chwilę przeczytacie, stanowi plon kilku moich podróży w rodzinne strony, północne Polesie. Próżno szukać tu zmyśleń czy fantazji. To przeszłość moich ojców i dziadów, kartka z historii surowego, leśnego kraju.*

## JESIEŃ. MODLITWA

Siostrzenica wróciła ze szkoły. Spojrzała na ganek, czy w progu nie widać matki — Marta surowo zabroniła córce przeskadzać wujkowi w pracy — i rozpląszczyła na szybie buzię o wystających kościach policzkowych.

— Wujek nie czyta?

— Nie — odpowiedziałem.

Słowo daję, zbrzydło mi już to bazgranie czerwonym ołówkiem w kajetach siódmoklasistów. A zeszytów ciągle przybywa, wczoraj dwa oddziały pisały klasówkę: z trudem przytaszczyłem to wszystko do domu.

— Mykoła Czemeriec telewizor kupił. Wujek idzie zobaczyć.

Narzuciłem palto i wyszedłem na ganek. Rzeczywiście, Mykoła razem z Andrijem Łozowym siedzieli na dachu i zakładali antenę, która z daleka przypominała krzyż. Oryna, żona Mykoły, stała na dole, przytrzymując drabinę. Wiedziony ciekawością zdobyłem się na odwagę i skrajem przyzby, wąską ścieżką, za którą rozpościerała się błotnista topiel, poczłapałem w stronę plotu. Ziemia była rozmiękła i śliska; od kilku dni mżyło bez przerwy, jesień trafiła się wyjątkowo dżdżysta. Przebrnąwszy szczęśliwie kawałek ogrodu, w którym tu i ówdzie białeły jeszcze liście kapusty, stanąłem koło przełazu.

— Mykoła! — zawołałem. — Co to, telewizor kupiłeś?

— Kupiłem, panie nauczycielu — dobiegł ze szczytu chaty łoś Czemerucia. — A co, czy ja od innych gorszy?

Mówiąc to zerknął na stojącą po drugiej stronie ulicy chatę. Tam także sterczała na dachu telewizyjna antena. Na podwórzu stał gospodarz — Pawło Dachnoweć. Zezował na Czemeruciowe podwórze, ale z pomocą się nie kwapił. Pewnie czekał, aż się do niego zwróci. Ale nikt nie prosił.

Obydwie rodziny — Czemerucie i Dachnowcie — to odwieczni rywale. I tu, i tam jednakowiuśkie chaty, takie same

wrota, identyczne obory, nawet sady bardzo podobne. I u Czemerciów, i u Dachnowców dzieci parka.

W zeszłym tygodniu poszedłem do kołchozowego biura uzgodnić wycieczkę starszych klas na wystawę do miasta. Przewodniczący akurat porządkował jakieś zlecenia, więc stanąłem sobie na korytarzu. Słucham, a chłopci dogadują Czemerciowi:

— Jak wy to robicie, ty i Dachnoweć, że nawet dzieci u was całkiem podobne?

— Musi co Czemerec gwizdnął Pawłowi projekt i z gotowego wypieka.

— Seryjna produkcja...

— Ha-ha-ha!

Pierwszy z całej wsi — zaraz po przewodniczącym kołchozu — nabył telewizor Andrij Łozowy. Rodzina duża, robotna, dwie dziewczuchy na farmie jako dojarki. Sam Andrij i koło młocarni chodzi, i na różnych maszynach się zna — też spory grosz podłapie. Trochę później pojawił się jeszcze jeden aparat: u Semena Kruhlaka. Ten znów całe życie pracował w kołchozie jako traktorzysta; zeszłorocznego ziarna jeszcze dotąd u niego w komorze pełno. Po żniwach do kultury i cywilizacji dołączył Dachnoweć. Starą krowę sprzedał, sobie zostawił tylko jałówkę; zresztą i on, i jego kobieta chętni do roboty. A teraz Mykoła. Piąty telewizor we wsi.

Ale niczyj nie budził we mnie takiego podziwu jak Czemerciowy. Źródła tego podziwu należy szukać w odległym dzieciństwie. Nasze obejścia sąsiadowały wtedy ze sobą. Mykoła był jakiś cherlawy — zapuszczony, jak się to u nas mówi — w dodatku nie słyszał na jedno ucho: po wojnie rozbrali na cmentarzu minę i doznał kontuzji. Póki było ciepło, razem ze swoim wujkiem Batrakiem pasł gromadzką trzodę; codziennie w innej chacie siadał do kolacji. Przeważnie na zapas też jeszcze coś kapnęło, tak że z obiadem na następny dzień nie było zmartwienia; może dlatego Mykoła zawsze chodził z płócienną torbą. Zimą prawie nie zląził z pieca. Co roku zimowało u niego jakieś błotne ptaszysko: raz kulik, raz derkacz, kiedy indziej znów kaczka z przetrąconym skrzydłem. Pewnie dlatego chatę wypełniała przenikliwa bagienna woń. Później Mykoła wzenił się w gospodarke niemłodej Oryny, która zajmowała się przyjmowaniem mleka od całego kołchozu. Zarząd mianował go brygadzystą na farmie. A teraz moja siostra jest sąsiadką Czemerca.

— Skąd wziąłeś taki pieniądz, Mykoło? — pytam, kiedy Czemeręć zszedł z dachu i podszedł do mnie przypalić papieroś. Dwa lata temu oboje z Oryną pobudowali dwuizbowy domek i pewnie jeszcze nie zdążyli wyleżeć z długów.

Mykoła uśmiecha się chytrze.

— Czego jak czego, panie nauczycielu, ale pieniędzy...

Nie bardzo mi w smak to kpiące „panie nauczycielu”, ale nic nie mówię. Mykoła zna mnie od kołyski; trochę dziwnie czuję się teraz jako nauczyciel jego dzieci. A co do telewizora, to chyba się domyślam: młodszy brat Mykoły jest w mieście szoferem, pewnie wziął na raty. Teraz Oryna żadnej roboczości nie opuści, Mykoła też żyły z siebie wypruje — zaczął spłacać. Za to nie będą gorsi od Dachnowcia.

Pod wieczór słyszę, jak Oryna woła na cały głos do sąsiadki z naprzeciwka:

— A co tam dziś w telewizorze, Katarzyno?

Pyta niby obojętnie, jakby chodziło o rzecz najzwyczajniejszą w świecie. Ale w tej wystudiowanej obojętności, codzienności niecodziennego przecież zwrotu, kryje się ogromna duma.

— Nic takiego — odpowiada z ganku Katarzyna. — Jakaś opera. W drugim programie będzie film o księżycu. U was drugi odbiera?

— Co ma nie odbierać? — trochę niepewnie odkrzykuje Oryna. — W naszym telewizorze wszystkie programy widać.

Nie minęło pół godziny, ktoś puka do drzwi. W progu staje Mykoła.

— Zajdź do nas na telewizję — mówi. — Żona zaprasza.

— Dziękuję. Przyjdę.

Mykoła znika. Za chwilę po wszystkich najbliższych zagrodach niesie się dźwięczny głos Oryny:

— Chodźcie do nas na telewizję! Już pokazują... Chodźcie do nas na telewizję!

Po kolacji idę do Czemeręcia. Izba pęka w szwach. Przyszli nawet ci, którzy dotąd chodzili na wieczorynki tylko do Dachnowcia. Nowe zawsze bardziej pociąga. Na pokuciu niebieskawo jarzy się ekran. Od czasu do czasu obraz zanika, ucieka nie wiadomo dokąd, a po szkle zaczynają płynąć faliste strumyczki. Czemeręć zrywa się, kręci gałkami. W ciemności rozlegają się głosy:

— Pięścią go rąbnij... Może się przestraszy.

— Dachnowciów lepszy. Zawsze widać.

— Może droższy...

— Taki sam — denerwuje się Oryna. — Nam wyszło nawet drożej, bo z dostawą do domu. A Dachnowcie ze sklepu odbierali...

Twarze mówiących giną w mroku, poznają tylko głosy. Dopiero kiedy ekran znów ożywa, z ciemności wyłaniają się niebieskawe oblicza bliżej siedzących. Pośrodku, koło Oryny, usiadł dziadek Kyryk. Czapkę powiesił na kosturze i wsparł się na nim oburącz.

— A co to za takie pole, co nieba nie widać? — pyta, kiedy na ekranie pojawia się obraz.

— Toć to przecie na księżycu, dziadku — śmieje się Mykoła. — Jakie tam niebo?

— Nijak ja, stary, pojąć nie mogę. A kto jego, znaczy ten księżyc, tak z bliska oglądał?

— Przecież słyszeliście, co w telewizorze mówili — złości się Oryna, jakby niedowiarstwo Kyryka bezpośrednio godziło w jej radość. — Rakietę tam posłali i ona sfotografowała.

— Popatrz, ty... — dziadek wierci się na stołku. — Znaczy się, jednak to na księżycu. Pokaż no, niech się przyjrzą tym sadom, co o nich Rozumny tyle gadał.

Przysuwa taboret bliżej stołu, głową całkiem zasłania ekran, wodzi palcami po szkle. W ciemności rozlegają się okrzyki. Wszyscy zgodnie strofują Kyryka. Wreszcie Oryna odciąga dziadka razem ze stołkiem na poprzednie miejsce. Stary, urażony, podnosi się, wkłada czapkę, mrużąc do siebie:

— Żadnych drzew tam nie widać. Szczera pustynia. Łgał pewnie, wstyd powiedzieć, nieboszczyk Rozumny.

Kreśli na piersiach znak krzyża.

— A tobie — zwraca się do Mykoły — powiem Bóg zapłać i do widzenia. Nie myśl, że ty jeden we wsi masz telewizor. U Dachnowcia nikt mnie do tyłu nie ciągnie. Choćbyś z głową w ekran wlaży, Katarzyna słowa nie powie.

Dziadek człapie do drzwi. Sunę za nim po cichu, żeby Oryna nie zauważyła, bo na cały tydzień będzie obraza. Wychozimy na dwór. Ciemno i wilgotno jak w lochu. Kyryk, stukając kosturem po żerdziach płotu, szparko zmierza w stronę Dachnowciowego obejścia. Ledwie mogę za nim nadążyć. Przy furtce zatrzymujemy się obaj.

— Dziadku — pytam — o jakich to sadach Rozumny gadał?

— Nie słyszałeś? — dziwi się Kyryk. — Toż Matwij jesz-

cze za mojej młodości ciągle o tych sadach bął. Jeszcze jak w chutorze mieszkaliśmy, zamyślał na księżyc lecieć. I pewnikiem by poleciał, gdyby nie Danyłko Buhaj i Fiłaret. Przyjdź jutro do remizy, zapalimy, opowiem...

Dziadek spieszy się, aby nie przegapić filmu. Stoję przy furtce, patrzę w ciemne, niebieskie niebo. Z pamięci wynurza się dalekie dzieciństwo...

„Babciu, czemu księżyc taki biały?”

„Mówił kiedyś Rozumny, że na księżycu sady rosna i kiedy kwitna, to księżyc cały bieluteńki, a kiedy jabłka dojrzewają — czerwony...”

„A kto to taki Rozumny?”

„Wujek taki jeden.”

„A gdzie on teraz?”

„Złi wujkowie go zastrzelili. Już dawno.”

„Jeszcze jak ja byłem całkiem mały?”

„Jeszcze dawniej.”

„Aha. A jakie tam drzewa, na księżycu? Jabłonie?”

„Musi co jabłonie. A może i grusze. I wiśnie. Różny owoc pewnikiem. Wiadomo to, kiedy nikt tam nie był?”

Następnego dnia po lekcjach idę do remizy pogadać z dziadkiem Kyrykiem. Kiedy wracam, jest już późny wieczór; siadam przy stole, znów zaczynam poprawiać zeszyty, ale jakoś mi nie idzie. W uszach wciąż brzmią dziadkowe słowa, wokół czają się jakieś dziwne postacie. Mimo woli zaczynam pisać o Matwiju, którego zwano Rozumnym. Zapisuję wszystko, co usłyszałem od Kyryka. Słowa składają się same; północ już dawno minęła, a ja jeszcze siedzę i piszę.

Coś szeleści w sieni, coś tupie po strychu, coś skrada się pod oknem, glina na przyzbie osypuje się pod niewidzialnymi krokami.

Fiłaret unosi się na posłaniu i zmacawszy fajkę, ssie chłodną gorycz. Boi się zaświecić, boi się zostać sam na sam z czarnymi ślepiami okien.

Coś zeskakuje z przyzby, coś chyłkiem gramoli się przez przełaz, coś idzie przez sad; trzeszczą gałązki, wilgotna ziemia tłumi odgłos stąpania.

Fiłaret wyciąga spod poduszki śrutówkę, na palcach pod-

chodzi do drzwi. W sieni przystaje, czujnie nadstawia ucha.

Z komory słyhać senne sapanie służącej. W plewach szleszczą myszy.

Filaret szcżęka zasuwami, odmyka haczyki. Skrzypią drewniane skoble. Przez czarną szczelinę, w mrok gęsty jak dziegieć, wysuwa lufę śrutówki.

Staje w progu i oddycha z ulgą: żadne ręce nie wyciągają się ku niemu z ciemności. Ale cisza i spokój nie powracają do jego skołatanej duszy; już nawet nie pamięta, jak one wyglądają. Na skraju podwórza majaczy spichlerz, dalej stajnia, na końcu sadu, jak gradowe chmury, czernieją stodoły. A dalej — obcy świat, co czyha na Filaretowe dobro, na jego krwawicę, za którą sobie wypruł żyły, za którą zapłacił twardymi odciskami, strugami potu. Wrogiem Filareta jest nie tylko chutor — pół setki chałup cisnących się na skraju przepastnych błot. Jeszcze bardziej nienawidzi Filaret tego dalekiego świata, przed którym nie uchroni nawet setka wiorst rozkiszłego jesiennego grzędawiska, dzielącego chutor od najbliższego miasteczka, od świata, który z niepojętych dla Filareta przyczyn traci teraz rozum i swoje szaleństwo pragnie przywlec aż tutaj, do Filaretowego królestwa.

W chutorze budzi się gwar, słyhać ujadanie psów. Serce Filareta ćmi nieprzyjemnym bólem, ale po chwili wszystko cichnie, tylko za jarem, koło chaty Rozumnego słyhać dźwięczny dziecięcy śmiech. Rozumny znów się zabawia. Jeszcze jeden przyglupek — z nagłą złością myśli Filaret i przez podwórze kieruje się do stajni. Wali pięścią w szerokie drewniane wrota.

— Kto tam? — dobiega ze środka głuchy, zaspany głos.

— Ja... Nie wpadło ci chyba do łba gdzieś lecieć?

— Co wy, gospodarzu! Pilnuję wedle przykazania — odpowiada parobek Danyło, syn Matwija Rozumnego.

Konie czują gospodarza, parskają.

— No, no... Jutro skoro świt — do stodoły.

— Toć wiem, wiem...

Iwanko tuli do piersi zimne drewno i chucha w zgrabiące dłonie. Lodowaty wiatr jest ostry, kłujący. Ziemia twarda od mrozu, nogi w starych, zniszczonych butach kostnieją, ale żadna siła nie zmusi chłopczyka, aby rzucił pochodnię i uciekł



na ciepły piec. Dokoła ciemno choć oko wykol i wujek Matwój nie zobaczy łez, które wyciska bezlitosny ziąb.

Rozumny krzesze ogień. Cieniutkie iskierki kłują mrok, ciepłe czerwonawe igiełki sypią się na Iwankowe rączki, łaskoczą; szczerbata buzia rozciąga się w szerokim uśmiechu.

— Pali się, pali się! — wrzeszcza chłopaki.

Iwankowi trochę zazdrość, że to nie on — najbliższy sąsiad wujka Matwija — pierwszy spostrzegł, iż hubka zaczęła się tlić. Patrzy, jak iskry wzlatają w powietrze i gasną. Wiatr rozżarza hubę, od której zajmuje się wiązka słomy. Bucha płomień. Iwanko unosi pochodnię jeszcze wyżej i zamiera bez ruchu, napięty i uroczysty, jak diak niosący krzyż na wielkanocej procesji. Smoła kapie Iwankowi na buty, wreszcie zaczyna się palić wysokim szkarłatnym płomieniem.

Rozumny bierze pochodnię z rąk Iwanka. Migotliwy krąg poszerza się, dobywając z ciemności gromadkę chłopaków. Dwaj przytrzymują ogromnego, większego od nich latawca; wiatr szarpie nawoskowane płótno, latawiec klaska ogonem, którego koniec ginie w mroku. Rozumny przymocowuje pochodnię. Chłopaki nie spuszczaają z niego wzroku. Oświetlona pryskającym płomieniem postać, stara sukmana i wyleniała zajęcza czapa przypominają teraz jakiegoś legendarnego mocarza, a latawiec — potężne skrzydło, na którym za chwilę uniesie się w górę bajkowy, ognisty ptak.

— Dalej, chłopcy — woła Rozumny, wyciągając z kieszeni drewnianą szpulę i rozplątując nić. — Ruszamy...

Chłopaki unoszą latawiec, pusty wygon ożywa tupotem nóg, słyhać podniecone nawoływania i radosny dziecięcy śmiech. Płomień chybotce, faluje, jakby za chwilę miał zgasnąć i raptem strzela nowym, jasnym kwiatem.

Wszyscy mają ręce pełne roboty, wszyscy się spieszą, tylko Iwanko płacze się beczynnje. W końcu chwytą filcowy smoczy ogon i zaczyna biec za wujkiem Matwujem po wygonie. Jeden but zsuwa się z nogi, ale chłopczyk oszołomiony wiatrem i radością nie czuje zimna. W rączce wiję się już tylko koniec ogona, już i on się wymyka — oświetlony pochodnią latawiec wzbija się w górę; zupełnie jak ów siedmiogłowy smok, zębaty, straszny, podobny do tego, z którym walczył święty Jerzy.

— Leci, chłopcy, leci — woła Rozumny dziwnie młodym jak na swoje lata głosem. — Ho-ho-ho!

Iwanko stoi z zadartą głową. Latawiec staje się coraz

mniejszy, wreszcie ginie w zachmurzonym niebie, tylko szkarłatne oko pochodni świeci w ciemności. Iwanko zazdrości latawcowi, że tak lekko wzbił się w górę; chłopięca wyobraźnia unosi go także hen, pod chmury.

Gdybym nie puścił ogona, latawiec uniósłby mnie tak samo jak tę pochodnię — medytuje i podkuliwszy nogę, przyciska bosą stopę do nogawki. — A potem spuściłby mnie po drugiej stronie bagien. Poradziłby jak nic! Wietrzyśko takie, a latawiec i tak sobie z nim dał radę. Mógłbym trzymać pochodnię...

W niebie pewnikiem straszno, ale bardzo by się chciało tam polecieć. Tylko matczyne rękawice by się zdały, w górze wiatr jak zły pies, ręce całkiem zgrabieją, nie utrzymasz się.

Iwanko stoi oszołomiony. Właśnie szybuje hen, wysoko; w dole błota, lasy, bajoro, gdzie w upał kąpią się dzieciaki i pławi się krowy, dalej Hutyszcze. Z chat wybiegają ludzie i zadzierają głowy, w obejściu matka też patrzy w niebo, boi się, ale jest dumna z syna. Może i ojciec go widzi, choć tatko daleko, na wojnie... Tęskno Iwankowi, ckiwie, a zarazem błogo, jakby we śnie jakimś dziwnym...

Rozumny śmieje się razem z chłopakami, cieszy się jak oni i martwi, kiedy chwilami latawiec nieoczekiwanie pikuje, jakby wpadał w przerębel. Ale w miarę jak nikłe światełko wznosi się coraz wyżej, radość w duszy Matwija przygasa. Ze zdziwieniem myśli, ile zapалу włożył w klejenie płóciennego żagla; do końca nie był pewien, czy latawiec udźwignie pochodnię. Ale jeśli się uda, dopiero będzie święto w całym chutorze; przecie aż trudno w takie coś uwierzyć. I oto nic się nie dzieje. Chutor śpi, tylko psy zbudzone hałasem zaczęły ujadać i dzieciarnia ma uciechę. Kiedy Rozumny zmajstrował bocykl, całkiem jak ten, na którym jeździł kowczyński ekonom, tyle że drewniany, też tylko dzieciaki leciały za nim przez wieś. Baby zęgnęły się nabożnie, Denys spluwał, Kyryk milczał, a Filaret uśmiechał się złośliwie. A kiedy z brzoźwego korzenia wystrugał Antypkę, diabełka, któremu drzwi odcięły piętę, tylko mała Lubka, córka Maryny uwierzyła, że Antypko w nocy ożywa i dziwy rozmaite wyczynia, a potem poprosiła, żeby jeszcze Hurkałę wystrugał, bo wiadomo, że to Hurkało każdej nocy w kominie buszuje, ale nikt nigdy na oczy go nie widział. We wsi nikogo prócz dzieci nie zadziwisz. Ludzie ciemni, nieufni.

Fiłaret skrada się wzdłuż przyzby do przełazu. Zza wę-gła chaty wionęło chłodem. Pod butami chrzęszczą zmarznięte liście: ma się ku zimie.

Fiłaret bardziej domyśla się, niż widzi, gdzie stoją jabłonie: trzecia, czwarta, piąta, a teraz — dwa kroki w lewo — dziadkowa mogiła, przy której wiosną posadził wisienkę. Przykuca. Szttywne od mrozu gałązki drapią go po twarzy.

Kamień leży na swoim miejscu, wszystkie Fiłaretowi tylko wiadome znaki uspokajają. Jeszcze chwilę głaszcze pieszczotliwie zmarznięte grudy — tu jego nadzieja, przyszłość rodu. Niechby nawet ogień strawił te spichlerze, chatę i stodoły, niechby ogłosiły upadłość wszystkie banki i kantory tego cho-rego świata, który zaczyna się po drugiej stronie stuwiorsto-wego grzędawiska, tak czy owak Fiłaret zostanie Fiłaretem, jedynym całą gębą gospodarzem w Hutyszczach. Korci go, by dotknąć palcami złotych półimperiałów, pięciorubłówek, pierścieni, chciałby się ogrzać w ich blasku, ale nieprędko będzie sobie mógł pozwolić na taką uciechę. Może dopiero po Bożym Narodzeniu, kiedy co bardziej zapobiegliwi kupią od niego całe zboże. Wtedy uzupełni swoje skarby.

Raptem w dole, po drugiej stronie jaru, znów harmider.

Fiłaret unosi głowę i poprzez gałęzie widzi, jak chmury nad chutorem różowieją. Od razu przychodzą mu na myśl stodoły, nie wymłócone zboże i pożar.

Gotów na wszystko zaczyna biec, ściskając w mokrych od potu dłoniach kolbę śrutówki. Na końcu sadu przystaje: sto-doły czernieją nieruchomo na tle nieba, a płomień gdzieś da-lej, nad chutorem. I nie płomień to, a coś czerwonego; długi ogon wiję się pod chmurami jak miotła, na której wiedzmy wracają z sabatu do buchających ogniem kominów. Fiłaret z łękiem kreśli na piersi znak krzyża. Z chutoru niesiony wiatrem dolatuje zachwycony wrzask dzieciarni.

Jeszcze jeden wygłup Rozumnego! Stary hycel! — wście-ka się Fiłaret i składa się, mierząc w czerwoną zjawę.

Śruciny lecą Panu Bogu w okno, ognik migocze przekor-nie, jakby się droczył..

— O-ho-ho! — woła Rozumny.

— O-ho-ho-ho! — podchwytuje gromadka chłopców. Zwycięskie echo niesie się przez pola i błota, odbija się od czarnej ściany lasu.

Z nieba przychodzi odzew. Małeńki płomyczek rozwija się we wspaniałą kwiat o purpurowych płatkach. Jeszcze chwilę

kołysze się w górze, a potem zaczyna spadać. W końcu ginie w otwartej paszczy milczącego lasu.

— Spalił się... — żałośnie szepcze Iwanko.

— Spalił się... Płótno musiało się zająć — ponuro przytakują chłopcy.

Po czym zaczynają się zastanawiać, czy to latawiec zapalił się od wiatru, czy najpierw spłonął trzonek pochodni i od niego zajęło się płótno.

Rozumny milczy.

Ognista kula zapada w las, dobywając na chwilę z ciemności strzępiaste korony drzew. Naprężona nić słabnie, wiotczeje.

Trzeba zwinąć — leniwie myśli Rozumny. — Trzeba zwinąć...

Szeroka ulica wessała wesoły, chłopięcy gwar. Chłopcy rozbiegli się po domach; i tak oberwą od rodziców. Tylko Iwanko stoi opodal, współczująco pociągając nosem.

Rozumny po ciemku szuka szpulki. Nić sunie powoli, brudna, wilgotna; razem z nią pełzną wczorajsze i jutrzejsze kłopoty, mroczne myśli, nie ukojone cierpienia. Skoro świt trzeba iść do Filareta, cały dzień machać cepem, a tu w obejściu płot się wali, dach przecieka, a kartofli ledwie do przednówka starczy. Danyło za kawałek chleba i łatanie portki zgina grzbiet dla Filareta, dwaj starsi gdzieś w Galicji pochowani leżą... Cały ten świat jakiś taki nieudany, nieprzytulny, a on, Rozumny, puszcza sobie z chłopakami latawce... Godzi się to tak, staremu?

Nitka zahacza gdzieś o gałąź, rozdrażniony Matwój szarpie, nić pęka. Matwój spluwa i idzie ciężkim krokiem w stronę, gdzie majaczą ciemne kontury chat.

Iwanko dogania go. Musi biec, żeby nadążyć za jego długim krokiem. Mrok gęstnieje. W Filaretowym obejściu wyje samotny pies. W topolach tęsknie zawodzi wiatr.

W sercu Matwija — noc.

— Wujku, trzeba skleić jeszcze większego latawca, i żeby tam był jeszcze taki uchwyt dla mnie — zachłystuje się Iwanko. — Jedną ręką złapię się za uchwyt, a w drugiej będę trzymał pochodnię, nic a nic się nie boję, mama pozwoli, obiecali mi wyhaftować koszulę, całe lato u Filareta gości pasłem...

Rozumny zwalnia kroku. Ciężką, zgrubiałą dłoń kładzie na ramieniu Iwanka.

Jesienny zmrok wymazuje płoty z miedzy, otula drzewka wiśni, zaciera granicę między ziemią a niebem; tam gdzie było niebo, zieje teraz czarna pustka.

Buhajcha wypływa ostatnie przekleństwo w stronę ogrodu i wraca do domu, zamykając z trzaskiem drzwi. Ale czarne źrenice okien czujnie śledzą każdy ruch Maryny, która dopiero teraz może wyrazić głośno, co ma na wątrobie. Jej złorzeczenia są ciężkie i mroczne jak spowijająca wszystko jesienna éma — i tak samo bezradne i beznadziejne. W kącie ciemnego ogrodu Maryna mozolnie wrywa je z siebie, jakby chciała się pozbyć jakiegoś siedzącego na piersi ciężaru.

W ciemności słyhać tylko ochrypy, przeziębiony głos Maryny, poza tym nic nawet nie zaszeleści, tylko w zamkniętej na dwa skrzyżowane drągi obórcie od czasu do czasu ciężko wzdycha buhaj.

— Żeby twojemu bykowi uszło, ty głupia flądrowo, tak samo jak twojemu głupkowatemu Denysowi — rzuca na koniec Maryna i zawraca do chaty.

Kiedy tak brnie przez kartoflisko, wpadając w niewidoczne dziury i potykając się o suche łodygi słoneczników, cała nie wylana do końca złość wyciska jej z oczu niedobre łzy. Maryna płacze z żalu nad sobą.

Wszystko spowija lepki, nieprzenikniony mrok.

Z loszku pod sionką Maryna wyciąga wiązkę wilgotnego chrustu — rano znów człowiek nalyka się dymu — i z rozmachem kopnąwszy zgłodniałego Bryśka, wchodzi do chaty. Rzuca chrust pod piec.

— Mamo, jeść... — dolatuje z pieca.

— Żebyście wyzdychały — krzyczy Maryna rada, że ma na kim wyładować ból i złość. — Kiedy wreszcie przestaniecie suszyć mi głowę? Cichajcie, bo jak przyłożę...

Na piecu zalega cisza.

Maryna podchodzi do półki, bierze gliniasty bocheneczek, kruszy do miski małe kawałeczki, zazdrośnie macając, czy aby zostanie jeszcze choć połowa. Zwilża chleb wodą ze studni, posypuje odrobiną soli, już ma chwycić miskę, gdy nagle opadają jej ręce. Łaskotliwa, ciepła fala podchodzi do serca. Maryna sięga na najwyższą półkę, zdejmuje flaszeczkę oleju — strzegła go jak oka w głowie, żeby po kropelce dodawać do barszczu — i nie zapalając światła, szcudrze krasi wilgotny chleb. Potem wyszukawszy po omacku trzy wyszczerbione łyżki, idzie do stołu.

— Chodźcie jeść, dzieciaki...

— Z olejem, mamó, prawda, że z olejem? — wołają Iwanko i Lubka, ześlizgując się z pieca. Dzieci bezbłędnie rozróżniają każdy szmer.

— Z olejem — odpowiada Maryna, zamykając w tych słowach całą swoją czułość. Pieszczotliwie głaszcze Lubę po główce; swojej łyżki nawet nie bierze do ręki.

Po chwili, 'słyszac skrobanie o dno miski, sięga po chustę i zmęczonym głosem rzuca w ciemność:

— Jazda na piec. Tylko bez zbytków. Jutro skoro świt pobudka. Luba ma u Filaretowej kądziel praść, a ty Iwanku, będziesz motowidła strugał.

Od progu dodaje jeszcze:

— Do Ułyty polecę. Zamknę za sobą sama.

Chowa klucz pod wystającą belkę nad drzwiami, jakby rzeczywiście w chałupie było co kraść, wciska pod kapotę półówkę chleba i rozplywa się w mroku.

Pełen poczucia winy, Matwój na palcach podchodzi do posłania, zzuwa buty i kładzie się, nie zdejmując ubrania. Nie chce budzić Prisi, zresztą i tak jutro musi do dnia wstać. Przemyka oczy, rad by od razu zapaść w sen, ale sen nie nadchodzi. Co więcej, Matwój czuje, że ni stąd, ni zowąd cały świat zupełnie mu zobojętniał. W uszach brzmi jeszcze wzburzony głos Iwanka; Matwój uśmiecha się z odrobiną zazdrości: zapragnął chłopaczek ptakiem zostać, a nie wie, że człowiekowi sązione do śmierci grzebać się w ziemi, do tego jeszcze nie swojej. Choćbyś, człeku, nie wiem jak wysoko wzleciał i tak na ziemię spadniesz. A tu czeka już na ciebie niezła kompania: i Filaret, i wszystkie biedy i niedole, a w końcu ty sam. Od siebie się nie uciekniesz.

Obojętne, do czego by się on, Rozumny, nie zabrał, zapala starcza najwyżej na kilka dni, zachwyty — na jeden zryw, a droga do celu — długa. Mówił kiedyś wiejski nauczyciel, że gdyby za młodu Matwój mógł się uczyć, na pewno zaszedłby daleko. Ale to nieprawda. Nieprawda. Wszystko szybko Matwijowi brzydniesz, robi się obojętne.

Na przykład teraz. Już ani mu w głowie latawiec, choć jeszcze rano palił się do tego pomysłu. Tak samo było z bicyklem — do tej pory butwieje gdzieś na strychu — tak było

z diabełkami, tak było z wiatrakiem, który miał napędzać wialnię, a teraz tylko chłopaki mają z niego zabawę.

— Próchno już się z ciebie sypie, a rozumu u ciebie tyle, co u dziecka — zrzędzi kłótliwie Priśka.

Rzeczywiście. Gdyby miał trochę pomysłu, nie musiałby najmować się u Filareta, ale zająłby się czymś, z czego naprawdę byłby jakiś grosz.

— Ręce u ciebie złote — usłyszał kiedyś, trafiwszy na dobry humor Filareta — a ode mnie pud żyta na placki pożyczasz. Żeby to jakiś hołysz, co ma dwie lewe łapy do roboty, tobym jeszcze rozumiał...

Filaret lubi czasem wsadzić taką szpilkę. Mimo to Rozumny mu nie zazdrości; różnymi drogami przez życie idą. Do Matwija na przykład zawsze Ignęły i dzieci, i dorośli, a Filareta tylko pieniądze lubią. Nie zrobisz z wilka owcy...

Niejasne przekonanie, że mimo wszystko i tak ma nad tym bogaczem przewagę, przynosi Matwijowi ulgę. Odwraca się na wznak; bielona powała ledwie majaczy w ciemności: człowiek raczej zgaduje, że ona jest tam, w górze, jak niebo za gęstą mgłą. Coraz dziwniejsze myśli przychodzą do głowy.

Lada chwila mgła się rozwieje, przed Matwijem otworzy się na oścież rozgwieżdżone niebo. Gwiazdy są wielkie i soczyste jak jesienne jabłka; niebiański sad ciągnie się bez końca... Za chwilę to już nie prawdziwe niebo, ale jakby jego obraz odbity na cienkim płótnie; o Boże, zwój zaczyna się odwijać, gwiazdy — oślepiająco białe na szafirowym tle — błyszczą jaśniej niż prawdziwe. Rozumnemu trochę straszno, że jego dzieło okazuje się lepsze niż boskie, ale lęk szybko znika. Czuje, że ogarnia go nieprzeparta chęć, aby niezwłocznie wyszukać kwadratową deskę, wygładzić ją strugiem i rzeźbić zagłębienia, z których każde będzie jakąś gwiazdą; od razu zacząć czary nad farbami z dębowej i olchowej kory; ręce aż swędzą, jakaś tajemnicza siła popycha go do działania. Wpatruje się w powalę: zamiast powały w górze rozpościera się firmament z płótna usiany gwiazdami; wszystko to jego, Matwija, dzieło... Ni stąd, ni zowąd wpada w jakąś otchłań, pogrąża się w niepamięć, uśmiechając się radośnie przez sen.

Cały chutor musi przeblec Maryna, aby dostać się do baby

Ułyty. Od pierwszego dnia wojny niemal co wieczór skrzypią drzwi małej chatki, do której wchodzi się prosto z dworu. Nie ma tu ciężkich wrót, zamykających podwórze, ani ogrodzenia, ani w ogóle żadnego obejścia. Tylko dzięki swojej sławie dobrej wróżki Ułyta może jakoś utrzymać się przy życiu. Ale czy można odmówić dobrego słowa tym nieszczęsnym kobietom, szczypty nadziei splakanyim oczom, odrobiny ciepła złodowaciałym sercom? Ułyta żyje już długo i przeszła wiele. Wie, że nadzieja to jedyna rzecz, jaką biedak może mieć na tym świecie, więc rozsiewa ją szczerze, nie troszcząc się zbytnio, jakie ziarno wzejdzie na tej kapryśnej glebie.

Każdego miesiąca Maryna spieszy do Ułyty po wróżbę: biegnie skropić bolesne rany żywą wodą przyjaznego słowa.

— Dobry wieczór, babuniu... — rzuca szeptem w ciemność wypełniającą chatę i kreśli na piersi znak krzyża.

— A kto tam jeszcze o starej Ułyce pamięta? — dobiega z pieca ochrypły głos.

— To ja, Iwanowa Maryna.

— A, to ty, dziewczeczko-kryniczko, liczko-miesiączku złoty? A ja w sadzie rutę rwałam — ciebie wspominałam.

— Czemuście wspominali, babuniu? Nieszczęście może jakieś? — serce Maryny tłucze się niespokojnie.

— Gdzie tam, tylko tak sobie. Mogłaby już stara Ułyta z pieca się nie ruszać, niechby tu i umierać przyszło. Ptaszy-na maleńka — po ścieżynie skacze, głupie dziewczę, głupie — za kozakiem płacze. Daj rękę, Maryjeczko, nie mam ja siły kości dźwignąć...

Mowa wróżki dziwaczna, tajemnicza, ale łagodna, miękka, aż się na płacz zbiera. Maryna wyciąga rękę, baba zesuwa się z pieca na posłanie, z. posłania na niziutką pryczę, z pryczy na glinianą polepę.

— Powiedz ty, bułanku — żem poślubił żonkę, była młoda — zimna woda, družbowie-chłopaki — na niebie obłoki, byli i swatowie — czarni gawronowie, družki świeczki trzymały — w niebie gwiazdki mrugały. A o twoim Iwanie nic nie słyhać?

— Nic, babciu, ani słóweczka — łka Maryna, wciskając w zimne dłonie staruchy połówkę chleba. — Oczy ze szczętem wypatrzyłam...

— E-e-e, gołabeczko, ja tam całe życie wypatruję — a topolą się nie czuję.

— Jaką topolą? — lękliwie pyta Maryna nie pojmując.



— Miła pościel posłała — ale kłaść się nie chciała, otworzyła okieneczko — miłego czekała, nie ma, nie ma mileńkiego, mojego Iwana — będzie moja pościel biała zasłana do rana — przygaduje babka, rozdmuchując grudkę żaru i zapalając świeczkę. Maryna płacze. — Oj, gęsty ten oczeret tatarakowaty — oj, czyś ty mnie nie poznał, Iwanku głupkowaty?

Maryna uśmiecha się przez łyzy. Ułyta przylepia świecę do ławy, na stole stawia zielonkawą szklaneczkę z wodą.

— Podaj dziewczę czółno i woskową świeczkę — niech mam na czym płynąć przez tę bystrą rzeczkę. Gdzie masz obrączkę, Maryno?

Kobieta śpiesznie ściąga obrączkę z palca. Obrączka schodzi ciężko, z brzękiem wpada do szklanki. Wróżka sadza Marynę przy stole, na głowę zarzuca jej czarną chustę, zostawiając szparkę na oczy. Płomień świeczki wiosłuje po wodzie, miedziana obrączka rzuca czerwonawe błyski.

— Patrz w obrączkę, Maryjko, a zobaczysz Iwanka swojego. Pierwszy raz — w dobry czas, Panu Bogu się modlimy — Matkę Przczystą prosimy — wszystkim świętym się kłaniamy. Szła Maryna zza morza — niosła wodę z kumorza, wodę porozlewała — sługę bożego Iwanka na progu ujrzała. Patrzaj, Maryjko, w obrączkę, a zobaczysz swojego Iwana, zobaczysz swojego Iwana, zobaczysz swojego Iwana...

Oczy Maryny zachodzą łzami, woda w szklance marszczy się i wiruje od jej oddechu, w głowie się kręci, z ciemności słyhać natrętny szept Ułyty: „...zobaczysz swojego Iwana, zobaczysz swojego Iwana...”

Tak bardzo pragnie chociaż jeden jedyny raz, choćby tylko na mgnienie oka spojrzeć w bliską, na wpół zapomnianą twarz. Za całe małżeńskie życie nawet napatrzeć się nie zdążyła: Iwan to w Tawrii na zarobku, to u Filareta długi odrabiał. Wieczorem wrócił z Tawrii, a następnego dnia w południe zabrali go do miasta, na wojnę. Ze zwieszoną głową włókł się za wozem, a ona czepiała się jego rąk, jego ramion, swojej rozpacz, swoich łez, byle tylko czegoś się chwycić, byle świat nie zaczął wirować, nie stracił wyrazistych konturów, bo jeszcze było przecież tych dwoje maleństw wieszających się jej spódnicy.

Woda wygładza się, robi się przezroczysta, w obrączce bieje droga, widać wóz, za wozem zgarbiony kroczy Iwan, długie, silne ramiona opuścił bezwładnie.

— Obejrzyj się, Iwanku, obejrzyj, niech na ciebie spojrzę,

niech w twoje oczka popatrzę... — szepcze błagalnie Maryna.

Iwan ogląda się i uśmiecha wyrozumiale; uśmiechają się same usta, oczy pozostają smutne, zmęczone. Po chwili droga pustoszeje, woda marszczy się, na dnie szklanki znów migocze świetliste wioselko, jakby nic się nie stało, nic się nie pokazało...

— Obejrzał się — mówi ucieszona Maryna odrzucając chustkę. — Obejrzał się, babusieńko...

— No to tylko patrzeć, jak wróci — z przekonaniem odpowiada Ulyta gasząc świeczkę. — Ściel posłanie dla twojego Iwana. Miła pościel posłała — ale kłaść się nie chciała...

Wspominając dzieci Maryny, dziadek Kyryk powiedział, że Luba jeszcze teraz mieszka we wsi, w Gończym Przysiółku.

— Która to? — spytałem, bo Gończy Przysiółek to był kawał mojego dzieciństwa; nie było tam wtedy człowieka, którego bym nie znał.

— Toć Ryhorycha — odparł dziadek. — Znaczy się po mężu. Ryhor z wojny nie wrócił.

Oczywiście, pamiętam Ryhorychę. Jej syn, z pięć lat starszy ode mnie, pracował w kuźni, teraz jest kierownikiem warsztatu. Była jeszcze córka, ale wywieźli ją do Niemiec i nie wróciła. Ryhorycha zamartwiała się, słała jakieś pisma, opowiadała sąsiadkom, co jej odpisują z różnych urzędów, ale nic z tego nie wyszło; córka przepadła jak kamień w wodzie. Po wojnie Ryhorycha obrządzała w kołchozie świnie; płacili za to niewiele i zarząd musiał wyznaczać co tydzień kogo innego. Luba pracowała tam chyba z dziesięć lat. „Robotna jak mrówka” — mówiło się o niej z szacunkiem u nas w domu.

Nie widziałem jej już dawno — siostra mieszkała akurat na drugim końcu wsi. Muszę się teraz do niej wybrać. Powiem, że odwiedzam swoich dawnych uczniów, rozmawiam z ich rodzicami, no i przyszła mi ochota dowiedzieć się, co słychać u dawnych sąsiadów.

Ryhorycha była w domu.

— Dzień dobry — mówię — a już się bałem, żeście w pracy.

— Co to teraz za praca, synku. Tyle co w spichlerzu. Ale już i do lekkiej roboty nie bardzo się nadaje. Brygadzistka nie przydziela, tylko czasami poprosi: „Może byćście, babciu,

pomogły dzisiaj tu albo tam?" Jak się lepiej czuję, to idę. Ale za młodymi już nie nadążam. Nie te lata. Kiedyś, bywało...

Jest trochę zmieszana. Nie może się połapać, co mnie do niej sprowadza. Na wszelki wypadek wyciera fartuchem ławę przy stole, prosi siadać.

— A ja, ciotko Lubo, chciałem się od was czegoś o Rozumnym dowiedzieć.

— O jakim Rozumnym, synku?

— O tym, co kiedyś, dawno już, w chutorze mieszkał i samolot zmaistrował.

— A, jeszcze w chutorze... Matusia nieboszczka nieraz mi o nim opowiadali. Sama też co nieco widziałam...

— Jaki on był? — niecierpliwie usiłuję wydobyć z przeszłości bodaj najmniejszy konkret.

— Trudno wspomnieć. Byłam jeszcze bardzo mała — mówi Ryhorycha. — Coś się tam płacze po głowie: mieszkał w sąsiedniej chacie. Musi co nie był jeszcze stary, nie, ale jak sięgam pamięcią, zawsze mi się zdawał jakiś taki... biały.

— Biały?

— Ano. Białe wąsy, biała broda.

— Miał brodę?

— Może i nie miał — mówi niepewnie Ryhorycha. — Ale nie wiem czemu zdawał mi się biały. Pieska takiego mieliśmy, też białego, z czarnymi łatkami na bokach; karmić w zimie nie było czym, matka wypędziła z domu, to on go przygarnął. Zawsze litował się nad wszystkimi: i nad psami, i nad ludźmi.

— Mówią, że samolot zrobił?

— Coś tam zrobił. Podobnież na księżyc wybierał się lecieć czy jak, mówił, że ziemi tam moc, ale tak dokładnie to nie wiem, mała byłam, głupia.

— A czemu nie poleciał?

— Powiadają, że mu Denys Buhaj nie dał. Sprowadził jakichś z lasu — kusznirowców, Kusznir u nich był za naczelnika — i oni go zabili...

— Denys Buhaj, ten, co miał sklepik? — ucieszyłem się słysząc znajome nazwisko.

— Jaki tam sklepik — odparła z przekąsem Ryhorycha. — Żona Buhaja za młodu najmowała się u Filareta; nie wiem, jak tam było, ale on tej Motrii bardzo pomagał. Buhaj koni od Filareta pożyczczy, nawiezie z miasta różności, a potem sprzedaje i trzy razy tyle śpiewa. Dawne czasy, dawne, aż

strach wspominać. Kiedy kołchoz się prznosił, Buhajów syn uparł się, że w chutorze zostanie. Sam teraz siedzi, leśnikiem został...

— I mieszka tam, gdzie przedtem był chutor?

— Ano. Rozumny — ten to miał głowę... Przez to go i nazwali: Rozumny. I ręce złote: ciągle, bywało, coś majstruje. Mnie i Iwankowi diabełki drewniane wystrugał, ale było uciechy. Mali wtedy byliśmy. Dziecku niewiele trzeba — w brzuchu pusto, to choć zabawkę jaką.

— A gdzież teraz wasz brat?

— Iwanko? Heł, aż nad Amurem. Pułkiem dowodzi. Przed wojną i we wojnę — na samolotach latał, potem w pierś go raniło, teraz już nie lata, tylko za dowódcę jest. Przyjechał latem z rodziną; żona taka poważna, nauczycielka, i dwaj synowie, jeden już duży, w Moskwie na inżyniera się uczy. Pobyli u mnie dwa dni i pojechali dalej. Urlop miał... Umyśliłam bratowej serwetkę wyhaftować. Od sąsiadki, Natałki Sydorowej, chciałam odrobić — taką ładniutką: chatka dachówką kryta, świerki, jezioro, na jeziorze łabędzie. Ale bratowa, niby ta nauczycielka, powiada: „Lepiej niech będą kwiaty, takie, jak się dawniej wyszywało...” Co jej po kwiatkach, mówię sobie, nawet oka nie ma czym nacieszyć, ale jak chce kwiatki, niech będą kwiatki. No i zaczęłam, myślę, że przez zimę wykończę, w lecie obiecali, że znowu wpadną; na Krym będą jechać...

— A ojca waszego, Iwana, dobrze pamiętacie? Dziadek Kyryk trochę mi o nim opowiadał...

Za oknem zaczęło zmierzchać, zapadł wieczór, a my wciąż nie mogliśmy się nagadać. Ale com się nasłuchał! Głowa mi pękała, miałem wrażenie, że huczy w niej ogień.

Drewnianego Antypkę bez pięty i rozbójnika Hurkałę wystrugał i подарował Lubce wujek Rozumny.

Antypko był z tych diabełków, co to lubią plątać się pod nogami. No i doigrał się: Pan Bóg akurat drzwi zamykał i diabełkowi piętę odciął, a kiedy ten wrzasku narobił, Pan Bóg jeszcze kopniaka przyłożył — jest też czym sobie głowę zawracać! Kiedy matka źli, kiedy robota ich goni albo na półkach pusto, też, bywało, tak potrafią głodnego Bryśka kopnąć, że przez dwa progi na dwór przekoziółkuje. Od tego czasu Antypko kuleje. Ale przecież nawet drewnianemu dia-

bełkowi smutno cały dzień ławy się czepiać i leniwie huścić się na wyciągniętych rękach. Niecierpliwie czeka zatem wieczoru: matka pójdzie do sąsiadów, Iwanko, nabiegawszy się za latawcem, zaśnie. Tylko Lubka nie śpi, leży cichutko, nasłuchując czegoś w ciemności.

Pod oknem, gdzie krzaki bzu, snują się jakieś niebieskawe cienie, pod pryczą chroboczą myszy, wiatr tłucze w okienko, buszuje w kominie. Antypko ześlizguje się z ławy, wierci się po polepie, prostuje ścierpnięte członki, czerwony jęzor wywalił i wywija nim jak łuczywem, zataczając świetliste koła. Zmęczony się trochę, wskakuje na piec, bliżej Lubki, i grzecznie wyciąga kosmatą łapkę, podbitą — zupełnie jak u Bryśka — twardymi poduszczykami.

— Dobry wieczór, Lubko! Jak ci się żyło beze mnie cały dzień?

— Dobrze się żyło — rozsądnie odpowiada Lubka. Mówi szeptem, żeby się brat nie obudził, bo Antypko gotów się przestraszyć i z powrotem zamienić się w niemy, drewniany klocek. — Buhajów Roman znowu swoimi butami się przechwalał. Chwyci się tyczki i nogę zadziera, a my podeszwy podziwiamy. One prawdziwymi gwoździkami podbite, każdy miedziany, główka u niego okrągła, świecąca jak gwiazdka na niebie. Uspokoisz ty się wreszcie, Antypku?

Diablik ani przez chwilę nie usiedzi na miejscu. To lize zranioną piętę, to drapie się za uchem, to chwytą się za ogon jak głupi Bryśko. Lubka ma już dość tego wiercipięty; przypomina sobie o Hurkale, który poniewiera się gdzieś w kącie; nie ma kiedy zajmować się zabawkami: matka zaraz do kądzieli gonia. Może to właśnie Hurkało buszuje teraz w kominie? Ledwie zdążyła pomyśleć, a już pokrywa chlebowego pieca odskakuje, z czeluści wystrzela jak błyskawica Hurkało i z szumem i furkotem zaczyna szaleć po chacie, aż ściany drżą.

Dziewczynkę ogarnia strach, naciąga płachtę na głowę, przysuwa się bliżej śpiącego braciszka. Zwinięty w kącie kot budzi się, przeciąga, drapie pazurkami ścianę. Na strychu tupie zmarznięty, głodny skrzat. Kiedy wreszcie Lubka zbiera się na odwagę i wysuwa głowę spod płachty, Antypko z Hurkałą siedzą na piecu, Hurkało czarniejszy niż noc — cały w sady.

— Więc w tych podeszwach gwoździki jak gwiazdeczki błyszczą — podejmuje opowieść Lubka. — Byście mi choć

jeden taki gwoździak zdobyli, przyczepiłabym go do łapci i też bym miała gwiazdę.

— Czemu nie — poważnie kiwa głową Antypko. — Prosta sprawa.

Hurkało się niecierpliwi.

— Hu-u-u-r, hu-u-u-u-r, no to lećmy...

Ale Lubka jeszcze nie skończyła; przez cały dzień sporo różności się nazbierało. Dobrze, że jest z kim sobie pogadać.

— Czekajcie, nie wiecie, co było potem. Podziwiamy te gwoździki i podziwiamy, w końcu złość nas wzięła i stłukliśmy Romana na kwaśne jabłko. A on w krzyk i do Buhajichy z ozorem leci. A Buhajicha dzisiaj nie dała matce trzech naparstków soli za sprzedaną kądziel. Więc jak pójdziecie po gwoździki, to jeszcze nastraszcie ichniego byka, niech Buhaje wiedzą, co znaczy naszą mamę krzywdzić. I bez tego nie ma dnia, żeby nie płakała: za tatką rozpacza.

— Hu-u-u-r, hu-u-u-r! — niecierpliwi się Hurkało. — Lećmy.

— Poleciałoby się, cóż kiedy drzwi zamknięte — mówi Antypko. W jego wystraszonych oczach migoczą zielone płomyki: odkąd mu piętękę urwało, boi się drzwi gorzej niż Filarret złodziei.

— Hu-u-u-r! Złap się mojego ogona i w komin! — pokrzykuje Hurkało.

Antypko waha się. Wprawdzie zbytki zawsze się go trzymają, ale i leniuch z niego nie lada.

— Sadzą się usmotrucham.

— Rano cię calutkiego wypucuję — przyrzeka Lubka. — I wytrę do sucha czystym ręcznikiem...

— Dobra — ustępuje wreszcie Antypko. — Tylko sobie nie zabądź. Za dnia wstyd by było, żeby taki smoluch na ławie się bujał.

Chwyta towarzysza za ogon. Hurkało nadyma policzki i podobny do czarnego kłębuszka, śmiga w komin. Na dworze wiatr. Szybki w oknie aż dzwonią. Lubce trochę żal obu diabełków, ale niech Buhajicha wie, co znaczy mamę krzywdzić; niech no tylko tatko z wojny wróca, dopiero im wszystkim pokażą...

Ukołysana słodkimi myślami dziewczynka błogo zasypia. A zrodzone w dziecięcej wyobraźni dwa małe diabełki — Antypko i Hurkało — długo jeszcze myszkują po uśpionym chutorze.

Rozumny śni, że cały świat to dzieło jego własnych rąk: z miękkiego brzoźowego pnia wytoczył ziemię, dłutem wyrobił jeziora i rzeki, brzegi ogrodził patyczkami drzew; tu i ówdzie powbijał patyczki gęściej: niech będzie las. Nad całym tym drewnianym królestwem rozpiął kawał cienkiego, wzorzystego płótna w białe gwiazdki na niebieskim tle.

Lekkim krokiem stąpa Matwój po ziemi, głową gwiazd sięga, gospodarskim okiem wokół spoziera. Tu rzekę zamuliło, tam znów wierzchołek góry przebił niebo — trzeba trochę przyciąć. Brzeg nieba oklapł i zwisa nad drzewami jak boki biedniackiej krowy na przednówku — trzeba podeprzeć. Matwój wyciąga narzędzia — siekierę, piłę, strug, dłuta, wiertła rozmaite — i bierze się do roboty.

Przyjemnie pomyśleć, że gdyby nie on, i ziemia by zmarniała, i niebo się zawaliło; że w ogóle wszystko trzyma się wyłącznie dzięki jego złotym rękóm.

W końcu góra ociosana, rzeka pogłębiona, kopuła nieba napłęta, aż płótno lśni. Matwój zbiera narzędzia, idzie dalej, żałuje tylko, że nikt jego roboty nie podziwia: wszyscy ugrzęźli po uszy w codziennych kłopotach, nie widzą dalej własnego nosa.

Aż oto skądś dobiega rozpaczliwy lament. Rozgląda się Rozumny: hen, daleko w dole, gdzie rozciąga się ziemia, mrowi się coś: owady nie owady, ludzie nie ludzie, wszystkie głowy zwrócone ku niemu.

— Tyżeś to ten świat zmajstrował? — słychać pytanie.

— Ja — z dumą odpowiada Rozumny.

— Po co? — rozlega się jęk.

— Bo mam rozum, który wszystko umie wymyślić, i ręce, które wszystko potrafią zrobić.

— To nakarm nas! — dolatuje z ziemi szlochanie dzieci.

— Nie każ nam całe życie na cudzym pracować — wtrąca syn Danyło.

— Oddaj mi moją młodość, której nie miałam — dorzuca Ułyta.

— Spokoju nam daj, spokoju! — woła Filaret. — Ziemi i spokoju.

— Jeśli ty zmajstrowałeś ten świat, rzuć mi kopiejczek złotych — błaga wyciągając ręce Denys Buhaj. — Choć jedną garsteczkę.

— Jeść, jeść jeść! — zmieszane głosy łączą się w zgodny chór.

Krzyk wzmagą się, żądania i prośby zlewają się w jeden bolesny jęk. Rozumny zatyka uszy, ale w sercu czuje cały ogrom człowieczego bólu, całą mękę. Unosi głowę, jego wzrok pada na soczyste jabłuszka gwiazd. Migoczą wesoło, jakby szeptały coś kusząco, pieszczotliwie! Z jakim współczuciem spoziera księżyc na cierpiącą, grzeszną ziemię. Zupełnie jakby posiadał nie byle jaki sekret: jak ludzką na tej ziemi niedolę w szczęśliwość zamienić. Patrzy Rozumny na białą, okrągłą tarczę i słyszy: nad ukwieconymi jabłoniami pszczoły złociste brzęczą. Rzeczywiście — czemu to księżyc taki biały? A czasem — czerwony? Gdzieś przecież musi być dzień, co się nigdy nie kończy i sady, co nie ustają kwitnąć; dojrzałe jabłka, wiśnie i grusze padają na księżycową polepę, tylko zbierać ich nie ma komu... Pełna szczęśliwość, cisza, żadnych wymówek pod adresem twórcy! Na próżno wyrzeźbił ziemię wraz z dolinami, lasami, zwierzętami i ptactwem, na próżno wypełnił ją ludźmi, i tak wszystkich nie nakarmi i nie uszczęśliwi. Jeśli teraz już w niczym pomóc nie można, lepiej wygnąć z serca własne i cudze cierpienia, nic nie widzieć i nic nie słyszeć. Cóż po takiej ziemi, skoro jest przecież niebo?

U ramion wyrastają mu olbrzymie, sprężyste skrzydła. Z rozmachem wlatuje Matwij na spotkanie gwiazdom. O dziwo, niebo rozstępuje się, odpływa w głąb, jakby nie miało dna. Modre fale nieziemskiej światłości spowijają Matwija, czuje się lekki, beztroski. Błękitny sen z wolna zacierą w nim pamięć o udręczonej cierpieniem ziemi.

Siano pachnie macierzanką, w kącie ciężko wzdychają konie. Całkiem jak ludzie. Gdyby nie to, że konie są własnością Fiłareta, Danyło nawet by im współczuł. Ale wszystko jest Fiłaretowe — i siano, i stajnia, i konie, i kapota, i sam Danyło.

Unosi się na łokciu, nasłuchuje. Drzwi przestały skrzypieć, błocko nie mlaszcze pod ciężkimi krokami, w końcu i Fiłareta zmorzył sen. A jeżeli czatuje pod oknem? Uch, wyzyskiwacz. Ludzie gadają, że gdzieś w sadzie złoto zakopał, czeka na lepsze czasy, ale po nocach nie sypia, boi się. Może to i prawda. Danyłę nie obchodzi Fiłaretowe złoto, niech je zabierze ze sobą choćby do grobu. Danyło wie, czemu Fiłareta męczy bezsenność. Stary boi się, żeby w nocy ktos mu czerwonego



kura nie puścił. Już nieraz tym, co u niego dawniej pracowali, i tym, co mu byli coś winni, podsyłał przez Danyłę jedną, drugą miarkę żyta; przypodchlebić się chciał, wkupić. Ale całego chutoru, całego świata nie przepłaci. Danyło chętnie podpaliłby Fiłareta i zabrał się, gdzie oczy poniosą, gdyby nie rodzice. Żywcem do grobu by ich wpędził.

Ostrożnie uchyla drzwi i wychodzi na podwórze. Nawet nie zamyka stajni, niech sobie ludziska kradną, ile chcą. Na dworze nie tak ciemno jak w szopie; Fiłaretowa chata, stodoły, spichrze, dębowe wrota niczym szare drapieżne widma osaczają parobka. Danyło z trudem hamuje ogarniającą go wściekłość; nogi w postołach wparł w zamarznąłą ziemię i stoi zaciskając pięści, aż paznokcie wpijają się w dłonie. Nie bardzo wie nawet, skąd się w nim ta złość bierze, wścieka się raczej instynktownie, ale źródła miotających nim uczuć są głęboko i odległego sięgają czasu. Złość kipi, pieni się, wzbiera niczym potok, któremu przegrodzono koryto. Ale nadejdzie chwila, kiedy wzburzone fale rozmyją groblę i runą, zmiatając wszystko, co na drodze.

Danyło skacze przez płot do ogrodu, sobie tylko znanymi ścieżkami przemyka od chaty do chaty, od obórki do obórki. Przy samym Buhajowym obejściu spod nóg chłopaka podrywa się czarny, okrągły kształt i fukając groźnie, znika w krzakach. Danyło odskakuje i już zgodnie ze zwyczajem chce się przeżegnać, ale złość jeszcze go nie opuściła, więc tylko spluwa w stronę krzaków: nie wierzy ani w wiedźmy, ani w diabłów, ani nawet w Boga. Nawet jeśli On istnieje, ten siwobrody staruch, już dawno zapomniał o tym, że jest jakaś ziemia, po której chodzi jakiś Danyło, i gdzie przycupnął Danyłowy chutor. Nie dziwota, powiadają, na świecie dużo ziem i wielu carów i pod każdym carem naród swoją mową gada; jak tu pamiętać o tym skrawku wciśniętym między lasy i bagniska? A może na ten chutor Bóg wysłał w swoim imieniu Fiłareta? Że niby tak: własnymi rękami nie mogą sięgnąć wszystkiego, więc tutaj ty królem bądź i rządy sprawuj, a inni niech za najmitów służą...

Twardymi palcami Danyło puka w ciemne zapotniałe szybki. W malutkim okienku przygarbionej lepianki majaczy biała postać.

— To ty, Danyłku?

— Ja, Ruto, ja...

Pod wpływem nagłej myśli Motria budzi się: a jak by tak trzy szufelki jagieł za naparstek soli brać? Dawniej była głupia — za jedną szufelkę naparstek dawała. Później zmądrzała, życie ją nauczyło — i już dwie szufelki nosą. A jutro powie: „Wybaczcie, dobrzy ludzie, ale czasy ciężkie, chcecie — dobrze, nie chcecie — wasza wola, nie kradzionym przecież handluję, ale swoim...” Na tym padole nikt od siebie nie grabi, każdy — do siebie, jak mawia Fiłaret. Mądry człowiek. To on przecież wymyślił, żeby chutor od swojaka wszystko kupował i dał Motrii na rozkręcenie interesu. Niejeden rok służyła Motria u Fiłareta, jeszcze młody był... Gdzieżeś ty, młodości moja?...

— Denys! De-e-e-nys! Jak zaśpisz, a Myszka złodzieje wyprowadzą, możesz do chaty nie wracać. Lepiej od razu suchej gałęzi sobie szukaj...

— Co? Gdzie? — zrywa się na pół senny Denys i rzuca się do okna.

Ale za oknem czarno, jakby noc pociągnęła szyby gęstym dziegiem. Denys siada na ławie, nogi w postołach spuszczone na polepę, po omacku szuka czapki. Calutką jesień sypia nie rozbierając się: boi się, że ktoś może ukraść byka. Złych ludzi namnożyło się, a buhaj ładny.

— Ale mnie Bóg mężusiem pobłogosławił — dogaduje Motria, której to już nadojadło. — Chałupę można za węgiel zahaczywszy do lasu wywlec, a ten nic, chrapie sobie jak nie przymierzając wieprz w chlewie.

Denysa życie nauczyło — lepiej zmilczeć. Wychodzi do sieni, marudzi przy zasuwach. Ma się ten interes, na siedem spustów zamykać trzeba.

Na ganku słyhać, jak za leszczynową ścianą obórki sapie Myszko. Denys z lubością wsłuchuje się w te odgłosy. Ten buhaj to przecież wszystko, co ma; za całą gospodarkę musi wystarczyć i wszystkich najbliższych zastąpić. Mimo woli robi się człowiekowi miękko pod sercem.

Buhaj buhajem, a tylko patrzeć, jak pierwsze kury zapieją. Trzeba ruszać do Fiłareta. Denys wraca do sionki i starannie rygluje za sobą drzwi.

— No, jak tam? — pyta Motria.

— Toć spi...

— Jak myślisz, dadzą trzy szufelki za naparstek?

— No pewnie... — sennie odpowiada Denys.

Danyło śpi. Kudłatą głowę złożył na piersiach Ruty. Całkiem jak dziecko — myśli Ruta. Przytuli się do człowieka, ogrzeje i do świtu nie drgnie. Ruta kładzie chłopcu rękę na ramieniu i zaczyna go kołysać, tylko patrzeć, a kołysankę zaśpiewa. Ale zamiast melodii z piersi Ruty wyrywa się przeciągły, płaczliwy jęk.

— Co to? — budzi się Danyło. — Już czas?

— Nie, nie. Śpij — szepce Ruta. — Ja tylko tak. Jeszcze wcześniej, jeszcze pierwsze kury nie piał. Obudzę cię, obudzę...

Znów zaczyna się kiwać, mrużąc coś monotonna. W tym powolnym ruchu tyle ciepła i tęsknoty, którymi nigdy nie było kogo obdarować, że z trudem wstrzymuje napływające do oczu łzy. Nie sądzone jej było niozego kołysać. Może tylko tę krótką, kradzioną miłość: pobrali się zimą, a na wiosnę on poszedł za chlebem do Tawrii i przepadł, i już nigdy nie wróci. Chłopaki, co z nim poszli, mogli mu usypali. Stepy tam a stepy, powiadają, ile byś nie szedł — jedna równina, jak dno chlebowego pieca. Musi co smutno w stepie tak leżeć samotnie. A żyć to niby weselej? Przegranych więcej niż tych, co im los poszczęścił. Zresztą, jakby tak się rozejrzeć, ilu by się tych szczęśliwców znalazło? Ale każdy w swoim kącie swoją niedolę hoduje. Tylko czasem dwoje niebożąt się zjedzie — zawsze to we dwoje cieplej, bezpieczniej. Właśnie jak jej z Danyką.

Ale kiedyś Danyko odejdzie. Ożeni się; młody jeszcze. I będzie szczęśliwy. A ona zostanie sama do śmierci. Na myśl o tym chce się jej wyć z rozpacz, jak wyje w jesiennej pomroce wygłodzony Brysko Maryny. Więc tylko kołysze głowę Danyką, bezgłośnie nucąc kołysankę. Melodia kołysanki zawsze żyje w sercu kobiety, jak żyje deszcz ukryty w chmurze.

Spod dachu spływa zapach łąkowego siana. Myszko wdycha go z lubością. Śni mu się lato: gęsta trawa lechce podbrzusze, ugina się pod racicami, pcha się do pyska, młoda, soczysta. Myszko oblizuje się głośno, ze smakiem, ale wysunięty ozór napotyka tylko chłód miedzianego kółka w nosie. Łąki falują niby woda w stawie, kiedy byk grzebie w nim niecierpliwie racicą, chcąc kopnąć tego drugiego Mysza. Sen ucieka. Buhaj unosi łeb i wężąc drażniącą woń, zaczyna ryć z głodu.

Leszczynowa obórka drży, z powały sypie się próchno. Z furkotem i świstem spada z góry czerwona obręcz. Myszko szaleje z wściekłości, bodzie ciemność rogami. Obręcz opada niżej, przesłania oczy i zaczyna wirować jak bąk. Byk ciężko dźwiga się na nogi, rozkopuje ściółkę, nabiegłe krwią ślepia robią się czerwone jak tamta wirująca zuchwale obręcz, bliska i niedosiężna zarazem. Myszko opuszcza łeb, ryczy, jego potężne cielsko miota się na wszystkie strony. Obręcz trzeszczy, pęka, wokół zalega cisza. Przygasają purpurowe błyski ślepiów. Przed Myszką majaczy sad, a dalej — szopa na drewno, kopka siana i wejście do piwnicy. Rogi przebiły wątlą ścianę, łeb już na dworze, a tułów — jeszcze w obórce. Czerwona obręcz znikła, jakby jej nigdy nie było. Wokół Myszka drepcze zafrasowany gospodarz.

— Oj, Myszku, Myszku, głuptasie... Oj, Myszku, Myszku... Cóż to za siła nieczysta tak cię przestraszyła!

Denys delikatnie drapie Myszka za uchem, bykowi bardzo się to podoba, łagodnieje. Wówczas Denys zaczyna powolutku wypychać go z powrotem do obórki. Buhaj zapiera się, w ślepiach znów zapalają się czerwone ogniki. Denys wchodzi na poddasze, bierze naręczę pachnącego siana i wrzuca do żłobu.

— Na, Myszku, na...

Woń łąki działa kojąco, Myszko przełyka ślinę, wyciąga łeb z dziury w ścianie i odwraca się do żłobu. Denys zamyka drzwi, przynosi z szopy wiązkę słonecznikowych badyli, zatyka wyrwę.

Na wiosnę zapowiem ludziom — myśli — że za krycie krowy trzeba będzie nie pięć, ale całe dziesięć funtów żyta — trzeba obórkę załatać. Będą kłąć, ale ustąpią, gdzie mają iść, jak jedyny w całym chutorze buhaj — u mnie.

Denys czuje, że mu się robi lżej na duszy.

Szczęśliwa, ożywiona nadzieją Maryna wraca do domu. Wchodzi w obejście i nagle serce w niej zamiera: wysoko, koło komina żarzy się coś czerwono. Pożar? Ale po chwili płomyk gaśnie — dzięki Bogu, zwidy jakieś czy co. Maryna wchodzi do chaty, chwilę nasłuchuje sennych oddechów dzieci i nie zdejmując chutki, pada na kolana przed niewidocznymi w ciemności ikonami.

— Matko Boża rodzeniuteńka, orędowniczko nasza, dobrodziejko nasza, spraw, niech on wróci z wojny, oddaj dzie-

ciom ojca, a mnie męża prawowitego, Iwana. Niech powróci sokolik mój zdrów i cały, niech mu nie brakuje ani ręki, ani nogi, ani oka bystrego, ani trzeźwego pomysłu. Niech stanie znów na progu, niech powie do mnie serdecznie: „Witaj, żonol!”, a do dzieci: „Witajcie dziatki!...” Żebyśmy mogli żyć razem szczęśliwie i dostatnio, tak jak to sobie kiedyś marzyliśmy. Nie chcemy wiele, święta orędowniczko nasza, prosimy cię tylko, żeby dzieci były syte, ubrane i żeby miały buty; ja sama i mąż mój, Iwan, jakoś przebijemy, nam nie pierwszyna. A ty, Bożeńku, synu swojej jasnej Matki, w czas boju krwawego nad moim Iwanem się zmiłuj — on taki piękny, że nawet w największej ciżbie od razu go zauważysz — odwróć od niego zbląkaną kulę i ślepy los. To mąż mój najdroższy, lepszego próżno by szukać po świecie; choćby mnie rąbali, choćby na męki wzięli, jeszcze w godzinę śmierci to samo powtórzę. A na tych wyzyskiwaczy — Filaręta i Buhaja — spuść Boże wszystkie swoje kary i jeszcze nowe obmyślić zechciej. Bo piją bez końca krew naszą sierocą i ciągle im mało. Niech na ich głowy spadną nasze straszne męki i nasze gorzkie łzy. Spraw, Przenajświętsza Dziewico Maryjo, żeby pypeć się zrobił na długim ozorze tej przekłętej Buhajichy, co dzisiaj zwyzywała mnie za moją ciężką pracę i nie przespane noce. A jej małemu bękartowi, żeby na łbie była wielka wyrosła, niech wie, co znaczy moim biednym sierotkom świecące podeszwy pod oczy podtykać, a puszyć się, a przechwalać. Mężowi Buhajichy, Denysowi i ichniemu bykowi to już sama, rodzona moja, wiesz, co zesłać... O Matko Boża, Panno miłosierna, orędowniczko nasza... Maryna zatapia się w modlitwie.

Chmury płyną nisko nad wsią. W chałupie Ruty wiatr huca w kominie. U Filaręta w kurniku kogut wyciąga szyję, bije skrzydłami i pieje na cały głos. Koguty Filaręta zawsze zaczynają pierwsze — ranne ptaszki sobie dobiera. Jakby na dany znak w krętych uliczkach, w obórkach i sionkach inne koguty zaczynają trąbić jak, nie przymierzając, anieli na sąd ostateczny. W ciemnych, dusznych niczym mogiły chatach, zaczyna się ruch, ludzie postępują, szczerzej okręcają się w płachty, daremnie szukając odrobiny ciepła w beznadziejnej nadziei, że kogucie pianie to tylko sen.

Ale anioły trąbią niewzruszenie.

Filaret zapala świecę i podchodzi do swojego, jedyne-  
go we wsi, zegara. Jest trzecia.

Ruta śpi. Jej ręka niby skrzydło ptaka spoczywa na ramie-  
niu Danyły, wargi muska przelotny gość: pieśczośliwy, ma-  
rzycielski uśmiech. Tak uśmiechają się schylone nad kołyską  
młode matki. Ruta długo walczyła z ogarniającą ją sennoś-  
cią, nie chcąc przegapić chwili, kiedy zapieje pierwszy kogut.  
Ale sen okazał się silniejszy. Przyniósł jej tyle szczęścia...

Danyło sam posłyszał koguty, prawda, że dopiero wtedy,  
gdy odezwał się najbliższy, Buhajowy, a wiadomo, że kogut  
Buhajów budzi się ostatni.

Nie obudziła mnie — myśli ze złością, choć wie, że Ruta  
nic tu nie winna. Jego złość jest skierowana przeciw całemu  
światu, wszystkiemu, do czego wzywa kogucie pianie. Ale  
świat wielki, wiadomo to, gdzie winnych szukać, a Ruta —  
pod ręką. — Zaspała...a...a...

Po omacku odnajduje kapotę, wymyka się spod ramienia  
Ruty, które bezwładnie opada na krawędź drewnianego łóżka.

— Oj, zaspałam... — w głosie Ruty brzmi prośba o przeba-  
czenie. — Idziesz?

— No... — burczy lakonicznie Danyło, odwracając się, aby  
nie okazać rozdrażnienia.

Ruta nadstuchuje, jakby jeszcze na coś czekała.

Danyło przystaje w progu i rzuca w mrok:

— No to na mnie czas... tego, no... do wieczora...

Oddalające się kroki za oknem.

Cisza.

Maryna długo dmucha w spopieliałe palenisko, aż oczy za-  
chodzą łzami. Wreszcie błyska iskierka żaru, słomiany wiechet-  
tek wypuszcza ogon białego dymu i strzela płomieniem. Ko-  
bieta wyciąga spod pieca suche sosnowe szczapy. Pachnący  
czerwony płomień kreśli na ścianach skrzydlate cienie.

— Lubka! Do kądzieli! — woła Maryna. — Iwanko! Szpul-  
ki strugać!

Na piecu zaczyna się ruch.

— Mamo, spać...

— A jeść za co wam dam, nędzo przekłeta — wybucha Ma-  
ryna. — Czekajcie, zdechnę ja od takiego życia. Będziecie wte-  
dy kołatać do cudzych drzwi, skosztujecie, jak chleb siero-  
cy smakuje....

Zza komina wysuwa się głowa Lubki.

— Mamo, Antypko w domu?

— Portki włożył i na zabawę poleciał.

— Gdzie Antypko, mamo?

— Przecie leży na ławie. Tyla z ciebie dziewucha, a jeszcze lalki ci w głowie.

— Ona wczoraj cały wieczór z nim rozprawiała, spać nie szło — skarży się Iwanko.

— Niech mama nie słucha, to wszystko nieprawda — rumieni się Lubka. — A on cały wieczór z wujkiem Rozumnym latawca puszczał.

— Siadaj do kądzieli, pókim dobra! — krzyczy Maryna.

Filaret wynosi z sionki dwie naftowe lampy. Pod szkiełkami pełgają purpurowe jęczyzki.

— Danyło, hej, Danyło!

— Tu jestem, gospodarzu — słyhać z ogrodu głos parobka i Danyło przeskakuje przez płot.

— Gdzieżeś był? — podejrzliwie pyta Filaret.

— W stogach cosik szurało, poszedłem sprawdzić, czy cudza krowa się nie przybłąkała.

— A-a-a... Bierz latarnię. Tylko ostrożnie. Ogień zaprószysz — w więzieniu zgnoję...

Obaj człapią przez ogród do stodoły. Filaret otwiera wrota. Uderza w nich słodkawa woń długo leżącego w sąsiedkach żyta. W snopkach szeleszczą myszy. Filaret stawia latarnię na bontach krokwi. Pod ścianą połyskują wypolerowane przez wiele twardych rąk cepy.

Do stodoły wchodzi Denys Buhaj, staje przy wejściu i zdejmuję czapkę:

— Witajcie, gospodarzu!

Wchodzi Dachnoweć, ojciec sześciorga dzieci, i także zdejmuję czapkę:

— Witajcie, gospodarzu!

Wchodzi pokrzywiony kulas Podczepnia i kłania się nisko;

— Witajcie, gospodarzu!

Wchodzi Matwój, zwany Rozumnym, ręce wsadził w kieszenie kapoty:

— Witaj Filarecie! Już nie śpisz?

— Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje — odpowiada posępnie Filaret.

— A Dachnoweć od małego skoro świt wstaje, ale coś mu Pan Bóg bardzo mało daje...

— Lepiej byś cepem wywijał niż ozorem — złości się Fiłaret. — Do roboty!

Danyło i Kyrył już są na zapolu, na klepisko lecą rozwiązane z powróseł snopy. Fiłaret spluwa w garść i bierze zamach.

— Z Bogiem!

Z głuchym łoskotem ciężkie bijaki spadają na rozesłane zboże, w stwardniałych dłoniach popiskują dzierzaki, smętnie poskrzypują rzemieńne gązewki. Klepisko dygocze od uderzeń, w latarniach tańczą jęczyczki ognia.

Łup-hup-hup, łup-hup-hup...

W słomianą przegrodę bije rześisty deszcz Fiłaretowego ziarna...

## ZIMA. BRYŚKO

Jeszcze tej samej jesieni, zaraz po rozmowie z dziadkiem Kyrykiem postanowiłem wybrać się w odwiedziny do Batraka. Batrak był wujem Mykoły, a z Kyrykiem pasali kiedyś krowy. Ale siostra ostudziła mój zapał:

— Toć on w mieście, w szpitalu. Oryna mówiła, że ledwie go żywego dowieźli.

— A co mu się stało?

— Nawet nie pytałam. Ma swoje lata, daj Boże każdemu. To i choróbska różne się przyplątują.

Wieś białym całunem spowita. Płoty tylko i drzewa sterczą jak czarne cienie. Śnieg świeży, puszysty — iść przyjemnie. Wracam do domu. Obok mnie drepcze siostrzeniczka: tak się złożyło, że ja nie mam dziś żadnej dodatkowej pracy społecznej, a ona wyszła już po pięciu lekcjach. Dziewczynka bezmyślnie papie coś na temat szkoły; puszczam to mimo uszu i rozkoszuję się ciszą. Niebawem będę miał za sobą sześć miesięcy stażu pedagogicznego. Oczywiście nie licząc praktyk studenckich. Ale praktyki odbywało się to tu, to tam, a te pół roku zleciało wśród swoich, w rodzinnej wsi, gdzie każdy, kto się urodził dziesięć lat wcześniej niż ja, wspomina, jak latałem bez portek, w samej koszulinie, a młodszy pamiętają, jak przezywano mnie w szkole. W siódmej klasie, gdzie



teraz jestem wychowawcą, stoi jeszcze ławka, na której wydrapałem swoje nazwisko. Początkowo kierownik administracyjny mordował się jak szatan, chcąc je zamalować, ale litery uparcie przebijają spod farby — nie ma co: rzetelna robota. I niech no tylko w siódmej zacznę jakąś umoralniającą przemowę, te diabła niby przypadkiem zerkają w stronę niezszcześniejszej ławki. Dlatego początkowo nie miałem słodkiego życia, męczyło mnie to wszystko i teraz jestem rad, że dokoła tak spokojnie i cicho, że śnieg taki puszysty i biały. Wyobraźnia kartkuje dziesięciolecia jak książkę; oto leśny chutor, zawiany po uszy śniegiem; dokoła ludzie, których coraz lepiej poznaję i na swój sposób zaczynam lubić; ulica jak wysoki, biały nasyp, niżej po obu stronach przycupnęły chałupki podobne do ciemnozielonych opieńków; głodny Bryśko skrobie do drzwi, może Maryna go wpuści... Raptem zza śnieżnej zasy słyszę nieco kpiący, ale dobroduszny głos:

— Towarzyszu nauczycielu!

Na ganku wiejskiej rady stoi Mykoła Czemereć i śmieje się:

— Towarzyszu nauczycielu, chyba nie zapomnieliście, że dziś o drugiej mamy zebranie agitatorów?

Już przeszło miesiąc Mykoła jest przewodniczącym; prawie nie bywa w domu. Widuję go tylko na posiedzeniach rady. Wprawdzie moja siostra nieco krytycznie odnosi się do jego energicznych rządów — napomyka coś o nowej miotle, która póty po kątach tańczy, póki całkiem nie wyłysieje, na co zresztą zwykle nie trzeba długo czekać — jednak mnie podoba się jego zapał. Mykoła spoważniał, nabrał pewności siebie i przestał zwracać się do mnie per „panie nauczycielu”.

O przedwyborczej naradzie agitatorów na śmierć zapomniałem; już pół do drugiej, nie ma sensu iść teraz do domu, tylko po to, żeby zaraz wracać. Daję więc teczkę siostrzenicy i podchodzę do Mykoły.

— Wróćcie na obiad, wujku? — woła dziewczynka, urażona, że tak łatwo zrezygnowałem z jej towarzystwa.

— Powiedz matce, że się trochę spóźnię — odkrzykuję, chociaż stoimy jeszcze całkiem blisko; jednolita biel ogrodów, ulicy i ryneczku, przy którym stoi wiejska rada i klub, stwarzają złudne wrażenie jakiejś ogromnej przestrzeni.

Witam się z Mykołą. Rozmowa toczy się wokół jakichś drobiazgów, a we mnie znów ożywa obraz leśnego chutoru, drogi zasypanej śniegiem, Maryny...

— Słuchaj no — przerywam Czemerciowi w pół słowa — jak się ma wujek?

— Batrak? W tym tygodniu przywiozłem starego do domu. Wyremontowali go trochę, kuśtyka sobie koło chaty.

— Czy on naprawdę był parobkiem?

— Pierwszym w całej wsi, ale też u najprawdziwszego gospodarza. U Kuznira służył, może słyszałeś? A czemu pytasz?

— Zajrzę do niego, zanim się ludzie zejdą — odpowiadam wymijająco. Nie mogę się doczekać, by jak najszybciej rozpocząć wyprawę w przeszłość.

— Odprowadzę cię. Przy okazji także odwiedzę starego, od wczoraj do niego nie zaglądałem.

Gościnnie pokój Batraka — ni pies, ni wydra: jakby stała w pół drogi między wiejską izbą a miastowym salonem. W rogu nowiutka szafa, obok belka na ręczniki i chusty, nad łóżkiem papierowa makatka w jaskrawe piwonie, pod sufitem taniutki żyrandolik, stojąca lampa, koło niej stos książek, wzdłuż ściany ławy... Batrak mieszka z synem i synową.

Dziadek siedzi przy piecyku i struga jakąś zabawkę dla wnuków.

Witam się.

— Poznajecie mnie, dziadku? — pytam.

— E-e-e, młodych za diabła już nie poznają. Pleni się to jak perz na miedzy. Strasznie was dużo. A nas ubywa.

— Wujku! — woła głośno Mykoła, pewnie dziadek już nie dosłyszeli. — To przecież nauczyciel, wnuki wasze uczy. Prośbę ma: powiedzcie, jak żeście u Kuznira pracowali. W gazecie chce opisać. — I zwracając się do mnie dodaje: — Bądź zdrow. Muszę lecieć, ludzie się schodzą.

Zostajemy z Batrakiem sami. Nie bardzo wiem, od czego zacząć.

— Wcześniej poszliście na służbę, dziadku? — pytam.

— E, nie, nie bardzo! Ojciec nawet chciał, żebym się uczył, ale nie dało rady, człowiek musiał patrzeć, co do gęby włożyć. Dwanaście років mi było, jak do Kuznira poszedłem.

— I coście robili?

— Wszystko, co kazali. Konie pasłem, woły obrządzałem, w polu najpierw brónowałem, a potem i do pluga trzeba się było wziąć.

— A z gospodarzem przy jednym stole jadaliście? — py-

tam, bo akurat przypomniało mi się, co dziadek Kyryk o Filarecie opowiadał.

— Co wy? Toć on przecie w białej izbie jadał, służąca mu podawała; a człowiek, bywało, po nocy z roboty wróci, to mu w kuchni miskę z jakimiś resztkami pod nos podsuną — i żryj... Coś takiego! Z gospodarzem!...

— A dziadek Kyryk mówił, że przy jednym stole...

— On przecie u Filareta służył!

— Ano.

— Filaret inny człowiek był. Wiem dobrze, choć nie mieszkałem w chutorze. Głaszczcie taki po głowie, głaszczcie, a potem jak łupnie — przez miesiąc guza na łbie rozcierasz. I taki był we wszystkim. Chytrus, a jaki skąpy! Czegoś takiego świat nie widział! Kusznir przynajmniej żył jak pan, a tamten sam nie zjadł i drugiemu nie dał. Kiedy ziemię zabrali, kupił na skraju wsi chałupkę i z głodu umarł. A potem ludzie garnek złota, co w sadzie zakopał, znaleźli. Taki to był człowiek.

— A Kusznir inny?

— Kusznir to był wilk. Pazury, niech Bóg zachowa! Jakby nie rewolucja, wszystko by pod siebie zagarnął i połknął. Nawet Filareta! Czekajcie no, mam ja tu gdzieś w kącie butelczynę. Odkąd Mykoła jest za przewodniczącego, życia nie ma. Wujku, powiada, dalibyście spokój z tą bimbrownią, po co mam przed ludźmi oczami świecić. No to kupiłem torebeczkę cukru i sąsiadka, niech jej Bóg da zdrowie, natoczyła i dla mnie parę buteleczek; chowam jak lekarstwo, no i jak się jakaś życzliwa dusza trafi...

Zanosilo się na dłuższą pogawędkę. Zdjąłem palto.

Siny, krostowaty księżyc wygląda, jakby go kto ulepił z nie dojezonych kartofli, które dzieci zostawiły na dnie saganika. Czasem Maryna wygarnie je na drewnianą miskę dla Bryśka...

Stara to historia, aż trudno uwierzyć, że prawdziwa. Ale zdarzyła się rzeczywiście, co prawda tylko raz.

Jednak od tej pory na widok pyzatego księżycy w pełni, ślinka sama napływa, a po pustym brzuchu rozchodzi się błogie ciepło.

Bryśko wdrapuje się na najwyższą zaspę. Cherlawka chałupka zdaje się stąd zupełnie maleńka, komin sterczy na wy-

sokości Bryskowych uszu. Głodowe wycie niesie się nad bezkresną bielą.

Mróz chwytą siarczysty. Łapy grzęzną w śniegu, kostnieją. Oszroniałe, jakby zaciągnięte bielmem oczy chałup ani myślą rozjarzyć się światłem; do rana jeszcze daleko. Marynie nawet do głowy nie przyjdzie, że on, Brysko, wróci, i to tak prędko. Pewnie jeszcze się cieszy, że nareszcie udało się jej pozbyć jednego darmozjada. Pilnować taki nie ma czego, a karmić trzeba, trudno się przyglądać, jak żywa istota z głodu zdycha.

Tyle że wszystkie te rachuby funta kłaków nie warte. Kiedyś przecież wiosna nastanie i wtedy on, Brysko, będzie jak znalazł: z Lubką i Iwankiem na grzyby pójdzie, w razie czego obroni, cudzego bydła do ogrodu nie wpuści. A kury z kapusty kto przegoni? Przy Iwankowym pilnowaniu do jesieni nawet jedna główka by się nie ostała. Malec albo w robocie, albo z Rozumnym latawca klei. A Brysko nie śpi, nie obija się — pilnuje. Niech tylko kurza czereda zbliży się do ogrodu — już jest...

A teraz Maryna umyśliła z obejścia się go pozbyć. Już w zeszłym tygodniu precz pędziła, do kija się brała, kamieniami biła, aż przegoniła za chutor. Ale można to gospodarkę osierocić? Brysko odbiegnie parę kroków, ogonem pomierda i już siedzi. Maryna do domu — on za nią.

Kobieta staje na środku podwórza i wrzeszczy na cały chutor:

— Czymże ja cię nakarmię, zdechlaku?

Krzykliwa kobiecina. Czy to jemu, Bryskowi, dużo trzeba? Trochę wodzianki, byle była ciepła, byle kartoflami pachniała. Aby do wiosny. Wiosna to myszy: złowi się parkę — na pół dnia starczy. Wiosna to trawa: młoda, zielona. Pożuje się trochę i od razu w brzuchu burczeć przestaje. Wiosna to ciepło: dobrze się wtedy żyje, prawie że syto. A czy ta wiosna za siedmioma górami? Starczy, że księżyc trzy razy się wypełni i trzy razy schudnie i już jest ciepło.

Ale to nie na Maryny zdrowie. Idzie do Denysa Buhaja i mówi:

— Do lasu się zbierasz? Dam ci Bryśka, niech za saniami leci, a potem uwiąż go gdzieś. Dzieciom nie mam co dać, a co dopiero psu...

A wszystko ukradkiem, po cichutku, żeby Lubka i Iwanko nie wiedzieli. Może nawet nie tyle chodzi o Iwanka — je-

mu tylko majsterkowanie w głowie — ale o Lubkę: ona rozumie Bryśka, nie pozwoliłaby.

Buhajowi to mięta; zrobił, jak Maryna prosiła, wziął Bryśka i uwiązał w gęstwinie, w środku lasu. Tu mu będzie koniec — pomyślał. Ale długo to można na śniegu wytrzymać? Spróbuj trochę, choćby i w postołach. Musiał Bryśko przegryźć sznurek.

Zanim przegryził, zanim przez kopne zaspy wydostał się z lasu, zapadła noc. Drzwi zaryglowane, chata uśpiona. Kukurykaj teraz na mrozie, kłapaj zębami na księżyc. Żebyś nie wiem jak podskakiwał, nie dosięgniesz, nie ugryziesz ni kawałka, choć smakowicie ten świecący krążek wygląda, aż ślinka cieknie. Bryśko próbuje: a to z rozpędu, a to z najwyższej zaspy — nic z tego. Krągła, pyzata morda wyraźnie drażni się z nim...

Bryśko zaczyna wyć — z zimna i głodu. Siedzi i wyje do księżycyca.

Wreszcie nie wytrzymuje, jak śnieżna kula stacza się na ganek, pazurami drapie drzwi, naszczekuje, skomli pod oknami. Po chwili słychać, jak w sionce coś się rusza, drzwi uchylają się, w progu staje Maryna.

— Ażeby cię pokrećło, żeby cię połamalo, żeby z ciebie nawet kosteczki nie zostały! Co ja, nieszczęsna, z tobą zrobię? Chyba na moją zgubę Iwan cię przyniósł. Czy ja cię do samego Pitra mam odwieźć i tam uwiązać? No, włącz już, biedaku. Chociażes pies, ale człowiek też serce ma, nie kamień, żal... Żeby choć kartofla kawałek...

Bryśko jak strzała śmiga pod nogami Maryny do izby. W kącie, gdzie kiedyś była zagroda dla kozy, jest teraz jego miejsce. Zwija się w kłębek, nakrywa ogonem i zaczyna drzemać, rad, że nareszcie znów jest w domu.

Ale nawet we śnie jeszcze długo zwiduje mu się mroźny, zimowy las.

Niedziela. U Filareta kończą śniadanie, piją herbatę z wiśni.

W moim domu każdy jeden do rodziny należy — mawiał Filaret. — Wszystko u mnie po prostu, po dobremu. Nie ma tak, żeby przy stole był podział: tyś — parobek, ja — gospodarz. U biedaka i u bogatego brzuch jednaki, tak samo jeść chce.

W kuchni, przy wspólnym stole siedzieli gospodarz z gospodynią, dwaj parobcy i dziewczyna, która obrządzała świnie i krowy. Samowar stał koło Fiłaretowej, przed każdym — gliniany kubek i spodek. Z powały zwisała na nitce grudka cukru. Co piąty łyk kolejno sięgano po grudkę, odgryzano z brzegu na pół paznokcia, po czym znów rozlegało się głośne, smakowite siorbanie.

Dawniej, jeszcze przed wojną, Fiłaret robił inaczej: puszczał grudkę w obieg. Ale można to ludzi upilnować? Jeden przytrzymał i dwa razy ze słodkości korzystał. A z nitką żadnego oszukaństwa być nie może: wszystko uczciwie, wszystko na oczach wszystkich. Raz ugryź, pięć razy łyknij i dopiero wtedy znów nitkę łap. Łakomy się teraz naród zrobił, na słodycz pazerny. Ojciec Fiłareta, bywało, raz tylko liźnie i cały kubek wydudli. I do ostatniego łyka słodkości mu starczy.

— U kogo dzisiaj herbaty z cukrem dostaniesz? — mówił Fiłaret, najmując parobków. — Nie życie to, a prosto raj.

W zimowe niedzielne poranki ciągnęli herbatę długo, aż siódme poty na nich były. Trwało to dotąd, póki gospodarz nie napił się tyle, że już się więcej nie mieściło. Jeszcze ojciec nieboszczyk przestrzegał Fiłareta: — Przypatrz się parobkowi, jak herbatę pije. Który się napoci, napracuje, przyczyniając gospodarzowi majątku, tego do wody ciągnie. A który się tylko obija, łajdak, ledwie kubek wysączy. Takiego na cztery wiatry goń. Bo i słabe to, i do roboty niezdatne.

— Kuszniir przyjechał! — odzywa się raptem Fiłaretowa, zerkając w okno. Z tonu nie można wywnioskować: cieszy się, czy ma za złe — czeka, co powie mąż.

Dla Fiłareta, wiadomo, każdy gość to nóż przyłożony do gardła — ugościć trzeba. Ale w takiej chwili ktoś nowy, w dodatku sam Kuszniir, to zupełnie co innego — prosimy serdecznie. Cóż tam słyhać we wsi? A na świecie? Wciąż jakieś nowiny, jedna gorsza od drugiej, człowiek nijak wyrozumieć nie może, co i jak. Jedno tylko z tego wszystkiego wynika: nie na dobre się obraca, oj nie.

Gospodarz wstaje zza stołu, żegna się szeroko, wkłada czapkę i rusza do drzwi witać gościa.

Jakbyś się nie wykrecał — bije się z myślami — placki grochowe podać trzeba i do tego kawałek słoniny; nie, pół kawałka starczy, sam tylko na ząb położę...

Wywołuje żonę do sieni i szepcze do ucha:

— Weź pói kawałka słoniny, tej zmarzniętej, w dzieży jest mój znak, ułóż wszystko z powrotem, jak było. I placków grochowych napiecz, tylko nie podawaj od razu, póki ciepłe. Niech trochę przestygną, on strasznie na te placki łasy, podasz gorące — z tuzin wrąbie...

Czy Lubka tak już zgłodniała, czy naprawdę te kartofle takie smaczne? Aż rozpływają się w ustach. Ugotowane w lupinach, trochę nadmarznięte przez długie leżenie pod drewnianą pryczą, zrobiły się słodkie jak kompot z cukrowych bu raków. Tyle że dla Iwanka te trzy kartofelki to jak dla psa mucha. Obliział palce i oczu z Lubki nie spuszcza. Pewnie, większy jest, silniejszy, to i więcej potrzebuje. Lubka rozłamuje kartofel, połowę daje bratu. W środku ziemniak jest sypki jak świeży śnieżek albo kosztela — aż się prosi, żeby polizać. Przymyka oczy; wspomina lato, jabłka z Filaretowego sadu, wyprawę z Bryśkiem do lasu na orzechy.

— Ma-mo!

— Czego?

— A Bryśka mamą nakarmili?

— Żeby on zdechl, ten twój Bryśko! Skąd ja wam wszystkim nastarczę?

Lubka ściska w dłoni kawałeczek kartofla, już nawet nie ma ochoty polizać, wiecznie głodne oczy Bryśka jawią się przed nią jak żywe. Słyszała, jak w nocy pies drapał pod drzwiami, dobijał się, żeby go wpuścić, musiało być bardzo zimno. Gdzież on latał, że tak późno wrócił? Wieczorem Lubka nawet pytała matkę, ale ta ciągle swoje: „Włóczy się, wałęsa. Nosi go gdzieś”. Daleko pewnie musiało zanieść, że dopiero nad ranem wrócił.

— Mamo, a gdzie to Bryśko wczoraj tak długo latał?

— A pewnie w lesie z wilkami wojował.

— A one go nie zjedzą?

— Co by im przyszło z takiego zdechlaka? Skóra i kości.

— A nie głodny on?

— Teraz wszyscy głodni.

Lubka zastanawia się chwilę, potem zarzuca matczyną chustkę i wybiega do sieni.

— Gdzie lecisz na bosaka? Zaraz idę się położyć, możesz wziąć moje klapaki.

— Ja tylko na chwilkę — opędza się Lubka.

W ciemnej sionce nie sposób zobaczyć Bryśka, ale pies

skacze dziewczynce na pierś, liże po twarzy, skomli z radości.

Przeskakując z nogi na nogę — ciągnący od ziemi zamróż boleśnie kłuje w stopy — Lubka drapie psa za uszami, a potem wsuwa mu do pyska kawałeczek rozgotowanego kartofla.

— Masz, to dla ciebie, a to jeszcze dla mnie zostało...

W okamgnieniu ziemniak znika w psiej paszczy, jakby go wcale nie było. I znów Brysko skacze do twarzy dziewczynki.

— Nieszczęście ty moje — wzdycha Lubka, mimo woli naśladując matkę. — Kto da radę cię nakarmić? Masz, weź jeszcze drugi kawałek. Mama na obiad kapuśniaku nagotowali, olejem okrasili, mogę poczekać, przywykłam...

Otwiera zaciśniętą dłoń, Brysko zlizuje okruszyny kartofla. Nagle dziewczyna orientuje się, że drzwi do izby są uchylone i że matka na nią patrzy. Ale tym razem mama nie krzyczy i nie wymyśla. Z jej piersi wyrывa się ciężkie westchnienie.

— Chodź już, bo się przeziębisz.

Lubka skacze przez próg, chucha w rączki, a nogi chowa pod koc leżący na posłaniu, tak szybciej odtają.

Maryna milczy długo, widać nad czymś rozmyśla.

— Poszłabyś do Kyryków — mówi w końcu. — Dziś tam dziewczęta z całego chutoru się zbierają.

— A w co się obuję? — pyta Lubka uradowana tą niespodzianą dobrocią.

— Dam ci swoje chodaki — mówi Maryna, nie wiedzieć czemu unikając jej wzroku. — Przecie dziś niedziela, nigdzie iść nie muszę. Ubieraj się raz-dwa. Tylko Bryska nie wypuszczaj, bo mróz bierze tęgi.

— Dobrze, mamó!

Kusznir placków nie tyka, nalewki do ust nie bierze.

Siedzi jak stara sowa, którą jasny dzień na wiązcie zastał: krągłymi oczyma wodzi tylko od okna do drzwi i z powrotem.

— Słyszałeś? — sęka wreszcie. — W Pitrze bunt. Kiereńskiego, znaczy się Ołeksandra Serhijowicza, zrzucili...

Filaret pociera czuprynę, przygląda włosy na karku.

— A nam niby co do tego? My ludzie pracy, własnym potem chleb solimy. Dla nas każda władza dobra.



Ni stąd, ni zowąd Kuznir wybucha śmiechem. Rechocze brzękliwie, jakby kopiejkami w sakiewce potrząsał.

— Przestań głupka stroić. Póki co, jeszcze przed komisarzami nie siedzisz. Im tak możesz powiedzieć. Wtedy oni pytają, ile u ciebie morgów, ilu parobków i jak długo już chutor w garści trzymasz. A potem wszystkich gołodupców na ciebie napuszczą. Jak w Piśmie Świętym stoi: spać się kładziesz bogaty, gdy otworzysz oczy, już nic nie masz, tylko torbę dziadowską bierz i od psów pod płotem się oganiaj.

Filaret w drukowanym nie za mocny, nawet można rzec, całkiem słaby. Z Biblii wie tyle, co mu batuszka po pijanemu naplecie, kiedy w ostatki gospodarzy odwiedza. Ale czuje, że podstępny chłód, który z początkiem zimy trochę się był przyczał, znowu podchodzi mu pod serce.

— Przecie tu głusza dokoła. Odkąd śniegi spadły, gospodarz ani jeden się nie pokazał, dopiero ty... Hołota jeszcze czasem zajrzy — a nuż uda się co podłapać, ale z takimi nawet gadać nie warto, wystarczy przegnać na cztery wiatry i spokój. Mówią, że zmiany jakieś się szykują, ale teraz nie ma dnia, żeby się coś nie zmieniało, świat się wściekł, więc i człowiek nie bardzo daje wiarę...

Filaret kluczy, stara się unikać badawczych spojrzeń gościa. Słyszeć, coś tam słyszał, ponoć w Pitrze znów rewolucja, robotnicy podnieśli krzyk i teraz do władzy dorwali się ci, co najbardziej przeciw carowi byli, a po takich nic dobrego spodziewać się nie można. Ale, po pierwsze — Kuznir bogatszy, wiadomo, jak nosa zadzierał, dopóki go nie przypiliło, po drugie — wszystka ziemia wokół wsi do niego należy. Kiedy naprawdę coś się zacznie, jemu pierwszemu się obrwie. A on, Filaret, zdąży na wszystkie nieszczęścia się przygotować. Chutor w lasach zaszyty, błotami otoczony, zanim przyjdzie co do czego, władza znów się zmieni.

Ale gość przejrzał Filareta na wylot. Naiwniak, sądzi, że go bagna albo lasy uratują. A figę! Obu im jednako pisane. Tyle że nie o zagładzie trzeba myśleć. Kuznir kładzie ręce na stole, ścisza mocno pięści:

— Nie kręć! Nie ma co udawać! Rewolucja to taka sprawa, że jak choć grosz u ciebie zwęszą, w mysiej dziurze cię znajdą. A my tego grosza mamy trochę. To i patrzą na nas pazernie. Moi ludzie między hołotą się obracają. Gołodupce uchwaliły swoich komisarzy po chutorach rozesłać, niech rewolucję robią i pomiędzy takich jak oni ziemię rozdzielają.

Żeby wszyscy, znaczy się, po równo mieli. O tobie zresztą też wspominali...

— Co tam o mnie mogli wspominać — Fiłaret stara się ukryć niepokój. — My ludzie cisi, w oczy się nie rzucamy, do bójki się nie rwiemy, w błocku po uszy siedzimy...

— A wspominali, że ty... — Kuszniir znacząco potrząsa pięścią, a potem uderza w stół: — Basta! Doczekaliśmy się, w tym błocie siedząc! A teraz powiem jasno: chcesz żyć — zęby ostrz. Kapujesz? Swoich ludzi masz?

— Mam... jednego...

— Każ wołać. Sprawa pilna...

Fiłaret ciężko wstaje od stołu i szurając buciorami, przemierza izbę. Uchyła drzwi do kuchni i widzi Danyłę. Po-dejrzliwie mierzy go wzrokiem, wreszcie mówi:

— Wołaj Denysa. Sprawa, powiedz, handlowa.

Maryna chucha w szybę, aż biały, aksamitny szron zmienia się w lód. Przez szarobłękitne kółeczko wielkości kopiejki można już dojrzeć Lubę, jak człapie ulicą w stronę Kyrykowego obejścia.

Wtedy Maryna zamyka sionkę i otwiera drzwi do izby. Rad z takiego obrotu sprawy, Brysko żwawo skacze przez próg. Maryna wyciąga spod ławy sznurek, na którym kiedyś pasła się koza — kiedy jeszcze mieli kozę — wiąże pętlę, zarzuca ją Bryskowi na łeb. Ples merda ogonem i liże gospodynię po rękach.

Iwanko siedzi na piecu i bez słowa wodzi za matką oczami.

— Co się gapisz? — nienaturalnie głośno rzuca Maryna. Złość w niej narasta, ale wciąż jej za mało. — Nie leń się, pomóż!

— A bo co? — chłopczyk ześlizguje się na ziemię.

— Co, co... Jak długo sam się ma męczyć i nas mordować? Starczy was dwoje, dręczycieli, na moją biedną głowę. Od dziś będzie jednego mniej. A skórę zaniósł Buhajisze: jeszcze soli nam da.

Maryna ciągnie Bryska na środek izby, zarzuca sznurek na belkę i cofa się do drzwi, ciągnąc sznur ku sobie. Brysko wspina się na tylne łapy i raptem zawisa w powietrzu, miotając się na wszystkie strony.

— Mamo, ja się boję... — szlocha Iwanko. — Puście go.

— Boisz się? A kartofli zjeść się nie boisz? — krzyczy Maryna, jakby chcąc zagłuszyć coś w sobie tym krzykiem. — Może jutro do miski nie siądziesz, tylko jemu oddasz? Lepiej chwytaj za łapy i ciągnij w dół.

Pętla więźnie w gęstej sierści, pies wije się na sznurze i wywaliwszy czerwony ozór skomli żałośnie, coraz słabiej. Maryna okręca sznurek około nogi od stołu, wiąże supeł, chwyta Bryśka za łapę; Iwanko, odwracając głowę, łapie za drugą, oboje z całych sił ciągną w dół. Zwierzęciu oczy wyłazają z orbit, zaczyna charczeć i dławić się własnym językiem. Raptem sznur pęka, Maryna z Iwankiem padają na ziemię. Bryśko z pętlą na szyi umyka pod stół i przerażony skomli z wyrzutem.

Denys pośpiesznie wciąga wytarty kożuszek i wybiega z chaty. Za nim leci głos stojącej na ganku Motrii:

— Jakby co, pamiętaj, żebyś się nie dał oszwabić!

Buhaj zwalnia dopiero koło Filaretowego domostwa. Bądź co bądź on także z gospodarzy, nie ma co się tak z tym Filaretem cackać; da Bóg — myśli — że i my się kiedyś z bogacimy, a wtedy utrze się nosa całemu chutorowi i nie tylko chutorowi.

Delikatnie uchyla drzwi do kuchni i pyta Kyryka, drugiego Filaretowego parobka:

— Gdzie oni?

— Tam — ruchem głowy Kyryk wskazuje gościnną izbę. Denys staje w progu, szukając wzrokiem gospodarza.

— Wołaliście?

— Chodź, chodź — huczy zza stołu Kuszniir.

Dopiero teraz Buhaj spostrzega gościa, kłania się z uszanowaniem: Kuszniir ważniejszy od Filareta, gospodarz na całą okolicę. Przybysz obchodzi stół, przysiadła na brzeżku ławy.

— Gospodarstwo masz? — pyta Kuszniir.

— Mam, a jakże — z wahaniem odpowiada Denys. — Buhaja.

— Kogo, kogo?

— Byka, znaczy się. No, do krów...

— On i do handlu zręczny — przerywa Filaret, jakby bojąc się, by Kuszniir nie zlekceważył mieszkańców chutoru. — Potrafi grosz cenić.

— A więc, panowie — zaczyna po chwili Kuszniir (serce

Denysa uderza mocniej: jego także nazwano panem!). — Wszystko wygląda na to, że jak Bóg nie pomoże i sami ręki nie przyłożymy, przyjdzie nam, Filarecie, ziemię biedocie rozdać, a tobie, wielce szanowny, byka do wspólnej trzody przekazać.

— Uchowaj Boże — szeptem oszołomiony Denys, kreśląc na piersi znak krzyża.

— Otóż to. — Kuszniir opiera się łokciem o parapet. Na jego twarzy maluje się powaga, marszczy brwi. — W Pitrze robociarze u władzy, w Kijowie też jakieś hajdamaki, a my leśni między młotem a kowadłem. Moje zdanie w tym względzie takie: niech oni tam u siebie rewolucje robią, ale od nas im wara! My swoje, chłopskie, państwo mamy, swoich premierów i ministrów, swoje głowy i swoje ręce. Tylko tych rąk trzeba więcej. Proponuję stworzyć nasze chłopskie wojsko. Wtedy i Wielkorusom, póki tam bezbożnicy, figę pokazemy, i Małorusom drugą. Sami sobie panami będziemy. A tam, w świecie, niech się kotłuje, szumi. Przeleci szybko jak letnia burza. Wtedy wypłyniemy, żywi i silni. A póki co, was na przykład — kiwa w stronę Denysa — na ministra od handlu wysuwamy. Władzę wam oddajemy, działajcie...

Denys czuje, że mu się robi to zimno, to gorąco; chciałby czym prędzej biec do domu i wszystko opowiedzieć Motrii. Powie tak: Kuszniir państwo organizuje, a mnie proponuje dozór nad handlem. Może to nie na siły Denysa, czytać i pisać nie umie, ale mając Motronę nie boi się niczego: dla niej cyfry to jak dla kury proso...

— Władzę wezmą silni, zamożni — ciągnie Kuszniir. — We wsiach na północy mamy już wielkie oddziały. Są po naszej stronie. Dołączacie do gromady?

— Dołączam — jąka przez zaschnięte gardło Denys.

— Dołączam — mówi po chwili Filaret. — Na nas, gospodarzach, świat stoi. To i podeprzeć go trzeba, kiedy się chwieje.

— Co racja, to racja — potakuje Buhaj.

Zapada mrok. Maryna zostawia dzieci i idzie do Rozumnego.

Ten siedzi po ciemku w swojej komórce. Wszędzie pachnie drewnem, farbą.

— Wujku — mówi Maryna — pomoglibyście mi w biedzie.

Choć to i niedziela, ale przecie jutro od świtu macie u Filareta mlócić.

— A co tam u ciebie? — dobiega z ciemności głos Rozumnego.

— Sprawa taka, że i prosić niezręcznie, ale innego wyjścia nie ma. Kiedy jeszcze Iwan był, psa wzięliśmy, znaczy się Bryśka, a teraz żreć mu nie ma co dać. Zima dopiero, a już taki głód, strach myśleć, co będzie na przednówku. Przeganiałam drania z chałupy, wszystko jedno — nazad wraca, przywykł, no i gdzie ma się podziać biedaczek, kto i czym go nakarmi... Choć to i psina tylko, ale swój rozum ma...

Maryna zaczyna płakać. Ale zaraz bierze się w garść, ociera oczy fartuchem.

— Muszę go jakoś zgładzić, nie sposób przecież dzieciom od ust ostatniego kartofla odejmować. A jeszcze ta moja Lubka, głupie to takie, rękę albo nogę dałaby sobie uciąć, byle mieć co psu dać. To ja z Iwankiem chciałam Bryskowi koniec zrobić, wieszaliśmy go tak i owak, ale nic z tego nie wyszło. Widać się nie nadajemy, męska ręka do tego potrzebna. Moglibyście sobie za to wziąć skórę: sierść ładna, gęsta, mielibyście z takiej skórki pożytek...

Rozumny milczy.

— Nie odmawiajcie, wujku. Kto, jak nie wy, sierotom pomoże. Wróci Iwan, odrobi wam, jak trzeba będzie...

Kobieta jeszcze chwilę stoi w progu, czeka, czy nie padnie jakieś słowo, wreszcie odwraca się i zamyka drzwi za sobą. Śnieg poskrzypuje pod oddalającymi się krokami, coraz ciszej i ciszej.

Rozumny ciężko wspiera na kolanach wielkie, spracowane dłonie i zamiera bez ruchu.

Cisza, ciemność.

Zadawszy siana bydłu i koniom, Danyło i Kyryk ogarniają stóg widłami; niechby Filaret jedno źdźbło na śniegu zobaczył — od razu bieda.

— Właściwie czemu my się go tak boimy? — zaczyna ni stąd, ni zowąd Danyło.

— Kogo? — pyta Kyryk.

— No, Filareta.

— Jakże się nie bać, przecież to gospodarz. Tak już jest,

że parobek musi się bać gospodarza. Bo inaczej co to za porządek będzie na ziemi?

— A kto jego nad nami postawił, tego gospodarza? — nie daje za wygraną Danyło, jakby szukał odpowiedzi na jakieś dręczące pytanie.

— Pewnie Pan Bóg. Rozmaitym różnie się u Boga poszczęściło. Jemu popadło być gospodarzem, a tobie i mnie — parobkami.

— Sprytnie — śmieje się cicho Danyło. — Wychodzi na to, że jakeśmy się raz do pluga zaprzęgli, to mamy go wlec do śmierci, a Filaret nas tylko będzie poganiał? Po bożemu to, żeby jedni okrakiem na drugich do rajy wjeżdżali?

— Ano, nie po bożemu — zgadza się Kyryk, wsparłszy się na widłach i coś sobie medytując. — Ale kto powiedział, że bogaty ma iść do rajy? Napisane jest, że na tamtym świecie tylko biedota wiecznej szczęśliwości dostąpi. Więc o czym tu mówić? Nie my pierwsi i nie ostatni... Głową muru nie przebijesz...

— A wiesz — nachyla się do swojego towarzysza Danyło — słyszałem w kuchni, co Kuszniur gadał. W Pitrze, powiada, bunt. I ponoć ci buntownicy już przy władzy. Gołodupce, powiada, sama biedota państwem rządzi. A my to co, nie biedota?

— Nie może być — szepce przerażony Kyryk. — Przecie panowie to siła. Karabiny mają i armaty. A nasi bracia tylko to — unosi swoją ciemną, pokrytą zrogowaciałymi odciskami dłoń.

— A jakby z tego zrobić takie coś? — Danyło zaciska dłońie i w mroku rysują się dwie potężne pięści.

— Może i racja — wolno, w zamyśleniu mówi Kyryk. — Kto go tam wie...

Rozumny wchodzi do chaty Maryny i nie zdejmując czapki staje w progu. Na kominie kopci smolne łuczywo. Z belki pod powałą zwisa nowy powróż: Maryna pożyczyła go od sąsiadów. Z pieca słychać szlochanie Lubki.

— Nie wieszajcie Bryśka, mamó. Nie wieszajcie Bryśka. Jak tato wróćą z wojny, wszystko powiem...

Pod pryczą popiskuje głodny Bryśko. Pewnie czuje, co go czeka.

Maryna stawia na stole ćwiartkę mętnego samogonu, obok

kładzie główkę cebuli i skibkę chleba. Patrzy na gościa.

— Teraz czy po pracy?

— Po pracy — mruży niechętnie Rozumny i wyciąga z kieszeni potrójnie skręcony rzemyk. — Wezmę Bryśka do siebie, Maryno. Na wiosnę go sobie odbierzesz. Szkoda psiny. Albo to jego wina, że u nas taka bieda?

Lubka śmieje się przez ły. Maryna ociera oczy fartuchem.

— Niech wam Bóg dopomoże, wujku Matwiju.

— Ano, niech pomaga. Zobaczymy...

Rozumny woła Bryśka. Pies zaszył się w kącie, dygocze ze strachu.

Maryna bierze kromkę, odrywa skórkę i rzuca ją na podłogę.

Bryśko zerka to na chleb, to na Marynę. Waha się, nie ma odwagi wyleźć z ukrycia. Ale pusty brzuch bezlitośnie dyktuje swoją wolę. Podczas gdy pies wylizuje miejsce, gdzie leżał chleb, Rozumny wiąże mu na szyi spleciony w obrozę rzemień.

— Będę mogła go odwiedzać, wujku?

— Jasne. Choćby co dzień...

— To ja jutro przyjdę.

— Rozumie się...

We trójkę wychodzą na dwór: Maryna, Rozumny i pies. Zanim zamknie drzwi za gościem, kobieta długo stoi w progu i patrzy za oddalającą się parą.

Po białej, zawianej śniegiem ulicy kroczą obok siebie człowiek i pies. Dwa długie, błękitnawe cienie padają na wierzchołki płotów i wierzb.

Po raz pierwszy od wielu lat Rozumny ma ochotę się upić. Byle zapomnieć o zwisającej z powały śmiertelnej uprząży, nie słyszeć szlochania Lubki, nie patrzeć na to całe okropne życie. Unosi głowę. Księżyc wisi na niebie nisko, jakby zaglądał mu przez ramię, biały, okrągły, cały w kwiatach jabłoni.

Byle zapomnieć. Najlepiej uciec w marzenia. Oto on, Rozumny, idzie skroś księżycowych sadów: kroczy swobodny, z lekkim sercem. Gdyby się obejrzał, zobaczyłby za sobą długi szereg: Prisię z Danyłą, Marynę, Lubkę, małego Iwanka, dużego Iwana, Kyryka, Rutę — wszystkich z wyjątkiem Filareta, no, może także bez Buhaja i Motrii; ci nawet tam, na księżycu, ostatnie ziarnko by bliźniemu wydarli, byle tylko sobie przysporzyć. Bryśko też może człapać na końcu. Rozumnemu zdaje się, że starczyłoby teraz machnąć skrzydłami raz

i drugi, księżyc tuż, tuż, tylko ręką sięgnąć. Faktycznie — a gdyby tak zrobić skrzydła. Żeby już nigdy człowiek nie musiał wracać do tego chłodu i głodu. Ziemi na księżycu, ile dusza zapagnie, swoboda, stawy aż się roją od ryb, lasy bogate, sady, a w sadach jabłka bęc, bęc! „Spójrzcie, wujku, jabłko jak moja głowa!” Ach, ten Iwanko. Jak już co powie, człowiek na całe życie zapamięta: „Jak by tak jeszcze większego latawca zrobić i uchwyt, prawda, wujku?”

Może to i prawda. Matwijowi aż dech w piersi zaparło. I już wyobraża sobie jakieś koła, płótno, skrzydła... Latawiec nie latawiec — myśli — gdyby tak pod wiatr się rozpędzić i z wysoka, najlepiej z dachu. Przecież ci, co do Tawrii chodzili, powiadali, że w wielkich miastach wymyślili już żelazne ptaki, które same latają...

Rozumny wpuszcza Bryśka do sieni, ale długo jeszcze stoi na dworze. Oczy wlepił w księżyc, czuje, że w sercu rodzi mu się jakaś wielka idea...

W szkole ferie zimowe. Chciałem się wybrać do miasta, ale już trzeci dzień aura okropna: za oknem wył wichur, śniegiem miotło tak, że na dwa kroki trudno było coś dojrzeć. Siostrzenica zabawiała mnie, jak mogła, przeważnie zadając tysiące pytań: jej dociekliwość jest wręcz nieprawdopodobna.

Wreszcie czwartego dnia nad ranem trochę się uciszyło.

Spakowałem walizę i wyszedłem na ganek.

Chatę Mykoły zawiało aż po dach, spod śnieżnego pagóra sterczał tylko komin i rożki anteny telewizyjnej. Ulicę przegradzały białe podłużne grzebienie zasp.

— Niech chociaż ścieżki przetrą — powiedziała z sieni siostra. — Jak się nie boisz, że zmarzniesz na kość, to zabierz się traktorem. Przyczepę z mlekiem na pewno podwiozą aż do soszy.

Udało mi się jakoś dobrać do placu przed klubem. Wkrótce pojawił się traktor z drewnianą platformą, na której stały bańki. Wydostaliśmy się za opłotki.

Przede mną rozciągała się biała równina obrzeżona na widnokregu szarym pasmem lasów. Za ostatnimi chatami dwa kołchozowe spychacze ryły w wysokich zaspach, przecierając drogę na cmentarz.

Wczoraj nagle zmarł dziadek Kyryk. Mieszkał sam, rok przedtem odumarała go żona, dzieci gdzieś w świecie, jedne



jeszcze się uczą, inne już po studiach, pozakładały rodziny. Młodszy syn został wprawdzie na wsi, ale przeprowadził się do żony, kawał drogi od ojca; pracę też ma niełatwą: jest kierowcą transportera — dłużycę z lasów wywozi — ciągle w drodze, rzadko trafia się wolna chwila, aby wpaść do ojca. Dzień wcześniej Kyryk nie zjawił się w remizie; konie nie nakarmione — strażnik wstąpił okłąć dziadka, patrzy: stary na piecu, bez życia. Musiał umrzeć w nocy. Akurat w taką pogodę. Kierowcy spychaczy mają teraz masę roboty.

## WIOSNA. DROGI

Klucząc opłotkami, omijając ogrody upstrzone rudymi plackami gnoju, wzdłuż łąki, usianej niebieskimi wiosennymi jeziorkami, na których bieleją stadka kaczek i gęsi, wychodzę na wyboistą drogę prowadzącą do chutoru. Wszędzie matowe lustra błotnistych kałuż: ziemia wchłonęła już wodę, ale jeszcze nie zdążyło podeschnąć. Nowych śladów nie widać; głębokie, pokrętne koleiny to jeszcze pozostałość po jesieni. Samochody na razie wolą się tu nie zapuszczać.

Na trawiastym poboczu świeży odcisk opony, pewnie dzisiaj ktoś jechał do lasu. Mógłbym się zabrać, gdybym wcześniej wyszedł. Ale co tam. Po sześciu lekcjach warto się trochę przejść...

Jakoś długo nie mogłem się zebrać na tę wyprawę, choć jeszcze zimą przyszło mi na myśl, że warto by odwiedzić miejsca, gdzie żyli Matwij Rozumny, Danyło, Kyryk, Buhaj... To musiało być gdzieś niedaleko i mimo iż od tego czasu upłynęło już ładnych kilka dziesiątków lat, wieś jeszcze ciągle ich pamięta. I to nie tylko starsi. To jakby dalekie tło: gleba, z której wyrasta dzień dzisiejszy moich rodzinnych stron, legenda, która przetrwa nas wszystkich, przypowieść, która nigdy nie umilknie.

Wczoraj prowadziłem zajęcia w szkolnym kółku literackim. Analizowałem z uczniami ich wiersze. Staralem się krytykować możliwie łagodnie, aby przypadkiem nie wziąć na sumienie grzechu i bezapelacyjnym wyrokiem nie zmrozić jakiegoś prawdziwego talentu. Powiedziałem im, że próbuję spisywać opowieści o pierwszym porewolucyjnym roku w dawnym leśnym chutorze, o wujku Rozumnym, który zbu-

dował samolot i marzył, aby polecieć na księżyc... Przy wyjściu podeszły do mnie trzy dziewczynki.

— Hałyna mówi, że w czasie wojny domowej jej dziadek jeździł na prawdziwej taczance i bił się z białymi...

Dziewczynka zarumieniła się.

— Babcia mi opowiadała...

Nagle poczułem, że robi mi się jakoś lekko i ciepło na sercu.

— A jak się nazywa twoja babcia?

— Babcia Luba. A pradziadek — Iwan. Na wojnie pocisk urwał mu obie nogi. To on siadł na taczankę i strzelał do białych z karabinu maszynowego. A wujek Danyło, co jego fotografia wisi w klubie, bił się razem z nim i potem opowiedział babci Lubie, jak pradziadek zginął. Postrzelili go w pierś, gdzieś tam, na stepie, ale on strzelał dalej, póki mu sił starczyło, a potem umarł na rękach wujka Danyły...

— To prawda, moje dziecko — mówię. Coś dławi mnie w gardle, jakbym słuchał o śmierci kogoś bardzo bliskiego. — Tak było...

Właśnie wtedy pomyślałem, że następnego dnia koniecznie muszę wybrać się do chutoru.

Na drodze wiodącej do lasu nie było żywego ducha. Tylko jakieś sto metrów przede mną majaczyła niewyraźna postać. Nie miałem ochoty na żadne rozmowy, toteż szedłem wolno, dopóki nie zobaczyłem, że idąca skrajem drogi kobieta to babka Ruta. Niedawno byłem u niej i długo rozmawialiśmy. Pewnie wybrała się odwiedzić wnuczkę. Dziewczynka kończy w tym roku dziesiątą klasę, mieszka u krewnych.

— Dzień dobry, babciu. Do wnuczki?

— Dzień dobry. Ano tak. Niesporo jej zajrzeć do starej, póki droga na bicykletę się nie nadaje; więc sobie myślę: póki ładnie — odwiedzę, gościńca zaniosę.

— Trzeba, trzeba... Bo jak do miasta na jaki uniwersytet ją poniesie, to już nie dacie rady...

— Oj, dziecinko, teraz na uniwersytet niełatwo się dostać. Wciąż jej powtarzam: ucz się, ucz, może choć ty na ludzi wyjdiesz.

— Trudno się dostać, babciu, bo wszyscy za nauką gonią.

— Właśnie, dziecinko, wszyscy. Nie tak, jak my, cośmy ciemni i zahukani rośli. Bogu dzięki, zem chociaż na kursach dla niepiśmiennych trochę się nauczyła, bo nawet by się podpi-

sać nie szło, jak listonosz rentę za starszego syna przynie-  
sie. A ty dokąd?

— Ja tak sobie, do lasu.

— A idź, idź, młodyś przecie, to ci się należy. Na listki popatrzeć, kwiatki powąchać. I ja lubiłam kiedyś w taką porę do lasu biegać. Ale jakeśmy się pobrali z Danyłą, już nie las był mi w głowie i nie kwiatuszki. Tyle wytchnąć mogłam, co przy dzieciach...

Jeszcze kawałek Ruta szła ze mną, potem skrzyła w bok: na przelaj przez pola widać się polna dróżka prowadząca do sąsiedniej wsi, w której jest średnia szkoła.

Zostałem sam na sam z budzącą się do życia ziemią, krętą drogą i swoimi myślami...

Filaret krążył po wąskich, opustoszałych uliczkach. Za wszelką cenę chciał nie zauważony wydostać się z miasta. Nie tyle nawet bał się znajomych, w końcu nie miał ich aż tak wielu — bał się obcych, nie znanych oczu, bał się okien; bał się dorosłych, bał się dzieci, bał się opanowanego rewolucyjnymi nastrojami i podnieconego wiosną tłumem. Jakby jedynym celem tej masy ludzi było zrzucić z wozu i wdeptać w wilgotną ziemię przybysza z dalekiego, zapadłego w lasach chutoru. Coś się działo z tym wielkim światem i Filaret w żaden sposób nie mógł tego pojąć. Instykt podpowiadał mu jednak, że wszystko idzie na opak, nie tak jak powinno, jak szło zawsze za jego życia, za życia jego dziada i pradziada.

Daleki krewny, u którego Filaret zatrzymał się na noc, był równie wystraszony, nie wiedział, czyją brać stronę: młoda władza odstręczała przez to, że była nowa, niezwykła, bojowa w działaniu i surowa; stara tylko syczała po kątach i wyglądała jakiegoś srebrnopiórego archaniola na białym koniu.

— Więc jaka ona właściwie, ta władza? — dopytywał się Filaret, z bólem serca wykładając na stół hojne jak na te niepewne czasy gościńce: kawał słoniny, woreczek hreczki, garść suszonych owoców.

— A taka — krewniak zerkał łakomie na gościńce, ślinka mu szła, ale wolał być przezorny — że, znaczy się, każdy z pracy własnych rąk żyje. Zarobiłeś — zjedz. Ale od tego, co zapracują inni — wara...

— Znaczy, że jak ktoś coś ma, to mu zostawia? — ucieszył się Filaret.

— Nie ze wszystkim tak. Żeby każdy miał równo. Jak u ciebie chleba dwa bochenki, a u mnie żadnego, to mi jeden oddaj. Wedle tego, co Syn Boży głosił...

Pokpiwał sobie, drań.

Fiłaret położył się wcześniej, ale do rana prawie nie zmrzył oka: uwaga o chlebie legła mu na sercu jak kamień.

Z rana przeszedł się po mieście: wszędzie aż czerwono od wstęg, transparentów, na których białymi literami wypisane jakieś nowe słowa. Wszyscy wiecują, krzyczą, miotają się, jakby im kto soli na ogon nasypał. W stronę dworca przemaszerowała kolumna robotników z karabinami na ramieniu. Osadzone na sztych bagnety lśniły w słońcu. Fiłaret poczuł, że robi mu się słabo...

Pokręcił się po bazarze: kramy zamknięte na glucho, dawnych kupców, z którymi załatwiał interesy, ani śladu. Ceny wysokie, ale trudno nawet myśleć, żeby czym zahandlować: w przejściach między rzędami straganów przechadzali się przedstawiciele milicji robotniczej, w skórzanych płaszczach z czerwonymi opaskami na rękawach, strach było nawet zacząć.

W ziemię, wszystko w matkę ziemię... — pomyślał Fiłaret, wracając spiesźnie do krewniaka. — Co rychlej zaprzęgać i uciekać precz, byle dalej od tej wścieklej karuzeli. W końcu to się przecież wyszumi. A wtedy pokażemy...

Teraz, kiedy wydostał się już za miasto, z rozczuleniem wspominał chutor, który z tej perspektywy zdawał mu się zacisznym rajem.

Wyszumi się — medytował. — Musi jakoś minąć. A nas dosięgnąć — ręce za krótkie. — Ni stąd, ni zowąd przypomniały mu się czarne, żylaste dłonie maszerujących robotników, zaciśnięte na karabinowych kolbach. — Fige... Nie sięgną. I tak zostanie: my przy swoim, a oni, żeby się nawet wściekli — przy swoim.

Obok ostatniego domu, skąd już widać było wysadzaną wierzbami polną drogę, ściągnął lejce. Jakiś dziwny, jakby przykrótki, szary kształt tkwił w milczeniu pod płotem, nie spuszczać z Fiłareta bystrych, przymrużonych oczu. W skulonej postaci było coś niezwykle obcego, a jednocześnie bardzo znajomego. Fiłaret spostrzegł leżące z boku kule, zarzucony na ramiona szary szynel, spod którego wystawał kołnierz wojskowej bluzy. Wzniesiona w górę twarz była straszliwie wychudzona, ziemista. Ręce spoczywały bezwładnie na kola-

nach, ale poniżej kolan nie było już nic: w miejscu, gdzie powinny być nogi, sterczały dwa drewniane kikuty.

— Cóż to, Fiłarecie, nie poznajesz? — rozległ się ochryply głos. — Co cię tak zamurowało?

— Iwan? — zachnął się Fiłaret, czując w sercu nieprzyjemny chłód. — Ale cię, biedaku, skróciło...

— Za naszą — podkreślił z naciskiem — za naszą matkę-ziemie krew przelewałem...

— Wielu bohaterów życie oddało — przeżegnał się Fiłaret. — Dziękuj Bogu, żeś przynajmniej głowę wyniósł.

— A ty myślisz, że co robię... — odparł Iwan. — Siedzę sobie pod płótem i nic tylko dziękuję.

Fiłaret poczuł, jak zimna obręcz jeszcze silniej zaciska mu się na sercu. Z trudem wykrzywił zeszywniałe wargi w grymas nieudolnie naśladowający przyjazny uśmiech.

— Ze szpitala wracasz?

— Ze szpitala.

— Pewnie do domu?

— Chyba już najwyższy czas. Jak tam moi?

— Żywi i zdrowi. I Maryna, i Luba, i syn. Pomagałem, jak mogłem. Myślę, że krzywdy nie mieli. Na wszystkich oko boskie spoczywa.

— A jakże, tyle że nie na wszystkich jednakowo...

Milczeli chwilę.

— No to siadaj — opamiętał się Fiłaret. — Masz szczęście. Jakbyś od wsi do wsi wędrować zaczął, sporo by ci zeszło.

— Ano, trza się zabrać — po dłuższej chwili powiedział Iwan i dźwignął się na kolana.

— Czekaj, czekaj, pomogę ci — zaczął pospiesznie mówić Fiłaret, ześlizgując się z wozu. — Prawdziwa to radość wojennego bohatera w rodzinny dom przywieźć. Wszyscyśmy ludzie i rozumiemy...

Ale Iwan nie przyjął wyciągniętej ręki i o własnych siłach zaczął wlec się w stronę wozu. Bezwładnie padł na siedzenie, podciągnął kikuty nóg, złożył kule.

Fiłaret krzątał się gorączkowo, obtykał Iwana sianem, wreszcie usadowił się z przodu i zdławionym głosem zawołał na konie:

— Wio-o!...

Za oknami jeszcze nawet nie szarzeje, ale Denys i Motria

już nie śpią. Wiosennej nocy tyle, co kot napłakał, a z wieczora także długo marudzili. Po chacie jakby przeciąg hulał zimno jakoś i nieprzytulnie.

— Figę ten Rozumny zwojuje! — ze złością rzuca w ciemność Motria.

— A jak naprawdę ptaka zrobi? — ostrożnie zaczyna Denys, bardziej chcąc rozwiązać własny niepokój niż usłyszeć, co żona powie. — Co wtedy? Mówią, że skrzydła już gotowe i ogon. Bicykletę przecież zmajstrował, jeździła. Głowa u niego wszystkie pieniądze warta, i pomyślunek, i ręce złote. A jak ptaka wyciosa i na księżyc polecą, a na dodatek całą biedotę ze sobą weźmie, to co? Gdzie się wtedy podziejemy, my i nasz buhaj?

W głosie Denysa dźwięczy niepokój. Dzieli się z Motrią wątpliwościami, podświadomie szukając ulgi i pociechy.

Ale Motrię także dręczy niepewność.

— Może by tak rzeczywiście do wsi się przeprowadzić?

— Juści. Tylko tam nas brakowało! Grochowicze handel w łapach trzymają, a Chweciuków byk od naszego lepszy. Zresztą u Kuznira buhaje rzędem stoją. Nic tam po nas.

— A może Rozumny polecą i nie wróci?

— A jak wróci?

— No właśnie. Jak wróci?

Milkną. W sionce za ścianą zaczyna pisać kogut. Na piecu dziecko pochlipuje przez sen. Pod polepą chrobocze mysz.

— A nie widziałeś — trochę raźniejszym głosem pyta Motria — duży ten latawiec, co go Rozumny zmajstrował?

— Nie latawiec to, ale aeroplan. Mówią, że zupełnie do ptaka podobny, tyle że cały z drewna. Ja tam przecież nie chodzę, to i skąd mam wiedzieć. Musi co niemały, kiedy wszystkich zmieścić zamieruje.

— To może by i naszego buhaja udźwignął?

Denys najpierw długo nie odpowiada, widać myśli nad czymś usilnie. Potem mówi:

— A wiesz, to by wcale nie było takie głupie. Tylko krowy też by trzeba zabrać. Bo co nam z byka, jak ludzie krów nie będą mieli?

— A ty, durny, myślisz, że ktoś gospodarzkę zostawi i sam jeden na księżyc polecą? Wiatru w polu szukać?

— Musi co racja...

— Przejdź się, ale zaraz z samego rana, że niby kołowrotek nam się zepsuł albo trochę płótna na portki potrzebu-

jesz, i wszystko przewąchaj. Przynajmniej będzie wiadomo, co się szykuje. A jakby coś było nie tak, to jak tylko Fiłaret z miasta wróci, od razu do niego.

— Faktycznie, trza się będzie wybrać — wzdycha Denys.

— Może by zawczasu trochę soli dokupić. Na księżycu także barszcz trzeba osolić. Chyba ze trzy razy tyle mogłabym liczyć: nie chcesz, nie bierz, popatruj sobie z góry na ziemię i niesolone siorbaj. Wolna wola.

Napoiwszy Myszka, Denys w dyrdy leci do Rozumnego.

— Gdzie gospodarz? — pyta krzątającą się po podwórku Prisie.

— U siebie — rzuca niechętnie kobieta; podobnie jak większość chutoru, ona także nie lubi Buhaja.

Denys mija sionkę, otwiera drzwi przybudówki, w której mieści się warsztat Rozumnego. Wszędzie pachnie żywicznym drewnem i klejem. Pośrodku komórki stoi Matwij z dłutem w ręku, u jego nóg widnieje jakiś podługowaty kształt przypominający czółno. Pod ścianami — zbite z cienkiej sklejki skrzydła: u dołu szerokie, dalej coraz węższe, na końcach ostro zakończone i wygięte.

— Witaj, sąsiedzie — rzeško mówi Denys.

— Uhm — ponuro odpowiada Rozumny.

— Chciałem cię prosić, żebyś kołowrotek Motrii naprawił, ale widzę, że ludzie dobrze gadają: na księżyc się wybierasz, czy jak?

— Właśnie, na księżyc...

— A jakże tam sobie dasz radę tak niespodzianie się zjawisz?

— Poradzę sobie. Gorzej niż tu, na ziemi, nie będzie.

— Jeszcze nie wiadomo, czy doleczysz...

— Nie dziś, to jutro, ale jakoś dolecę.

— Pewnyś swego.

— Faktycznie. Bo innego wyjścia dla ludzi nie widzę.

— Popatrz, popatrz — mówi Denys, pobłażliwym tonem usiłując pokryć zmieszanie: a jednak poleci, czarcie nasienie! — Rad będę, jak wrócisz żywy... — I ostrożnie dodaje: — Tylko co będzie z krowami, kiedy wszyscy polecą?

— Wiadomo — drwi Rozumny. — Krowy dla ciebie zostaną. Będiesz je w lesie pasał i do swojego byka prowadzał za pięć miarek żyta od sztuki...

— Kpiny sobie robisz, a ja po sąsiedzku przyszedłem,

przecie my swojaki: jakby tak naprawdę całym chutorem na księżyc, to może zawczasu byka sprzedać, czy jak?...

Koła bezszelestnie toczą się po rozmięklej drodze, głucho człapią kopyta, po obu stronach wozu suną czarne pola porzecinane rudymi krechami jarów i plamami dolin.

Ale Fiłaret, choć czasem i zerknie w bok, nie widzi nic. Siedzi pogrążony w czarnych myślach.

Iwan leży na wznak, ręce złożył na kulach i patrzy w błękitne niebo, słucha skowronków. Cztery lata minęły, odkąd poszedł na front. Na pozór skowronki wszędzie jednakie, ale nigdzie nie śpiewają tak, jak w rodzinnych stronach...

Pięknie jest...

Przerywana długim milczeniem rozmowa ciągnie się, odkąd wyjechali za rogatki. Słowa padają skąpo, ledwie kilka na wiorstę, ale jednak. Czego nie chcą czy nie mogą powiedzieć, wkładają w milczenie, które jest jak chwilowe, łatwe do rozszyfrowania zawieszenie broni, wstęp do nowego ataku.

— Cóż więc się na tym bożym świecie wyprawia? — wykrztusza z trudem Fiłaret.

— Re-wo-lu-cja — z nie ukrywaną satysfakcją, wyraźnie akcentując sylaby oznajmia Iwan.

— Znaczy się co?

— Ano, kto dotychczas był nikim, teraz będzie wszystkim.

Fiłaret milknie, zastanawia się, co też to może znaczyć. Po dłuższej chwili decyduje się zmienić śliski temat.

— Do czego myślisz się wziąć? — pyta życzliwie.

— Coś tam się znajdzie.

— Olejarnię miałem zamiar zakładać. Przyszedłbyś do mnie? Robota w sam raz na twoje zdrowie.

— Chyba nie.

— Czemu?

— Nie będę miał czasu, żeby olej wyciskać.

— To co chcesz robić?

— Nowe życie trza na nogi stawiać.

— Jakież ono ma być, to nowe życie? — Fiłaret uśmiecha się na poły drwiąco, na poły trwożliwie.

— A takie, żeby po sprawiedliwości było: ani bogatych, ani biednych.

Umilkli. Skowronek zawisł nad samą furmanką i aż za-



chłystuje się śpiewem. Opadające ku drodze pola pachną rozgrzaną ziemią.

— A któż to ją wymyślił, tę sprawiedliwość?

— Lenin — odpowiada Iwan. Podnosi się i siada na wozie, zwieszając w dół drewniane obrzynki.

Czarna fala gniewu wzbiera w piersi Filareta, skłębiona, zapierająca dech. Przypomina mu się, jak Kuznir kłął tego Lenina w żywy kamień i mówił, że właśnie przez niego te wszystkie kłopoty.

— A on z jakich, ten wasz Lenin, z robociarzy czy z naszych, wiejskich?

— Z naszych — z przekonaniem odpowiada Iwan, skręcając papierosa.

Ech, zamachnąć by się, trzasnąć biczyskiem między oczy, żeby mu się odechciało nawet myśleć o tym jego Leninie i tej całej rewolucji — wścieka się bezradnie Filaret. Zerka na leżące obok Iwana kule i wzrusza ramionami. — Musi co krzepę ma, psia jucha. Czeka, czeka, jeszcze z tobą poigram...

Cała złość Filareta, gęsta i smolista, cały strach przed światem, co wymknął się spod silnej ręki i pędzi gdzieś, nie wiadomo dokąd, skupia się na Iwanie.

— Co ty, w chutorze też rewolucję chcesz robić?

— Po co zaraz rewolucję. Zrobimy tylko, jak nowy zakon każe: ziemię po sprawiedliwości między wszystkich podzielimy.

— Znaczy się, moją także chcesz rozdać biedocie?

— Alboż ona twoja, Filarecie? Czyje ręce pług prowadzą, tego i ziemia. Nie po bożemu to? Przecież na nas wszystkich oko boskie spoczywa...

Jakiś głęboki, zwierzęcy odruch targa duszą Filareta, wypierając nawet strach. Ręka trzymająca biczysko mimo woli wznosi się w błękitne niebo.

— Ach, ty łajdaku! Możesz to ty tę ziemię po kawałeczku zbierać, grosz do grosza ciułał, byle czym się obywatel, choć komora od sadła pękała? Już ja wam wszystkim, mądralom, pokażę! Gardziel przegryzę, krew po kropli wytoczę, już wy się udławicie moją ziemią!...

— Opuść rękę, Filarecie — cicho, ale rozkazująco mówi Iwan, kładąc dłonie na kulach. — Skończyło się twoje panowanie, nasze się zaczyna...

— Precz z wozu — syczy Filaret, ściągając lejce. — Precz, ty nędzo... Żebyś nawet miał zdechnąć tu, na tym polu, dalej

nie więzę. A dopełniesz żywy i ludzi zaczniesz bałamucić, to w chutorze grób znajdziesz, jakżeś go przez cztery lata w okopach nie znalazł..

— To się jeszcze okaże — spokojnie mówi Iwan i opierając się na kulach, zeskakuje z furmanki. — Jednego z nas jeszcze ta ziemia opłacze. Możliwe, że ciebie..

Filaret zaciska zęby. Smaga konie, które z miejsca ruszają klusem.

Wsparty na kulach Iwan stoi chwiejnie na środku drogi, patrząc za oddalającym się wozem; jego ciemne oczy płoną ogniem. Potem unosi głowę i uśmiecha się do skowronka..

— To jak? Sprzedawać tego buhaja czy jeszcze się wstrzymać? — niepokoje się Denys, nie mogąc się doczekać odpowiedzi.

Rozumny patrzy na swojego gościa, przygląda mu się uważnie, ze zdziwieniem, jakby pierwszy raz w życiu widział tego nędznego człowieczka, któremu wieczny strach i żądza bogactwa każą pełzać nisko przy ziemi. I raptem ogarnia go wielka radość: już niedługo, jeśli mu się poszczęści z tym lotem na księżyc — a w tej chwili jest pewien, że tak: już wszystko obmyślił w swoim ptaku, nawet najdrobniejsze szczegóły — już niedługo mieszkańcy chutoru opuszczą ziemię. Zostawia chciwego, zawistnego Denysa, a z nim także swoje zawiści i swoje skąpstwo, które być może uwiły sobie gniazdo w ich duszy. Matwij wyobraża sobie, że ludzie, którzy znajdują się na księżycu, będą niepokalanie czysti, jak te białe księżycowe sady, które śnią mu się każdej nocy. Już teraz patrzy na Buhaja oczyma tamtych: z tej niezmierzonej perspektywy Denys zdaje się jeszcze nędzniejszy i mniej wart, niż jest w rzeczywistości. Nawet nie opłaca się podnosić głosu.

— Idź sobie, Denysie. I tak zostanieie tutaj, ty i twój byk. Chcesz — sprzedawaj, a nie — to nie. Obaj z Filaretem będziecie sobie buhaja paśli i ziemię orali. Idź już, idź, czego stoisz?

Denys ze złością trzaska drzwiami.

Rozumny wyciąga wielką łapę i pieszczotliwie dotyka gładkich skrzydeł swojego ptaka. Całą zimę, od kiedy Maryna przyszła prosić, żeby skończył z Bryśkiem, przemyślał nad swoim cudownym stworem. Wszystkiego poniechał, oboje

z Priiską samymi kartoflami żyją, przez całe noce piłuje, hebluje, ciosa, byle tylko prędzej wzlecieć w niebo. Bo ludzie czekają. Życie tu, na ziemi, już ich ze szczętem umordowało. On, Rozumny, sprawi, że przez resztę dni i już zawsze będą opływać w dostatki. Księżycowego dobra dla wszystkich starczy. Przecież to raj, o którym mówi Pismo Święte. Matwij przymyka oczy, pod powiekami ciągle ten sam obraz: nie kończące się sady... Pod drzewami wędrują jego sąsiedzi, jeszcze niepewni, ale już promieniejący szczęściem, dźwigają na plecach cały swój ziemski dobytek. Idą wszyscy, calutki chutor, nie ma tylko Denysa i Filareta...

Stworzony przez wyobraźnię obraz dodaje mu sił. Rozumny zabiera się do pracy.

Gdy drewniane obrzynki zbyt głęboko wpijają się w ciało i ból staje się nie do zniesienia, Iwan klęka i zaczyna się czołgać, wlokąc za sobą kule. Pełźnie od pagórka do pagórka, odpoczywając na wzniesieniach, gdzie słońce zdążyło już podsuszyć i ogrzać ziemię. Stamtąd drogę widać daleko. Aż do szczeliny w horyzoncie, gdzie las rozstępuje się na boki, nigdzie żywej duszy. Odetchnąwszy chwilę, Iwan znów podejmuje walkę ze swoim ciałem, które z każdym krokiem robi się coraz cięższe.

Kiedy już sił nie starcza i purpurowe kręgi zmęczenia wirują przed oczami, na głos przepowiada sobie to, co ma oznajmić ludziom w chutorze: Ziemia... Sprawiedliwość...

Skąd się bierze ta moc przedziwna? Skąd bije ta zaczarowana, ożywcza krynica? Chyba z duszy najgłębszych zakątków! Dlatego nie wolno zwalniać. I tak zbyt długo naród czekał na te słowa. Setki wiorst, od samego Pitra aż tutaj, przemierzył Iwan niosąc przesłanie; tak niewiele już pozostało. Musi wytrzymać.

Niezdarny, okaleczony kształt z trudem zaczyna pokonywać następny metr wyżłobionej koleinami, grząskiej, polnej drogi.

Pod wieczór, oporządziwszy bydło, Danyło wraca do domu. Zatknięte za komin łuczywo oświetla izbę migotliwym żółtym płomieniem. Na ławie ojciec struga jakieś osobliwe ośki

do swego ptaka. Pod piecem schną świeżo ociosane koła z jasnego, prawie białego drewna. Na posłaniu siedzi matka, schylona nad szyciem.

— To ono będzie na kołach, tato? — pyta przywitawszy się Danyło.

— Oczywiście.

— Ale gdzie taki spadzisty stok znaleźć?

— A stodoła to pies? Rozpędzimy się z dachu, byle wiatr w skrzydła złapać — i hej-hej, lecimy. Ja tylko będę skrzydłami sterował jak bocian.

— Rozum ojciec na starość postradał, synku. Ze wszystkim dzieciłniał. Całkiem jakbym Maryny Lubkę widziała żadnej różnicy, jedno i drugie takie samo mądre — jak zawsze zaczyna swoją litanię matka.

— W chutorze tylko dwie stodoły i obie Fiłareta. — Danyło udaje, że nie dosłyszał, co matka mówi: nie przysto wtrącać się w sprawy rodziców.

— Na Fiłaretową zaciągnę. Przecież nie dla siebie się morduję, tylko dla ludzi.

— Skręcisz ty jeszcze kark i nikt ci nawet dziękuję nie powie — biadoli Prisia.

— Tato, słyszałem, że po innych wsiach, bliżej miasta, ludzie zaczynają żyć inaczej. Jeszcze w zapusty Kuszniur do Fiłareta się żalił i na hołyszów kłął. Nowe prawdy, mówił, wymyślają...

— Prawda jest jedna — chmurnie przerywa synowi Rozumny — ludzi za dużo na ziemi się rozpleniło, ciasno im, więc trzeba takiego miejsca poszukać, gdzie ich tyle nie ma.

— A ja sobie miarkuję, że to nie ludzi za dużo, ale ziemi, co jej niektórzy nagrabili, za mało — mówi Danyło. — Tylko popatrzcie, tato, Fiłaret jeden, a na wszystkich polach chutoru się rozsiadł.

— Myślisz, że ci odda choć krzynę?

— A ja go i pytał nie będę. Sam wezmę, jak nowe prawa postanowione.

— Tylko przez krew przestąpiwszy, weźmiesz. A z krwi rozlanej, synku, nowa krew wschodzi. My krwi niczyjej nie chcemy. My sobie po naszemu, a wy — jak chcecie z Fiłaretem się wadzić — po waszemu. Mnie aby tylko w powietrze się unieść. Pośpieszać trzeba, żeby jeszcze tej wiosny na księżycu zasiać.

— Oj, tato, tato — wzdycha Danyło, zamykając drzwi za sobą.

Wychodzi z chaty i kieruje się w stronę Fiłaretowego obejścia. Trwożne, nowe myśli kłębią mu się w głowie:

Chyba trza wszystko rzucić i do miasta wędrować. Może w mieście powiedzą, jak żyć na tym świecie. Byle tylko Kusznirowych nie spotkać. Mówią, że wszystkie drogi obsadzili...

Denys nachyla się do Fiłareta.

— Jak was nie było, Rozumny swego ptaka wyciosał — szepcze wprost w żółtawe ucho starego. — O wszystko się rozpytałem. Jutro chce z waszej stodoły wzlatywać. Samem słyszał. Niech się Fiłaret swoją ziemią udławi — powiada — a jak wszyscy wezmą i na księżyc polecą, to kto mu będzie siał? Ludziska durne — zaraz ten i ów ucha nastawił. Nie będziemy — chełpią się — Fiłaretowej ziemi obsiewać. A jak przyjdzie lecieć, jeszcze zboża z jego komory weźmiemy, żeby było co z pola sprzątać tam, w górze.

— Z mojej komory, powiadasz?

— Z waszej.

— Zboże, powiadasz, wezmą?

— Zboże.

— I Rozumny jutro lecieć zamiaruje?

— Zaraz z wieczora, jak tylko księżyc się pokaże.

— Biegnij zaraz do wsi, do Kuszniira. Powiesz, że Fiłaret prosi, aby przysłał swoich ludzi. On wie, obiecał. Wielu mądrali się namnożyło, powiesz jeszcze.

— Teraz, po nocy? — waha się Denys.

— Ale na ministra się przymierzasz?

— Po prawdzie, nie zaszkodziłoby. Moja Motria mówi...

— A nad kim będziesz ministrował, kiedy Rozumny cały chutor na księżyc zabierze? Nad swoim buhajem?

— Co racja, to racja. Polecę. Ale jutro, z samego rana. Bo Motria po nocy nie puści. Boi się, żeby kto naszego byka nie ukradł...

— Z Bogiem...

Kiedy wreszcie stają pod lasem, słońce już nieźle przypieka, choć to dopiero wiosna i powietrze łagodne. W osinowym młodniku jeszcze bardziej parno. Teren podmokły, podmuchy

wiatru od łąk zamierają w gęstwinie. Od czasu do czasu droga ginie w jakimś rozlewisku: w sporych jeziorkach, przejrzystych, bez jednej zmarszczki, odbija się szmat nieba i rozłożyste korony młodych drzew. Z trudem omijam te kałuże. Stopy toną w zeszłorocznej trawie. Na chwilę przystaję nad wysepką fiołków, fioletowych jak gwiazdki na wczesnowieczornym niebie. Opodal aż niebiesko od przylaszczek. Pachnie zbutwiałymi liśćmi i jeszcze czymś, czego nie umiem określić, ale tak może pachnieć tylko rodzące się życie. Jeszcze chwila, a upiję się wonią lasu, który budzi się z zimowego snu, widokiem czystego nieba nad głową. Ale staram się nie poddawać. Łada chwila powinien pojawić się chutor, mogą mi się nasunąć ciekawe spostrzeżenia, może trafić się interesujący rozmówca.

Chutor wynurza się przede mną prędzej, niż się spodziewałem. Las rzednie i nagle przed moimi oczami wybucha zieleń; ozimina ciągnie się hen, aż po przeciwległą ścianę drzew. Kiedyś w dzieciństwie wataha wiejskich niedorostków raz i drugi zapędziła się aż tutaj w poszukiwaniu prawdziwków. Wtedy, pamiętam doskonale, pośrodku tej oazy widać było sporą polanę zrytą głębokimi dołami, kawałek zarosłej sporyszem ulicy; spomiędzy chwastów i zarośli sterczało kilka kominów, nieco z boku czerniały zmurszałe krzyże starego cmentarza.

„Myśmy kiedyś tu mieszkali! — wykrzyknął wtedy jeden z chłopaków. — Tylko mnie jeszcze wtedy nie było. Rodzice jeszcze przed wojną, jak się kołchoz organizował, przeprowadzili się do wsi”.

Nie uwierzyłem wówczas, że można było mieszkać na takim odludziu. Byłem w tym wieku, kiedy rodzinna wieś jest jeszcze pępkiem świata i wszystko, co jest poza nią, leży na jakichś antypodach, jeśli w ogóle naprawdę istnieje.

Dzisiaj z chutoru, w którym żył Rozumny, nie został nawet ślad. Urodzaj zapowiadał się dobry: żyto wschodziło gęste i równe. Tylko pod samym lasem widniał samotny dom kryty czerwoną dachówką. Brodząc przez zielony ocean, skierowałem się w tamtą stronę. Czułem, że z każdym krokiem serce bije mi coraz mocniej. Wściekałem się na siebie, wymyślałem sobie od ostatnich — na próżno. Faktycznie, dureń ze mnie. Jakby to naprawdę była chałupa Denysa i Motrii i jakby za chwilę, gdy tylko minę spróchniałą obórkę miał wyjrzeć z niej wielki łeb Myszka... Do tego stopnia zżyłem się z tymi, którzy mieszkali tu przed pół wiekiem. Po prostu się zżyłem.

I chociaż we wsi spotykałem dawnych mieszkańców chutoru, mimo wszystko byli to jakby przybysze z innego świata, w którego istnienie człowiek nie całkiem wierzył. Teraz stąpałem po ziemi, po której kiedyś chodził Filarret, Rozumny, Danyło, Iwan, Ruta, Denys Buhaj, i stałem naprzeciw obejścia Denysowego syna. Jednak było trochę powodów do wzruszenia.

Sadybę leśnika ogradzał wysoki parkan zakończony drutem kolczastym. Pewnie przed zwierzętami. W końcu to przecież las — pomyślałem. Obora, a raczej duża, przegrodzona w środku szopa, zbudowana była z solidnych bali. Żaden buhaj nie dałby temu rady — przeleciało mi przez głowę. O domu mieszkalnym nawet wspominać nie warto. Nawet Filarret pozieleniałby z zazdrości. Przed obejściem leżały sągi drewna ujęte w żelazne, równo przycięte szyny — pewnie własność kołchozu.

Na próżno szukałem jakiejś szpary w parkanie. W końcu wspiąłem się na palce i zajrzałem do ogrodu. Blżej domu widniał gęsty, młody sad; o kilka kroków ode mnie niewysokie mężczyzna w dość podeszłym wieku, odziany w czapkę, waciak i buty z cholewami, rozrzucał gnój.

— Dzień dobry — zawołałem starając się ucześcić krawędzi parkanu, bo mdlały mi nogi. — Można do was?

Jak spod ziemi na ganku pojawiła się ubrana na ciemno kobieta, z wiadrem w ręku, i znieruchomiała, patrząc badawczo w moją stronę.

— Już idę — odpowiedział człeczyna.

Z drugiej strony parkanu skrzypnęła drewniana zaszczepka, jedna, druga i nieoczekiwanie o kilka kroków ode mnie deski rozsunęły się tworząc przejście, z którego wychynął mój rozmówca.

— Zdrawija żelaju. Kim jesteście? Po linii jakiej organizacji wy delegowani?

Syn Denysa usiłował rozmawiać ze mną jakimś urzędowym, ukraińsko-rosyjskim żargonem. Widocznie sądził, że doda mu to powagi, być może chciał w ten sposób wyrazić swój szacunek dla mojego, po prawdzie jeszcze niewiadomego, stanowiska.

— Żadna organizacja mnie nie przysłała. Wyszedłem sobie na spacer. Jestem nauczycielem — powiedziałem trochę zbity z tropu. Rozkołatane serce powoli zaczęło się uspokajać. — Po

prostu przechodziłem obok, zapałki mi się skończyły, chciałem prosić o ogień.

— T a b a k a nie utrieblaju — z godnością oznajmił człowieczek. — Dla zdrowia niezmiernie szkodliwy. A dokąd to szliście, że tędy wam wypadło?

Dopiero teraz udało mi się przyłapać ponure, niedowierzające i podejrzliwe spojrzenia, którymi obrzucał mnie spod rzyżych brwi.

— Spaceruję sobie. Słyszałem, że tu kiedyś był chutor?

— Był.

— Jeszcze za waszej pamięci?

— I za mojej — mój rozmówca pochmurniał coraz bardziej.

Widocznie miał jakieś podstawy do niepokoju. W końcu — jego sprawa. Mnie także odechciało się pytać o chutor, o Rozumnego, o Marynę, nawet o Denysa Buhaja. Po prostu straciłem ochotę. Uleciało gdzieś wewnętrzne podniecenie; przeciwnie — coś na kształt rozczarowania zaczynało wypełniać ssące uczucie pustki w sercu.

— Cóż, skoro nie ma czym przypalić, przepraszam — powiedziałem, zbierając się do odejścia. — Wszystkiego dobrego.

— Do swidani ja — odburknął leśnik, nie spuszczać ze mnie oka.

Szedłem, nie oglądając się za siebie. Ale długo czułem na plecach jego kłujący wzrok. Spod lasu zerknąłem jeszcze raz na leśną sadybę. Ukryta furtka w parkanie znikła bez śladu, ubrana na czarno kobieta dalej stała na ganku, podszedł do niej syn Denysa Buhaja, o czymś rozmawiali patrząc w stronę, gdzie zniknąłem im z oczu.

Leśni ludzie...

Ostatnie promienie zachodzącego słońca rysowały na bladzielonym niebie czerwony kontur olbrzymiego ptaka, który zdawał się unosić na wygiętych, ostro zakończonych skrzydłach. Patrzący mieli wrażenie, że jego brzoźowe koła ledwie muskają szczyt Filaretowej stodoły. Naprawdę wielki talent miał Rozumny: jeszcze jego aeroplan nie ruszył z miejsca, a zgromadzonym w ogrodzie Filareta mieszkańcom chutoru zdawało się, że już widzą, jak szybuje w bezkresnych przestrzeniach i nic nie jest w stanie go zatrzymać.

Rozumny, ubrany w białą koszulę i swoje najlepsze, odświętne spodnie — płócienne, z własnoręcznie nabijanym wzo-



rem — zarzucił na ramię torbę z prowiantem (cały chutor złożył się, aby wyprawić Matwija w tę podróż, każdy dawał, co mógł: ten — bochenek chleba, ów — główkę cebuli, jeszcze inny — trochę sera lub siary) i podszedł do żony i syna.

Priśka uderzyła w lament, aż w lesie ozwało się echo.

— Oj, Matwijku, nie wrócisz ty, nie wrócisz, moje serce nieszczęście przeczuwa...

Danyło stał bez ruchu, tylko wziął starego w ramiona i spytał szeptem:

— Może jeszcze się namyślicie, tato?

Rozumny zbył to milczeniem. Potem, zwracając się do tłumu, powiedział głucho:

— Ludzie, czekajcie. Ja wrócę...

Podszedł do drabiny. Priśka rzuciła się ku niemu:

— Matwijeczku!

— Uspokój się, kobieto. Pośpieszać trzeba. Tylko patrzeć, jak księżyc się pokaże. Póki nisko stoi — prędzej dolecę...

Wspiął się na stodołę. Stał na szczycie, wysoki, barczysty, piękny.

Słońce zapadło w czarną czeluść, zza lasu wypłynął żółtawoblady księżyc. Była pełnia.

Rozumny skłonił się głęboko na cztery strony świata.

— Jeślim wam coś zawinił albo zrobił nie tak — wybaczcie...

Denys wyłaził ze skóry, błagał atamana kuszniowców, aby popędzali konie. Mimo to zmierzchało już, kiedy oddział wyrzucił się z lasu i zbliżył się do chutoru.

Podejrzliwym, czujnym spojrzeniem obrzucił Buhaj chatę, obejście Fiłaretu i nagle drgnął: na szczycie Fiłaretowej stodoły stał Matwij Rozumny bijąc pokłony na wschód i zachód, na południe i na północ. Obok Matwija widniał jakiś dziwny stwór, podobny do ptaka, tyle że na kółkach; jego skrzydła zdawały się pruć powietrze.

W oddziale również zauważono to dziwo, wśród jeźdźców podniósł się niespokojny gwar, podcięli konie. Czepiając się grzywy nędznego Kuszniowego mierzyna, Denys trząsł się koło atamana. Nad wierzchołkami drzew płynął okrągły świecący talerz.

Rozumny zbliżył się do swojego ptaka. Wtedy Denys poczuł, że budzą się w nim wszystkie dawne uczucia: i strach, i za-

chianność, i żal po nie spełnionych marzeniach, że opanowują go i wciągają w spieniony wir złości i nienawiści. Nie pannał już nad sobą. Wieczorną ciszę przerwał zduszony, dzi ki wrzask:

— To on! Strzelajcie! Zaraz poleci! Strzelajcie!

Jakby dźgnięty tym krzykiem ataman przyłożył karabin do ramienia.

Huknął strzał.

Księżyc zadrzał, by za chwilę znów podjąć obojętną wędrówkę po ciemniejącym niebie.

Dopiero pod wieczór dotarł w poblize chutoru.

Czarne szkielety dębów majestatycznie wspierały zielonkawę, jakby świeżo wymyte wiosenne niebo. Wraz z nadchodzącym zmierzchem coraz mocniej pachniały pękające paki, młode runo leśne, ciężarna przyszłym urodzajem ziemia.

Chwilami Iwan zapominał się i odwykłymi od wiejskiej pracy miękkimi dłońmi ujmował kule, jakby to były czepigi pługa. Poruszał niemo wargami, jakby już za chwilę miał wydać ów niecierpliwy, upajający okrzyk popędzający konia: „N-no, ruszaj...” Zamiast tego z gardła dobywał się tylko głuchy jęk: rozmiękła ziemia nie dawała oparcia, kule zapadały się, dotkliwie uciskając obtarte do krwi pachy. Mozolna wędrówka trwała już drugi dzień. Po chwili przychodziło opamiętanie i Iwan zaczynał zastanawiać się, co będzie za najbliższym zakrętem leśnej drogi: sprawdzał swoją pamięć. Przymykał oczy pod powiekami zjawiał się zagajnik smukłonogiej brzeziny.

Droga rzeczywiście zakręcała w brzozowy gaj, tyle że przetrzebiony przez wojnę i nie taki już młody. W zapadającym z wolna zmierzchu białawe pnie wyglądały poważnie i majestatycznie.

Wciąż zapominam, że to już cztery lata — myśli Iwan, czując, jak serce w nim zamiera pod wzbierającą falą słodkiej goryczy. — Jakież one teraz, te moje dzieci? A Maryna?... Jeszcze ten osikowy lasek, a za nim już chutor. Filaretową zagrodę ominę. Na przełaj bliżej.

Skręcił między chude drzewa, licząc na swoją pamięć. Tutaj gdzieś powinna być ścieżka. Chodził nią każdej jesieni, wracając z Tawrii.

Dziwne. Ileż to nocy i dni w grząskim okopie marzył

o tej chwili, widział w wyobraźni tę ścieżkę, na którą wkroczy, przerzucając lekko plecak na drugie ramię. Każde stąpienie, każdy ruch miał wtedy barwy jakiegoś baśniowego kwiatu. Teraz wszystko okazało się proste, zwyczajne. Tylko ten jęk w piersi, głuchy, bolesny...

Przez osikowy lasek rzeczywiście wiała się ścieżka, lecz już pojawiały się na niej kiełki i młode pędy — owymi czasy niewielu przybyszów z dalekich stron wędrowało tędy do chutoru — i wkrótce Iwan zabłądził w niebieskawym zmierzchu.

Nastawił uszu: gdzieś niedaleko ujadają psy i słychać było stłumiony gwar ludzkich głosów.

Zaczął iść w tym kierunku, zajadle przedzierając się przez gęste zarośla. Chyba jeszcze nigdy tak mu się nie spieszyło. Jakby nagle zląkł się, że może nie zdążyć.

Wyszedł wprost na zabudowania Filaretu. Oczom jego ukazał się widok niezwykły: wokół stodoły ciżba ludzi, na szczycie dachu Matwój Rozumny, obok niego różowy kształt, jakby ptak jakiś czy co...

I właśnie wtedy huknął strzał. Donośne echo odbiło się od ściany drzew, zachwiało Iwanem...

Szeroko rozłożywszy ramiona Matwój z wolna osunął się na słomianą strzechę stodoły.

Zwalił się na wznak, milczący i niewzruszony, jak księżyc nad lasem. Martwe oczy patrzyły w niebo, na którym zapalały się pierwsze gwiazdy.

Dopiero potem do stojących w dole dotarł huk wystrzału. Tłum zakołysał się, skłębził.

W tej samej chwili uliczkami chutoru, przez ogrody, podwórka z hukiem i dzikimi okrzykami przemknęli jeźdźcy, ciasnym kołem otaczając gromadę ludzi.

Priska leżała na ziemi bez czucia. Danyło wyprężył się i rzucił wprost na końskie łby o rozdętych chrapach. Ale czyjeś ręce chwyciły go za ramiona. Obejrzał się i skroś przesłaniający świat szary opar zemsty ujrzał Iwana.

— Za późno... — wyszeptał. — Spóźniłeś się, Iwanie.

— Nie za późno — ciężko dysząc Iwan usiłował wyszarpnąć drewniane kule, które uwięzły w grząskiej ziemi. — Nie za późno... Wszystko dopiero się zaczyna...

Następnego dnia rano ataman w asyście dwu odzianych w sukmany strzelców stanął w progu Filaretowego domostwa.

— Gospodarzu! Na twoje wezwanie pól setki wojaków przyprowadziłem. Nakarm sokołów!

Filaret poczuł, że go coś ściska w dolku. Głową wskazał chutor za oknem:

— Tam sami buntownicy. Z nich, mądrali, skórę drzeć...

— Jużemy przepatrzili... W sąsiedkach tylko myszy. A krowy — skóra i kości. A przecież my nie psy, żeby gnaty ogryzać, jak myślisz, gospodarzu?

Ucisk w dolku zamienił się w mdłą, obezwładniającą ssanie. Filaret aż poblądł: masz tobie, wybawiciele się znaleźli, teraz po sakiewkę sięgaj, toż dwa dobre woły nie starczą...

Nagle błysnęła mu zbawienna myśl. Poprosił atamana do drugiej izby, nachylił się do jego ucha:

— Dla was osobiście coś się znajdzie... — szepnął konfidencjonalnie. — Mały prezencik według naszych możliwości, rozumie się. Ale waszym radzę poszukać w Denysowej oborze. Byk tam stoi, spaśny, aż lśni. No, u tego, co wam za przewodnika był. To jeden z tych, co to dzisiaj z nami, jutro z tamtymi... Kuszniar marnego słowa nie powie...

Myszkowi ze szczętem obrzydło suche i szorstkie bagienne siano.

Przez szpary w ścianie przenika drażniąca mieszanina woni: łąki pachną młodziutką trawą, las — zielonymi liśćmi, ogród — budzącą się po srogich mrozach i śnieżnych zawiejach ziemią.

A do tego jeszcze ten zgiełk. Jakby ktoś stado bydła pędził przez wieś: ujadanie psów, pokrzykiwanie pastuchów, świst batów, szuranie krowich racic, niosące się przez ogrody nawoływania kobiet.

Myszko ze wszystkich sił wali łbem w ścianę: słyszc trzask, chrzęst suchych słonecznikowych badyli i nagle oślepiający blask wiosennego dnia bucha prosto w ślepią.

Opodal Denysowego obejścia, przy ostatniej stodole Filareta stoją uwiązane konie, włóczą się jacyś obcy, hałasują, gwizdzą. Strącając butami zielonkawy mech, dwóch drabów wspina się po słomianym dachu stodoły; na szczycie widnieje jakiś biały kształt, rogaty, z kółkami jak taczki. Draby chwytają dziwadło na rozłożyste rogi i spychają w dół. Koła szeleszczą po dachu, biały stwór, jakiego Myszko nigdy do-

tychczas nie oglądał, odrywa się od strzechy, koziołkuje w powietrzu, przechyla się na bok, po czym z trzaskiem i łomotem ryje głęboką dziurę w rozmięklej ziemi.

Wtedy ci, co czekali na dole, dobywają długich, lśniących noży, dźgają białego rogatego stwora, tratuja go, roznoszą w strzępy. Jeden z obcych wyszarpuje ze strzechy garść słomy, związuje w wiecheć i zbliża się do odrąbanych rogów. Błyska ogień. Ogród zasnuwa się białym dymem, po chwili wesoly, bezmyślny płomień zaczyna trawić rozdeptane szczątki.

— Jajecznicy! Dawać jajecznicy! — wrzeszczy tłum.

Zwarta ciżba sunie w stronę Denysowej obórki. Zwęszywszy obcych, Myszko wygina kark i zniża łeb nastawiając rogi. Na progu chaty ukazuje się Denys i widząc, co się święci, puszcza się biegiem.

— Myślę, że chętnie ofiarujesz swoim obrońcom tego byczka? — mówi starszyna w wysokiej szarej papasze.

— Ratunku! Rabują! — krzyczy Denys, usiłując zagrozić tłumowi drogę do obórki. — Ja Kusznirowy znajomy! Ministrem przy nim mam zostać!...

Starszyna robi kilka kroków w stronę Denysa i prawie nie biorąc zamachu wymierza cios w podbródek. Uderzony pada płasko na czarną ziemię. Starszyna schyla się, ujmuje bezwładną rękę leżącego i po chwili składa mu ją na piersi.

— Miękki był chłopina...

— A-a-a-a! — nieswoim głosem krzyczy z ganku Motria.

Tłum rusza dalej, prosto na Myszka. Buhaj toczy przekrwionymi ślepiami, ryczy, rozrzuca ściółkę, całym ciężarem napiera na ścianę obróbki.

Ściana trzeszczy, poddaje się, przednie nogi Myszka już na wolność, nienawistny, obcy zapach uderza w nozdrza...

I wtedy w rękę starszyny błyska coś ostro, boleśnie, oczy Myszka przesłania wirująca czerwona zamieć, która nagle przechodzi w mrok...

W izbie już prawie ciemno, ale Maryna nie zapala światła, choć ma wielką ochotę patrzeć na męża, na ludzi, którzy obsiedli ławy pod ścianami. Tak rzadko ostatnimi czasy w ich domu pojawiali się goście. Tylko że Iwan zabronił świecić. W ciszę za oknem wpada co chwilę tętent galopującego konia: kusznirowcy hasają po chutorze jak opętani, węsząc,

gdzie by tu urządzić sobie popijawę. W chacie zalega wtedy cisza, tylko po polepie szurają drewniane kule, na których usiłuje kuśtykać mały Iwanko. Tętent milknie, a o niską powalę znów uderza głuchy, zły głos dużego Iwana:

— Zagrzebaliście się w błocie i czekacie, aż wam tę sprawiedliwość na wyszywanym ręczniku podadzą, chlebem i solą poczęstują i jeszcze nisko się pokłonią: Raczcie skosztować, z łaski swojej... Na księżyc zerkacie, myślicie, że tam na was szczęście czeka... A tuż za tym lasem naród krew za to szczęście przelewa. Gdzie spojrzysz, wszędzie ludzie życie oddają, żeby ci, co po nas przyjdą, mogli jakoś żyć. A wam strach nosa z domu wysunąć. Pod babskie spódnice żeście się pochowali...

— Nikt się nie chował — odpowiada z kąta Poczepnia. — Tylko nie wiemy, za który dyszel ciągnąć.

— Właśnie wam mówię, za który — ciągnie Iwan spokojnie. — Za swój, a nie za Kuznirowy i Filaretowy. Bo jak teraz swojego wozu z błota nie wyciągniecie, to jeszcze wasze wnuki będą na cudzym będą klepać.

— Racja, Iwanie — wzdycha ciężko Dachnoweć. — Tylko że dzieci...

— A mój drobiazg to nie dzieci? — znów wybucha Iwan. — A czyje one, nie moje? A mnie co, ból się nie ima? Sił u mnie więcej? Na dwóch kikutach wróciłem, ale przed Kuznirowem i Filaretem pełzać nie będę...

Maryna szlocha w ciemności, tuli się do mężowego ramienia.

— Lasy u nas wielkie, siła biedoty się zbierze... Cicho, Marynko. Jeszcze sobie pożyjemy. Aby tylko... Ktoś musi zacząć...

— Tak, właśnie — ostrożnie mamrocze od progu Kyryk, wbijając w półmrok czerwone oko papierosa. — Ale co będzie, jak ono wróci... Matwój Rozumny też... I widzisz...

— A tak będzie — z posłania zrywa się nagle Matwójów Danyło — że ja za tobą, Iwanie. Póki życia — zaciska wargi. — Za sprawiedliwość!

Staje na środku chaty, głową omal powały sięga, groźny i piękny w swej nienawiści i niezłomnym postanowieniu.

W chacie zapada głęboka cisza, nawet Iwanko odłożył drewniane obrzynki i skulił się na posłaniu koło Lubki. Wtedy z kąta odzywa się Dachnoweć.

— Ten... tego... właśnie gnój rozrzuciłem — mówi zmie-

szany. — Stara sama nasz spłachetek skopać poradzi, a i z dzieci, tych starszych, też już jakaś wyreka...

Po dłuższej chwili włącza się Poczepnia:

— To kiedy, znaczy się, ruszamy?...

Wciąż przyspieszałem kroku. Po spotkaniu z synem Denysa Buhaja poczułem, że las dusi mnie i przytłacza. Tęskniłem za przestrzenią, za świeżym powietrzem. Wreszcie poprzez rzędzące drzewa zazieleniało pole, przeleciał wiatr. Uszedłem jeszcze z pół kilometra i przysiadłem pod starą wierzbą.

Słońce zachodziło. Po jasnym, pogodnym dniu ziemia była ciepła i jakaś dziwnie delikatna. Na wprost mnie spod smolistego mułu bajora przebijały zielone igielki trawy. Przy ścieżce rósł sporysz. Lśniące, jakby pociągnięte woskiem listki wierzby cichutko szemrały poruszane lekkim wiatrem. W przydrożnym rowie leżał jeszcze stary, przybrudzony śnieg, ale nieco wyżej cieszyła oko soczysta zieleń murawy. Wszędzie budziło się życie, wszystko rosło, oddychało. Wiosenna ziemia przypominała twarz babki Ruty, kiedy zaczynała opowiadać o swoim Danyle.

— Tego dnia, kiedy pochowano Matwija, wieczorem przychodzi do mnie Danyłko, znaczy się jego syn, i mówi:

„Jakby co, nie wspominaj mnie źle, Ruto. Upodobałem sobie ciebie...”

„A dokąd to, Danyłku?” — pytam cicho i serce mi się kraje.

„Dzisiaj się dowiesz. A jutro, jeśli mi tak sądzone, będę już daleko. Obaj z Iwanem idziemy o sprawiedliwość wojować.”

No i poszedł.

Zaraz potem całe Fiłaretowe obejście w ogniu stanęło. Konie rzą, ci, co Matwija ustrzelili — goście nieproszeni — wylatują ze stodoły, gdzie ich Fiłaret spać położył, i w tym, co który zdążył na siebie zarzucić, zaczynają miotać się po ogrodzie. Jak to zobaczyłem, od razu pojąłem, czyja to robota. Rozpląkałam się i prosto do chaty, w której mieszkał Rozumny. W chacie ani żywej duszy. To ja do ogrodu.

Noc, jak dziś pamiętam, była widna, księżycowa. Chata

Matwija ostatnia na skraju chutoru, zaraz za ogrodem zaczęła się droga.

Słyszę, koń pobrzękuje uzdą, Danyło stoi koło wierzby, a przy nim matka.

„Dokąd to po nocy się wybierasz, syneczku?” — pyta, a słowa ledwie jej przez gardło przechodzą.

„Sprawiedliwości bronić, mamó”.

„Jednego dzisiaj pochowałam, a drugi w świat idzie.

Naprawdę nie żal ci matki, Danyłku?”

„Żal, mamó” — wzdycha syn.

„Drozsza tobie niż matka ona sprawiedliwość, synku?”

Długo nie odpowiadał Danyło. Poprzez hałas na drugim końcu chutoru przebijał się huk ognia, hulającego po Filaretowych stodołach. Czerwonawe błyski wydobywały na chwilę z cienia twarze matki i syna, zarys końskiego łąba.

„Ja wrócę, mamó” — szepnął wreszcie Danyło, pocałował matkę w czoło i wskoczył na siodło.

Rosły, złośliwy ogier z Filaretowej stajni stulił uszy i zerwał się w tęgi kłus. Pomknął Danyłko po białej drodze...

— A potem, babciu, co było potem? — dopytywałem się.

— Znaczą kiedy?

— Jak Danyłko z wojny wrócił...

— Komitet biedoty i kolchoz we wsi zorganizował... Przez wszystkie lata był przewodniczącym.

— A potem?

— Potem wzięli naszego Danyłka. Akurat naszego najmłodszego piersią karmiłam.

— Właśnie wtedy?

— Wtedy...

Zapada zmierzch. Srebrzysty kołacz toczy się po wierzchołkach drzew. Droga ściele się szeroka i równa, jakby wyłożona białym płótnem. A po tej drodze co koń skoczy pędzi jeździec, pół nieba sobą zasłania, głową w hełmie gwiazd sięga, niby z legendy jakiejś czy starej dumki.

Podnoszę wzrok i poznaję Danyłę, syna Matwija, zwanego Rozumnym.



OLIWKI

---

*Historia pewnej duszy*



Kiedy wynurzyłem się z podziemnego przejścia, podłużne cienie haftowały plac przed dworcem, a w prześwitach między domami pienilo się soczyste, poranne słońce. Zaspiane miasto urzekało czystością świeżo skropionych jezdni, wonią kwiatów i truskawek, płynącą spod grzybiastych straganów. Wstąpiłem na śniadanie do dworcowej restauracji. Przez ten czas miasto wydorosłało, przybrało znudzony wyraz, tylko czerwone i żółte mieczyki zerkały z klombów zalotnie, na przekór zafrasowanej codzienności; poza tym wszystko wyglądało tak, że bez kija ani przystap: surowo i oficjalnie.

Ludzie z teczkami i aktówkami spieszyli do pracy. Zewsząd dolatywał grzechot biurowych szuflad.

Ale o tym potem. Najpierw o śniadaniu. Chyba z dziesięć lat temu siedziałem akurat przy tym samym stoliku. Była to moja pierwsza wizyta w restauracji. W prawej ręce niezdarne trzymałem widelec — w domu widelce podawano tylko gościom, dotychczas wystarczała mi drewniana łyżka — w lewej ścisnąłem mokrego od potu dziesiątaka. Bałem się, że dziesiątaka nie wystarczy i że na oczach sennej kobieciny w białym fartuchu będę musiał pruć podszewkę marynarki, gdzie matka zaszyła moje studenckie kapitały. Bałem się, że nie dosięszę komunikatu o podstawieniu składu, że nagle zepsuje się głośnik albo dyżurny przeoczy mój pociąg w swoim wykazie. Nie przeszkadzało mi to jednak królować za białym stołem, pod złocistym żyrandolem, w pustej sali. Pociągnąłem łyk ciepłego piwa, z czworokątnej spodeczka wydziobywałem przywiedle oliwki, ssąłem je długo, znów cedziłem piwo, a pestki wypluwałem na szary trójkącik papierowej serwetki. Nie sięgałem po następną oliwkę, póki w ustach czułem jeszcze słonawosłodką cierpkość poprzedniej — podniecający smak dalekich podróży.

Wtedy wszystko miało dla mnie swój smak i zapach. War-

gi Tamary pachniały świeżym mlekiem, szkoła — starą, przepaloną cegłą, miasto zaś słodko rozplywało się w ustach i było chrupkie jak obsypany cukrem rogalik. Bezkrzesne podróże miały smak oliwek. Dotychczas nie zapuszczałem się dalej niż na miasteczkowy targ. Ale oliwki spostrzegłem od razu, ledwie, wziąłem do ręki jadłospis. W ogóle do restauracji zdecydowałem się wejść tylko ze względu na nie. Już wtedy zbyt wierzyłem w swoją szczęśliwą gwiazdę, przecież mogło ich wcale nie być. Ale były. Figurowały w spisie zakąsek. Zamówiłem dwieście gramów i opchnąłem wszystkie, co do jednej, choć nie było to takie proste. Potem, w pociągu, zemdlilo mnie. Dotychczas nigdy nie miałem w ustach nic takiego.

Teraz znów wybrałem stolik w kącie sali, znowu zamówiłem piwo i dwieście gramów oliwek, mężnie wytrzymując zdziwiony wzrok kelnerki. Niestety, nic się nie powtarza. Już nie królowałem za białym stołem, pod złocistym żyrandolem; byłem tylko niewolnikiem: białego stołu, złocistego żyrandola, lśniącej sportowej walizki, którą postawiłem tuż przy nodze, aby w każdej chwili można było kolaniem sprawdzić, czy jeszcze jest; zupełnie tak samo jak przed dziesięciu laty pilnowałem swojego drewnianego kufierka. Oliwek prawie nie tknąłem, przez te wszystkie lata robiło mi się mdło na samą myśl o nich. Ale wiedziałem, że rano taksówkarze mają co robić w mieście i że żadnego nie namówię na kurs do wioski; zresztą przyjemnie było tak siedzieć w pustej, czystej restauracji. Przy drzwiach, na krzesełku portiera, drzemała kelnerka. Słońce złociło firanki. Przez otwarte lufciki wpadał poranny wietrzyk; lekkie zasłony prężyły się, wybrzuszały, spływały na salę, która wraz z nimi, niczym baśniowy okręt, zdawała się żeglować ku temu, co przyjdzie, a może — co odeszło. Czasem zdarza się człowiekowi taki melancholijny, sentymentalny nastrój. Ale nie dokończyłem o tych oliwkach. Pierwszy raz usłyszałem to słowo od matki. Kiedy chciała wyśmiać jakąś mglistą, nieosiągalną zachciankę, mówiła zawsze: „Pleciesz jak Łytwyn o oliwkach...” Nigdy nie mogła uwierzyć, że oliwki istnieją naprawdę, do dziś jest przekonana, że wymyślił je pyskаты Łytwyn, kiedy sobie trochę podchmielił. Może to i lepiej. Matka nie zapuszczała się dalej niż na plac targowy, chyba nawet na dworcu w życiu nie była. A dziwne słowo przyniósł do wsi Łytwyn jeszcze przed wojną, oczywiście nie za mojej pamięci. Z początkiem lat trzy-

dziestych, szukając lżejszego chleba, dotarł — jak utrzymywał — aż na kraj świata. Wrócił prędko, lżejszego chleba nie znalazł, za to przywiózł harmonię. Odtąd, zanim po wojnie nie podorastały chłopaki i kołchoz nie zakupił dla klubu akordeonu, żadne wesele nie mogło obejść się bez Łytwyna.

Dobrze pamiętam jedno z nich, chyba ostatnie, na którym rej wodził Wasyl Sofronycz Łytwyn. Wydawano moją siostrę. Ojciec nie bardzo miał ochotę czapkować Łytwynowi. Chodziły słuchy, że ze trzydzieści wiorst od nas jest jakiś beznogi grajek. Ale drogi zawiąło, zima szczerze sypnęła śniegiem. A cóż to za wesele bez harmonii? Do Łytwyna poszła matka, ona potrafiła dogadać się z ludźmi. W owym czasie Wasyl Sofronycz był brygadzystą. Ale w niedalekiej perspektywie rysowała się już jego ostatnia cicha przystań — wagowego w kołchozowym gospodarstwie. Może z pięć lat temu ojciec mi pisał, że zdjęto Łytwyna także z tej funkcji: ziemniaki w kopcach pogniły i szkół mu brakowało.

Pamiętam kolorowe wstążki w grzywach parchatych kołchozowych koników, śnieg pryskający spod kopyt, jaskrawe papierowe kwiaty na piersiach družbów, poważną twarz pana młodego; na przodku rozłożystych sań — okutany w kozuch Wasyl Sofronycz ze swoją tulską trzyczędką. Kiedy narzeczony statecznie uniósł się z siedzenia i zaczął iść przez podwórze na spotkanie mojej siostry, która w pełnej krasie królowała na ganku, Łytwyn z dumą kroczył przodem i rozciągał miechy z taką miną, jakby tylko od niego zależało, czy się ta para zjeździe, czy nie, i wszyscy niezwłocznie winni mu dziękować za dobroć i łaskawość. Zresztą nawet w drobiazgach lubił dodawać sobie powagi i potrafił podkreślać swoje znaczenie. Ludziom przeważnie działało to na nerwy, ale babcie, te, co to kochają uroczystości i nie przepuszczą ani nabożeństwa w cerkwi, ani żadnej imprezy w klubie, dość trafnie i nie bez dumy mówiły: „Popatrz, jak ten nasz Wasylko znów się puszy...”

Zanim chatę wypełnił trochę już podchmielony tłum krewnych pana młodego, zanim rozdziwały się, wyściskały i obcałowały swachy i ciotki, zanim sąsiadki zakrzętnęły się koło odświętnie zastawionego stołu, Łytwyn dwa razy odegrał te trzy tańce, które umiał i które znała na pamięć cała wieś, bo już z górą dziesięć lat dzieci rodziły się, dorastały i żeniły przy tej muzyce. Harmonia fałszowała, wydawała jakies przeziębione piski, ale jednak była to muzyka, radość, wesele.

Młodsze ode mnie chłopaki — bo ja chodziłem do szóstej i miałem się za dorosłego — patrzyły oczarowane, jak żółte od nikotyny palce Łytwyna tańczą po równie poźółkłych guzikach. Popatrywałem na niego z daleka, udając, że wcale mnie nie interesuje jego chrypiące pudło. I nauczyciele, i siostry zdumiewały się moim absolutnym brakiem słuchu. Nie potrafiłem zapamiętać nawet tej powszechnie u nas znanej piosenki o chłopcach, którzy wyprzęgali konie, nie mówiąc już o skomplikowanej kantacie, jaką cała klasa śpiewała z okazji uroczystości państwowych. Moje wokalne popisy wywoływały tylko śmiechy kolegów i irytację nerwowej nauczycielki śpiewu. Być może do dziś jest przekonana, że się zgrywałem, nie mogąc wyciągnąć za nią tej jakiejś „fa-so-li”.

Wszystkie te dziecinne, a nawet i terażniejsze marzenia, to surrealistyczne wariacje, w których powtarzają się tylko dwa tematy. Albo gram, dobywając przedziwne melodie z harmonii, gitar, pianin, bandur czy klarinetów, albo uskrzydłony fantazją szybuję w przestworzach. Niestety, nie dane mi było zostać ani wirtuozem, ani lotnikiem. Ale widać już wtedy nosiłem w sobie tkliwe motywy niniejszych szkiców, bo długo kołysałem się szczęśliwym złudzeniem, iż tylko brak właściwego narzędzia nie pozwala mi oczarować ludzkości. Do weseliska siostry, spośród wszystkich dętych i szarpanych instrumentów, moje palce знаły tylko kształt wierzbowej piszczałki. Moim marzeniem było, kiedy już będę duży, najeść się po uszy chałwy i sprawić sobie harmonię.

Najpierw usadzono za stołem młodych, za nimi na pokucie — poczesne miejsce w kącie, pod wiszącymi na ścianie ikonami — wcisnęły się starsze družki, następnie ojciec ujął Łytwyna pod ramię i z wyszukaną grzecznością (w głębi duszy nie lubił, a raczej nie považał wiejskiego grajka, i teraz dopiero rozumiem, z jakim trudem przychodziła tacie ta wymuszona uprzejmość) zwrócił się do niego:

— Proszę na pokucie, Wasylu. Co to za wesele, kiedy w brzuchu burczy...

Łytwyna zawsze sadzano na honorowym miejscu, inaczej obrażał się, brał harmonię pod pachę i głuchy na wszelkie błagania szedł precz. Wtedy z wesela były nici. Jak długo można wywijać, klaszcząc językiem o podniebienie i mówiąc do taktu w pokrywę chlebowego pieca? Wasyl Sofronycz energicznie zdusił miechy, zsunął pasek z ramienia, położył harmonię na stosie wykrochmalonych, wyprawnych poduch

i wśliznął się na pokucie. Bez słowa patrzyłem, jak z białych puchatych poduszek uchodzi dech, a harmonia powoli pełźnie na skraj łóżka. Wystarczyło tylko wyciągnąć rękę, aby dotknąć upragnionych polerowanych deseczek.

Bąłem się, żeby nie przegapić tej chwili. Taka okazja mogła się już nigdy nie powtórzyć. Nie musiałem przypominać sobie melodii. Od dawna żyła we mnie; teraz wreszcie świat ją usłyszy i oniemieje ze zdumienia. Zamknąłem oczy i rozciągnąłem miechy, zeszytwniałymi palcami gorączkowo wymacując gładkie guziki. Harmonia zachrypiała, potem wydobyla z siebie wysoki, piskliwy ton, ale gdzież się podziela melodia, która rozsadzała mi pierś? Nie widać było także, aby ktoś wywracał oczami z zachwytu. Ocucił mnie szorstki głos:

— Puść te instrumente, smarkaczu...

Łytwyn wyciągnął rękę przez stół i naburmuszony popatrywał na mnie spode łba. Miałem wrażenie, że za chwilę rzuci się na mnie, nie bacząc na biesiadników, misy i kołacze. Do dziś nie mogę pojąć, czemu zawsze dostawał białej gorączki, kiedy ktoś odważył się tknąć jego harmonię. Choćby nawet nie należała do niego. Kiedy w jakiś czas potem garbaty Michaś wrócił z sześciomiesięcznego kursu akordeonistów i przewodniczący kołchozu uroczyście przekazał mu nowiuteńki akordeon, prawie cała wieś zebrała się w klubie na pierwszą wieczorynkę. Nie przyszedł tylko Wasyl Sofronycz. Zjawił się dopiero w połowie trzeciego tańca, wdrał się środek tanecznego kręgu i zrzędlwym, podpitym głosem zarządził:

— Cisz! Łytwyn przemawiać będzie...

Zrobiło się cicho, tylko zza sceny słyhać było stukanie kostek domina. Łytwyn zwrócił się do Michasia:

— Zabraniam ci grać, bo nie figurujesz w nomenklaturze. Oddaj instrumente. Teraz zagra sam Wasyl Sofronycz Łytwyn...

W odpowiedzi Michaś zaczął jakąś skoczną melodię. Wokół pijanego zawirowały dziewczyny. Chłopcy rechotali. Łytwyn roztrącił tańczących i przedzierając się przez piszczące dziewczyny zaczął iść w stronę Michasia. Podobnie jak wtedy na weselu w jego ruchach, w całej postaci było coś drapieżnego. Chłopcy złapali Wasyla Sofronycza mocno pod pachy, wyprowadzili na ganek i pchnęli w ciemność. W rozchełstanej koszuli, bez czapki na głowie Łytwyn zataczał się w żółtym świetle latarni wykrzykując:

— Nie ujdzie wam to na sucho! Na białe niedźwiedzie powysyłam! Jeszcze wasze prawnuki nie ośmiela się podnieść ręki na towarzysza Łytwyna!

Potem powlókł się chwiejnie do wiejskiej rady narodowej, nastraszył dyżurnego i zaczął się znęcać nad sędziwym telefonem:

— Milicja? Halo, milicja? Dajcie no do aparatu komendanta. Kto mówi? Towarzysz Łytwyn. Za co wam płacą? Kto pozwolił, żeby jakieś chuligany robiły sobie pośmiewisko ze starej partyjnej gwardii? Chcieli mnie zabić! Halo, halo... Szykowali na mnie zamach. Spisujcie nazwiska i natychmiast przysyłajcie wóz. Co? Kto pijany? Wiecie, z kim rozmawiacie?

W milicji już od dawna nie zwracano uwagi na te telefony. Chyba że dyżurni, chcą się trochę rozerwać i odpędzić morzącą ich senność, współczująco obiecywali, że natychmiast wyruszą bronić pokrzywdzonego. Uradowany Łytwyn biegł aż na koniec wsi i długo czekał na ciemnym wygonie, chwiejąc się na wietrze. Ale samochód nie nadjeżdżał...

Pamiętam, że te numery z milicją, ta samotna postać na skraju wsi, zawsze miały dla mnie coś z tragedii i niesamowitości. Na parapecie mrugała przykręcona lampa, na ścianie kołysał się wysoki cień Łytwyna, brzęczał rozklekotany telefon. Wasyl Sofronycz z uporem kręcił korbką i krzyczał do słuchawki. Nie mogło mu się pomieścić w głowie, że od jakiegoś czasu ta metalowa zabawka straciła swoją wszechwładną moc i już nikt się jej nie boi. Usiłował przywrócić to, co minęło, stawał okoniem, trwonił siły, a ludzie pokpiwali sobie z niego.

Ale to było później. Wracajmy na wesele. Nabrzmiałe złością słowa Łytwyna sparzyły mnie jak ukrop. Rzuciłem harmonię na łóżko i wybiegłem z chaty, nie chcąc, aby ktoś spostrzegł moje łzy. Kiedy trochę ochłonałem i odważyłem się przecisnąć bliżej stołu, Wasyl Sofronycz był już centralną postacią ślubnego przyjęcia. Kiedy sobie podchmielił, potrafił wszystkich przegadać, nie pozwalając nikomu dojść do słowa. W takich chwilach w jego bladej twarzy, wyglądającej jak zmurszałe truchło, zbyt długo przetrzymywane w zaszpunktowanej becce, żyły tylko oczy: z uporem pełzały po słuchaczach, nieme, puste, bez wyrazu. Od dawna oczy Łytwyna przerażały mnie swoją mdłą, wsysającą próżnią, która zresztą wcale nie musiała być świadectwem pustki duchowej; jeszcze dziś uważam, że Wasyl Sofronycz był człowiekiem osobliwym



i nie pozbawionym wrodzonej roztropności: możliwe, że były to tylko pozory, nie wiem. Łytwyn jakby od niechcienia wyciągnął do ojca musztardówkę.

— Polej, Semenienie.

Zabulgotał żółtawy bimber. Grajek wychylił szklaneczkę, otarł usta rękawem i spojrzał chmurnie na naszą matkę:

— Kumo, zawołajcie no moją Marię...

— Jestem, Wasylku, jestem — odezwała się z końca stołu żona Łytwyna. Zawsze po trzecim kieliszku Łytwyn domagał się, aby przyprowadzono Marię. Teraz posłano po nią wcześniej, aby nie przerywać biesiady i nie psuć humoru harmoniście.

— Aha, toś już tutaj, Mario — rzekł w zamyśleniu Łytwyn. — No to posłuchajcie mnie, ludzie, pókim naczelnik. Nowego wam nic nie powiem, tyle tylko, że mi was żal, bardzo żal. Po prostu serce mi się kraje. Nie przy weselnym stole takie przemowy, ale i was, młodziaki, też mi żal. Będziecie się kochać, póki sił wam stanie, dzieci wychowacie, ale prędzej czy później wyprowadzą was, jak wszystkich, za wieś, na stary cmentarz. Cmentarz kiedyś zaorzą i nawet śladu po was nie będzie. — Tu Łytwyn zamilkł, jak milknie orkiestra, zanim weźmie nowy akord. — A próbowaliście wy kiedy oliwek? Siedzieliście w restauracyjnym wagonie międzynarodowego pociągu, z którego okien nawet nie widać porozrzucanych w dolinach i pochowanych w zagajnikach chutorów, o których nawet Pan Bóg zapomniał? Zakąszaliście wy kosztowne wino drogimi oliwkami? Życie przeżyjecie i nigdy nie poznacie ich smaku. A oliwki, trzeba wam wiedzieć, słodko pachną...

Odtąd zdawało mi się, że wszystko, co nęcące, ale nieosiągalne, ma smak oliwek. Niedługo przed maturą wezwał mnie dyrektor szkoły:

— Słuchaj, Łytwynie, czci kolektywu trzeba bronić i siebie jakoś pokazać. Jutro wszystkich dziesięcioklasistów zabierają na zlot. Dzwonili, żeby każda szkoła przygotowała wystąpienie. Zmajstruj no jakiś wiersz, odczytasz go z tribuny. Coś w rodzaju: my też nie od macochy i swój rozum mamy. A idea taka: po szkole — do rodzinnych kołchozów. Na ojczyście wracam niwy i tra-ta-ta i tra-ta-ta. Przyswajasz?

Nieco oszołomiony zaufaniem tak wysoko postawionej oso-

bistości wymamrotałem:

— Przecież ja także chcę zdawać na studia...

— No i co z tego? Wszyscy chcą zdawać. Jednemu się uda, drugiemu nie. Najważniejsze to rzucić hasło. Masy zmobilizować. Przyswajasz? Uważaj: rzecz jest na skalę ogólnokrajową. Dziennikarze się zleca, może nawet z Kijowa. W gazetach opiszą. Straszna odpowiedzialność. Przyswajasz? Powiedz wychowawcy, że cię zwolniłem z lekcji. Zamknij się w izbie pionierów i twórz. Potem wspólnie podretuszujemy ideologicznie, żeby było zgodnie z obowiązującą linią.

Siedząc przy restauracyjnym stoliku wspomniałem sobie z tamtych lat i uśmiechałem się z rozrzewnieniem.

Jechałem na zlot ze starą teczuszką; matka nakładła do niej chleba z sadłem, bo akurat krucho było z groszem, a coś przegryźć trzeba. Na sercu pod marynarką — dwie kartki ze szkolnego zeszytu: wierszowane wystąpienie. Puszyłem się za czerwono przystrojonym stołem przydzielanym, sam czerwony jak burak, zwłaszcza gdy produkował się mój przedmówca: tylko patrzeć, jak wywołają moje nazwisko. Obok mnie siedział jakiś młody człowiek w wyszywanej koszuli i tak pięknym garniturze, że podobnego jak żyję, nie widziałem, nawet u letników, którzy własnymi samochodami przyjeżdżali do naszego zootechnika. Mężczyzna miał płową czuprynę, przyjazną, inteligentną twarz i smukłe białe palce. Notował coś eleganckim wiecznym piórem; takich piór też nigdy nie widziałem, chyba zagraniczne. „Ze stolicy — kolnęło mnie w sercu. — Dziennikarz, żywy, prawdziwy...” Bo tak właśnie powinien wyglądać prawdziwy dziennikarz. Nie jakiś tam wiejski korespondent rejonowej gazety — tacy od czasu do czasu na zakurzonych motocyklach zawadzali o naszą wieś — ale prawdziwy dziennikarz, który jeździ po całym świecie i co dzień zajada oliwki w restauracyjnych wagonach międzynarodowych pociągów... W dodatku mój sąsiad pachniał — leciutko, prawie nieuchwytnie, bardzo miło. Pewnie jakąś bardzo drogą, nie naszą wodą. Moja siostra też miała zielonkawy flakonik, w którym były perfumy, nawet kiedyś przysnęła mi na włosy, ale tamte pachniały bzem i tak się też chyba nazywały. Krótko mówiąc, obok mnie siedział przedstawiciel innego świata; świata, w jakim przyjdzie mi kiedyś żyć, jeśli się będę dużo, dużo uczył i to na same piątki. Młodzieniec na oko nie przypominał ani mojego ojca, ani Wasyla Sofronycza, ani tych wszystkich wujków, którzy co wieczór

rozsiali się na kłodach drewna przed stajnią i strzykając śliną, ssali śmierdzące skręty. Chyba tylko wyszywana koszula, którą tak podziwiałem, stanowiła wątlą kładkę pomiędzy tymi dwoma światami. Bo wyszywaną koszulę wkładali od święta i ojciec, i wujkowie. Dziennikarz zauważył, że nie spuszcza z niego oka, uniósł głowę i puścił do mnie oko. Zaczerwieniłem się i odwróciłem wzrok. Wtedy znów zaczął coś pisać.

Słowo daję, nie pamiętam tych kilku minut, kiedy stałem na trybunie. Całe prezydium, cała sala patrzyła na mnie, a ja, nie odrywając oczu od swoich karteluszków, młóciłem tekst jak groch. Dyrektor ocenił później moje wystąpienie jako szczerze, pełne uczucia, ale za mało patetyczne. Mówiąc to, potrzasał ręką, wznosząc ją coraz wyżej i wyżej. Możliwe. Ale pamiętam grzmot oklasków, którymi wybuchła sala, kiedy wykrzychałem ostatnie słowa poematu. Prezydium też klaskało. Roztrzęsiony, potykając się o krzesła i kolana siedzących, niemal biegiem dopadłem swojego miejsca. Ale nie zdążyłem usiąść: mój sąsiad wstał i bez słowa, uroczyście uściśnął mi rękę. Brawa wybuchły na nowo. Poczulem, że jeszcze chwila i rozplacę się z radości. Szkoda, że nie było tam Wasyla Łytwyna. Niechby zobaczył...

Kiedy oklaski umilkły, przewodniczący donośnym głosem oznajmił:

— Teraz zabierze głos nasz gość, znany redaktor z Kijowa, Mykoła Stepowy!

Nie wspomnę już całego przemówienia Mykoły. Dawne to czasy, a poza tym wtedy jeszcze nie otrzeźwiałem po swoim sukcesie. A szkoda, bo to, co mówił Stepowy, głęboko mnie poruszyło i omal nie pchnęło na zupełnie inną drogę. W każdym razie kazało zastanowić się nad życiem, nad sobą. Zresztą nie tylko mnie. Sala przycichła wzruszona. Tylko od czasu do czasu zrywały się brawa i szybko milkły. Spróbuję odgrzebać to, co zostało w pamięci, choćby tylko fragmenty. Muszę zaznaczyć, że Stepowy oczarował zebranych nie tylko tym, co mówił, ale i miłym, budzącym zaufanie wyglądem, a przede wszystkim — szczerością. Większość mówców, zwłaszcza dorosłych, odwoływała się bardziej do rozumu niż do serca, przemawiała sucho, rutyniarsko, a na dodatek z kartki. Oczywiście i oddźwięk był nie taki. Mykoła stanął obok trybuny, po chłopięcemu (jak Boga kocham, zupełnie

jak nasz wioskowy chłopak) potrząsnął czupryną, wesoło zerknął na salę i rzekł:

— Przewodniczący nie całkiem ściśle mnie tu przedstawił, Jako dziennikarz pracuję co prawda w Kijowie, ale serce moje jest tu, na sławnej poleskiej ziemi! (Oklaski.) I do kresu moich dni ono będzie wśród ludzi pracy, rolników, którzy swoimi twardymi od trudu rękami doją matkę-ziemię! (Oklaski.) Pochodzę z Korostyliwki, w sąsiednim rejonie, a więc według stołecznej miary — prawie z tej samej ulicy co wy. (Oklaski, aprobujący śmiech na sali). Niedawno odwiedziłem rodzinne strony. Idę sobie przez wieś i coś widzę: na kolchozowym podwórzu dziadek Panas dłubie coś przy wozach. Postawny, pełen godności — sami wiecie, że pięknych starców u nas nie brak — ale już stareńki, broda u niego jak śnieg biała. „Dzień dobry, dziadku! — wołam. — Czemu to nie szanujecie się na stare lata?” „Nie ma kiedy — powiada dziadek — na słończku się wygrzewać; prócz mnie w brygadzie cieśli nie uświadczysz. Wszyscy do miasta się przemieśli, najwyżej na urlop zagląдают.” Usiedliśmy sobie na wozie, zakurzyliśmy samosiejkę, ale jaką... Niech to zostanie między nami, ale taki się zrobiłem inteligencik-delikacik w tych miastach i zagranicach, że ledwie mi się raz sztachnął, dech mi zaparło i szybko schowałem skręta w rękaw, żeby dziadek nie widział. Wokół nas zebrała się gromada kobiet, sypały torf do skrzynek, to dobry nawóz. Poczęstowały mnie pestkami, o ileż przyjemniej było popluć sobie w garść. (Wesołe ożywienie na sali. Patrzyłem na Stepowego zakochanymi oczami: mój Boże, jaki on inny, wyjątkowy, a jednocześnie nad podziw zwyczajny, bliski, swój!) Dziadek Panas długo milczał, coś tam sobie rozważał, a potem powiedział tak mądrze i głęboko, że na zawsze zapadło mi to w serce: „Jest u nas taki stary obyczaj: kiedy ktoś z rodziny wyrusza w świat, uchyla się pokrywę chlebowego pieca, aby duch domowego ogniska strzegł resztę rodziny i chronił podróżnego... Kiedy moi synowie szli budować miasta, pokrywy nigdy nie przymykano. Ja wiedział: oni przede wszystkim tam potrzebni. Ale wnuki potrzebne tutaj: ziemia-karmicielka ich wzywa, bo tylko patrzeć, a nie będzie komu jej uprawiać. I jeśli moje wnuki też pójdą bruki szlifować, porzucą ojcowiznę, nie uchylę pokrywy. (Oklaski). Nie dam błogosławieństwa”. (Żywe oklaski). Słyszycie, drodzy krajanie, co mówi lud? „Nie dostaną błogosławieństwa!” (Burzliwe oklaski). Tak oto ustami mądrego

dziadka Panasa naród nakazuje nam, młodym, silnym, wykształconym: weźcie ojcowiznę w swoje troskliwe ręce, ziarnem wybornym obsiejcie, w kwitnące sady przystrojcie, a naród wdzięczny wam będzie! (Jeszcze mocniejsze brawa, sala wstaje, starsi nauczyciele ocierają łzy wzruszenia). Myślę, że młody poeta Łytwyn ładnie wyraził tu naszą wspólną, piękną ideę: „Witajcie nam niwy i pola, witaj nam słoneczna ziemi!”

Potem uchwalano rezolucję, wręczano dyplomy, orkiestra grała tusz; nic nie słyszałem, nic nie widziałem. Kra, na której Andrij Łytwyn żeglował w przyszłość, pękła; pojąłem, że płynę na zły połowce i nie w tę stronę. Ale już wiedziałem, kim mam być: brygadziwą. Uzyskam wysokie plony, a naród obdarzy mnie wdzięcznością. Oczywiście będę się uczył, pójdę do instytutu rolniczego na studia zaoczne, bo rolnikowi potrzebna wiedza nie mniejsza niż kosmonaucie. Tak mówił Mykoła Stepowy. Zrobiło mi się lekko na duszy. Miałem uczucie, że jestem dobry jak nigdy. Uroczystość dobiegła końca, przitulilem do piersi teczuszkę z sadłem, przecisnąłem się przez tłum i usiadłem na trawie pod parkanem. Krzewy forsycji ukryły mnie przed światem. Chciałem być sam, pomyśleć. W żółtych kwiatach brzęczały pszczoły. A może by zostać pasiecznikiem? Chodzić sobie wśród uli, w słomkowym kapeluszu, przyjmować Mykołę Stepowego, który przyjedzie do mnie na reportaż, bo oczywiście — jakżeby inaczej! — będę przodującym pasiecznikiem, znanym w całym rejonie, ba, w całym kraju. Wyhoduję taką odmianę pszczół, która da dwa razy więcej miodu niż wszystkie dotychczasowe. Zaproszę Mykołę do pachnącej miodem chaty, położę na stole świeże plastry i prażone pestki, a przemawiać będę tak mądrze jak dziadek Panas. Wyobraziwszy sobie te pogwarki przy beczce pełnej lipowego miodu, poczułem głód. Jak to dobrze, że mama o mnie zadbała, a tak się wykręcałem. Wstyd mi było jechać do miasta z sadłem; chciałem być lepszy niż te proste babiny, co to siadają przed sklepem i spożywają swoje zapasy popijając oranżadą. Rozejrzałem się, czy nikt nie patrzy, otwarłem teczuszkę i rozwinąłem gazetę. Sadło było przypieczone, z przyrumienioną skórką — taką, jak lubię — chleb pachniał świeżo i apetycznie. Sięgnąłem do kieszeni po scyzoryk, gdy nagle na teczkę i rozłożone jedzenie padł cień. Uniosłem spłoszony wzrok — przede mną, uśmiechając się przyjaźnie stał Mykoła Stepowy...

Wyszedłem z restauracji, przeciąłem na ukos plac i mrużąc oczy od słońca, skierowałem się do śródmieścia. Szło mi się lekko, trenaż przewiesiłem przez ramię, sportowa walizeczka nie męczyła ręki; nie lubię chodzić obciążony ciężkimi pinklami. Najważniejsze, że miałem czarny, dobrze uszyty garnitur, białą nylonową koszulę bez krawata, z rozpiętym kołnierzykiem, letnie półbuty; każdy nerw mojego ciała śpiewał dziarską melodię młodości. Miałem wrażenie, jakbym siedł obok i z uznaniem przyglądał się sam sobie: co za sympatyczny, elegancki chłopak! Przyznam, że od czasu do czasu lubię trochę się sobą pozachwycać, tego nikt nie może mi zabronić. Chciałbym podzielić się z wami jeszcze jednym spostrzeżeniem, owego ranka mnie samego trochę ono zaskoczyło. Swego czasu byłem w mieście na praktyce studenckiej, ale żaden skwer, bulwar czy brama, które zapamiętałem, nie potrafiły mnie wprowadzić w ów obowiązkowy w takich wypadkach liryczno-sentymentalny nastrój, jaki ogarnia człowieka na wspomnienie dzieciństwa i wczesnej młodości. Tu właśnie, na tym rogu umówiłem się na pierwszą randkę — myślałem. — Wiatr kurzył śniegiem i ona zjawiała się biała niczym Królewna Śnieżka...

Czułem, że serce bije mi trochę szybciej, ale impulsy wysyłała pamięć, nie uczucie. Spośród wszystkich obrazów przeszłości uparcie wyłaniał się jeden: ta sama ulica, tyle że bez nowych osiedli. Ulicą pędzi na dworzec piegowate (chłopaczysko. Spodnie szerokie, wypuczone na kolanach, w rękę drewniany, zielony kuferek z ozdobnym czarnym zamkiem. Ta sama ulica, tylko kierunek inny — wtedy na stację, teraz ze stacji, a w środku — lat dziesiątek...

Nie wiem czemu, przypomniała mi się pierwsza powojenna jesień. Pewnego dnia pod wieczór wrócił Ołeksij, syn Łytwyna; następnego dnia rano wyszedł przejść się po wsi, w pełnej gali, z dystynkcjami sierżanta na szerokich naramiennikach. Czubki chromowych butów lśniły jak lustro, puszczając słoneczne zajączki na nowiuteńkie bryczesy. Jeszcze dziś dałbym głowę, że te zajączki dzwoniły lekko, podobnie jak pozłacane medale na piersi. Ołeksij kroczył założony ręce do tyłu (jakby kij połknął, mówiła matka), a my, chłopaki, cisnęliśmy się przy płocie, oczarowani widokiem zbrojnego ramienia narodu. Przytłaczała nas własna marność.

Stary Łytwyn wyszedł na ganek i zawołał w stronę Karusiowego obejścia, tak, żeby wszyscy sąsiedzi słyszeli:

— Idzie przyszły przewodniczący rejkomu!

— Władza w ręce bohaterów... — przyświadczył ochoczo jednooki Karuś. Podobnie jak staremu, po małej wódce synowi zbierało się na zwierzenia.

— Dziś to wy jeszcze ze mną po prostu jak równi z równym, ale jutro będę tam... — pokazał na sufit palcem, na którym widniał gruby złoty sygnet.

Z przyjemnością wspominam te czasy, ale zrobiłem, co mogłem, aby jak najprędzej uwolnić się od tego wspomnienia. Może dlatego, iż przez całe dzieciństwo Oleksij był moją szczerą antypatią i obrzydzał mi życie drobnymi złośliwościami. Kiedyś, był chyba wtedy kierownikiem klubu, wypchnął mnie z sali kinowej przez dziurę przeznaczoną dla suflera; ani chybi bym się udusił, gdybym nie namacał wąskiego przejścia, które prowadziło aż pod proscenium. A może nie lubiłem go z jakichś innych przyczyn? Czasem potrafił być naprawdę okrutny i nadęty.

Odfajkowawszy Oleksija, zacząłem medytować, jak by tu przekonać jakiegoś taksówkarza, aby podrzucił mnie do wsi. Jazda zajmie pół godziny, akurat na majdanie zaczną się zbierać wracające z pola baby. Niespodziewanie pojawi się błękitna Wołga, objedzie majdan i zatrzyma się koło ławki. Z gromady kobiet, nie wierząc własnym oczom, wysunie się matka; z auta dostojnie wysiądzie syn. Baby, ściskając motyki między kolanami, zaczną zaraz gadać, jaki to przystojniak się zrobił z tego berbecia. Będą tak pyłować przez cały dzień i jeszcze długo potem, a matce będzie od tych zachwyków miód spływał po sercu. Oczywiście, lepiej zajechać do wsi pod wieczór, kiedy kobiety czekają przy furtkach na bydło, mężczyźni kładą na łąkach ostatnie pokosy, przed domami dzieciaki grają w berka, a na Karusiowym ugorze rajcują kawki. O tej porze całutka wieś wylega na ulicę, wokół klubu i spółdzielni roi się tłum. Wszyscy zaczęliby pytać, co to za jeden, ten w błękitnej Woldze; ci, którym udałoby się docisnąć bliżej, odpowiadałiby: „To chyba młodszy Semena Łytwyna? Pamiętacie, takie to było małe, stałe latało do biblioteki”. (Nie myślcie, że jestem spokrewniony z Wasylem Sofronyczem, najmniej trzecia część wsi to Łytwyny.)

Szedłem wzdłuż długiego, bielonego płotu, za którym piętrzyły się równiutkie rzędy beczek. Nagle tuż przede mną

otwarła się brama, zaśmierdziało stęchlą solanką i z podwórza wytoczyła się szeroka, ogumiona platforma wylądowana pustymi skrzynkami. Na samej górze — och, jak ten doświadczony aktor umiał dodawać sobie powagi! — siedział Wasyl Sofronycz Łytwyn. Gdyby nie to, że cały ranek o nim myślałem, zapewne bez słowa poczekałbym, aż wóz przyjdzie, i zdziwiony tym nieoczekiwanym spotkaniem poszedłbym dalej.

— Wasyl Sofronycz?

Towarzysz Łytwyn nie obejrzał się, ale jego postawa, ruchy, a pewnie i wyraz twarzy wyraźnie się zmieniły; od razu musiałem przecież zauważyć, że to, na czym siedzi, bynajmniej nie przypomina złotego tronu, raczej zwyczajne skrzynki po pomidorach. Błyskawicznie przygarbił się, schował głowę w ramiona i cmoknął na starego, grubonogiego wachacha. Ale już nie mogłem się wycofać. Pożerała mnie ciekawość:

— Nie poznajecie mnie, Wasylu Sofronyczu?

Wtedy dopiero ściągnął lejce i zwrócił ku mnie wymiętą twarz, w której na podobieństwo dwu ołowianych wahadełek chodziły oczy.

— Tyś chyba Semenowy?

— We własnej osobie — odpowiedziałem, wyciągając rękę ponad stosami skrzynek.

Łytwyn nigdy nie podawał nikomu ręki, może wstydził się swojej ziemistej, przywiedlej skóry, a może miał za nic ludzkie ciepło. Teraz też niechętnie puścił lejce, wytarł dłoń w połą watowanej kurtki — oprócz waciaka w ochronnym kolorze miał na sobie starą wojskową czapkę z odgiętymi nausznikami: lubił surowy żołnierski styl — dotknął mojej dłoni i natychmiast zajął się poprawianiem skrzynek. Nie był uradowany naszym spotkaniem i nawet nie usiłował tego skrywać. Najchętniej od razu by się mnie pozbył, ale widać coś mu nie pozwalało. Szarpnął lejcami, wóz potoczył się po bruku. Szedłem obok.

— W gości? — burknął z wyżyn swojego tronu. Znowu odstawiał króla.

— W gości — odpowiedziałem. — A wy?

— Wciąż piszesz?

— Piszę — westchnąłem. — Do gazety. A wy?...

— Bratańcowi pomagam — wykrztusił zrozumiawszy, że



nie uniknie wyjaśnień. — On tu robi, znaczy się, w magazynie.

— Aha — mruknąłem, jakbym rzeczywiście pojął, czemu to Wasyl Sofronycz w taki gorący czas nie przy żniwach, ale w mieście, skrzynki po pomidorach wozi.

— Zdrowie diabli wzięli. Ze szpitali nie wychodzę. Od urodzenia nie miałem szczęścia do łatwego chleba. Chociem i niepiśmienny, ale, bywało, cały kolchoz na mojej głowie. E-ech, jakbym tak miał twoje szkoły, myślisz, żebym na tej platformie siedział?

Znaleźliśmy się koło budki z piwem.

— Może przepłuczemy gardło? — odezwał się Wasyl Sofronycz.

Zaczynały się oliwki...

— Można.

— Dwa duże jasne! — krzyknął w okienko, zeskakując lekko z wozu, jakby nagle opuściły go wszystkie choroby. W niebieskawej przerebli kiosku sapnęła pompka. Na świat wychyły dwa kufle ze wspaniałymi czapami piany. Złapałem za mokre ucho, uradowany, że los przydzielił mi mniej kwaskowatej goryczy, na którą nie miałem wcale ochoty. Łytwyn wierzchem dłoni pchnął kufel z powrotem w kierunku okienka:

— Mnie tam niespieszno.

W budce rozległo się złe warknięcie i znów zasapała pompka. Kiedy kufel ponownie wylądował na ladzie, grube szkło ginęło w puszystej chmielowej pianie, mieniącej się tęczowymi banieczkami.

— Znaczy się, w gazecie robisz? — Łytwyn ciągle jakby nie dostrzegał kufła.

— Ano.

— Może za jakiego naczelnika?

— Jak by to powiedzieć, tam u nas każdy jeden to naczelnik, sam sobą kieruje. Pracuję jako korespondent... — Z wolna opanowywało mnie wewnętrzne rozbawienie: słowo daję, jakos głupio było przyznać się Łytwynowi, że tak długo się kształciłem i mimo to nikim nie rządę.

— Aha, jako korespondent... — pokiwał głową Wasyl Sofronycz i popadł w zadumę.

Piana w kufle opadła. Do pełna brakowało dobre półtora palca.

— A przypuścmy, że wyślę coś do gazety, jakąś skargę albo

oświadczenie, to trafi do ciebie czy pójdzie przez instancje? — Łytwyn podsunął kufel do okienka i niewzruszenie oznajmił: — Przecież mówiłem, że mi się nie spieszy...

Kto jak kto, ale Wasyl Sofronycz nie daruje swego — pomyślałem, widząc, że zaraz zacznie się nudna gadka o redakcyjnych sprawach, od których chciałem uciec, odetchnąć. Nie trzeba się było witać.

— Najpierw przez instancje, a potem może trafić i do mnie.

— A jakby na kopercie stało: „Andrij Semenowycz Łytwyn — do rąk własnych”, to ty osobiście dostaniesz?

— Jakby tak stało, to osobiście.

— To dobrze — cmoknął wargami, sięgając wreszcie po napełniony po brzegi kufel i mrugnął porozumiewawczo w stronę wozu. — Mam z tobą do pogadania...

Staliśmy z kuflami w rękę, wsparci plecami o górę skrzyniek, tworząc dość malowniczą grupę. Przechodnie oglądali się za nami; taka mała neorealistyczna sielanka. Wasyl Sofronycz z wyraźnym upodobaniem ciągnął piwo małymi łyżkami. Pamiętam, nawet wódkę sączył po kropelce, jakby chcąc przedłużyć sobie przyjemność.

— Powiem ci, Andriju Semenyczu, otwarcie, z robotniczo-chłopską szczerością, jak swojakowi — zaczął z powagą. To było to najważniejsze, gwoli czego nie pozbył się mnie zaraz, jak tylko się spotkaliśmy. — Dusza we mnie do cna obolała. Znasz moje zasługi dla kołchozu, dla całej gromady, nie muszę opowiadać. Czy po to żeśmy się poświęcali, tyrali, sił nie żałując? Żeby teraz jakiś smarkacz, który niedawno jeszcze koszulę w zębach nosił, rujnował to, cośmy krwawicą naszą zdobyli? Zastanawiasz się, dlaczego poszedł przecz z kołchozu, dlaczego jak sierota tułam się po obcych stronach? Bo nie mogę patrzeć na ten cały bajzel. Ja wiem, Andriju, ja wierzę, że świat się w końcu opamięta, że jeszcze nasze będzie na wierzchu, ale naprawdę świętej cierpliwości trzeba, żeby spokojnie patrzeć, jak nasz ciężki trud idzie na marne. Pewnie ci pisali, że ten nicpoń Roman Kyryływ za przewodniczącego się u nas został. Myślałby kto — z dyplomem akademika sobie znaleźli. Toż dzisiaj gdzie splunąć, takich naukowców pełno. Jak gość faktycznie po szkołach, czemu w Kijowie nie siedzi ale w to nasze błoto, w to nasze, za przeproszeniem, bagno lezie? Kto uczoney, ten po chodnikach biega, szy-

kownymi bucikami stuka, jak nie przymierzając ty, Andriju Semenyczu. Z Kijowa tego naukowca wyrzucili, no to znalazł sobie ciepłutkie gniazdko. Nasze durnie gęby rozdziawiły, tylko patrzeć, jak zaczną się do niego modlić. A to autorytet dymany, za wszystko buli kochana ojczyzna: temu emeryturkę, tamtemu sianka, owemu mleczka, aby tylko cicho siedzieli...

Nie będę wam przytaczał wszystkich epitetów, których Łytwyn nie szczędził nowemu przewodniczącemu; szybko przestało mnie to bawić i przestępując z nogi na nogę czekałem, kiedy mój rozmówca nareszcie skończy swoje piwo. Było to zrzędenie człowieka, którego czas dawno minął, a może nigdy naprawdę się nie zaczął. Pewnie znów dałem się „zapaść”, dorabiając do tego aureolę tragedii: zawsze korciło mnie, żeby w byle paplaninie doszukiwać się jakichś głębszych treści.

— Opiszcie to wszystko i przyślijcie. Tak od razu trudno się rozeznąć, zresztą stercząc tutaj naprawdę świata nie odmienimy — wtrąciłem, korzystając z krótkiej pauzy w Łytwynowej oracji. Wasyl Sofronycz podejrzliwie łypnął na mnie mętym okiem, czy aby nie kpię sobie z niego. Doszedłszy widać do wniosku, że mówię serio, w milczeniu dopił piwo.

— A jakby jaki błąd się przytrafił, bom w gramatyce nie najmocniejszy, poprawisz?

— Nie ma sprawy.

— Aha... No to popraw, żeby się we wsi nie śmiali; tych uczonych teraz się namnożyło. Chyba i przez to życie takie ciężkie.

Wychlupnęliśmy pianę z kufli, obeszlśmy wóz dokoła, ale zza rogu ukazały się idące parami maluchy. Długi kolorowy wąż odciął nas od kiosku: przedszkolaki udawały się na przechadzkę. Jasne poranne słońeczko, delikatna zieleń topoli, tęczkowe kolory maszerującej kolumny, ufne dziecięce buzie — wszystko sprzyjało pogodzie ducha i dobremu nastrojowi. Zwróciłem się do Łytwyna; w takich chwilach nie wypada cieszyć się samemu, człowiek chciałby podzielić się z kimś radością życia.

— No i jak, Wasylu Sofronyczu?

Niby że ziemia się kręci, wszystko oddycha, rośnie, a my tu babrzemy się w przyziemnych sprawach. Ale mój cielecy zachwyty i radosny uśmiech wyglądały głupawo: nawet widok rozkosznych malców nie potrafił zapalić w Łytwynowych oczach ani jednej iskierki. Stał ponury i władczy jak żeliwny

posąg neandertalczyka z minionych epok: stopy w zakurzonych kirzowych butach jak wrosnięte w ziemię, plecy przygarbione, głowa pochylona, ciężkie, nieufne spojrzenie spod nawisłych brwi. Cóż, Wasyl Sofronycz niełatwo ulegał sentymentom. Przecież jednak od czasu do czasu potrafił się zachować zwyczajnie, po ludzku. Dzieci wychował, ojcem był dobrym, swoją Marię kochał; bywało, że i mnie — wrócił z wojska wcześniej niż mój ojciec i było to jeszcze, zanim został przewodniczącym kolchozu — nosił na rękach i podrzucił aż pod sufit; były to pierwsze męskie ręce, które zapamiętałem. Ale zawsze był wyższy ponad człowiecze smutki i radości, zawsze umiał ustawić się wyżej niż zwykli zjadacze chleba. Teraz także zatopiony w myślach, po prostu nie odczuwał podniecającego uroku kończącej się wiosny, a rozkosznych przedszkolaków po prostu nie zauważył. Wyczuwałem w nim jakiś tępy upór i nie zazdrościłem Romanowi Kuryłowyczowi: jeszcze niejedną kontrolę przyjdzie mu przetrzymać i niejeden idiotyczny protokół podpisać, aby ratować własną skórę.

Dzieciarnia podreptała w swoją stronę. Postawiliśmy kufle na ladzie. Wasyl Sofronycz odczekał chwilę i powoli sięgnął do kieszeni. Jak było do przewidzenia, kieszeń okazała się pusta. Sięgnął więc do drugiej, ale i tam nie znalazł, czego szukał. Wyglądało, iż może to trochę potrwać, jako że kieszeni było sporo, a nic nie przeszkadzało, aby potem od nowa zacząć całą lustrację.

Omali się nie roześmiałem. Był to tradycyjny chwyt dawnego towarzysza Łytwyna. Łytwzyn rządził wsią przez ładne dziesięć lat, obsuwając się coraz niżej po szczeblach kierowniczej drabiny: od przewodniczącego wiejskiej rady aż po wagowego, i przez cały czas, nie wiedząc czemu, był przekonany, że każdy, kto się nawinie, powinien mu coś postawić. Przepadał za oliwkami. Amator oliwek stał się we wsi synonimem człowieka, który — jak to mówią — spija wyłącznie śmietankę. Nawet samo słowo brzmiało jakoś tłusto, apetycznie: olej, oliwki, oliwa... Oczywiście, nie każdy stawiał, fundowali za to wszyscy, którzy mieli do towarzysza Łytwyna jakąś sprawę: jedni prosili o pług czy furmankę, inni o przydział słomy lub o samochód, żeby przywieść drewno; stawiali także ci, którzy chcieli upiec swoją pieczeń przy państwowym ognisku. Stąd popularne powiedzonko, którym we wsi

określano wszystkich, którzy zadzierali nosa: „Oliwek chciał być kosztować, co?”

— Nie fatygujcie się, Wasylu Sofronyczu, ja zapłacę — powiedziałem wiedząc, że nawet we własnym ubraniu można nie znaleźć właściwej kieszeni, jeśli się tego bardzo chce. Położyłem drobne na ladzie i wróciliśmy do wyładowanej skrzynkami platformy. W palcach Łytwana pojawił się cieniutki skręt. Wyciągnąłem pudełko Diubeków, w które zaopatryłem się na wszelki wypadek. Prawie nie paliłem, ale jak to miło, przysiadłszy się do gromadki sąsiadów, wyciągnąć dobre papierosy, poczęstować wszystkich i samemu puścić eleganckiego dyma. Delikatnie, dwoma palcami Wasyl Sofronycz sięgnął do pudełka, ale stanowczo odmówił wzięcia na zapas, choć nikt na jego miejscu nie przepuściłby okazji, aby w nędznym magazynie pochwalić się kijowskim tytoniem. Takie przebliski godności zawsze mi u niego imponowały. Odtajałem trochę.

— Póki widno, dogadasz się z taksówkarzem za trojaka — powiedział ni stąd, ni zowąd, sadowiac się na stosie skrzynek. — Ale pewnikiem będziesz chciał jechać pod wieczór, kiedy ludzie wracają z pola?

Schowałem Diubeki do kieszeni i zrobiłem jakiś sztuczny grymas, który od biedy mógł uchodzić za uśmiech:

— Skąd wiecie, że chcę wziąć taksówkę?

Łytwyn ujął lejce.

— Wszyscy z Kijowa taryfą przyjeżdżają. Jakbym był taki szkolony, też bym jeździł błękitną karetą, a nie tym głównianym wozem... Tylko się nie wygadaj, żeś mnie spotkał. Na chorobie jestem, a tutaj tylko tak robię, za bratańca.

— Do widzenia, Wasylu Sofronyczu.

— Bądź zdrow — obojętnie odpowiedział z wyżyn swojego tronu, trzasnął lejcami i pyknął dymem z bezbarwnych warg, w których tkwił długi papieros z wyzywającym połocistym napisem. Koła wozu zaszumiały po asfalcie.

— Zupełnie jakbym widział siebie za młodu! Też był ze mnie taki prostaczek, co to w pociągu bał się usiąść, bo wagonem kołysało — z emfazą wykrzykiwał dziennikarz. — A jak pierwszy raz znalazłem się w Kijowie, wszystkim przechodniom mówiłem dzień dobry. Z tobą też tak było? Przyznaj się, z ręką na sercu.

— Zdarzało się... — gorączkowo usiłowałem wepchnąć teczki nie napoczęty obiad.

— Zdarzało się! Dobre sobie! A mówią, że nic na świecie się nie powtarza! Kiedy ruszałem na podbój Kijowa, miałem taki sam bawełniany garniturek i identyczne tenisówki. Przystałem sobie, że za pierwszą pensję kupię kilo, nie, dziekiło kilo pomarańczowych wafli. Było, przeszło... Ale do rzeczy! Dobrze, że cię znalazłem. Dawaj no swój wiersz, to napravę piękny utwór: „Witajcie nam pola i niwy, witaj nam nieczna ziemio!” Zaiste wzruszająca jest ta ludowa prostota i głębia myśli. Wydrukuję to w mojej gazecie, pół miliona nakładu. Naród zrozumie i należycie oceni twoje dzieło.

Drżącymi palcami wyjąłem pomięte karteluszki.

— Słyszysz, jak pszczoły brzęczą? A dokoła ten obrzydliwy śmierdzący asfalt! — W oczach Stepowego zamigotały nagle dzieńcze iskierki. — Pół szerokich mi trzeba. Ożywczego tknięcia czarnej ziemi! — Zerknął na zegarek. — No co, sędziemy? Pociąg jest za godzinę. Zabrać bambetle z hotelu kwestia dziesięciu minut. Jedziemy! Zaraz znajdziemy kąś dryndę!

Pobiegł ulicą. Ja za nim. Wszystko toczyło się jak w zaciętym rowanym śnie.

Mieliśmy szczęście: szybko złapaliśmy wolną taksówkę. Stepowy szarpnął drzwiczki, wepchnął mnie do środka, usiadł obok i rozparł się wygodnie:

— Na pola szerokie!

— Dokąd? — obejrzał się zdumiony kierowca.

— Na pola szerokie! Pić nam się chce. Trzeba nam ożywej rosy łąnów zielonych!

Kierowca wzruszył ramionami. Auto poderwało się, Mnieły szare gmachy przy centralnych ulicach, zaczerwieniły dachy przedmieść, wyskoczyliśmy na otwartą przestrzeń, przelecieliśmy jeszcze z kilometr szosą i zakręciliśmy w pole. Jeszcze chwila i znaleźliśmy się wśród łąnów młodego żyta.

— Proszę na nas zaczekać.

Ledwie kierowca zdążył zahamować, Stepowy wyskoczył z auta. Wysoki, smukły, szedł lekko przez pole, oddychał pełną piersią.

— Otóż i ona, kolebka moja! Witaj, ziemio rodzinna! Czy jeszcze ten boski aromat? Słyszysz tę baśniową ciszę? Ech, jeszcze nie wiesz, ile to warte. Człowiek nigdy nie ceni te

co ma. W tym cała bieda. Poczekaj, pożyczysz trochę w tej asfaltowo-granitowej klatce. Dopiero zaczniesz smakować tę wonną przejrzystość: małymi łyżkami jak stary francuski koniak...

Pamiętam, zebrałem się wtedy na odwagę i otwarłem przed nim duszę. Niezwykły człowiek! Przy okazji chciałem mu sprawić przyjemność: niech wie, że jego płomienne słowa padły na dobrą glebę i ziarno już kiełkuje.

— Towarzyszu Stepowy! Wysłuchawszy waszego wystąpienia nieodwołalnie postanowiłem: zostaję na wsi, będę pracował na ojczystej ziemi — powiedziałem głośno, naśladując mimo woli jego styl i intonację. Podbił mnie bez reszty. — Zostanę brygadzystą albo pasiecznikiem. Oczywiście, będę się kształcił zaocznie — dodałem rozsądnie. — Rolnikowi wiedza tak samo potrzebna jak kosmonaucie.

Stepowy nieoczekiwanie stanął w pół kroku i założywszy ręce na piersiach, zmierzył mnie od stóp do głów pełnym wyrzutem spojrzeniem:

— Młody człowieku! A propos, mów mi po prostu — Mykoła. Ty masz talent. „Witajcie nam pola i niwy, witaj nam słoneczna ziemi!” Tego się nie zapomina. Taki kruszec, organiczny stop publicysty i liryka, to rzadka rzecz. Musisz jechać do Kijowa uczyć się, uczyć i słuchać, co mówią mądrzy ludzie. A co ty myślisz? Ja też bym wolał żyć tutaj, na zielonej równinie; patrzeć, jak wschodzi słońce, słuchać szeptu zbóż, a wieczorem z glinianego kubeczka popijać świeże, pieniste mleko. Potem, otoczony wianuszkami dziewcząt, usiadłbym sobie przed domem, spojrział w niebo i każdej gwiazdeczce podarowałbym cudowną, ludową pieśń. To marzenie trzyma mnie przy życiu. Ale dano nam talent i ludzie nie wybaczyliby nam, gdybyśmy zakopali go w ziemi. Nie wybaczyliby! Nie waz się nawet myśleć o pozostaniu na wsi; musisz się kształcić, powinienes iść na dziennikarstwo.

— Właśnie się tam wybieram — powiedziałem nieśmiało, czując, jak kamień spada mi z serca i świat się robi jaśniejszy. Jakby nie było, o studiach marzyłem już od lat, a pomyśl, żeby zostać w rodzinnym kołchozie przyszedł mi dopiero przed chwilą i jeszcze nie zdążyłem się z nim oswoić. — A bo to przyjmą?

— Spokojna głowa — odpowiedział Stepowy, brodząc w sięgającym mu po kolana życie. — Kogo mają przyjmować jak nie nas, chłopskich synów... Oho-ho! Słyszysz, jak pola

mówią: prosimy pięknie, Mykoło! Twój dziadowie i pradziadowie byli czumakami. Żyliśmy w zgodzie i przyjaźni, a w tobie duch jakiś niespokojny, ganiasz gdzieś po świecie, miast na skrzypiącym wozie jechać powoli miedzą, ssąc wygasłą fajeczkę. Ale my wiemy, że twoje serce zawsze z nami... Słuchaj, gdzie masz to pachnące sadelko? Zaraz urządzimy sobie wspaniały wiejski podwieczorek. Hej, obywatelu kierowco — zamachał ręką. — Podjedźcie no tu, ale gazem. Trzeba to koniecznie uwiecznić. Mykoła Stepowy i Andrij Łytwyn wśród wiosennych pól, pierwsze spotkanie. Historyczna chwila!

Wyciągnął z kieszeni mikroskopijny aparat, czytałem o takich w gazecie, ale na własne oczy widziałem takie coś po raz pierwszy. Staliśmy na środku drogi („na tle popielatej drogi” — jak to określił Stepowy), a taksówkarz pstrykał, powtarzając na wszelki wypadek każde ujęcie. Potem wleźliśmy dobre dziesięć kroków w żyto („na wolnej przestrzeni, żeby czuć było oddech przyrody” — komentował Stepowy) i sfotografowaliśmy się jeszcze raz. Potem jeszcze przy podwieczorku: w niedbałych pozach siedzimy w rzepaku i lebiodzie, między nami teczka, na teczce chleb z sadłem. Resztę dojadaliśmy w taksówce, był już najwyższy czas jechać na dworzec.

Pociąg ruszył, biegłem po peronie. Stepowy, stojąc na stopniach wagonu, wykrzykiwał z zapalem:

— Przyjeżdżaj na egzaminy! Koniecznie! Na dziennikarstwo! Talent to zdobycz ludu! I wstąp do mnie do redakcji.

Pociąg przyspieszał biegu, zostawałem w tyle. Z oddali dobiegło mnie jeszcze:

— Tylko niech matka nie zamyka pokrywy chlebowego pieca! Na dobrą wróżbę. Nasz lud to mędrzec.

Tak skończył się ten szczęśliwy sen.

W naszym spółdzielczym sklepiku, bywało, często nawet soli nie uświadczysz, ale zabawek nam nie skąpiono. Było ich zatrzęsienie, przeróżnych. Może dlatego, że w tamtych latach chłop na wsi nie rozpieszczali dzieci zabawkami. Bawiliśmy się obręczami, łądogami słoneczników, szabłami własnej roboty, osmalonymi piłkami z podgrzanych nad ogniem samochodowych opon. Żyliśmy we własnym świecie: były tam konie z kolchozowej brygady, indywidualne i spółdzielcze



cielęta, szczaw, ocalona z kurzych pazurów kapusta, uratowane przed naszym łakomstwem sady; ów świat był czasem ciekawy, aż się w głowie kręciło, kiedy indziej — obrzydliwy, aż się na płacz zbierało, ale, i to było chyba najważniejsze, mieliśmy poczucie, że to wszystko jest jakieś przemijające, skazane na zagładę. Za szybą wiejskiego sklepiku był inny świat. Obcy, na razie jeszcze niedosiężny, ale jakże kuszący, własnoręcznie skonstruowany przez znudzonego sprzedawcę. Do dziś pamiętam każdy szczegół tej witryny, godzinami potrafiłem sterczeć przed nią jak zaczarowany. Po błękitnym satynowym morzu sunęły ślizgacze i białe statki, na brzegu stali marynarze z gutaperki, w okrągłych granatowych czapkach i pasiastych koszulkach, z tekturowych lotnisk podrywały się do lotu srebrzyste aeroplany, po stalowych nitkach szyn mknęły zielone parowozy, długoszyje żurawie intrygowały tajemniczymi kabinami z miki. Wśród tego bogactwa przemykały samochody osobowe i ciężarówki, tańczyły kolorowe kłowny, na krach wylegiwały się białe niedźwiedzie, urodziwe pary popisywały się piruetami na lśniących łyżwach; przy samej ścianie, jakby czekając na kogoś, stały po miejsku ubrane, niezmiernie piękne lalki z różowymi kokardami w lnianych lokach.

Nie pamiętam kiedy, ale chyba dość dawno, w jakiejś witrynie — jeszcze dzisiaj nie mogę przejść obojętnie obok sklepu z zabawkami — zauważyłem gniadego konika. W zielonej dwukółce siedział chłopczyk w czerwonej koszulinie i zawadiackim kaszkieciku, trzymając w śniadych rękach jedwabne lejce. Przyniosłem zabawkę do swojego supernowoczesnego mieszkania, postawiłem na supernowoczesnym telewizorze, usiadłem w fotelu i wypaliłem kilka papierosów, wspominając odległe czasy. W głowie kłębiły się sentymentalne myśli. Rychło w czas. Było, minęło...

— To konik? — zapytał synek dotykając paluszkami plastikowej grzywy. — Konik był w zoo. Jechałem z mamusią sankami, a konik lubił dzyń-dzyń...

— To inny konik — powiedziałem. — To konik-robotnik.

— A taki kamienny konik stał na pomniku...

— Ten nie ma pomnika i mała szansa, że mu go postawią.

— A czemu ten wujcio tak hecny jak w kinie? — zapytał syn, pokazując na chłopczyka.

— Chciałbyś pojechać na wieś do babuńci i dziadziusia?

— Chciałbym...

— Po co te gadki? — odezwała się z sąsiedniego pokoju żona. — Tylko denerwujesz dziecko. Wiesz, że nie możemy zostawić małego pod opieką dwojga staruszków.

— Tylko dlatego, że nie mają łazienki?

— A chociażby. Oczywiście, powiesz, że jestem drobno-mieszczanką. On postępowy, ale on zacofany, wciąga biedaka w mieszczańskie bagienko i tak dalej, jak w tych twoich felietonach... To, że z ciebie Poleszuk, co w bloku wyrósł, to jeszcze nie dowód, że twój syn też może oglądać wannę tylko raz na rok w „czysty czwartek”.

Cios był celny. Sam opowiadałem jej kiedyś o „czystym czwartku”. W taki czwartek przed Wielkanocą Poleszucy zmywali z siebie grzechy z całego roku. Jasne, czasem lubiłem trochę podkoloryzować, ale nie da się ukryć, że w pobliżu naszej wsi nie uświadczysz nawet najmniejszego źródła, jeśli nie liczyć mętnej wody wypełniającej na wiosnę dziury po wybranych torfie. Co racja, to racja, nie ma sensu się sprzeczać. Chciałbym tylko wyjaśnić dziecku, że mój ojciec, a jego dziad, mój dziad, a jego pradziad, nasze prapradziady i dziesiątki pokoleń Łytwynów, wszyscy pra-Łytwynowie orali ubogą poleską ziemię, użyźniali ją swoim potem i krwią, a my siedzimy sobie na piątym piętrze wieżowca, w miękkich fotelach, w nowoczesnym mieszkaniu, któremu brak chyba tylko klimatyzacji, a ulicami płyną rzeki samochodów i ludzi. Nie wiem, czy to dobrze, jednak coś kazało mi się nad tym zastanowić i opowiedzieć o tym synowi. Ale mały już bawił się w kosmonautę. Wydymał wargi i wołał do zaciśniętej piastki: „Halo, tu Wenus, tu Wenus, słyszycie mnie?” — zupełnie jak w telewizji. Więc dałem spokój.

Jeszcze przez jakiś czas gniady konik klusował na telewizorze. Przychodzili goście, dziwili się. „Łytwynowe dzieciństwo” — mówiłem, a oni uśmiechali się rozmarzeni; prawie wszyscy urodzili się na wsi. Potem znudziło mi się to i schowałem zabawkę do szuflady.

Świat się zmienia i my się zmieniamy.

Łudzimy się, że nasze błędy to już ostatnie pomyłki ludzkości i ci, co przyjdą po nas, na pewno już ich nie powtórzą. Może dlatego tak niecierpliwie czekam, kiedy mój syn podrośnie na tyle, że potrafi mnie zrozumieć.

Na początek opowiem mu o zdarzeniu, którego wspomnienie będzie mnie paliło do śmierci. Właściwie nic strasznego się nie stało. Byłem po prostu bardzo młody i głupi.

Chyba na drugim roku studiów odbywałem zimową praktykę w mieście leżącym ze trzydzieści kilometrów od naszej wsi. Redakcja rejonowej gazety mieściła się w gmachu innej, jeszcze szacowniejszej instytucji, tak że po miesiącu miałem już sporo niezłych kontaktów, czym chwaliłem się w listach do rodziców. Większość tych prominentów wiedziała, że jestem ze wsi. Nie bez pewnej dumy przyznawałem się bowiem do swojego pochodzenia. Zarówno we własnych oczach, jak i w opinii znajomych w jakimś sensie podnosiło to wartość onegdajszego wsiaka, obecnie — studenta wydziału dziennikarskiego. Ale gdy pewnego dnia do gabinetu weszła sekretarka mówiąc, że w hallu oczekuje towarzysza Łytwyna ktoś z rodziny, poczułem się, jakby mi wrzucono za kołnierz garść śniegu. Sfrunąłem po marmurowych schodach na dół i pośród wspaniałych foteli w śnieżnobiałych pokrowcach ujrzałem swoją starszą siostrę. Katarzyna stała okutana w kozuch, na który jeszcze narzuciła ciepłą chustkę. Sztynna barania skóra wyglądała jak abażur, spod którego wystawały podszyte czerwoną gumą walonki. Zza niskiej, drewnianej balustrady ciekawie zerkaly szatniarki, z którymi każdego ranka witałem się grzecznie, rzucając niedbale na barierkę swoje węgierskie palto i modny kapelusz. Moja twarz wyrażała chyba wszystko, co wtedy czułem, gdyż ledwie się przywitawszy, Katarzyna zaczęła się usprawiedliwiać:

— Świniaka zaszlachtowaliśmy, a tu jak raz odwilż, kaszanka długo nie poleży, no i zanim cię odszukałam...

— Pisałem przecież, że do mnie do pracy przychodzić nie można, sam bym przyjechał, ale akurat narada, ledwie mnie zwolnili, chodźmy stąd, tutaj nie zatrudnionym wstęp wzbroniony — mówiłem pospiesznie, usiłując nie patrzeć na drzwi, których każdy obrót wyrzucał do hallu znanych mi i nie znanych pracowników szacownej rejonowej instytucji.

— Rozpakujże, sadła przywiozłam, kiełbasy i kaszanki, kasza jak raz nie najlepsza się trafiła...

Jak stałem, bez płaszcza i kapelusza pobiegłem do wyjścia; siostra taszczyła za mną kosz nakryty lnianym ręcznikiem w czerwone kogutki. Pospiesznie przeszliśmy na drugą stronę ulicy i skierowaliśmy się w głąb skwerku. Wybrałem ławkę schowaną w gąszczu jodeł i świerków, byle dalej od uczęszczanych alejek.

— No, mów, co tam u was nowego. Ciągle nie mogę się wybrać...

— Prosiaka właśnie zakłukliśmy — zaczęła znowu siostra i umilkła. Moja napastliwa tyrada w hallu sprawiła, że rozmowa jakoś się nie kleiła.

— Zrozum, nie mogę wziąć tego wszystkiego razem z koszem i tak po prostu zanieść do gabinetu. Już widzę miny moich szefów! Jeszcze żebym tu pracował, ale to przecież praktyka.

— Idź już, bo całkiem skostniejesz — powiedziała Katarzyna, której zrobiło się chyba głupio za mnie. — Wyskoczył jak stał. Przeziębienie się łatwo. Wszystko zawinęłam w parciankę, weź tak, jak jest.

Wyobraziłem sobie, jak defiluję koło szatni, dźwigając spory pakun; niech przypadkiem napatoczy się ktoś znajomy — trzeba się będzie tłumaczyć...

— Nie rozumiesz, że nie mogę wpruć do redakcji z sadłem w garści?!

— Ale kaszanka nie może długo leżeć; to co, mam zabrać wszystko z powrotem? — spytała żałośnie Katarzyna. Po raz pierwszy poczułem, jak serce mi się ściska w poczuciu winy.

— No dobrze, wezmę coś niecoś, może szefowie nie zauważą — zgodziłem się niechętnie, jakbym robił jej łaskę. — Pozdrów wszystkich ode mnie. Jeśli mnie nie wyślą na delegację, postaram się przyjechać w sobotę. Muszę lecieć, wybacz, ale mam ważną naradę u naczelnego...

Katarzyna wzięła koszyk i ciężkim krokiem powlokła się świerkową alejką. Długo patrzyłem za nią; przez chwilę zapragnąłem, aby ten dzień mógł się zacząć jeszcze raz od nowa; wtedy wszystko potoczyłoby się inaczej. Niestety, byłem zbyt zielony i zbyt zadufany, żeby móc odczuć całą ohydę swojego postępowania.

Wstąpiłem do kiosku, zawinałem gościniec w gazetę i obwiązałem sznurkiem, żeby wszystko wyglądało jak paczka książek.

— To wasza siostra? — zainteresowała się szatniarka. — Ładna kobieta. Jesteście do siebie bardzo podobni.

— Tak? — uśmiechnąłem się.

— Gdzieś podział siostrzyczkę? — pytali koledzy, zażerając się kaszanką. — Zaprosilibyśmy ją na jednego. Babki ze wsi lubią sobie strzelić coś mocniejszego na rozgrzewkę.

— Bardzo się spieszyła — odpowiedziałem, patrząc obojętnie w okno. — Naprawdę, nie miała czasu. Bała się, żeby jej autobus nie uciekł.

Przez długie lata Katarzyna nawet nie wspomniała o tym spotkaniu. Czasami myślałem już, że nic nie zauważyła, choć mnie samego prześladowało wspomnienie wspaniałego hallu i jej zmieszanego, pełnego winy wzroku. Ale jedno zdarzenie, pewnie gest Katarzyny przekonały mnie, że to milczenie było wynikiem jej wrodzonego taktu; nie chciała burzyć mojego spokoju i ranić dumy.

W zeszłym roku pod koniec zimy odbierałem ją ze szpitala w Kijowie. Błada, w wymiętym żakiecie, wyszła na gwarny bulwar Szewczenki, zatoczyła się i cofnęła w głąb szarego, pustego dziedzińca.

— Nie można by tędy? — wskazała na Ogród Botaniczny.

— Oczywiście — odrzekłem. — Ciągnie cię do zieleni? Dojdziemy do placu Zwycięstwa, a potem pojedziemy tramwajem.

Szliśmy asfaltową alejką. Rozszczebiotany, szykujący się na nadejście wiosny ogród pachniał młodym chmielowym piwem, ale Katarzyna ciągle zostawała z tyłu, zachwycając się kasztanowymi pąkami, jakoś te zachwyty zawsze wypadały wtedy, gdy alejką ktoś przechodził...

Tego dnia oprowadziłem ją trochę po mieście, przewiozłem metrem, pokazałem sobór Sofijski, Pałac Sportu i redakcję mojej gazety; o zmierzchu wjechaliśmy na ostatnie piętro hotelu „Moskwa”. W dole pulsowały rytmicznie ogniste fale świateł, miasto odpoczywało po znojnym dniu. Przystaliśmy chwilę na tarasie.

— To moja ulica — objaśniałem — o, tam, za tym szeregiem białych świateł. Widzisz tę ciemną plamę? Wygląda jak jezioro. To stadion. A tam moja redakcja, na lewo ulica, którą jeżdżę do pracy...

— Bardzo to ładne — powiedziała Katarzyna. — Ale czy nie mogłabym wracać jeszcze dziś, nocnym pociągiem?

Nie wiem, czy syn pojmie coś z tej mojej spowiedzi. Będzie słuchał z uprzejmym zainteresowaniem; czego jak czego, ale oglądy mu nie zabraknie; oboje z żoną poświęciliśmy na to sporo czasu. Być może nie potrafię się powstrzymać; zacznę mu robić wyrzuty, że dotychczas nie wie, jak pachnie świeżo zorana ziemia, a przecież jego dziadowie i pradziadowie (o ojcu taktownie nie wspomnę) rodzili się i umierali, wdychając tę świętą woń. Mały prawdopodobnie odpowie, iż skoro całe życie piszę do gazet, trudno się dziwić, że na stare lata, zamiast mówić jak człowiek, zaczynam się „wysławiać”.

A może nie mniej górnolotnie odpowie, że za to on zna zapach dalekich planet, a w ogóle to z taty konserwatysta, facet, który wlecze się w ogonie, nawet spodnie ma jeszcze ciągle wążutkie, choć teraz już wszyscy noszą szerokie.

Nie wiem, co na to odpowiem i co jeszcze od niego usłyszę. Wcale nie jestem pewny, że moje pretensje są słuszne ani, że mam do nich prawo, ale z własnego doświadczenia wiem na pewno, że woń zakurzonych papierzyk nigdy nie zastąpi człowiekowi znanego od wieków zapachu zoranej ziemi. Nie mam zamiaru idealizować wsi, nawet rodzinnej, zwłaszcza tych wszystkich pocztówkowych „chatek w sadach” i „bobianów na strzechach”. Ale jestem przekonany, że istnieje coś takiego jak tradycja, ścisła więź, łącząca dusze moich pradziadów, dziadów i mojego ojca, wszystkich tych pra-Łytwynów, w jeden mocno zadzierzgnięty węzeł. Wszyscy oni rodzili się i umierali wiedząc, że stoi za nimi wiekowa tradycja rodu, którą winni przekazać następnym pokoleniom. Byłem pierwszym, który tę nić zerwał; z twardego pokładu skoczyłem prosto w rozfalowany ludzki żywioł. Nawet nie przeczuwałem, ile charakteru i jaką siłę ducha musi się mieć, aby nie ulec pokusie wylądowania na zacisznej, słonecznej wyspie, aby wypłynąć na bezkresny ocean w pogoni za okrętem, który ciągle odplywa coraz dalej i dalej...

Snując te rozważania przemierzałem zaaferowane miasto. Nagle otrzeźwiła mnie myśl, że ta cała sentymentalna filozofia jest tylko próbą odpowiedzi na przypadkową (a może i nie całkiem przypadkową — może on mądrzejszy niż mi się zdaje?) wypowiedź Łytwyna na temat taksówki. Oczywiście, łatwo udrapować się w togę i osądzać kogoś: patrzcie, jaki on zły, a ja dobry... A w pewnej chwili okazuje się, że obaj mamy ze sobą coś wspólnego. I jeśli koniecznie trzeba ocenić Wasyla Sofronycza, trzeba także osądzić siebie. A to już nie takie proste. Odechciało mi się rozmyślać o Łytwynie. Przeszła mi także ochota na taksówkę; pomysł uroczystego wjazdu do wsi zdał mi się zupełnie kretyński. Faktycznie, złapać jakieś auto będzie można chyba dopiero po obiedzie. Nie było sensu iść aż do placu, gdzie stały taksówki. Skręciłem w wąską uliczkę prowadzącą w dół, ku rzece. Miałem nadmiar czasu i trzeba było coś wymyślić.

Po przyjeździe do Kijowa wstydziłem się od razu iść do Stepowego: w tym wielkim mieście on był gospodarzem, a ja na razie czułem się jak marna mucha; szkoda marzyć o owej wspólnocie, niemal równości, która wytworzyła się między nami w czasie wypadu na wieś. Chciałem najpierw trochę się oswoić, ucywilizować i dopiero potem złożyć Stepowemu wizytę. Z czasem owo wspomnienie nieco przybladło; cóż — nowi ludzie, nowe wrażenia. Już nie pikało mnie w sercu, gdy przeglądając gazety napotykałem znajome nazwisko.

Minęły trzy lata. Byłem na czwartym roku studiów i właśnie niosłem do redakcji zamówiony materiał. Na korytarzu dostrzegłem idącego naprzeciw Mykołę. Odniosłem wrażenie, że nic się nie zmienił. Zdziwiłem się: dla mnie te trzy lata to była cała wieczność. Ta sama płowa czupryna ze złotawym połyskiem, ta sama wyszywana koszula, ten sam młodzieńczy błysk w oku i przyjazny uśmiech.

— O-o-o! Kogo widzę! Ale kozak! Czyżby to był nasz chłopaczek-Poleszuczek? Oto, co potrafi zrobić czas i cywilizacja! I ostrzyżony modnie, i spodzeń wążutki, no, to już mogłeś sobie darować. Oddalasz się od ludu. Wiesz ty, jakie podgolone czuby i szerokie szarawary nosili nasi kozacy? Choć Chreszczatyk zamiataj. Ale nie wierzę, żeby miał się z ciebie zrobić kijowski bikiniarz. Zdrowa poleska krew weźmie górę...

Stepowy spieszyl się, na dole czekał samochód, prosił tylko, żebym wpadł do niego w najbliższą niedzielę.

W niedzielę coś mi wypadło i znów z odwiedzin wyszły nici. Minęły jeszcze dwa lata. Zostałem jego kolegą po fachu, nawet pracowaliśmy w tym samym budynku, tyle, że ja piętro wyżej. Ale czas uciekał — znacie to dzisiejsze tempo życia w mieście — i ciągle nie było okazji, żeby się spotkać. Któregoś dnia Stepowy zadzwonił do mnie do domu:

— Andriju, może wpadłbyś na jednego. Mam prawdziwą gorzałkę.

Wódka mnie nie nęciła, ale pomyślałem, że dobrze byłoby spotkać się, tu i teraz, z kimś, kto znał mnie w innym wcieleniu: nie tkniętego cywilizacją prostaczka. Korciło mnie także, żeby obejrzeć zdjęcia, które wtedy robiliśmy. Fotografia w komsomolskiej legitymacji była moją jedyną pamiątką z tamtej epoki. Aparat fotograficzny był wtedy na wsi czymś zupełnie niezwykłym. Czasem na odpust albo na Wielkanoc przyjeżdżał z miasta fotograf-kuternoga i pstrykał, a po

dwóch tygodniach przywoził zdjęcia. Niestety, ceny były tak nieprzyzwoite, że szkoda było nawet marzyć, aby wydebić od ojca taką sumę. Zresztą nie bardzo mi na tym zależało. Czy mogło mi w ogóle przyjść do głowy, że za pięć, dziesięć lat nie będę mógł uwierzyć, że taki bosonogi Łytwyn istniał kiedyś naprawdę?

— Czytałeś, Andrijku? — Stepowy chwycił leżący na sterzie gazet najnowszy numer „Literaturnej” z wierszami jakiegoś młodego poety. — Okropność! Już od rana kłuje mnie w sercu. Cyniczna kpina ze wszystkiego, czym dotychczas żyliśmy. Ludzie nie pojmą i wypną się na te ronda i riturnele. Potępiają nas, inteligentów. Żona dziś trochę niedobrze się czuła, więc sam poszedłem na targ, doprawdy, wstyd ludziom w oczy spojrzeć. Pracują, pszenicznym chlebem nas karmią, a my, proszę bardzo — oto nasze riturnele, poczytajcie sobie. W jakim bagnie grzęzniemy, Andrijku!

Rozumiem Stepowego. Nie mam nic przeciwko młodej poezji, sądzę jednak, że trzeba zachować umiar. Czasem sam nie mogę dojść w tym wszystkim ładu i składu, choć mam za sobą pięć lat studiów; cóż dopiero mówić o prostych ludziach. Mnie także zdarzało się pisać wiersze, występować publicznie w zakładach pracy, i swoje wiem: rąbniesz coś po prostu, soczyście i dowcipnie — trafia do serca. Ale te górne i chmurne problemy, w dodatku, tak udziwnione; dla kogo to ma być? To właśnie powiedziałem Mykole. Oczywiście, dziś można mi wytknąć sporo grzechów; młoda poezja, jak pisała niedawno nasza gazeta, podbiła czytelników. Z drugiej strony nie mogłem przecież występować przeciwko człowiekowi, który moje własne utwory, o jakich sam już zdążyłem zapomnieć, deklamuje z pamięci jak pacierz?

— Szkoda, że przestałeś zajmować się poezją. Chyba ze trzy lata temu natknąłem się w jakimś czasopiśmie na dwa twoje wierszyki. Piękne! Posłuchaj dotąd pamiętam:

*Hej, pod twoim okienkiem  
Mięty zapachniały  
Hej, pod twoim okienkiem  
Słowiki kłaskały.*

*Hej, wysoko się niesie  
Twoja biała chata,  
Hej, w niebo niebieściutkie  
Pachnąca ulata.*



Prosto i mądrze. Właśnie takie coś dziewczyny będą śpiewać wieczorami, siedząc przed chatą.

Wypiliśmy po koniaku, zagryźli cytryną z cukrem, a potem Stepowy skoczył do kuchni.

— Kuban od dożarek z Czerkaszczyzny — powiedział pokazując flaszkę zatkaną kawałkiem kukurydzianego kaczana. — „Żebyście zawsze dobrze o nas pisali i nie za szybko przystali do inteligentów”. Nie mogłem odmówić. Zresztą, jak chcesz wiedzieć, to nawet nie chciałem. To także pewnego rodzaju kontakt z ludem. Śmieję się, śmieję. Coś w tym jest, po sobie widzę. W tych naszych wieżowcach zapominamy, jak żyje prosty naród. No i mamy rezultat: riturnele.

Samogon rzeczywiście był przedni. Bardzo miło wspominać tę pierwszą wizytę u Stepowego. Długo siedzieliśmy w przytulnym gabinecie, delektując się darem czerkaskiej ziemi i wspominaliśmy rodzinne strony.

— Pracuję w sekretariacie redakcji, rzadko mam do czynienia z ludźmi, ciągle papiery i papiery, czasem tylko uda się na bazar wyskoczyć — skarżyłem się.

— Oj, to niewiele — oczy Stepowego zrobiły się smutne. — Ja, nie powiem, sporo jeżdżę, ale zawsze z towarzyszami z kierownictwa i samochodem. Na polu ledwie nogi zdążysz rozprostować, podejść do kogoś, zamienić słówko. Dla duszy to jak dla psa mucha: głodna. Musimy kiedyś urządzić wypad na ryby. Wiem o takich karpikach, że choć ręką brać. I miejsce — aż się serce raduje. Szuwary, łódki, wierzby, cisza, czasem tylko w czarnej toni ryba pluśnie. Aż w głowie się kręci...

— Wiosną na łąkach stoi woda — wpadłem Stepowemu w słowo. — Po płycznach brodzą bociany, na żaby polują. Człowiek spodnie podkasze, człapie wśród żółciuchnych kaczalców, rozgarnia lilie. A za nim bocian... Woda srebrzy się, migoce. Matka woła z obejścia: „Andrijku, a trawy królom narwałeś?” Biegniesz nagrzaną ścieżką, tylko mokre nogawki majtają. W sadzie porykuje krowa...

— A za tobą szczeniak! — dorzucił Stepowy i podniecony zaczął spacerować po dywanie. — Szum, harmider, zamęt. Na progu dziad stareńki siedzi, broda u niego długa, biała, i tak mądrze spogląda na cały ten wiosenny rwetes, jakby już z tamtego świata patrzył. Pamiętasz...

Na pożegnanie długo ściskaliśmy sobie ręce. W końcu nie mogliśmy się powstrzymać i rzuciliśmy się sobie w objęcia. Wyszedszy na ulicę obejrzałem się. W oknie szóstego piętra widać było nieruchomą sylwetkę Mykoły. Pokiwałem mu ręką i jeszcze raz serdecznie, ciepło się uśmiechnąłem.

Sentymentalizm? Oczywiście. Ale coś w tym jest, jak ma-  
wia Stępowy.

A propos: małe retoryczne pytanie. Wobec kogo człowiek jest większym hipokrytą? Wobec bliźnich czy wobec siebie samego?

Od dawna nie mogę obojętnie patrzeć na wodę. Sprawilo to prawdopodobnie moje wybitnie „ładowe” dzieciństwo. Miałem chyba czternaście lat, kiedy pierwszy raz zobaczyłem prawdziwą rzekę, a dwadzieścia jeden — gdy popłynąłem statkiem. Za to od tej pory nie omijam żadnej okazji, aby kółka czy skrzydła zamienić na melancholijny plusk wody za burtą. Porty, do których zawijają statki, mają w sobie coś wzruszającego.

Minąłem zieloną przystań z wieżą, na której kręciła się chorągiewka; na świeżo obsianym trawą i już łysiejącym skwerku drzemał jakiś kapitan, położywszy na kolanach czapkę ze srebrzystą kokardą. Znalazłem się w królestwie łódek, kutrów, barek, które kołysały się na opalizującej fali, muskającej brzeg zatłuszczonymi wargami. W oleistej wodzie, przy zardzewiałych burtach kutrów migały czerwone splawiki: bose chłopaki i dziadkowie emeryci czyhali na naiwne ryby. Z wysokiego pomostu dla ratowników spoglądał smagły, jakby wypucowany brązową pastą, człowiek z przewieszoną przez pierś lornetką. Wyraźnie się nudził, może nawet miał za złe, że jakoś nikt nie ma ochoty się topić. Widząc jego znudzone spojrzenie, poczułem się jakby trochę winny. Od drewnianego molo odbił niewielki kuter, wykreślił na wodzie biały krąg, który fale natychmiast zazdrośnie starły, i przycumował do przeciwległego brzegu. Pasażerowie wysiedli i brnęli po gorącozłotym piasku, między chroniącymi od słońca drewnianymi muchomorami. Teraz kuter będzie czekał, aż zbierze się przynajmniej dziesiątka znużonych słońcem plażowiczów lub gadatliwych zarzeczańskich kobiet. Mówię o tym tak szczegółowo, bo w chwilach zadumy, kiedy cichną wewnętrzne burze, moja świadomość jest spragniona konkretności. Zapamiętałem nawet wynik wczorajszego meczu, który ogłoszono przez pokładowy megafon na wielkim sta-

tku wznoszącym się jak góra nad przystanią, choć zazwyczaj nie zaprzątam sobie głowy takimi głupstwami. Zszedłem ze stromego brzegu na pomost i wsparty o balustradę zapatrzyłem się w zielonkawe fale, które przepływały w dole, zaafierowane i uparte.

W końcu cały nasz niepokój i wewnętrzne konflikty rodzą się z uciążliwej codzienności, są jak osad, pozostawiony przez strumień życia. Ludzie gnieźdzą się zbyt blisko siebie, w tym cała bieda. Czasem warto pomyśleć o wieczności. Przyszedłem nad rzekę szukając zapomnienia. Kiedy patrzę na leniwie płynącą wodę, zawsze myślę o wieczności. Podobnie jest z klepsydrą. Kiedy piasek przepływa przez wąską szczelinę, grzechem byłoby myśleć o czymś innym niż o przemijaniu czasu. Ale wszystko szybko się kończy. Trzeba szklanego stwora odwrócić — jeszcze dziś uważam klepsydrę za jedną z większych zdobyczy ludzkości — a to już zwyczajny, prozaiczny gest, którego codzienne powtarzanie odziera z tajemniczej niezwykłości. Kiedy człowiek myśli o sprawach wiecznych, chciałby być lepszy niż jest naprawdę.

Wracałem z Łytwynowej chaty jakiś uświęcony, wewnętrznie jasny i czysty. Chociaż wtedy, rzecz jasna, nie myślałem o przemijaniu czasu, raczej je odczuwałem, jakbym tkwił w środku nurtu, którego łaskotliwe fale przepływały przeze mnie.

Wspominałem już, że w dzieciństwie niezbyt kochałem Ołeksija, chwilami nawet go nienawidziłem, głęboko, do łez, tak jak tylko człowiek potrafi nienawidzić.

Chyba więc wybiegnę nieco naprzód i szczegółowo opowiem, kiedy to zaczęliśmy drzeć koty. Wszystko zaczęło się od roweru, który sobie kupił Ołeksij. Był to nowiutki rower, z pękatym dynamem na przednim kole, pierwszy po wojnie w naszej wsi. Możecie sobie wyobrazić, ile wzbudzał chłopców marzeń, nadziei i zawiści. Gdy Ołeksij dumnie wyjeżdżał z obejścia na ulicę, biegliśmy za nim, daremnie błagając: „Wujku, podwieź kawałek!” Mało tego. Byliśmy gotowi wymościć sobą drogę, a potem móc się przechwalać prądkowanymi śladami opon na żywym ciecie.

Którejś niedzieli Ołeksij oparł się łokciem o kierownicę, jakby pozując do fotografii i zawołał do otaczającej go gromadki:

— Kto się chce przejechać?

— Ja! Ja! Ja! — rzuciliśmy się jak wróble na proso.

— Ale jeden warunek — uśmiechnął się Łytwyn. — Ten, którego biorę na ramię, woła co sił: Kukuryku — bum, bum, bum! Kukuryku — bum, bum, bum! Żeby na całą wieś było słyhać. Jak przestanie — hamuję, leż sobie dalej na własnych nogach. Zgoda?

Milczeliśmy. Ołeksij pstryknął w dzwonek, dobywając kuszący dźwięk i wyciągnął papierosa. Zawsze miał kupne, z długimi ustnikami, choć w owym czasie chłopci palili niemal wyłącznie samosiejkę, a tylko z rzadka paczkowaną ma-chorke.

— A dzwonić można? — zapytałem.

— Można — zlitował się Łytwyn.

W ulewie słońca lśniły wesoło przeplecione czerwoną wstążką stalowe szprychy, pod ciężarem ręki Ołeksija poskrzypywało brązowe siodełko. Rower był dla mnie kwintesencją człowieczego szczęścia. Nigdy bym nie uwierzył, że posiadacz roweru może nie czuć się szczęśliwy.

Chyłkiem, boczkim, jakby wstydząc się swojej słabości, dałem nura pod ramiona Ołeksija i usadowiłem się na ramie. Biała ścieżka wybiegła nam naprzeciw, pod kołami zaszeleścił piasek. Lekki wietrzyk chłodził rozpaloną twarz. Przy wtórze nieustannego brzęku dzwonka zacząłem wykrzykiwać:

— Kukuryku — bum, bum, bum; Kukuryku — bum, bum, bum! Kukuryku — bum, bum, bum!

Mijaliśmy stojące przy płocie kobiety, mężczyzn siedzących na kłodach drewna, przelecieliśmy obok Karusiowego obejścia, pozostawiając z tyłu wracające z miasta furmanki. Wszyscy oglądali się drwiąco, słysząc mój koguci dyszkant:

— Kukuryku — bum, bum, bum! Kukuryku — bum, bum, bum!

Jak żyję nie słyszałem nic bardziej bezsensownego.

Później woziły się inne chłopaki i także wrzeszczały: „Kukuryku — bum, bum, bum!” Bywało nawet wesoło... Do dziś pali mnie wstyd za siebie i za Ołeksija. Jeszcze widzę wąskie wargi Karusia rozciągające się w złośliwym uśmiešku.

Ale pora już opowiedzieć dokładniej o Karusiu. A także o ojcu Romana i o całej tej strasznej historii, która pozostawiła niezatarty ślad w naszej dziecięcej wyobraźni. Dziwne, natężam pamięć, ale przed oczami mam tylko kalejdoskop

kolorów. Karuś jest w tonacji ciemnej, wujek Kyryło — białej, a finał — czerwonej jak krew. Owego dnia pierwszy raz z bliska otarłem się o śmierć, bo chociaż urodziłem się kilka lat przed wojną, front jakoś ominął naszą zapadłą wieś. Również zestaw kolorów — czerni, bieli, czerwieni — nie ma nic wspólnego z jakimiś literackimi symbolami: Romanowego ojca i tak wołano we wsi Biały. Kiedy na niego patrzyłem, robiło mi się białło w oczach: blondyn, o jasnych brwiach, w dodatku w wypłowiałym szynelu, takież czapce i owijaczach wpuszczonych w żołnierskie buty. Zdaje się, że oczy też miał zupełnie jasne, nie pamiętam; trochę baliśmy się tych jego bystrych, dociekliwych oczu. Zwłaszcza kiedy się złościł. W gniew wpadał łatwo; powodów po latach wojny i Łytwynowego prezesowania nie brakowało, a i kontuzja także dawała znać o sobie. Rozeźlony, szybko chował ręce do kieszeni szynela, bo zaczynały się trząść jak sita wialni. Karusiowi nic się nie trzęsło. Był nad podziw spokojny, nawet chód miał wyważony, spokojny, oszczędny. Nie wiem, czemu zapamiętałem go ubranego zawsze na czarno; w tej czerni łyskało zaciągnięte bielmem oko. Przez to oko nie wzięli go do wojska i całą wojnę przesiedział w domu. Jedno z moich najwcześniejszych wspomnień: stoimy z matką na progu Karusiowej chaty; w gościnnej izbie stół ugina się od jadła i napitków, w pękatych butelkach bieleje samogon, w polewanych misach mienią się bursztynowe plastry miodu. Za stołem policjanci w zielonych mundurach, między nimi podchmielony, ociekający życzliwością gospodarz (za Niemców chytry Karuś nigdzie oficjalnie nie pracował, ale umiał z nową władzą utrzymywać dobre stosunki); oboje z matką przyszliśmy prosić Karusia choć o pud ziarna, aby dożyć do lata. Obok — chuda jak szczapa Karusiowa, wiecznie na czarno, bo nie wiedzieć czemu, dzieci, które rodziła, umierały ledwie przyszły na świat, i matka — stara Karusiowa — też w czarnym fartuchu. Stara chodziła podobno na łąki zbierać ciemierzycę, którą truła kury sąsiadów wążące na jej grządki. Karusiowe obejście, choć całe schowane w wiśniach, jabłoniach, gruszach, obrośnięte krzakami porzeczek, agrestu i berberysu, obsadzone sokorami, dziś jawi mi się jako czarne bezlistne straszdyło. Może dlatego, że jakoś niedługo po tamtej krwawej nocy stara Karusiowa oddała duszę Bogu, synowa sprzedała dom i chlewy na rozbiórkę i wyjechała do rodziny.

W opuszczonej zagrodzie nikt nie chciał zamieszkać; jedynym wyjątkiem były kawki. Obdzierane co roku przez chłopaków jabłonie pousychały, krzewy wykopał Wasyl Sofronycz, tylko sokory jak dawniej znaczą niebo naroślami wronich gniazd, nad którymi wiruje kracząca zgraja. O zmroku, pędząc cieleta z pastwiska, biegiem mijaliśmy to złowrogie miejsce...

Ale wystarczy. Opowieść robi się zbyt smutna. Wracajmy lepiej do rozważań o wieczności i do Łytwynowej chaty, bo trochę odbiegłem od tematu.

Historia z rowerem zdarzyła się później, kiedy Ołeksij już nie był przewodniczącym; na razie wszystkie wiejskie chłopaki, ze mną włącznie, ubóstwiali obwieszzonego medalami wojownika. Korzystałem więc z byle pretekstu, aby choć na chwilę zajrzeć do przybudówki, w której stary Łytwyn ulokował syna. Sąsiadom wyjaśniał, że nie uchodzi, by tak zasłużona jednostka musiała mieszkać pospołu z innymi. Trzy ściany przybudówki Ołeksij obwiesił ręcznymi zegarkami. Przywiózł ich chyba pół setki; bardzo był dumny z tej kolekcji i przechwalał się, że każde muzeum bez namysłu dałoby za nią milion. Nam, chłopakom, wolno było tylko wejść na próg, ale i stamtąd było słycać bezładne tykanie. Dziwaczne odgłosy wypełniały izbę, nie potrafię nawet tego opisać, to trzeba było słyszeć. Zdawało się, że ściany obsiadły miliardy jakichś żyjatek, których serduszka biją szybko, bez wytchnienia. Właśnie tam po raz pierwszy objawiła mi się wieczność. Niezapomniane, uświęcające doznanie. Dotychczas jestem za to wdzięczny Ołeksijowi, bez względu na wszystko, co potem zaszło między nami.

Raz na tydzień, zawsze w niedzielę, zjawiałem się na progu izby i zastygałem w bezruchu. Wystrojony w niebieskawe bryczesy i białą koszulę Ołeksij, jakby czekając tylko na mnie — a może naprawdę potrzebował widowni — przystępował do nakręcania zegarków. Była to ceremonia uroczysta, znacząca. Łytwynowa chatka zdawała mi się wtedy środkiem wszechświata. Niezachwianie wierzyłem, że gdyby Ołeksij zachorował, gdyby nie nakręcił zegarków — razem z nimi zatrzyma się także czas, ustanie ruch planet i ludzi, maszyn i zwierząt, wszystko zastygnie na wieki, uchwycone tak, jak je zastało ostatnie tyknięcie ostatniego Łytwynowego zegarka.

Nie pamiętam zebrania, na którym Ołeksija wybrano przewodniczącym kołchozu. Pamiętam natomiast naradę, na któ-

rej go zdjęto. Przewodniczył niewiele ponad rok; po przymusowym wojennym matriarchacie zrobił na chłopach wrażenie surowego wprawdzie, ale energicznego przywódcy. Oczywiście, wiele było łez i swarów, gdy przymuszał ludzi, by zaprzęgali do pługów dojne krowy; dziś można tylko żałować się nad krowietami, ale kto wtedy mógł wymyślić coś lepszego? Przecież trudno było orać ludźmi. Jego niedouczenie dawało się we znaki — bank zwracał czekii podpisywane niezgrabnymi kulfonami. Nie dziwota. Swego czasu tylko ze strachu przed tatusiowym pasem przelażł z biedą przez cztery klasy. Ale nie srogość go zgubiła ani nawet to, że nie umiał pisać. „W końcu wyszedłby może na ludzi, cóż, kiedy skusiły go oliwki...” — westchnął ojciec, wybierając się na pamiętną naradę.

W szkole zebrała się cała wieś, od najmłodszych do najstarszych. Z miasta przyjechała delegatka. Miała łagodne, zmęczone oczy, była sekretarzem rejonowego komitetu partii; chodziły słuchy, że w czasie wojny walczyła w partyzantce. Ona właśnie referowała. Choć i bez tego wszystko było jasne. Ołeksij namówił lub zastraszył stróża i przewióżł z kopców do swojej piwnicy siedem worków sadzeniaków. Ktoś dał znać do rejonu, zjechała milicja, zrobili rewizję i wszystko znaleźli. Pamiętam kopące kaganki wzdłuż ścian długiego szkolnego korytarza, pamiętam mroczone, surowe twarze kołchoźników. Owej zimy bieda naprawdę dawała się we znaki. Kapuśniak kraszony smażonym rzepakiem uchodził za przysmak, a czekał nas jeszcze prawdziwy głodowy przednówek. Ale nikt nawet nie tknął sadzeniaków, chociaż dziadek Przepiórka częściej kimał w szopie, niż pilnował kopców; te ziemniaki to była nasza jedyna nadzieja na przetrwanie.

— Przecież podczas wojny byliście dowódcą kompanii — powiedziała nie podnosząc głosu delegatka rejkomu. — Jak mogliście?

Ołeksij z ponurą miną podniósł się ciężko; jego przygarbiony cień padł na ściany korytarza i twarze kołchoźników.

— Matka namówili.

Nikt się nie roześmiał. Ale też nikt ani słowem nie wspominał o Karusiu, z którym ostatnio młody Łytwyn często popijał.

W nocy ojciec długo nie mógł zasnąć, przewracał się na posłaniu, wreszcie szepnął do matki:

— Chyba wiem, do jakiego kłębka, dokąd ta nitka prowadzi...

Rozległo się ciężkie westchnienie. Nasłuchiwałem bacznie, ale wciąż nic nie mogłem zrozumieć.

— Na co ci to... — tak samo szeptem odpowiedziała matka.

— Chcesz, żeby cię z dymem puścił? Załatwi cię tak, że sam nie będziesz wiedział jak i kiedy. Już dawno wszystkich milicjantów spoił.

— Wieszać by takich... — zgrzytnął zębami ojciec i zaczął uderzać krzesiwem; zawsze, kiedy się rozeźlił, musiał sobie zapalić. — Człowiek całe życie się męczy, a taki...

Karuś stawał się w moich oczach postacią coraz bardziej mroczną, nabierał jakiejś drapieżnej, niezwyciężonej siły.

Młody Łytwyn musiał się pożegnać z funkcją przewodniczącego. Na dodatek sprawę oddano do sądu. Długo wydeptywał progi różnych prokuratorów, w końcu jakoś się wykręcił, procesu nie było. W jakieś pół roku potem ojciec zatrudnił go jako agenta od ubezpieczeń; w tym czasie Wasyl Sofronycz był akurat przewodniczącym wiejskiej rady. Dopiero teraz wylazł z Ołeksija cały jego charakter; zaczął się odgrywać za niedawną sromotę. Niejedna jabłoń, niejedna wiśnia opłakała to gorzkimi łzami. Ale po cóż wspominać złe? Łytwyny nie rządzili we wsi długo. Zwolniono obu. Powołując się na dawne zasługi, Wasyl Sofronycz uprosił zarząd, żeby mu dali brygadę. Ołeksijowi dostał się wiejski klub. A trochę później zdjęto obydwu. I tak w końcu stary został wagowym, a młody — jak mawiał — szefem kotła parowego w tuczarni, czyli po prostu warzył świniom ziemniaki.

Teraz z żalem wspominam Ołeksija i jego przybudówkę. W miesiąc po tamtej naradzie cały urok przysł: zabrakło zegarków. We wsi przebąkiwano, że gdyby nie ta kolekcja, młody Łytwyn ani chybi pojechałby na białe niedźwiedzie. Ale kto dzisiaj dojdzie, jak było naprawdę? Za to w głębi duszy na zawsze zachowałem najpiękniejsze wspomnienie dzieciństwa: tajemniczego środka wszechświata w Łytwynowej chacie.

Będąc u Mykoły jakoś nie zdobyłem się, żeby spytać o zdjęcia. A właśnie teraz bardzo by mi się przydały. Już od dawna chodzi za mną wspaniała pomysł. Zbliżają się trzydzieste urodziny Andrija Semenowycza Łytwyna. Można



rzec — połowa życia. Warto by to uczcić tak, aby wszyscy długo pamiętali ten dzień. Coś wymyślić, ale naprawdę ekstra. Oczywiście można zaprosić znajomych. Posiedzą, popiją, na cyku wygłoszą kilka toastów i pójdą. Nie, to nie to. Pomału rodzi się coś na kształt pomysłu. Wiecie, co zauważyłem: gość idzie ulicą i uśmiecha się, nie wiedzieć do kogo. Przechodnie patrzą zdziwieni. To właśnie ja: idę, uśmiechając się do siebie i swoich myśli. Oto, co sobie wyobrażam:

Najpierw zbiorę gości w jednym pokoju: przygotuję wszystko tak jak w porządnym, inteligenckich domach. Oczywiście, żadnych stołów, to jasne. Na tacach tartinki z kawio-rem, wędliną, serem. Złociste krążki cytryny w cukrze, no i oczywiście oliwki. W dniu moich trzydziestych urodzin nie może ich zabraknąć. To się rozumie samo przez się. Osobno, może na sekretarzyku — butelki koniaku. Chętnie podałyby mrożonego szampana, ale jeszcze nie mam pomysłu jak to zrobić. Do lodu potrzebne przecież jakieś naczynie, w zwy- czajnym wiadrze nie uchodzi, cała uroczystość weźmie w łeb. Wszystko winno jakoś podnosić nastrój: szczypta filozofii, szczypta poezji. A wiadro — zwyczajna proza. Może lepiej w ogóle zrezygnować z szampana?

Goście zasiądą w fotelach i na kanapie. Wypiją za pomyśl- ność Andrija Łytwyna i zaczną się intelektualne rozmowy. Tematy też warto obmyślić z góry. Towarzystwo będzie róż- ne, dobrze byłoby od razu rzucić coś na przynętę, wokół cze- go wszcząłby się intelektualny szmerek. Choćby Sartre'a z tym jego egzystencjalizmem. To teraz modne. Może jeszcze Ionesco: „Czy państwo czytali «Nosorożca»». Albo coś w tym stylu. To już specjalność żony. Rozpęta się dyskusja. W przer- wach można by puścić coś z klasyki. Niestety, zauważyłem, że każdy woli rozmawiać o muzyce, niż jej słuchać, nawet najtępszy intelektualista. Chyba żeby zrobić sobie frajdę i na- stawić, na przykład, Strawińskiego — patrzeć, jak wszyscy będą usiłowali drapować się w powagę. Figa z makiem: kilka głębszych robi swoje, mądre miny rozplywają się w jakichś cielejących, głupawych uśmieszkach. Ale to już sadyzm. Nie śmiej się, bratku, z cudzego upadku. Lepiej wymyślić coś łatwiejszego, lżejszego. Aha, pokażę film, który nakręciłem podczas ubiegłorocznych podróży. Andrij Łytwyn z rodziną nad Morzem Czarnym. Słońce, woda, złocisty piasek, piękne kobiety, bogate południowe bazary. Andrij Łytwyn w Polsce.

Andrij Łytwyn na tle gotyckich kościołów. Andrij Łytwyn na ulicach Warszawy, Krakowa, Wrocławia.

Ale prędzej czy później — to zresztą od razu można wy-czuć — przyjdzie chwila, kiedy wszystkim zbrzydnie intelektualna atmosfera. Znużeni goście zaczną oglądać reprodukcje naszych i zagranicznych modernistów, leniwie kartkować co rzadsze książki, o które trudno w księgarniach, na wzmiankę o nowej symfonii twarze im się wydłużą i wzrok sposepnieje. Ten i ów zerknie na zegarek. Ktoś inny przypomni sobie o pozostawionych w domu dzieciach. Wówczas otworzę na oścież drzwi do sąsiedniego pokoju i głębokim, uroczystym basem Mykoły Stepowego powiem tak:

„Kochani! Serdecznie proszę do stołu. Niech wszystkie serca omdleją słodkim wspomnieniem rodzinnej chaty”.

Widzę to starannie zrobione wnętrze, czasem nawet pojawia się ono w moich snach. Żadnych nowoczesnych mebli. Pod ścianami ławy nakryte wyszywanymi ręcznikami (można kupić deski i ułożyć je na taboretach). W kącie, na stoliku przyrzuconym wzorzystą, ręcznie zdobioną serwetą, gliniane misy z pestkami słonecznika i dyni. A obok, chyba najdowcipniejsza ze wszystkich niespodzianek: mała bimbrownia. Na chodzie. Może być najprostsze urządzenie, jakiego używają żony mieszczuchów: elektryczna maszynka, ronderek, miseczka zanurzona w naczyniu z zimną wodą. Najważniejsze, żeby kapało do podstawionego kieliszka. W końcu można kupić flaszkę żytniej, wlać do rondelka i niech kapie.

Na środku pokoju stół. Czego na nim nie ma. Żadnych miejskich delikatesów, co to w godzinę po obiedzie człowiek już nie pamięta: jadł coś czy nie. Kartofle w mundurkach, sadełko prosto z lodówki, cebula, czosnek, pomidory, kapusta, jajecznica, studzienina z kaczki, domowa kiełbasa, kaszanka, salceson, pyzy, naleśniki, pączki, kisiel... Jak na odpuście w wyjątkowo urodzajny rok. I znów adapter, ale teraz już same hopaki, polki, czastuszki. Na ścianach powiększenia: chata, w której przyszedłem na świat, zagroda, w której rośłem, ogród, po którym latałem na bosaka. Najlepsze byłyby zdjęcia zimowe: zasy sięgające okien, białe czapy na drzewach, na chlewie i na stogu, śniegowe daszki na płotach. Mimo woli przychodzi na myśl rześcicie oświetlony wieczorem Chreszczatyk. Człowiekowi ciarki przechodzą po plecach. Uświadamia sobie, gdzie się urodził, a gdzie jest teraz...

Wódkę będzie się piło z garnuszków. Pierwszy toast — za nasze wierzbowe kołycki.

Zegar na przystani wybił dwunastą. Miałem czas, samochody będą wracały do wsi dopiero pod wieczór.

Terkoczący kuter delikatnie dobił do przystani i ścichł. Po drewnianym trapie zaczęli wspinać się płazowicze z włochatymi ręcznikami na czekoladowych ramionach i mlecarki w kirzowych butach, z koszami przyrzucenymi z wierzchu wonną łąkową trawą. Nagle poczułem, że chętnie napiłbym się mleka. Uświadomiłem sobie, że prócz kilkunastu oliwek nic jeszcze dziś nie miałem w ustach. W bufecie na przystani kupiłem butelkę mleka, ćwiartkę razowca i usadowiłem się na rufie łódki, która kołysała się przy brzegu, przywiązana łańcuchem. Łańcuch pobrzękiwał, fale pluskały, odbite w wodzie niebo załamywało się w podłużne pasy. Lubię mleko i czarny chleb.

Nauczył mnie tego Roman Kyrýliw. W tydzień potem jak pierwszy raz przyjechałem do Kijowa, moje studenckie kapitały stopniały do nędznych groszy. Mój charakter okazał się zbyt słaby w nierównym pojedynku z pokusami wielkiego miasta. Pozostało mi tylko telegrafować do ojca albo wracać do domu, póki jeszcze miałem na bilet. Na szczęście w krytycznym momencie napatoczył się Roman. Był starszy ode mnie; w owym czasie kończył czwarty rok akademii rolniczej. Na wsi taka różnica wieku jest prawie niedostrzegalna, ale tu, w mieście czułem się tak wsiowo i bezradnie, że kiedyśmy się pierwszy raz spotkali, zwracałem się do Romana *pér pan*. Wynajmowałem wtedy w śródmieściu kąt przy rodzinie. Roman zabrał wszystkie moje kłopoty, ulokował mnie w swoim akademiku i matkował, dopóki nie zdałem egzaminów wstępnych i nie wyczytałem swojego nazwiska na liście przyjętych. Moje życie radykalnie się odmieniło. Przestałem się wałęsać bez celu po ulicach, nie rzucałem się już na kuszące błyskotki i tanie pachnidełka. Wstawaliśmy o czwartej i rzadko kładliśmy się przed dziesiątą. Rano i wieczór wypijałem butelkę mleka, zagryzając razowcem, w południe pałaszowałem w studenckiej stołówce trzy porcje sytych racuchów. Mleko i chleb nabywało się w bufecie akademika za zwrotem pustych butelek. Pokój, w którym mieszkałem na waleta, znajdował się na trzecim piętrze, bufet — na par-

terze. Pamiętam jeszcze wesołe nawoływania: „Mleko przyjechało!”, zapach świeżo umytych butelek, błyski słońca na nieskazitelnie czystych schodach. Ale to znów trąci liryką...

Roman kojarzy mi się przede wszystkim z kijowskimi ulicami. Po ostatnim egzaminie trzeba było czekać dwa dni, aż ogłoszą wyniki. Roman wyciągnął mnie w miasto i pokazał Kijów. Nie ten, przybrany w hałaśliwą, bazarową maskę, ale prawdziwy, majestatyczny, pogrążony w spokojnej tysiącletniej zadumie. Roman wiódł mnie od jednej oazy ciszy do drugiej, omijając kioski, w których sprzedawno ciastka, rogaliki i obwarzanki, nie zwracając uwagi na uliczne saturatory — najbardziej smakowała mi sodowa z podwójnym sokiem — nie zatrzymując się przed kinami ani przed witrynami sklepów, pełnymi wspaniałych wiecznych piór, znaczków i notesów, scyzoryków, zapalniczek, papierosów i koktajli, jakby to wszystko w ogóle nie istniało. Mimo że z wyglądu przypominał kanciasty klocek na dwu słupkach, był bardzo ruchliwy; jego pospolita twarz o nieco rozmazanych rysach była zupełnie pozbawiona tego ujmującego wyrazu, który tak podoba się ludziom. Mimo to nie był bezimienną częścią tłumu, wyróżniał się zdecydowanie: może dzięki rozsadzającej go energii, a może było to jeszcze coś innego, przyznaję uczciwie, nie bardzo wiem co.

Roman od małego był idealistą. W Kijowie zadręczał mnie swoją niepożytą ciekawością. Każdą wolną chwilę wykorzystywał, aby opowiadać o naszej zakichanej wiosce. Z jego namiętnych tyrad wynikało, że wszyscy kołchoźnicy żyją tylko jedną ideą: co na jakim polu zasiać i jaką nową rasę krów wyhodować. A ja wiedziałem już, że nic nie zależało ani od kołchoźników, ani nawet od kierownika gospodarstwa, agromoma czy zootechnika. Wszystko spadało skądś z góry w postaci telefonów, telegramów i pism, którymi zawsze wypchana była teczka księgowego, kiedy w szoferce ciężarówki wracał z miasta. Czasem, wkładając płaszcz, dawał mi potrzymać teczkę; z nabożną czcią dotykałem wytartej skóry. Przepęniała mnie duma, jakbym to ja sam obdarowywał ludzi tymi wszystkimi dyrektywami, okólnikami, planami, od których pęczniała torba.

Aha, mówiliśmy o idealizmie Romana. Od dziecka był z niego dziwak. Nałykawszy się różnych książkowych mądrości, na otwartym zebraniu zarządu wstał i oświadczył, że zob-

wiązuje się opiekować jednym cielęciem z hodowlanej farmy. Rozbawieni członkowie zarządu uśmiechnęli się, przewodniczący pochwalił go za troskę o wspólne dobro i na tym zakończył się jego udział w czynie społecznym. Bo też kto by powierzył malcowi kołchozowe cielę? Pamiętam piekielne awantury, jakie jego wyszczekana mamuśka urządzała kolejnym przewodniczącym, którzy, odkąd nie stało Kyryla, zmieniali się często. To było mistrzostwo! To już nie były rzewno-śmieszne babskie awantury, które w literackim kształcie przeszło sto lat temu zdobyły sobie prawo obywatelstwa w ukraińskiej literaturze. To były ponure, wściekłe, rozpaczliwe zorzeczenia matki, której dzieci chodzą głodne. Pomagał kołchoz, pomagała szkoła, ale co było począć z tym mrowiem wdów, sierot i kalek, które wojna pozostawiła w naszej wsi, prawie w każdym obejściu.

Ciekawe, że później, kiedy Roman był już przewodniczącym kołchozu, ani razu nie zauważyłem, żeby zjawił się gdzieś w byle jakim łachu. Zawsze wyglądał jeśli nie modnie, to co najmniej przyzwoicie. Nawet jesienią, kiedy wieś tonęła w błocie, woził w gaziku garnitur, trzewiki i przychodził na konferencję czy naradę elegancko ubrany. Sprawa polegała chyba nie tylko na tym, że miał dobry gust i nie mniejszy upór, jej korzenie sięgają czasów, kiedy byliśmy dziećmi. Niełatwe to były lata nieczęsto widywaliśmy nowe ciuchy. Dławiliśmy w sobie poczucie estetyki, bo wszędzie, gdzie spojrzeć, była bieda. Może teraz staramy się choć trochę nadrobić to, co utraciliśmy? Pewnego dnia, po jakiejś naradzie poszliśmy na obiad do restauracji. Orkiestra szalała, jarzyły się żyrandole. W ciemnym krawacie Romana tkwiła złota szpilka w kształcie błyskawicy.

— Słuchaj, towarzyszu przewodniczący — powiedziałem wznosząc kieliszek z winem. — Chciałbym spełnić toast za twój szkolny kozuch.

— Nie lubię pić za to, co minęło — spochmurniał, a może raczej spoważniał Roman. — Zresztą już dawno matka wyrzuciła go na śmietnik.

— Szkoda. Nadałby się do muzeum.

— Chociaż uważasz mnie za idealistę, jestem większym realistą niż inni. Nasze dzieciństwo nie wywołuje we mnie sentymentalnych nastrojów. Kiedy wspomynam „nasze uniwersytety”, przysięgam sobie, że coś takiego nie może się powtórzyć. Ostatni dech wyzionę, byleby to się nie wróciło. A z tym

muzeum masz rację. Sam o tym myślałem. Warto by zgromadzić w jednym miejscu — najlepiej w jakiejś starej chacie o malutkich, brudnych szybkach — ręczne żarna, kaganki, sosnowe łuczywa, parciane torby na obrok, akacjowe kije, którymi zaganiało się krowy na polu; warto by nagrać na taśmę babcine i dziadkowe opowieści, bo czasem nawet nam trudno już w to wszystko uwierzyć, a cóż dopiero naszym dzieciom.

Szkoła stała na wzgórkach, z mojej ławki przy oknie już z daleka mogłem zobaczyć Saszkę, który chodził ze mną do jednej klasy. Zimą młodszy brat Romana regularnie spóźniał się na pierwszą lekcję, bo musiał czekać, aż Roman wróci i da mu kozuch. I oto zza opłotków wyłaniał się jakiś dziwny stwór: pękaty, wyrudziały, cały w kolorowe łaty. Włochaty klocek katulkał się pod górę, zamiatając śnieg długimi połami. Niebawem mogłem już rozróżnić zsiniały nos wtulony w wyleniały kołnierz, pomazane atramentem patyczki zastępujące guziki i szeroki żołnierski pas — jedyną rzecz, która została po ojcu; szynelom wyścielono trumnę, bo nie było jej czym wyłożyć. Kyryłowycz (oni też byli Łytwiny, ale wołano ich po ojcu — Kyryłowycze) nie musiał nawet pukać do drzwi, kozuch chrząścił jak wyschnięte grochowiny i ten chrząst słychać było w całym budynku. „Wejź, Saszko!” wołała Fania Wasyliwna. Świecący dziurami i solidnymi łatami z wojskowego brezentu toból przeciskał się przez drzwi, mijał nauczycielkę i podpływał do ławki. Pociągałem za kołnierz i na świat wynurzała się krótko ostrzyżona głowa Szaski. Podwinąwszy połę kozucha (nie rozbieraliśmy się; zdarzało się, że w klasach zamarzał atrament), Szasko siadał w ławce, kupa zetlałej owczej skóry spychała mnie wtedy na sam brzeżek.

U przeciwnego brzegu ryknęło, warknęło i para ślizgaczy na wyścigi zaczęła ciąć taflę rzeki, wznosząc pióropusze wody. Minąwszy pomost ratownika zawróciły, nie zwalniając przemknęły koło mnie i ścichły gdzieś w górze rzeki, za przystanią. Dopiełem mleko, resztki chleba pokruszyłem i rzuciłem za burzę, niech się ryby pożywią. Czekałem, czy nie odezwą się znów ślizgacze. W ich żarłocznym pochłanianiu przestrzeni nie było fałszu. To bardzo rzadkie zjawisko — absolutny brak zakłamania. Statek ma w sobie jakąś pozę: białe pokłady, krzykliwe głośniki, zazdrostki w iluminatorach, kapitan w

śnieżnym uniformie. Statek wabi, a potem odpływa. Oddalając się, pięknieje jak marzenie. Kiedy wchodzi na pokład, czuję zawsze lekkie rozczarowanie. Natomiast ślizgacz to kwintesencja ruchu. Ani odrobiny sztuczności.

Falszywiec ze mnie. Na siłę staram się wymodelować Romana na własny obraz i podobieństwo; rysuję aniołka, a on coś za bardzo do mnie podobny: ciemny garnitur, czarny krawat ze złotą szpilką, czerwone wino w smukłych kieliszkach... Sielanka. Jutro z rana otworzysz oczy, spojrzysz — rodzinną chatą, nastawisz uszu — z głośnika gada Roman. Zwyczajne, codzienne problemy: jakieś narady, konie, stogi, buraki, motyki, roboczo-dniówki. Z rozrzewnieniem wspomnisz pierwszy własnoręcznie zmontowany detektor — do detektorów to Roman miał smykałkę — jakieś trzaski, głosy, które nagle odzywały się w słuchawkach; głosy nakładały się na siebie, przez moment któryś brał górę, by znów rozplynać się w pustce. Odbiornik nie dawał się dostroić do żadnej stacji, całymi nocami wsłuchiwałem się w niezmierny świat, oczarowany symfonią dźwięków; urywkami oper, jazzu, arii, informacji, jakimś poświstywaniem, rechetem i tajemniczym naszeptywaniem, jakby dochodzącym z odległej planety nawoływaniem Aelity\*. Ty także kochałeś się w Aelicie. I wszystkie te wspomnienia, które przychodzą do łóżka, a właściwie na piec — bo nie ulega kwestii, że pościelą ci na piecu: pełna egzotyka, od wieków już tak nie spałem, a przecież wychowałem się właśnie tam, za kominem — ale to wszystko znów będzie jednym więcej fałszem, bo wcale nie to należy wspominać.

Musiałeś przywołać ten obraz: ile żeś się nagadał, naostrzegął, zanim pozwoliłeś, aby poczerwiałe dłonie sąsiada dotknęły owych tajemniczych słuchawek. Sąsiad zdejmował czapkę, niezgrabnie przykładając słuchawki do skroni i słysząc daleki głos, uśmiechał się niedowierzająco, radośnie. W takich chwilach rozpierał cię triumf i poczucie ważności, jakbyś tylko ty jeden potrafił uruchomić to czarodziejskie чудо. Ale nie mogłeś się nadziwić, na co Romanowi to wszystko. Przez całe wakacje, zanim wyszedł w pole i natychmiast po powro-

---

\* Aelita — tytułowa bohaterka powieści fantastycznej Aleksego Tolszaja, piękna córka przewodniczącego Rady Najwyższej na Marsie, zakochana w inżynierze Łosiu, który we własnoręcznie skonstruowanej rakiecie odbywa podróże międzyplanetarne (przyp. tłum.).

cie z całodziennej harówki, wyciągał jakieś izolatory, baterie, druty, namawiał ludzi, by kupowali słuchawki, ciągnął linię od chaty do chaty i mimo wszystko zradiofonizował, jak to się teraz mówi, naszą ulicę. Pierwsze radia we wsi były wyłącznie jego zasługą. Znowu to przyjemne słowo — zasługa, wysługa, zasłużony, wysłużony — jakby Roman oczekiwał czyjejs wdzięczności. Już wtedy myślał o drugich, podczas gdy ty myślałeś tylko o sobie.

I jeszcze jedno wspomnienie. Jak już zacząłem, dobieję ten twój inteligencki sentymentalizm. Napomknąłeś coś o restauracji, o tym, jak elegancko ubrany przewodniczący kołchozu siedzi przy białym stoliku, ale nawet się nie zająknąłeś, co było potem. Najpierw jednak — co zdarzyło się przedtem.

Przedtem była odświętnie udekorowana sala teatru, długie mowy, triumfalne oklaski, orkiestra filharmonii rejonowej grała tusz, wręczano proporzycy i listy pochwalne, ty zaś, siedząc w dyrektorskiej łozy, notowałeś: rejon przekroczył plan obowiązkowych dostaw, i oto świętowano sukces. Naczelnny polecił opisać wszystko nie szczędząc miejsca; w owych latach lubowano się w patosie, może żeby zagłuszyć cierpienie. Nawet ciebie zabolalo, że kołchozowe sąsiadki wyczyszczono do gołej ziemi, że plan przekroczone poświęcając żelazny zapas ziarna na siew; nie minie miesiąc, a kołchoz będzie musiał za ciężkie pieniądze kupować zboże. Ale to uczucie szybko minęło, góra wie, co robi, nie twój interes, kazano ci poinformować czytelników o uroczystości, reszta cię nie obchodzi, bo nie zależy od ciebie.

Nie obchodzi, bo nie zależy. Zbawienna formuła. Przecież dziennikarz to tylko informator, zwierciadło, kubek, z którego się pija.

Roman schował twarz w poduszkę, w jego głosie zabrzmiał smutek:

— Co ja ludziom powiem, Andrijku?

Czułem się zmęczony. A może było to zubożenie? Nie przeraża mnie już jego gorzka spowiedź: tchórzliwe instrukcje, groźne telefony, zaorane pastwiska, skoszona — zanim zdążyła dojrzeć — pszenica, transporty zbutwiałego ziarna, kukurydziana dyktatura, terror optymistycznych liczb...

— Idziemy spać — ziewam, odwracając się do ściany. —



Jak będziesz wszystko tak brał do serca, wylądujesz u czubków albo się powieszisz.

Roman jęczy z bólu, z rozpaczy. Nocą wszystko zdaje się bardziej beznadziejne niż w rzeczywistości. Wiem to z własnego doświadczenia. Dlatego w nocy staram się nie myśleć o niczym ważnym. Czekam, aż zrobi się jasno.

Roman to naiwniak. Idealista. Człowiek jest tylko człowiekiem i tak będzie zawsze. Zaczynam podrzemywać. Jeżeli się chce prędzej zasnąć, trzeba myśleć o czymś przyjemnym. W dyrektorskiej łoży fotele są wygodne. Człowiek cały dzień przesiedzi i nie czuje zmęczenia. Lubię miękkie, nowoczesne fotele... Zасыpiam... Śpię...

Na Mykołę napatoczyłem się w windzie.

— Pamiętasz o naszej umowie? Zaraz wszystko dogramy. Co za cudowna pogoda! Już czuję, jak pachnie rybna zupa. Idziemy do mnie.

Pojechaliśmy piętro wyżej i znaleźliśmy się w jego gabinecie. Stepowy zadzwonił do jednego z podkijowskich okręgów.

— Serhij? Dobry dzionek! Jak to, kto? Jużes zapomnia! Stepowy! Aha... U nas? Ciepło, wspaniały zachód słońca się szykuje! Nie będziesz oglądał? Biurokrata się z ciebie zrobił. A ja myślałem, że się umówimy na zieloną trawkę. Łyknąć świeżego powietrza. No, może troszkę dymu też. Aha. Na ryby. Oczywiście, że do Hryhoruka, na karpie. Do Kijowa? Pięć dni? Nie zazdroszczę. Usmażysz się. Ulica jak patelnia. Aha. To może przełączysz mnie na Hryhoruka? No... no... Pozdrów swoją drugą połowę. Powiedz telefonistce, niech przełączy. Trzymaj się! — Zasłonił słuchawkę dłonią i szepnął: — Pomęczymy trochę dziadka. Lubi, jak go chwalić za gospodarski pomysłupek. Hel-lo-o-o, Sydor Panasycz? W imieniu stołecznej prasy witam sławnego gospodarza! Czytaliście już? Cała Ukraina o was mówi. Aha, tu Stepowy. Kierownicy kołchozów chcą wysłać do was swoich zootechników na naukę. Moskiewskie gazety przedrukowały, widzieliście? Tak, tak... Niektórzy nasi towarzysze z kierownictwa nie chcą wierzyć. Słowo honoru, nie wierzą! „Przesadziłeś, Mykoło, mówią”. Aha... A ja na to: „Widać nie znacie Sydora Panasycza Hryhoruka!” Przywieźć? Właśnie tak kombinuję. Niech zobaczą, pomagają te karpiki... Ha-ha-ha! No właśnie... Od razu na stawy, żeby nie odrywać was od pracy. No, no... Dziękuję w imieniu kolegów. Aha, sam redaktor się zapowiedział. Tylko

bądźcie łaskawi uprzedzić strażnika. Jakoś go tam ustawcie. Dobrze by było wywiesić przy stawie transparent: „Serdecznie witamy, towarzysze dziennikarze!” Jasne, że żartuję. Oczywiście, po cichu, jasne, rozumiem. Jeszcze raz dziękuję. No to niech wam się darzy, jak to u nas mówią.

Stepowy otarł czoło i leniwie przeciągnął się w fotelu. — Gadatliwy dziadyga. Ale gości lubi. Zwłaszcza tych lepszych. Od razu kapuje co i jak. Popatrz, jaki masz fart. Zanim błysnie pierwsza gwiazdka, posmakujesz rybnej zupki.

Lubię rozsiaść się w Wokdze na tylnym siedzeniu (Stepowy zajął miejsce obok kierowcy). Człowiek oprze się wygodnie, porozpina koszulę, zdejmie krawat; wpadający przez okno wietrzyk pieśczołtliwie chłodzi pierś. Między głowy kierowcy i Mykoły wsuwa się biała piaszczysta droga, po bokach, jak na panoramicznym ekranie, uciekają do tyłu pola. Odwracam się — jedwabne zasłonki na tylnej szybie samochodu różowieją w stygnących promieniach słońca. Woń kurzu, chleba, maku, dymu, ściernisk, piołunu — mnóstwo zapachów dobrze znanych w dzieciństwie, potem niemal zapomnianych, na nowo ożywa w pamięci: nabieram w płuca powietrza i nagle, nie wiedzieć czemu, wybucham śmiechem.

— Wspaniale, prawda? — Mykoła zwraca ku mnie rozjaśnioną twarz. — Aż człowiekowi lżej na sercu.

— Wspaniale — odpowiadam i znów zanoszę się śmiechem.

Jak mi lekko na duszy i na ciele. Mam wrażenie, że gdyby samochód przystanął, mógłbym otworzyć drzwiczki, rozpostrzeć ramiona jak skrzydła i wznieść się w różowiejące niebo. Leciałbym sobie stepem szerokim, polem-łanem, żytem-gryką, nad szafirowym Dniepru-Sławuty nurtem. To już cytaty z mojej własnej twórczości. Mojej osobistej. A może Stepowego? To, co obaj piszemy, jest do siebie bardzo podobne.

Po małej godzinie — słońce ledwie zdążyło się schować — daliśmy nura w sosnowy las, skąd niebawem wychynęliśmy w szarobłękitną mgłę zapadającego zmierzchu. Samochód zatrzymał się na wzgórzu. Droga, wijąc się wśród gliniastych urwisk, wiodła w dół. Całą dolinę pokrywały niebieskawe prostokąty, w których odbijały się kolorowe skrawki nieba. Nieco na uboczu przycupnęła bielona chatka. Z dachu wystawała blaszana rura pełniąca obowiązki komina. Groblą leniwie toczył się wóz zaprzęzony w konia. Z tyłu szedł dziadek niosący łopatę. Za dziadkiem włókł się pies.

— Znakomite stawy — stwierdził Stepowy wychylając się z auta. — Czujesz ten swojski zapach?

Samochód powoli zaczął pełznąć w dół. Obaj z Mykołą szliśmy pieszo. Znalazłszy się w dolinie, Stepowy usiadł na trawie, zdjął półbuty i ściągnął stylonowe skarpetki.

— Grzech dotykać matki ziemi przez zagraniczną szmatę. Jak myślisz, dlaczego starzy ludzie są tak mocno związani z ziemią, na której wzrastają i do której idą po śmierci? Bo przynajmniej połowę życia chodzą boso. Spotkałem kiedyś dziadka: nawet teraz, w połowie dwudziestego wieku, nie uznaje innego obuwia prócz łapci. „Dziadku — pytam — naprawdę nie macie za co kupić sobie butów?” „A po co? — śmieje się. — W łapciach z łyka bieda znika, ale tak czy owak tylko przez zimę w nich chodzę. Ledwie trawka się za zieleni, ja już na bosaka. Przez te przeklęte buty człek tylko od matki ziemi odwyka i potem nie chce się w nią kłaść”. Pojmujesz całą głębię tej myśli? Że filozofia? Pokaż mi filozofa, choćby nie wiem jak uczonego, który by wiedział o życiu tyle co nasz prosty dziadek!

Ukołysany tokowaniem Stepowego, melancholijną ciszą doliny, szmerem wody w rowach łączących stawy, nie rozglądałem się dokoła. Nieoczekiwany wrzask zdzielił mnie jak obuchem:

— Stój! A to strzelać będą!

Nasze auto stało na grobli. Z przedniego siedzenia wychylał się zmieszany kierowca opędzając się od psa, a przed maską samochodu tkwił w wojowniczej pozie jakiś dziadyga i celował do nas ze śrutówki.

— Stój! — krzyczał. — Nie wolno! Będę strzelał! Cicho, Agaj!

Stepowy pospiesznie wzięty buty na bosc nogi, skarpetki schował do kieszeni, obciągnął marynarkę i nie tracąc rezonu, zwrócił się do starego:

— Szanowanko, Ostapyczul! Jak się miewa pracujące chłopstwo? Ukłony od inteligencji. Łykamy, łykamy i nie możemy się nałykać waszego cudownego powietrza. Co za bogactwo! Łaska boża — jak trafnie i obrazowo mówi nasz naród. A ty co, nie poznajesz? Stepowy, Mykoła, trzy tygodnie temu macierzanką żeś mnie poił, pamiętasz? Rozsławiłem wasze stawy na całą Ukrainę. Nie czytałeś? „Wiele jest na Ukrainie cudownych miejsc, lecz uroczy zakątek, który niedawno miałem

szczęście odwiedzić, to prawdziwa perła naszej ziemi...” Przypominasz sobie, Ostapyczu?

— Czytaliśmy, a jakże... I was poznaję — odpowiedział dziadek. — Ale nie wolno. Ja też jestem na służbie.

— Wolno, wolno! — wykrzyknął Stepowy, nie wając się jednak postąpić w stronę, skąd patrzyło czarne oko śrutówki. — Towarzysz Łytwyn (nie wiedzieć czemu z naciskiem zaakcentował te słowa), towarzysz Łytwyn może poświadczyć: kilka godzin temu dzwoniłem do Sydora Panasycza. „Przyjeżdżajcie w gości — powiada — będziecie mile widziani. Ostapycz przyjmie was, jak to mówią, chlebem i solą, a jeszcze lepiej chlebem, solą i karpikami”. Przywieźliśmy coś do tego chleba, soli i karpików, nie martw się, Ostapyczu. I o twojej ukochanej naléweczce też pamiętaliśmy...

Białe zęby Mykoły błysnęły w szerokim uśmiechu.

— Nie wolno — powtórzył dziadek, nie zniżając broni. — Pod żadnym pozorem. Takie są najnowsze dyrektywy. Sydor Panasycz osobiście instrukcję wydał: „Ja człowiek miękki — powiada — poza tym ze względów dyplomatycznych czasem nie mogę odmówić, toteż niby to będę się godził, a ty goń wszystkich, gdzie pieprz rośnie, bez względu na rangę”. Tak, że nijak nie wolno...

Stepowy zaklął pod nosem. Ale przyjemny uśmiech wciąż jeszcze nie zniknął z jego szczerzej twarzy.

— Chytrus z Sydora Panasycza. Przecież nie możemy wracać z pustymi rękami. Tyli szmat drogi odwaliliśmy. Chodźmy do chaty, zadzwonimy do Hryhoruka, przecież wiesz, że mi nie odmówi.

— To wolno — odrzekł po namyśle stróż. — Tylko dla was to robię. Ale auto niech zostanie tam, gdzie jest.

Poczapaliśmy za dziadkiem do jego zacisznego schronienia.

— Z towarzyszem Hryhorukiem — głębokim, władcym basem rzucił Stepowy do słuchawki. — Nie ma? W polu? Szkoda. No to z zastępcą. Też nie ma? A zootechnik jest? To dajcie zootechnika. Moje uszanowanie... Stepowy. Dziennikarz. No, ten, co was rozślawił na cały kraj. Tak, tak, bardzo mi miło. Uzgodniliśmy z Hryhorukiem, że pokażę wasze stawy jednemu towarzyszowi z kierownictwa. Tak, z Kijowa, niech się przekona, tak, tak, na własne oczy... Faktycznie, zainteresowali się. Wysoko postawione osobistości chcą poznać wasze produkujące metody. Towarzysz Łytwyn. Słyszeliście? Łytwyn.

Łyt-wyn. Tak, ten. Ale on by chciał incognito. No, bez zbędnego rozgłosu. Sami rozumiecie... Ostapycz tutaj wydziwia. Tak, tak, rozmawiałem. Bezpośrednio z Hryhorukiem. Jakbym był sam, ale przecież towarzysz Łytwyn... Dziękuję, dziękuję, daję słuchawkę Ostapyczowi, niech osobiście wysłucha instrukcji. Szanowanko.

Stróż oparł śrutówkę o stół i niezgrabnie, obiema rękami ujął słuchawkę. Wyszliśmy przed chatę.

— Wjeżdżaj! — krzyknął Mykoła do kierowcy i mrugnął do mnie. Udałem, że podziwiam wieczorne niebo.

Można się ubawić, kiedy inteligenty idą do Canossy. I to jeszcze takie nędzne, jak niżej podpisany Andrijko Łytwyn. Chodzi sobie taki chłopiek roztropek po kijowskich trotuarach, bucikami modnymi stuką i w pierś się bije: ratunku, nie mogę odnaleźć śladów swoich bosych stóp. Potem wstąpi do kawiarni, a tam takie same inteligenckie koguty, więc znów się morduje, znów tropi te wymarzone ślady. Wobec tych, co cię znają, jakoś nie uchodzi na los parszywy narzekać, szybko się znudzą. Człowiek zaczyna więc swoje lamentsy drukować, a że nakłady milionowe, może ktoś wypatrzy ślad bosej stópki poety i odniesie do biura rzeczy znalezionych, bulwar Szewczenki dwadzieścia siedem.

Jakoś zaraz po pierwszym roku studiów wybrałem się na wieś; butów co prawda nie miałem specjalnie modnych, bo też studenckie stypendium nie bardzo pozwala hołdować najnowszej modzie, a takich jak ja wierszokletów nie brak w Kijowie, ale jednak było to obuwie miastowe. Wytworną całość uzupełniał jasny trencz. Długo wałęsałem się zamyślony między domami, potem powędrowałem w pole, okrążałem rowy i jary, doły po wybranym torfie i wyschnięte bajora, w których mrugały żółte oczy jaskrów. Jakże szlachetna i wzniosła zdała mi się moja melancholia! Zrodził się z tego utwór o wzruszającym zakończeniu:

*Gdzieś tu dzieciństwo swe zostawiłem,  
Lecz gdzież to miejsce? Nie natrafiłem  
I dalej błądzą...*

Po powrocie do Kijowa zamieściłem wiersz w jakimś czasopiśmie. Za honorarium sprawiłem sobie fajkę z główką wy-

obrażającą Mefisto o wyrazistych rysach i orlim nosie. Fajkę przypominała bliskie sercu strony — u nas siwobrode staruchy palą wyłącznie fajkę — a przenikliwe spojrzenie księcia ciemności miało w sobie coś filozoficznego, intelektualnego...

Zrzędzę nieco, ale nie warto się tym przejmować. Nie pierwszy to raz. Czasem chodzę zakochany w sobie, puszę się jak kogut, kiedy indziej sam siebie nienawidzę bardziej niż najgorszego wroga. Gdzie tu logika? Uśmieć się można!

Butelkę po mleku zostawiłem w Łódce — jakiś mały wędkarz będzie miał parę groszy na haczyki albo na cukierki — i udałem się w stronę śródmieścia. Byłem w nie najlepszym nastroju. Sam jesteś winien — wymyślałem sobie w duchu. Zacząłeś się porównywać z Romanem, a przecież, jak trochę głębiej poskrobać, Roman też nie święty i swoje wady ma. Wygląda więc, że to ty zbijasz bąki w mieście. Jeśli społeczeństwo kształciło cię przez pięć lat, to widać jesteś potrzebny. Co za różnica — dziennikarz czy rolnik? Zawsze będziesz Andrijkiem Łytwynem. Oczywiście, że to komiczne i trochę niepoważne: z jednej strony — mieszkanie na piątym piętrze, superkomfort, z drugiej — marzenia o bielonych chatach, wiśniowych sadach i głębokich studzienkach. Jakby to było coś zupełnie nieosiągalnego. Jakby cię do tego miasta przykuli łańcuchem albo tuż za rogatkami wyrósł nagle nieprzebyty mur. Jednak trzeba pobłażać ludzkim słabostkom. Odwieczne złudzenie: wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma. O ileż łatwiej ulokować wszystkie cnoty, moralność, w ogóle całą tę sielanekę, nieco dalej od miejsca, gdzie człowiek jest aktualnie zameldowany. No proszę, znów zaczynam marudzić, że też bez tego ani rusz. Zresztą miasto w taki skwar jest naprawdę irytujące. Gdyby nie Łytwin, już dawno byłbym w domu. Teraz można jeszcze zajrzeć, co porabiają starzy kumple z redakcji. Taksówki i tak przed wieczorem nie znajdę. No i ta chandra może mi trochę minie.

Wszedłem na drugie piętro i zacząłem sunąć korytarzem, na który wychodziła olbrzymia ilość obitych dermą drzwi. W górze paliły się czerwone światełka pocięte w białe zebra liter. Z końca korytarza dolatywał monotony stukot, jakby zerowało tam stado dzięciołów: mieścił się tam dalekopis, a za nim — hala maszyn. W dziale wiejskim siedział Serhij, przed nim piętrzył się stos najnowszych gazet, ale on, rzecz jasna, pędził rajski żywot nad ukochaną „Piłką Nożną”.

— Nic się nie zmieniłeś — powiedziałem.

— No — przytaknął Serhij.

Przywitaliśmy się, jakbyśmy się wczoraj rozstali:

— Czołem!

— Cześć!

— Jak tam kijowskie Dynamo?

— Bomba! — z zachwytem odpowiedział Serhij.

— Widziałeś ten strzał Szabo, z lewej nogi, w piątej minucie drugiej połowy? Grali z moskiewskim Torpedem...

— Przedniej marki.

— A pamiętasz jeszcze ten mecz, chyba ze dwa lata temu, Pachtakor grał z...

Przy każdej okazji lubiłem sobie pożartować z jego piłkarskich namiętności. Serhij przywykł do tego i nigdy się nie obrażał. A może nie umiał się gniewać; w dziennikarskim światku krążyło mnóstwo anegdot o jego flegmatycznym usposobieniu.

— Masz urlop?

— No.

Niechący wyszło mi to jak przedrzeźnianie.

— Jedziesz do rodziny?

— Aha.

— Spotkałem dzisiaj w rejkomie waszego Romana. Zły jak pies.

— Znacie się? — Przyszło mi na myśl, że jeśli się pospieszę, zdążę jeszcze złapać Romana i problem, jak się dostać do domu będę miał z głowy. Ale w związku z porannymi rozmyślaniami interesowało mnie bardzo, co też inni mówią o naszych sprawach. — Byłeś może w mojej wsi?

— No. Jeszcze w zimie jakiś diabeł przysłał anonim. Pojechaliśmy sprawdzić. Słowo daję, rzadko można spotkać przewodniczącego, żeby miał taki autorytet. Zresztą nawet nie w tym rzecz, po prostu ludzie go lubią i naprawdę szanują. W dodatku taki młodziak. Przyjechałem z rana, rozmawiałem z członkami partii, z kołchoźnikami, których w liście wymieniono po nazwisku. Pod wieczór we wsi wrzało. Rozeszły się ploty, że ktoś niesłusznie na niego doniósł i że zaraz jak wyjadę, zjawi się komisja, która go zdejmie. Ludzie przed czasem rzucali robotę i gromadzili się przed klubem. Nikt ich do tego nie zmuszał. Zbierali się spontanicznie, pełna improwizacja, prawie mityng. Roman był gdzieś daleko, na łąkach; przyjechał, kiedy zebranie już się rozpoczęło. Gadałem z nim po-

przedniej nocy. Postanowiliśmy, że odczytamy anonim publicznie. Trzeźwo, nie dając się ponieść emocji, poszufladkowaliśmy wszystko: gdzie kłamstwa, gdzie prawda. Roman faktycznie przekraczał niektóre przepisy, ale sam wiesz, ile ich jest i jak człowiek musi lawirować, prowadząc takie gospodarstwo. Tutaj nie to zasiałeś, tam nie to sprzedałeś. W każdym razie wszystkie ekonomiczne kombinacje Romana były całkowicie zgodne z prawem, ba, teraz wręcz zachęca się ludzi do samodzielności. W końcu nie zrobił tego dla siebie. Po pewnym czasie zauważyłem, że piętnując autora anonimu, wszyscy patrzą w jeden kąt sali. Pod koniec zebrania z tego kąta podrywa się jakiś facet, nawet niczego sobie, z wąsikiem. Oczki rozbiegane, ton kłótniwy, pełen urazy, tyle że to wszystko jakby na pokaz: „To nie ja pisałem! Skąd wiecie, że to ja?” — i dalej przepychać się do wyjścia. „Na złodzieju czapka gore” — szepnął sekretarz POP-u. Sala w ryk. Ale nie było im do śmiechu, o nie. Rozstąpili się, szpaler się zrobił, głowa przy głowie, do samych drzwi. Krytyczna sytuacja. Na drugi dzień porównaliśmy charakter pisma. To on wysłał ten anonim.

— Łytwyn?

— No.

— Stary był czy młody?

— Koło czterdziestki, może z małym hakiem.

— Nie pamiętasz, jak miał na imię?

— Trudno wszystko spamiętać. Mówili, że po wojnie przez jakiś czas kierował kołchozem, ale przyłapali go na kradzieży. A czemu cię to tak interesuje?

— Tak sobie. Bądź co bądź rodzinne strony...

Można to komu wytłumaczyć, jak człowiek sam nie bardzo rozumie?

— A może to jaki twój krewniak? — zmieszał się Serhij.

— Skądże — roześmiałem się niemal szczerze. — U nas co trzeci facet to Łytwyn.

— Pozdrów Romana.

— Dzięki. No to cześć. Następnym razem, jak się znów spotkamy, pewnie będziesz znał na pamięć składy wszystkich najlepszych drużyn świata?

— Teraz też mógłbym ci je wyliczyć. Trzymaj się.

Siorbaliśmy rybną zupę, grzechocząc drewnianymi łyżkami,



które dziadek przyniósł z chaty. Ognisko dogasało, strzelając iskrami, ogień dobywał z mroku tylko twarze i dłonie; opróżnione flaszki mieniły się różowo. Nad głowami wisiało czarne niebo, gwiazdy błyszczwały, jakby ktoś tam w górze oskrobał srebrzystego karpia i nie zdążył pozamiatać łusek. Naszą zdobycz sprawiliśmy w krzakach. Ostapycz jeszcze przyprószył to miejsce trawą, żeby nie rzucało się w oczy.

— Właściwie to zakazu nie ma, ale trafi się czasem przydybać nieuświadomiony element na gorącym uczynku. Patrzysz — znajomek, z sąsiedniej zagrody. Po co mają potem palcami wytykać: proszę, a temu to wolno...

Stepowy był w znakomitym humorze. I choć raz po raz powtarzał, że to tylko świeże powietrze tak na niego działa, powód tkwił także w liczbie opróżnionych butelek. Stróż po naleweczce na kurzym ziele dał się ugłaskać i przestał demonstracyjnie podkreślać swój oficjalny status. Agaj ułożył się z głową na przednich łapach i nieprzyjaznym okiem lypał na nas z ciemności. W stawach leniwie pluskały ryby. Mykoła i Ostapycz, wykazując dużą znajomość rzeczy, wiedli dyskurs na temat ludowych potraw z ryb. Ja i kierowca przysłuchiwaliśmy się w milczeniu; w tej materii nie bardzo byliśmy oblatani.

— Tylko nie wspominajcie mnie źle — martwił się dziadek, któremu przypomniało się widać niezbyt gościnne powitanie. — Ani Sydora Panasycza, a to grzech byście mieli. Obaj my zawsze radzi dobrym ludziom, ale za dość już tych gości najeżdża. I każdemu daj karpika albo i dwa. Urosnąć nie nadszają. A i kołchoźnicy się boczą: czy to nasz obowiązek, powiadają, karmić rybą wszystkich, co mają protekcję? Sydor Panasycz między młotem i kowadłem. Wprosi się jakiś wazniak — nie poczęstujesz, to i przypomni sobie kiedy nie trzeba. A trafiają się różni, sami wiecie. Leżą jak szarańcza. Przychodzi kiedyś do mnie Hryhoruk, całkiem szary na twarzy. Zapaliliśmy, a on wzdycha ciężko i powiada: „Nie wymigasz się, Ostapyczu. Będę ci ich posyłał, a ty goń do wszystkich diabłów, że niby polecenie masz takie...” No i tak robię. A kiedy jeszcze w gazetach nas opisali, nie ma dnia, żeby ktoś z Kijowa nie przyjechał — doświadczenia zdobywać. Zwłaszcza jeden to tak do nas ciągnie jak kot do szperki. Dyrektor zjednoczenia mleczarskiego czy jakiegoś inszego kombinatu, trudno się połapać w tych obecnych hierarchiach. Nazywa się Neczyporenko... możecie słyszeli? Dla kołchozu

przydatny, biadoli Hryhoruk, nie opędzisz się. No i w każdą sobotę Neczyporenko sam sobie do nas delegację wypisuje..

— Ależ to temat na felieton! — wykrzyknął Stepowy i podniósł kieliszek. — Zdrowie ludu, który jest natchnieniem artystów.

— Opisałibyście go? — w głosie dziadka zabrzmiała apro-bata. — Nijak przed nim uciec — dodał wychylając resztę nalewki. — Może i mnie lżej by było stróżować.

— Opiszemy, Ostapyczu, opiszemy, nie ma obawy — zapalił się Mykoła. — Któż, jak nie my, powinien stanąć w obro-nie społecznego dobra? Masz notes, Andrijku? Głupie pyta-nie, oczywiście że masz, który pismak rusza w drogę bez notesu? Zapisz, Neczyporenko, dyrektor zjednoczenia, znam go jak zły szeląg, pojutrze sobota, sprawdzimy, jeśli znów się pojawi, zbierzemy dane o delegacjach i za dwa tygodnie, Ostapyczu, czytajcie felieton. Bo my, Ostapyczu, rycerze praw-dy. Będziemy działać. W ogień i wodę za matkę-prawdę. Andrij wie, ile siniaków zarobił Mykoła Stepowy w ciągu swojego dziennikarskiego życia. Bo nie milczał, gdy szło o sprawy wielkie, społeczne.

Jeszcze w samochodzie, w drodze powrotnej, Stepowy nie mógł się uspokoić. Było bardzo pięknie, nawet trochę maje-statycznie. Noc głęboka, droga pusta, na moment wylaniające się z clemności białawe odziomki wierzb, daleko na horyzon-cie luna miejskich świateł. Mykoła wymachiwał rękami i co chwila zwracał się ku mnie podniecony:

— No, Andrijku, rąbnijemy. Podpiszemy obydwaj. Już my im damy popalić.

Powoli i mnie udzielał się jego zapal. Rzeczywiście, trzeba napisać. Zrobi się trochę szumu, to jasne, ale fakty mówią same za siebie. Cały kraj sobie poczyta.

— Rąbnijemy, Mykoło... Zadzwonię do ciebie jutro.

Wróciliśmy do Kijowa w bojowym nastroju.

Jazda dusznym autobusem nie bardzo mi się uśmiechała, ale bałem się spóźnić. Śmierdziało rozgrzaną gumą. Lawirując między torbami z mlekiem, rzodkiewką i zieleniną, przycisną-łem się do otwartego okna. Ale autobus ledwie pełzał, wpa-dające przez okno powietrze było gorące i suche. Podąłem niemłodej konduktorce piąta. Dostałem w zamian wilgotny od potu bilet.

Chyba tylko raz w życiu było mi równie gorąco. Zaraz po wojnie kolchozowe zebrania odbywały się w korytarzu naszej szkoły. My, chłopaki, nurkowaliśmy w tłumie szyneli, waczków, kozuchów. Raz po raz stając na palcach i wyciągając w górę krągłe jak grzybki łepetyny, w których świeciły ciekawskie, pożądliwe oczy, przepychaliśmy się w kierunku stołu prezydiального. Nadchodzi chwila, która sprawia, że ciarki przelatują nam po grzbiecie. Zza stołu podnosi się Wasyl Sofronycz i zgiętymi palcami obu rąk stuka w poplamioną atramentem dyktę, uciszając zebranych:

— Towarzysze kolchoźnicy: My... ja... postanowiliśmy zwołać dzisiaj zebranie spółdzielców.

Oczekiwał chwilę, usiłując zaczepnym spojrzeniem przeniknąć zadymioną ciemność korytarza, potem uroczyście wyciągał z kieszeni pistolet i kładł go pośrodku stołu na księdze kasowej.

— Zebranie uważam za otwarte...

Spotykałem później wielu aktorów, sam także znam trochę ten fach. Ale Wasyl Sofronycz nie miał sobie równych. Natura obdarzyła go wielkim talentem, z którego, co ciekawsze, nawet nie zdawał sobie sprawy. Nie robił przedstawienia jak zawodowi aktorzy, którzy obliczają każdy ruch. Po prostu był sobą. Ale cały świat traktował jak scenę. Uświadamiał to sobie z rzadka i na krótko, ale wtedy naprawdę było na co popatrzeć. Kochał zebrania i organizował je z pasją, nie tylko jako przewodniczący wiejskiej rady, ale także wyręczając syna, który w owym czasie był przewodniczącym kolchozu. Swego czasu sporo myślałem o scenie z pistoletem. W wykonaniu Łytwyny epizod ten nabierał szczególnego, niemal symbolicznego znaczenia. Podsunąwszy pistolet ludziom pod oczy, Łytwyn zstępował z piedestału, na chwilę zniżał się do ogólnego poziomu, rzekłbyś, dawał do zrozumienia: występujcie, krytykujcie, teraz wszyscy jesteśmy równi. Ale niech tylko skończy się zebranie, koniec z równością, pistolet wróci do mojej kieszeni, a wtedy miejcie się na baczności. W owych chwilach wprost rozpierała go duma: jaki to on demokratyczny, jaki bezpośredni! Jakie trzeba mieć poczucie wyższości wobec innych, aby iluzja chwilowego zrównania mogła dać tyle wewnętrznej satysfakcji! A my, chłopaki, ledwie wytknąwszy czubek nosa znad krawędzi stołu, pożądliwymi oczyma pieściliśmy zimny, czarny kształt, jakby przeczuwając, jak niedługo już jego właściciel będzie mógł się nim cieszyć

i jak bezpowrotnie odchodzi w przeszłość trudna, okrutna, ale pełna romantyzmu powojenna era furazerek i pistoletów, karabinów i Łytwynów.

Pod koniec bałaganiarstwo i chaotycznie prowadzonego zebrania, głęboką nocą, Wasyl Sofronycz wygłaszał tasiemcowe podsumowanie, w którym nie tylko zadziwiająco przenikliwie analizował przeszłość, ale wznosił także podwaliny przyszłego tysiąclecia. (O, te naiwno-patetyczne oracje chłopków, którzy na podobieństwo Atlasa poczuli na swoich barkach ciężar nieba! Trzeba je było spisywać i zachować dla potomności. Historia się nie powtarza).

Politycznym improwizacjom Łytwyna mogły u nas dorównać tylko wystąpienia Karusia. Ale styl był już nie ten, więc i miarę przykładano do nich nie tę samą. Do ostatnich swoich chwil Karuś na każdym zebraniu wygłaszał długie płomienne agitki, w których nie tylko siarczyście gromił każdą babę, która wzięła z pola choćby jednego buraka (Karuś był dożywotnim strażnikiem kolchozowych upraw), lecz także z zapalem analizował sytuację międzynarodową, obrzucając obelgami wszystkich, których wówczas lżyć należało. Jako jedyny we wsi prenumerował aż dwie gazety. W samotne wieczory studiował je z uwagą; dużo bym dzisiaj dał, żeby wiedzieć, o czym też myślał, siedząc obok nadpalonych wrót swojego obejścia. Tylko raz, pewnego wieczoru, kiedy wracałem z pola dźwigając kosz mleczu, odczytał mi kilkuwierszowy opis jakiegoś rządowego bankietu i wlepił jedno oko w moje bose, popękane stopy:

— Musi co nie naszą siwuchę tam spijali, ale same koniaczki, jak myślisz?

Nic nie myślałem, nie miałem nawet pojęcia, jak się spija koniaczki i skoro tylko Karuś odwrócił wzrok, jakby zdejmując z moich nóg stupudowy ciężar, wziąłem koszyk i odszedłem. Ale dziś domyślam się, że Karuś także musiał przepadać za oliwkami...

Bez względu na to czy Łytwyn mi się podoba, czy nie, muszę przyznać, że jego zainteresowania były rozległe i że szczerze dążył naprzód, nie oglądając się na stan ludzkiej świadomości. Nieładnie kpić z człowieka niepiśmiennego, który w pewnej chwili ujął ster, bo po prostu nie miał kto tego zrobić. Mimo to chcę jednak przytoczyć charakterystyczne dla niego zakończenie przemówienia, aby jeszcze raz podkreślić, iż była to natura szczerą i skłonna do uniesień.

— Towarzysze kołchoźnicy! Otóż postanowione: jeśli wszyscy będą pracowali tak, jak (tu, zależnie od sytuacji, padały rozmaite nazwiska), to zbudujemy nie tylko świetlaną przyszłość, ale i... (Wasył Sofronycz wychylał się przez stół, jakby dokąś szybował czy biegł i nie mógł się zatrzymać, jakby chciał zajrzeć za kurtynę przyszłych epok) ale i coś więcej, towarzysze!...

Już i wagowym dawno być przestał, a we wsi wciąż jeszcze powtarzano owo słynne „i coś więcej”. Skorzystał z tego Roman: pierwsze zebranie, na którym wystąpił w nowej roli, podsumował najkrótszym przemówieniem, jakie kiedykolwiek wygłosił przewodniczący kołchozu:

— Znamy się niejednym razem, wy mnie znacie i ja was znam. Jeśli będziemy pracować tak, jak dotychczas, zbudujemy najwyższą „i coś więcej”, ale świetlanej przyszłości nie zbudujemy. Radzę się nad tym zastanowić, jutro spotkamy się każdy w swojej brygadzie. Dobranoc...

Kiedyś wspomniałem Romanowi ten ironiczny cytat. Idealizuję? Możliwe. Ale nikt nie może mi zabronić, żebym w tym tradycyjnym powiedzonku Wasyla Sofronycza widział jednak coś więcej niż bełkot nieuka. Choć naiwny i toporny (dzięk Bogu, my, młodzi, z uniwersyteckimi dyplomami, nauczyliśmy się starannie dobierać słowa), mimo wszystko był to wzlot budzącej się duszy ku czemuś, co jeszcze nie znane, ale co już wabi i pociąga.

Wiele wybaczyłem Łytwynowi za ten młodzieńczy zapal i jeszcze wiele wybaczę. Jednego tylko nigdy mu nie daruję.

Zaczynało się to natychmiast po podsumowaniu. Wasył Sofronycz wychodził na ganek, zakładał ręce do tyłu i wołał w mokrą jesienną noc:

— Przepiórka! Gdzie nasza cugowa klacz?

— Je! — dolatywał spod słomianej strzechy głos Przepiórki, starucha kontuzjowanego jeszcze podczas pierwszej imperialistycznej. — Zara będzie!

Skrzypiały wrota stajni. Ochrypiły dziadkowy wrzask: „Pówóz, ruszaj!” powodował, że na chłopskich twarzach pojawiały się z trudem ukrywane uśmieški. Zdobytna taratajka (od kół do hołobli wszystko w niej brzęczało i klekotało) podjeżdżała pod ganek. Łytwyny padały na wygniecione, skrzypiące siedzenie, dziadek Przepiórka krzyczał: „Naprzód!” i spasiona cugowa kobyła, którą jeździł tylko Wasył Sofronycz i jego

syn, kiedy jeszcze był przewodniczącym kołchozu, zaczynała leniwie człapać grząską, błotnistą drogą.

Kiedy był w dobrym humorze, Wasyl Sofronycz proponował, że mnie podwiezie. Sadowiłem się na wonnej koniczynie, świat zaczynał się chwiać, kołysać, aż wreszcie jego znany, powszedni kształt z wolna się rozplywał; otaczały mnie już tylko dźwięki, dalekie i bliskie, trochę nierealne, jakby taratajka żeglowała przez czarny sen. Od strony Gończego Przysiółka niesło się ujadanie psów, u stóp wzgórza poskrzypywał studzienny żuraw; najważniejsze jednak, że błotnista maź mieszana nogami mijanych kołchoźników mlaskała, chlupała, bulgotała, ciapała, wyklinała do wszystkich diabłów i takich maci. Zagrzebanemu w pachnącym gniazdku, dźwięki te zdawały się tak zimne i odpychające, że — mimo woli porównując pasażerów bryczuszki z tymi, co pieszo, w ciemności i błocie muszą brnąć do domu — myślałem: jak to dobrze być przewodniczącym albo choćby sąsiadem przewodniczącego i wracać do domu własną cugową kobyłą...

Przed chatą, nie chcąc budzić matki, podskakiwałem sobie na ganku, czekając aż nadejdzie ojciec.

Wracał wreszcie, obłocony, zmordowany.

— Aha — oznajmiałem z dumą, podczas gdy ojciec chrobetał w zamku drewnianym kluczem — a ja z Łytwynami na taratajce przyjechałem...

— Oliwek ci się zachciało! Wcześniej zaczynasz — uśmiechając się niewesoło mówił ojciec. — Staraj się, staraj, może także jakim kierownikiem zostaniesz. Będę miał pomoc i oparcie na stare lata.

Ozłopawszy się gęstego, jesiennego mleka, do którego dostawało się okrawek chleba, układałem się na piecu jak najbliżej komina i pogrążałem w długich rozmyślaniach o życiu, a noc z czarnoskrzydłymi chmurami płynęła nie wiadomo dokąd. Nie miałem pojęcia, co to za oliwki, o których z taką pogardą mówi ojciec, ale pamiętałem, iż na papierosy także wybrzydzał, a jakaż to była frajda, kiedy kucnąwszy za kudłatym berberyssem mogłem się sztachnąć piekącym dymem skręta. Na pewno i oliwki są smaczniejsze niż ojciec myśli — kombinowałem — poza tym każdy głupol wie przecież, że przyjemniej jest jeździć, niż chodzić piechotą...

I właśnie tego, że takie myśli w ogóle mogły przyjść mi do głowy, nie mogę wybaczyć Wasylowi Sofronyczowi Łytwynowi.

Przez cały następny dzień rozmyślałem nad felietonem. W sobotę, zaraz po przyjeździe do pracy, zadzwoniłem do Stepowego. Nie było go. Sekretarka oznajmiła, że Mykoła Hnatowycz jest na zebraniu i jeśli w ogóle zjawi się w redakcji, to chyba dopiero pod wieczór. Miałem trochę czasu, poprosiłem szefa o samochód i pojechałem do zjednoczenia mleczarskiego. Dyrektor nie przyjmował. Pokazałem legitymację prasową i zostałem wpuszczony.

— Cieszę się, że was widzę, towarzyszu. Nieczęsto do nas zaglądacie, niewiele mamy wielkich osiągnięć, ot, szarzyzna, niedostrzegalna z zewnątrz żmudna praca — narzekał Neczyporenko, szukając czegoś w sporej teczce (od razu widać, że import, czasem można takie trafić w „Syntetyce”... jak on ją dostał?... pakowna, prawie walizka). — Mam tylko pięć minut czasu, dane liczbowe są w dziale planowania, zaraz wyjeżdżam na delegację, w teren, bliżej was, można by rzec...

— Może do Hryhoruka? — spytałem najprzyjaźniej jak umiem.

— Już was poinformowano? Tak, tak, do Hryhoruka. Wzorowe gospodarstwo. Chcemy poszerzać doświadczenia, można by rzec, podnosić ogólny poziom...

Odstawiwszy dyrektora do samochodu, sekretarka udostępniła mi rejestr delegacji. Prawie od miesiąca, odkąd zrobiło się ciepło, Neczyporenko co sobota jeździł do Hryhoruka „poszerzać doświadczenia”.

— Chciałbym napisać o waszym szefie trochę inaczej, jakoś tak ciepło, po ludzku. Bardzo proszę, kilka słów o tym, co lubi. Słyszałem, że to wielki amator ryb? — spytałem.

— Już wam mówił o karpikach? Semen Hawryłowycz przepada za nimi. Latem zeszłego roku obchodziliśmy jego pięćdziesiąte urodziny. Od kolegów dostał ogromny tort w kształcie karpia. Robiony na specjalne zamówienie. Semena Hawryłowicza tak to wzruszyło, że aż się popłakał.

Stepowy faktycznie zjawił się w redakcji dopiero pod wieczór. Wpadł jak po ogień. Rozmawiał ze mną w pośpiechu, podpisując jakieś materiały, które zaraz miały iść do druku.

— No i jak ci się podobało? Kiedy w tym kołowrocie wspomni mi się jak siedzieliśmy sobie przy ognisku, jeszcze teraz czuję, jak mi się robi ciepło na sercu. A ta zupa! Niebo w gębie... Ja, grzeszny, lubię sobie smacznie podjeść, szczególnie jakiejś prostej ludowej strawy...

— Fakty potwierdzają się w całej rozciągłości, Mykoło. — Już dawno z takim zapalem nie wskakiwałem w zwykłą redakcyjną orkę. — Właśnie przed chwilą miałem zaszczyt osobiście wyekspediować Neczyporenkę na karpiki. Jutro możemy siadać i pisać.

— A ty znów o czym? Aha, Neczyporenko... — jakoś bez entuzjazmu, przeciągając słowa powiedział Stepowy. — Ależ ty masz pamięć. A mnie przez ten wieczny młyn wszystko z głowy wylatuje. Słuchaj, stary, nie można tak na łapu-capu. Teraz mam pilniejsze rzeczy na głowie. Może byśmy spotkali się pod koniec przyszłego tygodnia, wtedy pogadamy. Ale weź pod uwagę, że felieton to nie moja branża, specjalizuję się raczej w większych szkicach.

Przed bramą rejkomu drzemał zakurzony gazik. Zajrzałem przez szybę chcąc zobaczyć, kto siedzi w środku. Zawsze może się trafić znajomy. Za kierownicą tkwił jakiś młodzik z gęstą czupryną, o wystających kościach policzkowych. Na kolorowych kartkach otwartej książki leżały czarne zgrubiałe dłonie. Chyba póki żyję zawsze poznam krajana; może to kwestia jakichś nieuchwytnych cech, a może po prostu intuicja. Zawsze sprawiało mi to radość: a więc nie wszystkie więzy zostały zerwane, coś w człowieku żyje, daje o sobie znać. Ot, na przykład, idziesz stołeczną ulicą, mijają cię setki ludzi, od razu widać, że ze wsi. Nie zwracasz uwagi na nikogo i ni stąd, ni zowąd zaczepiasz jakiegoś chłopca: „Czy wy nie z Kowczyna?” „Z Kowczyna — odpowiada zmieszany, po dłuższej chwili. — A bo co?” „Toć ja Andrijko, syn Semena Łytwyna, nie przypominacie sobie?” „Aha... Witaj! Dzień dobry...”

— Dzień dobry — skinąłem niezdecydowanie głową. — Drzemkę sobie ucinamy?

— Jak się masz, Andriju — spokojnie, bez śladu zdziwienia odpowiada młodzik. — Chrapnąłbym sobie, czemu nie, ale nie ma kiedy. Jesienią wybieram się na zaoczny, na mechanizację. Póki szefowie na naradzie, wkuwam.

— Chwali się — mówię z pobłażliwą wyższością, stawiając walizeczkę na stopniu samochodu. Gorączkowo szukam w pamięci: kto to może być? Chłopak na oko ze siedem lat młodszy ode mnie, chodził chyba do trzeciej klasy, kiedy wyjechałem ze wsi, można to wszystko spamiętać?... — Prędko wracasz do naszego Kowczynogrodu?



— Tylko skończą Romanowi głowę zmywać i zaraz tu-tu. Żniwa na karku, nie ma czasu szaleć. A ty ciągle w gazecie pracujesz?

— W gazecie.

— Ciężko tam u was?

— Skąd ci to przyszło do głowy?

— Tak sobie miarkuję...

— Wszędzie ciężko. A tobie lekko?

— Mnie ta bez różnicy. Szoferska robota — kółkiem kręcić.

— Podrzucisz mnie? — zmieniłem temat.

— Jak się nie boisz usmażyć, to włącz — szczeknął klamką; drzwiczki otworzyły się. — Roman zaraz wyjdzie, na dwunastą jest umówiony w bazie traktorów.

Bez namysłu dałem nura pod brezentowy dach i usadawiłem się z tyłu. Sprężyny jęknęły, z siedzenia uniosła się chmura kurzu. Żłociste pyłki zawirowały w wąskiej klindze słońca wpadającego przez boczne okienko.

— Za jakież to grzechy Romanowi głowę zmywają?

— Wciąż przez tego diabłego ministra bez teki, co chciałby się do rządów dorwać.

— Jakiego znowu ministra?

— Nie słyszałeś? Młodego Łytwyna, wołają go Ołeksij.

— A...

— Póki świniom kartofle gotował i na zootechnika się uczył, na wszystkich przewodniczących, co się z nim kumać nie chcieli, anonimy pisał. A teraz do zarządu poszedł: dajcie etat kierownika farmy albo zootechnika, bom uczony. W pysk by mu plunąć...

— A kiedyż to zdążył się tak wyuczyć?

— Jak się ożenił z nauczycielką, zaczął chodzić do wieczorówki. Kto wie, jak on tam zdawał, ale za osiem klas papierek dostał. Potem cztery lata zaocznego technikum, żona prace kontrolne pisała, no i macie — dyplomowany zootechnik Łytwyn...

— Popatrz, popatrz — zdziwiłem się szczerze. — Mocny charakter.

— Ho, ho...

— A Roman go nie chce?

Młodziak milczał chwilę.

— Ludzie nie chcą. A kierownictwo rejonu musi go gdzieś

upchnąć; specjalista. Sąsiednie kołchozy też nie chcą: tych Łytwynów już wszędzie znają. O, Roman biegniel!

Wcisnąłem się w kątek gazika, aby rozsierdzony przewodniczący nie nadział się wprost na mnie. Roman wprawdzie nie biegł, ale widać było, że jest zdenerwowany, zresztą normalnie też chodzi szybko i energicznie. W owej chwili był tak podobny do wujka Kyryla, że aż mi dech zaparło: niewysoki, tak samo białobrewy, o nerwowej, szczerzej twarzy. Brakowało tylko szynela i żołnierskiej czapki. Miał sandały na bosych nogach, był w wąskich spodniach i czarnej, satynowej koszuli z rozpiętym kołnierzem i zawiniętymi rękawami. Nie zaglądając do wnętrza auta, zatrzasnął drzwiczki, przygarbił się, oparł łokcie na kolanach i kilka razy przejechał ręką po opalonym karku, jakby rzeczywiście dopiero co zmywali mu głowę. Gazik chyżo minął ostatnie miejskie zabudowania i zakręcił w pole. Spod kół wzbijały się tumany żółtego kurzu. Roman nie podnosił głowy. Ja także nie kwapiłem się z powitaniem. Jego stroskana postać, zakurzony gazik, dłonie szofera oparte na kierownicy, dwa wąsate kłoski zatknięte nad przednią szybą sprawiały wrażenie czegoś bardzo rzeczywistego, namacalnego; spragniony konkrētu wdychałem go głęboko, upajałem się nim.

Mówcie sobie, co chcecie, ale łaknę konkretności. Gabinietowa egzystencja nie pozwala w pełni odczuwać prawdziwego życia. Człowiek tęskni do ostrych zapachów, świeżych barw, zdecydowanych gestów, a przede wszystkim — namacalnych wyników pracy. Nienasycona płachta gazety pożera myśli, słowa, nawet ruchy. Kiedy rano goniec przynosi jeszcze pachnące farbą odbitki, sam siebie usiłujesz przekonać, że cały twój umysłowy i fizyczny wysiłek ostatnich dwu dni jest właśnie na tym szarym, równo zabronowanym papierowym polu. Daremny trud. Aby w to uwierzyć, musiałbyś zobaczyć cały kraj usiany kioskami, witrynami, czytelniami, zobaczyć co najmniej milion oczu, pochłaniających ziarno, które zasiałeś, by weszło w ludzkich sercach (wybaczcie ten gazetowy styl). Bo my, dziennikarze, przeważnie tylko siejemy nie oglądając tego, co wykiełkuje. Może dlatego godzinami potrafię sterczeć w drukarni przy maszynie rotacyjnej, rozkoszując się widokiem spływającej z walców białej rzeki. Może dlatego, kiedy spieszę do pracy, mam ochotę uściskać każdego przechodnia, który trzyma w ręku „moją” gazetę.

Zazdroszczę rzeźbiarzom. Zazdroszczę Romanowi. Rzeźbiarz

zawsze zмага się z konkretną materią. Roman zawsze ma do czynienia z prawdziwymi ludzkimi namiętnościami.

— Cześć, sławny rolniku. Pozdrowienia od kijowskiej inteligencji pracującej.

— A, prasal — obejrzał się Kyryłowicz; niespodziewanie ujrzałem przed sobą jego roześmiane oczy. (Takie oczy widziałem tylko raz — u wujka Kyryła, Romanowego ojca. Owe wiosny długo nie było deszczu i raptem w połowie maja lunął, oczekiwany, obfity, ciepły. Kyryło Łytwyn stał na ganku i nie bacząc na gęste krople, drżącymi palcami zwiżał wilgotnego skręta...) — Wciąż te same szablon? Cześć, Andriju. Może napisałbyś coś o tym. E, tak czy siak nie napiszesz... Co nowego w Kijowie?

— Wszyscy zalatani...

— A tyś się zdecydował — bliżej mas?

— Bliżej rodziców.

— Mówiąc obrazowo, szukamy śladów swoich bosych stóp? „Gdzieś tu dzieciństwo swe zostawiłem, lecz gdzie to miejsce? Nie natrafiłem, i dalej błądzę...”

— Ależ z ciebie złośliwiec.

— Jeden zero dla mnie.

Żadne nasze spotkanie nie mogło się obejść bez takich przepychanek.

— Powiedz lepiej, czemu moich starych krzywdzisz?

Roman milczał. Być może nie dosłyszał. Spojrzałem na przeciwsłoneczną osłonę, w której jak w jesiennej wodzie odbijała się chybotliwie jego szara twarz, zamyślona, pełna energii, zdecydowana. Tylko jedną taką twarz widziałem w życiu — wujka Kyryła.

Pamiętam wszystko, jakby to było nie dwadzieścia lat temu, ale wczoraj. Przywarliśmy do szpary w Karusiowym płocie i patrzyliśmy wstrzymując oddech. Mijał drugi tydzień, jak Karusiowa potęga legła w gruzach. Przyłapany przez wujka Kyryła na gorącym uczynku, kiedy wioził do domu słomę z wymłóconego owsa, stracił i dochodową posadę, i konia, i śrutówkę. Teraz obaj stali naprzeciw siebie: ogromny, jednooki Karuś, okutany w kozuch, i wyglądający przy nim jak chłopaczek wujek Kyryło w podszytym marcowym wiatrem szyneliku.

— Oddaj wóz — powiedział glucho wujek Kyryło.

— Kołchoz mi go nie dawał — wyszczerzył zęby Karuś, ale w tym grymasie więcej było złości niż śmiechu. — To już

sprawa mojego uświadomienia. Zechcę, to podaruję, budujcie, jak wy to nazywacie, świetlaną przyszłość. A zechcę, na drwa porąbię...

(Wóz był własnością kołchozu, Karus zwędził go, zanim przyszli Niemcy. Matka opowiadała, że biegał wtedy po wsi i wołał: „Rozdzielajcie wspólne, koniec ze wspólnotą!”)

Kyryło rzucił się do szopy. Zanim zdążyliśmy mrugnąć, pchnięte dyszlem drewniane wrota otwały się na oścież i przewodniczący kołchozu, zgięty wpół, wyciągnął wóz na ulicę. Jeszcze dziś widzę jego stwardniałe ręce z sinymi powtrozami żył, nabrzmiałą wysiłkiem twarz, pokryte kroplami potu czoło, szalone, uparte oczy. Oniemiały Karus patrzył za oddalającym się wozem. Zrobiło się nam jakoś strasznie, jakby nasze dziecinne dusze poczuły słonawy zapach krwi, która niebawem miała się przelać. Rzuciliśmy się śladem kół, chrzęszczących po zamarzniętych kałużach, słabymi palcami uczepiliśmy się hołobli, chcąc pomóc wujkowi Kyryle...

— Wspomniałeś o twoich starych. Zawiniłem, przyznaję. Pospędzałem dziadków z łąki i osobiście, tym gazikiem, porozwoziłem do domów. Przeklęte przepisy. Nie odrobisz — siana nie dostaniesz. Człowiek ledwie nogami powłóczy, a na stóg lezie. Chudoba musi jakoś przezimować. Zajeżdżam na łąkę, patrzę, a Mykoła Podpalacz wysoko na stogu widłami po wiązkę siana sięga i aż się chwieje, bo wiatr duży. Gorzko mi się zrobiło. Cóż z nas za przewodniczący, myślę, skoro nie potrafimy tym ludziom zapewnić spokojnej starości. I jeszcze w gazetach wypisujemy: siedemdziesięcioletni Mykyta pracował w swoim kołchozie sto dniówek. Przecież temu Mykycie już setna skóra na odciskach złazi, ale wnuczka na plaży się opala... Zarząd wniosek poparł, postanowiliśmy emerytom przydzielać siano bez odrobku.

— A cóż to za „matadora” im obiecałeś?

Chłopak przy kierownicy parsknął śmiechem.

— Podciągamy kulturę — odciął się Roman. — Kazałem kupić domino i ustawić stół, a kierownikowi klubu — wyuczyć starsuszków znakomitej sztuki „matadora”. W perspektywie — drużynowy turniej emerytów Kowczyzna i Kijowa...

— Cóż za chodząca kolekcja pozytywnych cech, no, no. Wprost nie do wiary.

— Na dację ci brakuje? Chcesz dorobić?

— O lakiernictwo oskarżają.

— No to wymieszaj z czymś ciemniejszym. Ile procent sa-

dzy zaleca się teraz w waszych receptach na literaturę? Chcesz, dorzucę ci trochę negatywów. Nie bój się, starczy na całą powieść. Ale nic za frajer, procent od wierszówki leci...

Stanowczo oduczyliśmy się rozmawiać poważnie. A może nigdy nie umieliśmy?

— Słuchaj, po tym, jak mnie załatwił Łytwyn, niestraszna mi już żadna krytyka.

— Łytwyn? Nic mi nie wspominałeś...

— Czyżby? — zdziwiłem się. — Zdawało mi się, że już całemu światu zdążyłem to opowiedzieć.

Faktycznie. W swoim gronie, samych dziennikarzy, siadałiśmy czasem nad filiżanką kawy lub kieliszkiem czegoś mocniejszego w kawiarni, restauracji czy na czwartym piętrze prasowego kombinatu, patrząc przez okno na tłum kłębiący się przy wejściu do metra. Lubilem wtedy opowiadać, jakie cięgi zebrałem od krytyków za swój debiut. Cała ta śmieszna sprawa, ów wiejski chłopak, któremu lokalna gazeta wydrukowała pierwszy wiersz, postać Wasyla Sofronycza na tle obwieszzonego chomątami magazynu — wszystko to ogromnie kontrastowało z moją obecną pracą, ubiorem, wyglądem intelektualisty. Słuchaczom musiały się narzucać porównania; z ich wesołych oczu można było wyczytać niejasno uświadamianą myśl: „Popatrz, popatrz, takie to wtedy było niby nic, a dziś...” Zapewne przyciemniam teraz nieco swój świetlany wizerunek, ale nie ulega wątpliwości, że kiedy o tym opowiadałem, taka sceneria była mi bardzo na rękę. Ale dzisiaj, zwłaszcza po tym osobliwym poranku, nie miałem ochoty na te wspominki. Nie dlatego, żebym się nagle zmienił, odrodził, jak w sztamowym powieścidle; byłoby to śmieszne, a ponadto po cóż miałbym się tu zgrywać. Po prostu byłem bogatszy o kilka nowych przemyśleń i nowych wrażeń. A może i nastrój nie ten: nie można wiecznie błaznować. Aby was jednak nie intrygować, streszczę krótko tę historię, chociaż Romana nią nie uszczęśliwiłem, obiecując, że go oświecę przy najbliższej okazji.

Wycierałem jeszcze portkami ławę ósmej klasy, gdy zdarzyła się owa rzecz, która miała zaważyć na losach literatury: w lokalnej gazecie ukazał się mój wiersz. U dołu stało jak wół: „Andrij Łytwyn — dużymi literami — i: uczeń ósmej klasy szkoły średniej w Kowczynie” — drobniejszym drukiem. Oczywiście, domyślacie się, że dziś nie miałbym już odwagi nazwać tego utworu klasycznym.

## BRZÓZKA

*Dokoła mroźna noc się skrzy  
I wiatrów wyje sfora,  
Jak wiotkie dziewczę brzózka tkwi  
W miedzy śnieżnego pola.*

*Strwożone witki szarpie wiatr,  
Pień trzeszczy w zimy kleszczach,  
W gałęziach szept: Pamiętasz czas  
Słoneczny lata, jeszcze?*

*Otóż i wiosna leci wraz  
Na skrzydłach wiatrów południowych,  
Wstydliwie dziewczę kryje twarz  
Przed wzrokiem niw zielonych.*

*I kryształowe krople łez  
Po białej płyną korze.  
Dotrwałaś, brzózko, chwili tej,  
Na wiosny niebie — zorzy.*

— Ale dwanaście lat temu nie zamieniłbym tego na całą poezję świata. W ogóle tylko dwa razy w życiu cieszyłem się naprawdę: — kiedy wydrukowano „Brzózkę” i gdy urodził mi się syn. Wystraszyłem listonosza i puściłem się pędem przez wieś, wymachując gazetą jak sztandarem, wznosząc jakieś bezsensowne, triumfalne okrzyki. Tyle razy odczytywałem swój utwór, że zapamiętałem każdą literkę, śniły mi się w nocy: zmienne jak w kalejdoskopie sploty niemych hieroglifów. Rano obudziłem się głęboko przeświadczony o własnej ważności. Nawet łyżkę z zupą niosłem do ust inaczej niż zawsze, a serce rozsadzał mi zachwyt nad sobą. Nie bez żalu pomyślałem, że koniec ze swawolnym hasaniem po polach; młodość minęła bezpowrotnie: wieś prenumeruje z setką gazet i w tej chwili już wszyscy, od niemowlęcia do staruszka wiedzą, że Andrij Łytwyn jest poetą. Uważając, żeby mnie ojciec nie zobaczył, prześliznąłem się do ogrodu i przećwiczyłem nowy sposób chodzenia. Szło nieźle, ale posuwałem się zbyt wolno. Musiałem wyglądać jak prowincjonalny aktor, którego niespodziewanie zaproszono na pałacowe pokoje.

Przyrzekłem, że opowieść będzie krótka; tyle już napisałem,

a historia nawet się jeszcze nie zaczęła. Nic nie poradzę, bardzo lubię te wspomnienia, nawet jeszcze dzisiaj. I chyba trochę rozjaśniają wam one mój wizerunek z tamtych lat. Ale teraz postaram się już ściśle relacjonować fakty.

Otóż po śniadaniu zjawia się dziewczyna i mówi, że brygadzysta wzywa mnie do siebie. Ale nie zaraz, tylko jak ludzie wyjadą w pole do roboty. Ten ostatni warunek nie bardzo mi się spodobał. Nie przemyślał Wasyl Sofronycz swojej decyzji: trzeba było natychmiast, kiedy wszyscy są jeszcze na majdanie. Wyobraziłem sobie morze głów, my z Wasylem Sofronyчем na wozie, przepraszam, na zaimprovizowanej scenie, Łytwyn ze wzruszeniem zwraca się do tłumu: „Towarzysze kołchoźnicy!” Nie, lepiej: „Towarzysze rolnicy! Przypadł mi w udziale zaszczyt powitania na naszej ziemi wielkiego (nie, na razie skromniej: młodego, utalentowanego) ukraińskiego poety Andrija Semenowycza Łytwyna...” (Burzliwe oklaski, owacje). Widocznie Wasyl Sofronycz chce najpierw nacieszyć się spotkaniem z poetą, a oficjalną część uroczystości odłożyć do jutra.

Nareszcie ostatni wóz zniknął za bramą. Ruszyłem w stronę magazynu swoim nowym, wyważonym krokiem. Od razu jednak zwątpiłem, czy posuwając się w ten sposób zdążę osiągnąć cel przed zachodem słońca. I gdy tylko w pobliżu nie było nikogo, podbiegałem truchtem, nadrabiając stracony czas. Na zasłany słomą dziedziniec wkroczyłem niczym dostojnik państwowy schodzący po trapie samolotu na dywan, wzdłuż którego przeży się kompania honorowa. Ale jakoś nie było słychać fanfar, nikt też nie spieszył z powitaniem. Po podwórzu wałęsało się kulawe źrebię. Łytwyn siedział w magazynie, zarzuciwszy kozuch na ramiona; słabował tego lata. Na stole leżała „moja” gazeta. Poprzez jedyne, matowe od końskiej śliny okienko sączył się mrok, przesiąknięty zapachem chomąt. Pośrodku izby szarzał niski taboret.

— Siadaj! — twardo, dobitnie powiedział Wasyl Sofronycz.

Teraz mogłem patrzeć na brygadzystę tylko zadzierając głowę do góry; nie było to z jego strony zbyt taktowne wobec jedyne go na przestrzeni wieków przedstawiciela miejscowej poezji. Stary milczał chwilę, następnie wsparł się o stół na wprost uniósł się z ławy, jakby szykując się do skoku.

— A ty co, kontrrewolucję propagujesz?

Nie będę opisywał, jak się nagle poczułem. To był pod-

stępny cios w sam dołek. Kto ma odrobinę wyobraźni, od razu mnie zrozumie.

— Jaką kontrrewolucję, wujku? Ja przecież o brzoźce... — z trudem zdobyłem się na żalną i anemiczną obronę.

— Znamy te brzoźki... Przyznaj się od razu, żebyśmy sobie nie musieli długo głowy zawracać...

— Przecież redaktor czytał, wujku. I mówił, że wszystko prawidłowo.

— Redaktorowi jeszcze się dobierzemy do skóry. Wszystko w swoim czasie. Na razie chcę usłyszeć, co ty masz do powiedzenia.

— Gdzie tu kontrrewolucja, wujku?

Łytwyn odkaslnął, popatrzył na mnie srogo, czy przypadkiem nie udaję naiwnego, wyciągnął z wewnętrznej kieszeni okulary w drucianej oprawie, chuchnął, przetarł je palcami, włożył na nos i dopiero wtedy — każdy jego ruch był niesłychanie uroczysty — zbliżył gazetę do oczu.

— „Dokoła mroźna noc się skrzy i wiatrów wyje sfora, jak wiotkie dziewczę brzoźka tkwi” — zaczął bezbarwnym, monotonnym głosem (jakże nienawidziłem teraz każdego swojego słowa, nawet owej chwili, gdy strzeliło mi do głowy przenieść je na papier!), Ale przy końcu pierwszej zwrotki głos Łytwyna stwardniał: „w miedzy śnieżnego pola...” Odkąd to na naszych polach są jakieś miedze? Do tyłu, znaczy się, ciągniesz? Przeciwn kolektywizacji gardłujesz? Ale to nie ostatni taki kwiatuśzek — złowieszco zasyczał Wasyl Sofronycz. — „Otóż i wiosna leci wraz, na skrzydłach wiatrów południowych, wstydliwie dziewczę kryje twarz przed okiem niw zielonych. I kryształowe krople łez po białej płyną korze...” Czy ty masz pojęcie, coś tu nawypisywał i co ci się za to patrzy. Znaczy się, zadem się od kołchozowych pól odwracasz i na dodatek łyż rzewne wylewasz! I co ty oplakujesz? Przedrewolucyjną wieś oplakujesz? Wyzyskiwaczy oplakujesz? Nie pozwolimy!...

Przed moim nosem przesuwiał się żółty od nikotyny palec. Bezmyślnie wodziłem wzrokiem za tym żywym wahadłem. Łytwyn wstał i wsunąwszy rece do kieszeni przeszedł się po izbie. Pod jego butami trzeszczały zielone laskowe orzechy — kosiarze nawieźli tego z lasu.

— Myśmy krew przelewali, a ty mordę krzywisz? U-u-u, już ja bym ci dał, jakbym był twoim ojcem! Już ja bym ci pokazał wierszyk! Taki wierszyk bym ci na siedzeniu wypisał, że trzy niedziele na stojąco byś barszcz siorbał...



Skuliłem się na stołeczku, chowając głowę między kolana. Byłem jak zamroczony; nie mogłem wymyślić nic sensownego, za sobą widziałem tylko jakieś ruchliwe plamy, przed sobą — ciemną otchłań. Omal nie rozplakałem się z żalu za ukwieconymi łąkami, których już nigdy nie dotknie moja stopa, za zielonkawym cieniem leszczyny, z której już nigdy nie zerwę orzecha; żal mi było także pieczonej kukurydzy — przepadałem wprost za pieczoną na ogniu kukurydzą. W końcu rozplakałem się, wcale nie ze strachu, ale z żalości nad swoim jeszcze nie rozkwityłym, a już zmarnowanym życiem...

— No dobrze już, dobrze. Nie bec — Łytwyn znów wstał zza stołu, składając gazetę. — Jako że pierwszy to raz — przebaczam. Miękkie mam serce. Ale jak mi jeszcze kiedyś wytziesz taki numer, pokażę ci, gdzie raki zimują.

— Dziękuję, wujku — chlipnąłem od progu i najgenialniejszy poeta wszechczasów czmychnął co sił do chaty, zupełnie nie interesując się, jakie wrażenie sprawia na przechodniach jego chód.

Od tej pory przez dobre pięć lat, aż do trzeciego roku studiów, nie napisałem ani jednego wiersza...

— A propos, gdzie się teraz obraca stary Łytwyn? — spytałem Romana, bo w samochodzie wołałem nawet nie zaczynać opowieści o cierpieniach młodego poety.

— Calutkie lato nosa we wsi nie pokazał. Przesyła tylko przez syna jakieś zaświadczenia. Boi się, że mu ogród odetniemy. Do miasta się szykuje. Postanowiliśmy co prawda nie robić uroczystego pożegnania, ale i przeszkadzać też nie będziemy. Niech się zabiera. Cóż, oliwki w Kowczynie się skończyły, a przyzwyczajenie — druga natura...

— Faktycznie się skończyły? — spytałem z niedowierzaniem.

— Naprawdę — poważnie odpowiedział Roman. — Jeszcze zanim ja nastąpiłem, jeden z drugim próbował, ale przewodniczących zmieniano często, a może i wzory mieliśmy lepsze, pamiętasz? Czasem nawet tego, co uczciwie zarobione, nie weźmiesz, żeby się nikt nie czepiał...

Pamiętam, Romku.

Przestronny majdan otoczony czarnymi prostokątami

zgliszcz po kołchozowych zabudowaniach. Opatulone jakimś szmatami kobiety przebierają sadzeniaki. Wieje lodowaty wiatr. Kulimy się pod słomianymi daszkami, którymi okryto kopce, byle jak najbliżej żywego, wilgotnego ciepła. Obok matki siedzi ciotka Kułyna, zwana prezesową. Przez podwórze toczy się wracający ze szkoły Roman w swoim słynnym kozuchu, z przewieszoną przez ramię torbą na książki. Kułyną przywołuje go do siebie i ukradkiem, nie podnosząc oczu, wpycha do torby trzy ziemniaki: „Trzeci tydzień nic tylko kisiel z siemienia, a i to też już się kończy...” Roman idzie dalej, mija trzy spopieliałe kwadraty, już ma skręcić w boczną uliczkę, kiedy z owczarni wyłania się wujek Kyryło. Nie słychać, o czym rozmawiają, tylko żółte policzki ciotki Kułyny pokrywają się szkarłatem; poły wujkowego szynela powiewają na wietrze jak sztandar. Roman zawraca, idzie wolno, ze spuszczoną głową, w posiniąłych rękach niesie trzy kartofle. Po wystających policzkach ciotki Kułyny toczą się łzy. Kobiety milkną, pod złodowaciałymi daszkami zalega cisza. Trzy kartofle wypadają Romanowi z rąk i wpadają do kopca. Wieje wiatr, wujek Kyryło stoi obok owczarni, z uporem stara się trzymać prosto, obie ręce schował do kieszeni. Czeką. Roman podchodzi, obaj skręcają w uliczkę, rozmawiają o czymś bardzo poważnie, ale wiatr porywa słowa...

W poniedziałek pojechałem na delegację, zleciało do piątku, w sobotę nie poszedłem rano do pracy. W niedzielę wziąłem napisany na brudno felieton i zaniósłem Stepowemu. Drzwi otworzyła żona. Mykoła był w gabinecie, leżał na kanapie z „Wieczorem Kijowa” w ręku. Przez otwarty balkon wpadał orzeźwiający powiew. Zobaczywszy mnie, Stepowy wstał i odłożył gazetę. I znowu zdziwił mnie brak entuzjazmu, z jakim zazwyczaj witał każde moje pojawienie się.

— Wejdz, Andriju. Coś kiepsko się czuję po tej plaży. Przy mojej nadwadze przegrzewanie jest szkodliwe. Tak przynajmniej utrzymuje znajomy profesor. Będzie trzeba się poświęcić — mniej słońca, wody. Chcesz służyć społeczeństwu, musisz przywyknąć do ofiar. Sam wiesz, jak to jest: komu się dużo daje, od tego się dużo wymaga. Co u ciebie nowego?

— Spłodziłem felieton. Już dawno nic nie sprawiało mi takiej frajdy. Przeczytać ci? — sięgnąłem do kieszeni po notes.

— Za nic nie możesz zapomnieć tego Neczyporenki? Zuch z ciebie. Masz chwyt. — Stepowy przeszedł się po dywanie, pogłaskał stojący w kącie pszeniczny snop: kłosa zaszeleściły. — Ale pozwól, że będę z tobą szczery, masz przecież swoje lata. W takich sprawach trzeba myśleć. To już nie rodzinna wieś, otwarte, ufnie szumiące łąny — to jest stolica. Mądry hodowca nigdy bez potrzeby nie drażni roju. A my obaj jesteśmy pszczelarzami, chociaż nie pasieki pilnujemy, ale moralności i praworządności. I dlatego nie warto niepotrzebnie rozwścieczać roju. Jak już stawać w szranki, to tylko w obronie imponderabiliów. Nie myśl, że Stepowy dostał cykorii. Nic z tych rzeczy. Idzie o to, czy ten strzał ma sens. Czy nie zaczniemy kanonady tylko dlatego, żeby był huk. Mam trochę więcej lat niż ty i dłużej tu siedzę. Wiem, co to za facet ten Neczyporenko. Żeby to był taki sobie zwyczajny Neczyporenko, dyrektor jakiegoś tam zjednoczenia. Ale kilka lat temu ten sam facet miał jeszcze solidny stołek w ministerstwie... Oczywiście, przepędzili go stamtąd, no i klawo, ale kumple zostali. Pojmujesz? To sprawa polityczna. Neczyporenko robi raban na cały Kijów. A ludzie nas potrzebują. Nie mamy prawa nadstawiać karku. Tylko w ten sposób trzeba na to patrzeć. Ludzie nam nie wybaczą, jeśli zaczniemy rozmieniać się na drobne.

Stepowy tokował bez wytchnienia, nie dając mi dojść do słowa. Nie wiem czemu, nagle poczułem się zmęczony. I trochę smutny. A więc moje dzieło nie ujrzy światła dziennego. Nie mogę przecież występować tak ostro wyłącznie we własnym imieniu. Muszę jeszcze sporo poczekać. Jestem młody. A Neczyporenko — chytry i mocny. Sam nie uciągnę. Jasne, że nie uciągnę. Nie bacząc na monolog Mykoły, wstałem i zacząłem się żegnać. Gospodarz nie zatrzymywał. Widać było, że sam też czuje się łyso. Szurając kapciami odprowadził mnie do wyjścia. Już na schodach nie zdzierżyłem (brzydka Łytwynowa natura) i z największą powagą, na jaką mnie było stać, powiedziałem patrząc Stepowemu w oczy:

— Bądź ostrożny, Mykoło. Jakby co, zbyttnio się nie przejmuj...

Po czym, nie oglądając się za siebie, kilkoma susami zbiegłem na dół. Drzwi mieszkania Mykoły długo się nie zamykały. Byłem już na parterze, kiedy na górze z wolna, lekliwie szcęknęła zasuwa. W domu wziąłem zimny prysznic i wyciągnąłem się na łóżku. Nie miałem ochoty na rozmyślanie.

Jeśli Mykoła, znany, wybitny dziennikarz nie może sobie pozwolić na odwagę, to cóż dopiero taki żółtodziób jak ja. Lepiej już smarować te swoje słodko-mdlące reportażyki.

Nie minęła godzina, gdy zadzwonił telefon. W słuchawce rozległ się trzask — ktoś dzwonił z automatu.

— Słuchaj, stary — dobiegł mnie stłumiony głos Stepowego. — Zdaje mi się, że ty coś wiesz.

— Co masz na myśli? — spytałem niewinnie.

— No to, coś powiedział na końcu. Pomyślałem, że musiałeś usłyszeć coś złego i nie mogę sobie miejsca znaleźć. Nie śmieję się. W końcu jesteśmy tylko ludźmi.

— Nie śmieję się. Faktycznie, wszyscy jesteśmy tylko ludźmi. Czemu dzwonisz z automatu?

— Wolę, żeby żona nie słyszała. To kłębek nerwów. Całą noc gotowa oka nie zmrużyć. Więc jak, słyszałeś coś?

— Słowo daję, stary, nie wiem o niczym — zlitowałem się. — Naprawdę miałem na myśli tylko twoje zdrowie...

— Ach tak — odetchnął z ulgą Stepowy. — Sam rozumiesz, układy. Wiadomo, stolica... Nigdy nie zgadniesz, kto pod tobą ryje...

— Z którego automatu dzwonisz?

— Od nas, z bramy.

— W kapciach wyleciałeś?

— W kapciach. Dlaczego pytasz?

— I w szlafroku?

— Skądże. W dresie.

— Uważaj, żebyś się nie przeziębził. Zwłaszcza po plaży. Wiesz, różnica temperatur.

— Stokrotne dzięki. Prawdziwy z ciebie kolega, Andrijku. Jeszcze kiedyś razem zadziwimy świat. Trzeba się tylko ustakować, zapuścić korzenie, jak mawia lud.

— Jasne, stary. Obu nas jedna mamka wykarmiła. — Ubawiłem się tak, że aż mi łzy w oczach stanęły. — Telewizor ci nie nawala?

— Jak dotąd nie. Jutro mecz.

— Racja. Mój także chodzi jak dzwon. No to dobranoc!

— Dobranoc! — odpowiedział Stepowy i powiesił słuchawkę.

Wróciłem do czystej, chłodnej pościeli. Nakrochmalone prześcieradła zaszeleściły przyjemnie. Świeżutko odebrane z pralni.

— Nawiasem mówiąc, my obaj też Łytwyny — odezwał się nagle Roman. — W każdym z nas tkwi jakiś kawałek Łytwyna. Cała sztuka — nie dać rozmnożyć się temu wirusowi, nie pozwolić, aby oliwki nami zawładnęły.

W tym, co powiedział Roman, była jakaś okrutna prawda. Uświadomiłem to sobie już wtedy, w restauracji, nad końską porcją oliwek. Ale znać prawdę — to nie wszystko, trzeba jeszcze mieć odwagę głośno ją wyrazić. Pół dnia wygadywałem na Łytwynów, aby na ich tle mój obraz wypadł korzystniej. Popatrz no, jacy oni byli niedobrzy, a jacy my jesteśmy klawi. Nawet teraz, gdy włączono potężne światła, szukam jakiegoś ciemnego kąta, peźnę — dokąd?...

— Prawda, co mówią, że młody Łytwyn ciągle bawi się w anonimy.

Była to ostatnia rozpaczliwa próba, aby dzisiejszą jazdę obrócić w zabawną, niefrasobliwą wyprawę w przeszłość. Ale Roman był bezlitosny. Nigdy nie lubił „wybijanki”, podczas gdy ja przepadałem za tą beztroską grą.

— Żeby tylko anonimy... Do władzy się rwie... Prawo — powiada — jest po mojej stronie. A jakże: młody, specjalista, partyjny — tylko na kierownicze stanowisko! Każdy ma swoją logikę. Spotkałem go wczoraj na ulicy, byliśmy sami. Prawo dialektyki — śmieje się. — Wczoraj my, dzisiaj wy, jutro znów my... Ciarki mnie przeszły od tego śmiechu, ale pytam: A pojutrze?... Nie odpowiedział. Wszystko zależy od nas. Andrijku. Od tego, czy okażemy się dość odporni na oliwki. Czy potrafimy stanąć na wysokości zadania. Właśnie, na wysokości zadania...

No proszę. „Dziś wy, jutro my... Prawo dialektyki...”

Już nie umkniesz przed wspomnieniami. Ani przed sobą. Trzeba wejrzeć w samo dno duszy. A więc jeszcze i w to, co stało się owego wieczora. Ten obraz także tam spoczywa. Nie można pozwolić, żeby żywe barwy wspomnień zatarły się, rozplynęły w gęstym mule codzienności.

Przysłonięte papierem pękate szkiełko lampy. Płomień chwieje się, cień wujka Kyryła tańczy na szybko uchylonego okna, dwa ogniki odbijają się w wujkowych oczach. Dokoła nasze matki, ojcowie, bracia, siostry: wśród nich my, szczeniaki, ściśnięci między starszymi; pod nogami gliniana polepa, za oknem ochrowożłocisty zmierzch. Obraz jak ze starych

fresków. Schrypnięty, przeziębiony w okopach, trochę seple- niący głos wujka Kyryła. I nagle za oknem huk wystrzału. Wykrzywione wargi wujka i krótkie, żołnierskie, jednak dziw- nie łagodnie brzmiące: — Żegnajcie, towarzysze...

I ciało jak podcięte osuwa się na rozchwierutany szkolny stół. I strużka krwi z wolna spływa po karteluszkę zapi- sanym niezgrabnymi literami; wujek nigdy nie chodził na uniwersytet i nie musiał pisywać po trzysta wierszy do każ- dego numeru...

Dalej pamiętam tylko ból bez granic, powszechny, głęboko ludzki. Z niewyraźnego odmetu wyłania się opustoszały kory- tarz, słyszę babski lament przy stogu, wrzawę za oknem i zwie- rzęco przerażony wrzask Karusia:

— A-a-a...!

Dopadli go zaraz za węgiem — w rękę trzymał jeszcze ciepły obrzynek — przywlekli do szkoły i wepchnęli w mil- czący krąg, zaciskający się jak żywa pętla czy może czarny krater wulkanu, który szybko się zwiężał, wsysając nieubłaga- nie swoją ofiarę w kipiące nienawiścią wnętrze.

— A-a-a...!

Głuchy odgłos uderzeń, trwający chyba całą wieczność. Kiedy krąg się rozstał, na ziemi leżała czarna, nieruchoma masa. Błysk zapalanego papierosa i czyjś podniesiony głos:

— Teraz niech nas wszystkich sądzą. Więcej jak dwudzie- staka by mu nie dali. A za pięć lat amnestia...

Letnia noc pachniała koprem. Dwóch mężczyzn szło przez korytarz niosąc ciało wujka Kyryła. Wzdłuż ścian stali ludzie z kaszkietami w rękę. Letnia noc pachniała krwią.

Tak rodziliśmy się. A jak będziemy żyć?...

Po obu stronach samochodu sunęły pszeniczne łany o bar- wie pszczelego wosku; widnokrąg drżał i falował w przezro- czystym, rozgrzanym powietrzu; z lewej, jak zielona rana w gęstej zbożowej tkance, ukazał się Daleki Parów, za nim będzie Środkowy, potem Bliski, a potem cmentarz...

— Słuchaj Roman, postawili chociaż twojemu ojcu jakiś pomnik?

Roman milczał.

— Romek...

— Powiedziałem ludziom, żeby dali spokój. Taki jeden

z okręgu, znakomitości, niech go... wyprodukował popiersie; klękajcie narody. Twarz u taty zażywna, mina zadowolona, ognisty wzrok skierowany ku górze, pierś optymistycznie wypięta, cała w medalach, takich co je miał i których w ogóle nie miał prosty żołnierz Kyryło... Obraza boska. Lepiej niech już zostanie ten nagrobek, co go twój stary wyciosał. Ludzka pamięć nie w granitach zaklęta.

Minęliśmy wylot Dalekiego Parku, zbliżaliśmy się do Środkowego. Gorący letni wiatr, niosący w sobie zapowiedź zniw, wpadał przez uchylone okno samochodu, ale i bez tego było mi gorąco. Ognie uderzały mi na twarz. Staralem się nie patrzeć w boczne lusterko, aby Roman nie zauważył, co się ze mną dzieje. Chwilami usłużna pamięć podsuwała deskę rantunku: jakieś miłe głupstewko, bez żadnego związku z tym, co mi leżało na sercu. Ale nie chciałem rejterować. Dzisiaj albo nigdy. Z każdym dniem coraz trudniej za pomocą prawdy oczyszczać się z oblepiającej nas codzienności. Z sadystyczną dokładnością zacząłem wyjaśniać sobie, dlaczego tak mi nie w smak, że Roman zrezygnował z postawienia pomnika. W mojej walizce spoczywała nowiuteńka lustrzanka Zenit-5 ze światłomierzem, na wypadek, gdyby przyszło fotografować rankiem i trzeba było na oko określać ekspozycję. Obmyśliłem sobie to — i w ogóle cały temat — jeszcze wczesną wiosną, kiedy ojciec opisał mi całą aferę z nagrobkiem.

Wczesny ranek, zroszone ściernisko, w oddali — stogi słomy i bezkresne pola. Bliżej — cmentarz, pomnik wuja Kyryło, u stóp pomnika — Roman zapatrzony w szare granitowe popiersie, w rękę zmięty kaszkiet. Dalej — polna droga, na drodze — gazik. Pod fotografią podpis: „Do ojca po radę...” Epokowe zdjęcie. Wszystkie dzienniki i czasopisma to przedrukują. A materiał — rewelacja. Syn znakomicie kieruje kolchozem, za który oddał życie jego ojciec. Seria reportaży. Własne przemyślenia i liryczne dygresje. „O czym dumają jesienne pola?” Wprawdzie jeszcze lato, ale brzmi to nieźle. Zanim wrócę z urlopu, zanim napiszę — będzie jesień. „O czym dumają jesienne pola?” — reportaż roku!

Minęliśmy Bliski Parów, zaraz będzie droga, która koło Kyryłowego pola prowadzi do naszego chutoru.

— Dokąd teraz, Romku?

— Do bazy traktorów. Ale najpierw cię podrzucimy.

— Słuchaj, jedź sam do tych mechaników, a mnie wysadź tutaj. Mam ochotę przejść się polami.

Bałem się, że Roman się roześmieje: „Chcesz szukać śladów swoich bosych stóp?” Jednak coś w moim głosie musiało zdradzać stan, w jakim się znajdowałem. Roman nie powiedział ani słowa. Taktownie nawet się nie obejrzał. Do dziś jestem mu za to wdzięczny.

— Wstąp po pracy, Romku. Będę czekał.

— Dobra. Do zobaczenia wieczorem.

Sięgnąłem po walizkę, trenz zostawiłem na siedzeniu. Nijak mi było taszczyć go ze sobą w lipcowej spiekocie. Gazik pomknął wznosząc kłęby kurzu. Przebrnąłem przez biały tułman i skręciłem w pole. Drgający, rozfalowany horyzont jakby się nieco zbliżył; polna droga słała się przede mną jak biała szarfa haftowana po brzegach modrymi gwiazdkami podróżniczka. Rów, oddzielający cmentarz od stepu był gęsto zarośnięty kwitnącym piołunem; żółty pyłek osiadł mi na spodniach. Zmierałem na przełaj w stronę, gdzie czerwieniał płomień nagrobka.

Kopczyk był wysoki, troskliwie uprzątnięty, ale w niczym nie przypominał odstręczająco pompatycznych miejskich grobowców. Obłożony darnią pagórek okolony był zielonym pasem lubczyku i wrotycza — zawsze rosło tego mnóstwo koło chaty Kyryła i pewnie ktoś je przesadził. Może dlatego ostatnie wujkowe schronienie wyglądało jakoś przytulnie i zacisznie.

Dwa dziesiątki lat nawet nie tknęły nagrobka; dobrą dębinę wybrał mój stary, suszoną specjalnie na framugi i parapyty. Wieńcząca nagrobek blaszana gwiazdka przypominała śmiesznego kogucika, którego czasem można zobaczyć na wiejskim ganku. Naprawdę ani wówczas, ani dziś wujkowa mogiła nie sprawiała na mnie wrażenia czegoś fałszywie dwuznacznego. Stojąc nad nią człowiek nie był w stanie pozować. Ot, przechodząc wstąpiłem odwiedzić wujka Kyryła, a on, znużony, spojrział na mnie spod białych brwi: „Witaj mi, kozaczko. Jak tam, rośniemy?” Wiedziałem, że muszę powiedzieć całą prawdę, że tutaj nie sposób wykreć się sianem: kokieceteryjnie udać zucha i gromko odpowiedzieć: „Rośniemy!”, choć dobrze wiesz, że gdzieś tam, kiedyś, przestałeś rosnać, mimo iż na pozór — rodzinną strzechą mierząc wyniosło cię wysoko.

Tuż nad ziemią, na całą szerokość nagrobka, jak bruzdowaty ślad na szerniałej, utrudzonej chłopskiej dłoni, widniał łańcuszek liter wypalonych jeszcze tamtego dnia: Kyryło Łytwym — komunista.

Zdawało mi się, że słyszę pożegnalny szelest, z jakim spada



ze mnie mój nylonowo-bostonowy uniform, jak rozplywa się gdzieś cały stołeczno-pięciopiętrowy prestiż odpowiedzialnego pracownika, którego słowa czyta cały kraj: znów stałem przed wujkiem Kyryłem w płóciennych portkach, w łapciach, tyle że nie mogłem już z dawną radosną pewnością odpowiedzieć na jego pytanie: „Rośniesz, kozacze?”

Milczałem.

Można wyrzec się wsi, wzgardzić wiejskim chlebem. Ale siebie samego zaprzeć się nie sposób. Bo to już zdrada tej mogiły i świętej komunii. Przypomnij sobie ten smak i obyś go zawsze pamiętał.

Kilka minut przed śmiercią wujek Kyryło oznajmił zebra-  
nym, że udało mu się załatwić w mieście słonecznikowe wy-  
tłoki i teraz łatwiej będzie jakoś dociągnąć do nowego chleba,  
byle tylko nie kosić, nie niszczyć niedojrzałego zboża. Na-  
stępnego dnia zarząd kołchozu wyasygnował pięć kilo wytło-  
ków z racji pogrzebu przewodniczącego. Wróciwszy z cmen-  
tarza, ludzie siadali na przyzbach, pod płotami, na trawie.  
Milczeli. Szorstkie dłonie głaskały główki Kyryłowych chło-  
paczków. Kobiety odprowadziły Kułynę do chaty. Przygasł sło-  
neczny żar. Na wiązie klekotały bociany. Na próg wyszła  
chwiejąc się Kułyną, cała w czerni. W rękę trzymała szare  
podpłomyki:

— Wspomnijcie, dobrzy ludzie, duszę jego...

Podpłomyki podawano z rąk do rąk: ciemne, pokryte od-  
ciskami palce odłamywały z czarnych placków malutkie ka-  
wałeczki. Byłeś ostatni w tym łańcuchu, najmłodszy w tej  
stypie, ale i tobie dano kęs. Pamiętasz jego smak. To była  
komunia. Ostatnia wieczerza. Nieme zakłęcie. Bez fałszu i po-  
zy. Bez mityngów i przemówień.

Kyryłowym polem szedłem na spotkanie utraconej wsi.

Ze wsi do cmentarza była krótsza droga. Ale nieśli go  
przez pole, które odtąd już na zawsze będzie Kyryłowym po-  
lem. Mlecznożółte łany pszenicy z szelestem słały się pod czer-  
woną trumnę. Czarne, wychudłe postacie w milczeniu stąpały  
za orkiestrą, która także ścichła, wydostawszy się z opłotków.  
Szponiaste palce pieczołtliwie gładziły szeleszczące kłosa, ale  
żadna dłoń nie zerwała ani jednego, aby zwilżyć spieczone  
wargi słodkim pszenicznym mlekiem.

Moje popękane stopy grzęzły w piaszczystym żarze drogi;

dzień był wysoki jak życie. Szedłem na spotkanie samego siebie. Uparcie i mężnie szukałem śladów bosego dzieciństwa, bo odnaleźć je mogłem tylko tutaj, na Kyryłowym polu.

Pierwszy też raz od wielu lat nie czułem pokusy, aby na filmowej taśmie uwiecznić historyczną chwilę: powrót syna marnotrawnego...

Oddajemy w ręce Czytelnika pierwszy w języku polskim wybór opowiadań Wołodymyra Drozda. Złożyły się na tę książkę trzy opowiadania zaczerpnięte z tomów „Semyrozum” (1967) oraz „Yrij” (1974).

Dwa spośród tych opowiadań — „Rozumny” i „Oliwki” — mówią o poszukiwaniu szczęścia. Marzy o nim Rozumny, szuka go Mychajło Rzeszoto. Tyle że w zupełnie inny sposób.

Rozumny marzy o wyprawie na Księżyc, który widzi jako krainę mlekiem i miodem płynącą, gdzie mogliby szczęśliwie żyć wszyscy biedacy z jego wsi. Rzeszoto pragnie naprawiać świat piórem, wierzy w potęgę drukowanego słowa, które powielone w milionach egzemplarzy sprawi, że życie stanie się sprawiedliwe, dobre i piękne.

Matwój Rozumny uchodzi we wsi za pomyłek, nieszkodliwego dziwaka. Zginie od kuli bandyty w momencie, kiedy jego marzenie miało się już urzeczywistnić. Mychajło Rzeszoto zrezygnuje dobrowolnie. Jego historia to dzieje współczesnego konformisty, jeszcze jedna wersja odwiecznego i zawsze aktualnego dylematu: walczyć o pryncypia czy zgodzić się na życie ułatwione. Za ułatwienia jednak się płaci: rozdwojeniem, frustracją, wyalienowaniem, samotnością...

Różnice między tymi dwoma utworami są tylko pozorne, chciałoby się rzec — zewnętrzne. W „Rozumnym” maluje Drozd obraz ukraińskiej wsi w krytycznym okresie przelomu, kiedy to niechętnie i z oporami odchodziło stare, a z trudem i w bólach rodziło się nowe. W „Oliwkach” pejzaż wiejski przechodzi niepostrzeżenie w stołeczne miasto.

W obu opowiadaniach wątek realistyczny ściśle splata się z baśniowym. Życie wsi odmalowane jest w surowych, wyrazistych barwach; miejska egzystencja bohatera tchnie prawdą,

a o niektórych epizodach chciałoby się powiedzieć: samo życie. Osobiste doświadczenie — można podejrzewać, iż Rzeszotę wyposażył autor w spore fragmenty autobiografii — nie pozwoliło mu na żadną omyłkę: tak potrafi pisać tylko człowiek, który na własne oczy widział, jak wschodzi ozimina, jak wygląda las, jaki kolor ma niebo na wiosnę, a jaki chmury zimą. Człowiek, który wie jak zaprzęga się konia i... jaki jest mechanizm prasowej interwencji. Człowiek, który zna gorzyc porażki i słodycz sukcesu.

Osobną sprawą jest „Wyraj”. W dotychczasowym pisarstwie Drozda stanowi pewne novum, a może właśnie następny etap, jakim na twórczej drodze autora szkiców i opowiadań jest powieść. No, biorąc pod uwagę rozmiary i stosując nowoczesną nomenklaturę — minipowieść. Wesoła, chwilami wręcz satyryczna, ogromnie poetycka, kapryśna, liryczna, kolorowa. Jej bohaterem jest nastolatek, tłem — lata pięćdziesiąte naszego wieku. Więc znów strzał niestychanie celny: ważny społecznie temat, głęboka wymowa ideowa, tym silniejsza, że wpisana jakby mimochodem w życiowe perypetie chłopca obdarzonego niepospolitą wyobraźnią. Ona właśnie sprawia, że Wyraj jest krainą tyleż realną co baśniową, zaludnioną przez istoty z krwi i kości, a jednocześnie twory bujnej, nieskrępowanej fantazji, której kaprysy raz po raz naruszają realistyczny tok zdarzeń, powodując nieprzewidziane zwroty akcji.

Osobliwością jest w tych opowiadaniach wątek baśniowy, wywodzący się z najprawdziwszej ludowości, owego wciąż świeżego i nieprawdopodobnie bogatego źródła ludowego obyczaju, niepowtarzalnego widzenia świata, wyrażanego wspaniałym i nie dającym się naśladować językiem. Stąd metafory: paradoksalne, a jednocześnie zabójczo logiczne, stąd ów humor nicowany głęboką mądrością ludu, stąd owe magiczne przemieszczenia w czasie i przestrzeni, świszczące raki, gruszki na wierzbie, biegające na kaczych nóżkach kobiałki, fruujące krowy, słowem — ów fantastyczny, zmyślony świat, gdzie wszystko jest możliwe. Świat ten jest w tradycji ukraińskiego ludu zakorzeniony bardzo głęboko i bardzo odległych sięgą czasów — aż dziw, że tak mało dotychczas był eksploatowany, że tak długo musiał czekać na pióro, które potrafi zrobić z niego właściwy użytek. Ale wszystko wskazuje na to, że się wreszcie doczekał.

T.H.

**SPIS TREŚCI**

WYRAJ . . . . .	5
ROZUMNY . . . . .	119
OLIWKI . . . . .	191
Od tłumacza . . . . .	272

**Redaktor**  
**JADWIGA BIAŁOWAŚ**

**WYDAWNICTWO LUBELSKIE • LUBLIN 1980**

---

Wydanie I. Nakład 7000+272 egz. Ark. wyd. 16,9. Ark. druk. 17,25. Papier druk. sat. kl. IV, 70 g, 82×104 cm. Oddano do składania 12 lipca 1980 r. Podpisano do druku w październiku 1980 r. Druk ukończono w listopadzie 1980 r.  
Cena zł 36,—

---

Druk: Rzeszowskie Zakłady Graficzne, Rzeszów,  
ul. Marchlewskiego 19. Zam. nr 2058/80. K-8-178

Cena zł 36,-

Wyrazem jego zainteresowań historycznych są powieściowe biografie: uczonego Ołeksandra Bohomolca — „Rytmy życia” i „Droga do matki” oraz jednego z pierwszych rewolucyjnych marksistów Ukrainy Juwenala Mełnykowa — „Dobra nowina”.

Drozd jest przede wszystkim autorem opowiadań — najwcześniejsze powstały jeszcze w ławie szkolnej. Opowiadań tych zebrano już kilka tomów: „Rozumny” (1967), „Rodzina Mołochwów”, „Oliwki” (1967), „Katastrofa”, „Młode pędy”, „Wyraj” (1974), „Ludzie na ziemi” i inne.



169/146

Cena zł 36,-

12581

WYDAWNICTWO LUBELSKIE